

PRZEMYSŁAW PIOTROWSKI



Genialny thriller,
który przelamuje tabu

VINCENT V. SEVERSKI

pisarz, były oficer
polskiego wywiadu,
autor bestsellerowego
cyklu *Nielegalni*

RADYKALNI

REBELIA

VIDEOGRAF

PRZEMYSŁAW PIOTROWSKI

RADYKAŁNI

REBELIA

VIDEOGRAF

Kochanej babci...

Prolog

Gruz, pył i zgnilizna. Wzerająca się w skórę kwaśna, metaliczna woń śmierci. Dymiące kominy, szklarnie, potężne miazdżarki, parujące jeszcze ciepłą krwią. Milczący świadkowie zbrodni, których nikt nigdy nie osądzi. Spytacie dlaczego? Odpowiem. Bo w tym świecie nie ma i nie będzie komu sądzić.

Jeśli dalej pragniecie poznać moją historię, przygotujcie się na wstrząs. Nie opowiadam wam tego, bo taki mam kaprys. Piszę to, bo chcę was przygotować. Nie, nie ostrzec, choć wielu z was może właśnie tak to odebrać. Ostrzeżenie ma na celu chęć przeciwdziałania zagrożeniu, ale tego już nie da się zatrzymać. To nieuchronne. Ludzkość zlekceważyła kroczące zło, wzbierającą nienawiść, przegapiła moment, gdy bestie przekroczyły Rubikon.

Mój świat już na was czeka, czai się za rogiem. Niespokojnie. Niecierpliwie. A wy ciągle wierzycie, że jesteście bezpieczni... Cóż... nie jesteście. Niech pocieszy was fakt, że nie jesteście też jedynymi, którzy tak myśleli, wszak historia lubi się powtarzać. Nasi pradziadowie też wpadli w tę pułapkę. Bezsprzecznej ufności w fundamentalne dobro człowieka. I zapłacili bardzo wysoką cenę.

Dawno temu rozmawiałem z pewnym starym Żydem. Opowiedział o swoim pobycie w Auschwitz-Birkenau, piekle na ziemi, jak je nazywał. Trafił tam, bo nie uwierzył. Tak jak wy. To było dla niego po prostu niemożliwe, niewyobrażalne, zupełnie niepojęte. Tak jak dla was. Zawsze słuchał starszych, którzy przy kolacji i wódce dyskutowali o polityce i świecie. I z niedowierzaniem komentowali plotki: „Mordują Żydów? Masowo eksterminują? Milionami palą w piecach? To kłamstwa! Chcą nas zastraszyć! Wierutne bzdury! Przecież Niemcy to cywilizowani ludzie...”

A jednak, niewiele później mój rozmówca trafił do największego niemieckiego obozu zagłady, który w świadomości świata nie miał prawa zaistnieć. Zaistniał realnie szybciej, niż się spodziewano, podobnie jak kilkanaście innych, choć parę lat wcześniej budowa podobnych przybytków z pewnością znajdowała się w sferze ponurej fantastyki, a każdy, kto zasugerowałby ich powstanie, z pewnością zostałby uznany za chorego na umyśle, jeśliby nie rzec — obłąkanego.

Stary Żyd opowiedział mi więc, jak żył w murach obozu, a raczej wegetował, wyzbyty większości ludzkich odruchów, niczym szczur albo jakiś przebrzydły karaluch, kierowany odwiecznym instynktem przetrwania. Był jeszcze dzieckiem, Niemcy zamordowali mu całą rodzinę, rodziców zastrzelili, a siostry — nie tak silne jak brat — szybko trafiły do komory gazowej numer jeden. Najbardziej cierpiała najstarsza, piętnastoletnia prześliczna Rachel, wcześniej wielokrotnie brutalnie gwałcona przez kapo, a nawet gardzącymi „podludźmi” strażników, w końcu wysterylizowana żrącym środkiem chemicznym w bloku dziesiątym, przez samego Carla Clauberga, i po kilku tygodniach niepojętej gehenny wysłana do gazu.

Sam przeżył, dotrwał do wyzwolenia obozu przez nadciągającą Armię Czerwoną, dla której — niesłyszanej przecież z przesadnego humanitaryzmu — był to potężny szok. Będąc świadkiem takiej masy cierpienia, niewyobrażalnego okrucieństwa niemieckich katów i udręki żalonych ofiar, jakimś cudem nie stracił jednak wiary w człowieczeństwo. Mało tego, wybaczył. I zamieszkał w kraju rzeźników jego rodziny.

Dziś wiem, jak los okrutnie z niego zakpił...

Ja nie wybaczę. Nigdy. Tamten stary Żyd przeżył swoje piekło, ale nie poznał mojego. Naszego. Owszem, widział, do czego zdolny jest człowiek bez sumienia, wyzuty z wszelkich ludzkich odruchów, gorszy od najdzikszej bestii z krańców znanego nam świata, ale nie miał pojęcia, do czego jest zdolny ten, który wszystkie swoje potworne czyny tłumaczy wolą Boga.

Niemcy swoje ofiary palili, oni robią z ludzi nawóz... Sadyści, zwyrodnialcy, okrutnicy...

Nie spocznę, póki nie zabiję wszystkich, póki na świecie ostanie się choć jeden wyznawca. To, co dziś zobaczyłem, utwierdza mnie w przekonaniu, że tylko to się liczy. I że robię dobrze.

Dziś pogrzebiemy zmarłych, a jutro wyruszymy na polowanie.

Bestie znów będą miały ucztę...

Kuba

3 września 2023 roku, Zielona Góra, Polska

Nie mogłem spać. Obracałem się z boku na bok, jedynie kilkakrotnie zapadając w płytki sen, pełen dziwnych i niezrozumiałych majaków. W chwilach świadomości wracałem do ostatnich tygodni mojego życia, masochistycznie przypominając sobie kolejne fakty: od ataku Muhammada Abi Rabi'i, przez koszmarną śmierć mojej Nawal, wydarzenia w Barcelonie i Paryżu, po widok skatowanego, bezimiennego Araba w jednej z mijanych w drodze do Polski niemieckich wiosek. Co jakiś czas wracało pytanie „dlaczego?”. Podczas poszukiwania na nie odpowiedzi, zalewały mnie tysiące innych, popartych bardziej obrazowymi widziadłami, w chwilach, gdy zmęczony umysł odłączał się i zapadałem w krótką drzemkę. Moje męczarnie przerwał w końcu oślepiający promień światła, który wdarł się przez okno i na dobre odpędził sen. Za oknem słońce leniwie budziło się do życia, aby znów kazać mi cierpieć. Nie miałem pojęcia, z czym przyjdzie mi się zmierzyć i jak los okrutnie ze mnie zadzwi.

Wkrótce nienawiść miała zapłonąć we mnie jeszcze mocniej. Potężnie jak nigdy wcześniej...

Teraz zaczynał się jednak kolejny dzień.

Do mieszkania Krzyśka i Moniki dotarliśmy krótko po północy. Mateusz dowiózł nas na osiedle Pomorskie, a sam udał się do własnego domu w Dąbrówce Wielkopolskiej, aby następnego dnia odstawić ciężarówkę do polskiego oddziału jego firmy, znajdującego się w Poznaniu. Oczywiście zaplanowany załadunek w Paryżu został odwołany, ale spedytorka naciskała, aby zostawił pojazd w głównej siedzibie, pod Berlinem. Odmówił, tłumacząc się obawą o własne zdrowie i życie w świetle panujących w stolicy Niemiec zamieszek, sugerując jednocześnie własne rozwiązanie problemu. Miał już doświadczenie i wiedział, na co może sobie pozwolić, nie ryzykując utraty pracy. Zresztą nawet ewentualne zwolnienie zapewne nie odwiódłoby go od podjętej decyzji, zwłaszcza że już przynajmniej od roku przebąkiwał o chęci zmiany firmy. Ostatecznie dostał pozwolenie, niejako wymuszone na spedytorce, która wobec tak wyjątkowej sytuacji nie mogła oponować, a tym bardziej zmuszać pracownika do narażania się na

niebezpieczeństwo i ewentualne wysokie odszkodowania.

W trzypokojowym mieszkaniu wieżowca z wielkiej płyty przespaliśmy się ja, Krzysiek, Monika, Franco i Amir. Ostatni z nich wzbudzał we mnie totalnie skrajne uczucia. Syn mojego największego wroga, mały, fałszywy gnojek, który omal nie zarznął mnie jak świni, spał w pokoju obok, jakby nigdy nic się nie stało. Ten fakt zdecydowanie nie pozwalał o sobie zapomnieć, przyczepił się jak rzep do psiego ogona i — choć starałem się jakoś tłumaczyć sobie zachowanie Moniki traumatycznymi przeżyciami — żadne socjotechniczne sztuczki, jakie na sobie testowałem, nie były w stanie wypłenić go z udręczonego umysłu. Chłopak miał niby nie więcej niż dziesięć lat, ale skoro raz był w stanie przyłożyć mi nóż do gardła, to mógł to zrobić ponownie. W nocy, po kryjomu, w czasie głębokiego snu. Miał przecież świetnych nauczycieli. Może dlatego podświadomie broniłem się przed zaśnięciem? Nie ufałem mu, ba, byłem wściekły, że Monika może traktować go tak czule i troskliwie. To, że zmieniała się jako osoba, nie podlegało dyskusji, ale miałem nadzieję, że te dwa tygodnie gehenny nie pomieszały jej w głowie.

Zsunąłem z siebie koc i postawiłem nogi na starym dywanie. Mimo że spałem na łóżku, wszystko mnie bolało, tak jakby organizm w końcu się zbuntował i postanowił zaprotestować. Dłonie wyglądały, jakbym ostatnie wakacje spędził na roli, na przedramionach wybrzuszyły się żyły, klatka piersiowa i okolice żeber były słusznie posiniaczone, na prawym udzie zrobił się wielki krwiak, którego nabawiłem się podczas dachowania explorerem Franco. Twarz nie wyglądała lepiej: zmęczona, zmordowana, z bolesną śliwką pod okiem i podpuchniętym nosem. Dostałem zaledwie kilka strzałów, a wyglądałem, jakby przejechał po mnie kombajn. Pocieszałem się jednak, że trójka pieprzonych bohaterów, którzy tak mnie stłukli, zapewne leży już w kostnicy albo — co, mając na uwadze rebelię w Paryżu, wcale nie było wykluczone — ich truchła gniją na ulicy.

Przeciagnałem dłonią po bliźnie na szyi. Pod palcami świetnie wyczuwalna, szeroka, długa, o nierównych krawędziach, powierzchnię miała śliską i delikatną, lśniąca i zupełnie pozbawioną zarostu, który pokrył już większość mojej twarzy. Pomyślałem, że na pewno wyglądam jak dziad borowy i zanim udam się do rodziców (ta nieuchronna wizyta doprawdy mnie przerażała, bo nie wyobrażałem sobie odpowiadać na tysiące pytań, którymi z pewnością zaatakowałyby mnie matka, jak wściekły szerszeń; przecież musiałbym kłamać i lawirować, nie mógłbym przyznać się do tego, że ruszyłem do Paryża, aby pomścić Nawal i świadomie naraziłem się na takie niebezpieczeństwo, nie wspominając o tym, co tam robiłem), muszę się

ogolić i doprowadzić do jako takiego porządku.

Wstałem i przeciągnąłem się, aby rozprostować kości. Usłyszałem, jak zachrzęściły zastałe stawy i nie zważając na ból kręgosłupa i żeber, zmusiłem się do zrobienia kilku skłonów. W przeciwieństwie do legionistów spałem na łóżku, oni mimo możliwości skorzystania z salonowej kanapy nie dali się przekonać, aby położyć się na miękkich materacach i odpoczywali na drewnianej podłodze. Najwyraźniej i to nie pomogło...

Rozejrzałem się po pokoju, który przed laty należał do Krzyśka (a w zasadzie dalej był jego własnością, choć od lat nieużywaną), następnie odetchnąłem głęboko i przetarłem oczy dłońmi. Zdawałem sobie sprawę, że wszystkie moje przemyślenia z ciemnej nocy zaraz zwałą mi się na głowę z dwukrotnie, a może nawet trzykrotnie większą mocą. W pomieszczeniu unosił się specyficzny zapach starych domów, w których nikt od dłuższego czasu nie mieszkał — ciężki, ale na swój sposób nawet przyjemny, nostalgiczny. Pomyślałem, że to w sumie dziwne, że Krzysiek z Moniką nikomu go pod swoją nieobecność nie wynajęli, z drugiej strony wiedziałem przecież, że milionowe odszkodowanie po stracie rodziców, renta, a dodatkowo wysoka pensja legionisty zapewne pozwalały na spokojne życie bez tego typu problemów.

Podszedłem do okna. Widok z dziewiątego piętra był mi doskonale znany. Osiedlowy parking pełen samochodów, pusty plac zabaw oraz skatepark, po którym kiedyś na deskorolce hulał mój przyjaciel, nieco dalej trasa S3, za którą rozpościerała się Raculka, dzielnica domków jednorodzinnych z piękną stadniną koni. Słońce znów zniecka wyskoczyło zza chmury i zmusiło mnie, abym przyłożył dłoń do czoła. Jeszcze przez chwilę patrzyłem na lokalną panoramę, po czym odwróciłem wzrok i nostalgicznie omiotłem pokój przyjaciela. Po lewej znajdowała się szafa, przy łóżku szafka nocna ze starą lampką, nieco dalej biurko z żużłowymi gadżetami, które po tylu latach wciąż zalegały na zakurzonych meblach. Figurki Myszki Miki, długopisy, shaker w barwach Falubazu Zielona Góra i na wpół rozerwana paczka z zapachami do samochodu w kształcie żużłowca składającego się w łuk. Na ścianie przy szafie wisiał okazałych rozmiarów kalendarz z wizerunkiem ówczesnego kapitana drużyny, Piotra Protasiewicza, z miną poważną, spojrzeniem zamyślnym i utkwionym gdzieś w dal.

Maj 2016 roku... Dziś mieliśmy wrzesień 2023. Krzyśka nie było w domu przez siedem długich lat.

Świtało. Panowała niezmacona cisza. Wyteżyłem słuch, aby wy badać, czy ktoś inny prócz mnie postanowił też rozpocząć dzień, ale do moich uszu

nie doszły żadne dźwięki, z wyjątkiem chrapania Franco. Przez moment zawahałem się, czy wyjść, aby przypadkiem nie zbudzić innych domowników, ale ostatecznie wychyliłem się z pokoju i z zaskoczeniem stwierdziłem, że miejsce, w którym kładł się Krzysiek, było puste. Ustało chrapanie, a mnie aż zmroziło. Pomyślałem, że ten Włoch ma szósty zmysł i nawet jak śpi, jego umysł czuwa. Miarowy odgłos po chwili powrócił, a ja skierowałem się do łazienki, z ulgą zostawiając za sobą dalszy koncert mojego nowego przyjaciela.

Wysikałem się, umyłem zęby i twarz, z dumą przeegzaminowałem bliznę na szyi i — ledwo wycisnąwszy z tubki resztki zawartości — wsmarowałem przepisaną przez doktora Turana maść. Przez kilkanaście kolejnych sekund, tępo gapiąc się w lustro, napawałem się bandyckim wyrazem własnego oblicza, po czym zupełnie niepostrzeżenie na łeb zwałił mi się cały znój minionych dni. Nawal, Michał, Abi Rabi'a... Ich imiona i gatunkowy ciężar popełnionych, niepopołnionych czy dopiero planowanych czynów, jaki ze sobą niosły, był nie lżejszy od wypełnionej po brzegi betoniarki, która właśnie uniosła ruchomy bęben, wylewając na mnie całą swoją zawartość. Diabelnie rozbolała mnie głowa, ale gwałtowne klucie na szczęście ustało równie szybko, jak się pojawiło, ustępując lekkiemu ćmieniu, przypominającemu dolegliwość człowieka na słusznym kacu. Bez dwóch zdań musiałem odwiedzić aptekę. I to nie tylko aby zaopatrzyć się w kolejną tubkę maści, ale przede wszystkim kupić jakieś środki przeciwbólowe, przeciwzapalne i rozgrzewające. Czort wie, w jaki jeszcze sposób mój organizm miał zamiar protestować. A przecież to nie był koniec. Jeszcze nie.

Założyłem stare dzinsy, które jeszcze przed snem znalazłem w przepastnej szafie Krzyśka. Pasowały jak ulał, bo o ile dziś Figur wyglądał prawie jak kulturysta, o tyle w czasach przed Legią nasze rozmiary były mniej więcej takie same. W momencie gdy zapinałem klamrę paska, usłyszałem zgrzyt zamka i po chwili do mieszkania dyskretnie wszedł mój przyjaciel, oczywiście doskonale pamiętając, aby ominąć jedną z wiecznie skrzypiących desek w przedpokoju.

— Nie mogłeś spać? — zapytał z nieco wymuszonym uśmiechem; biała koszulka kleiła się do ciała, na świeżo ogolonej czaszce lśnił pot.

— No, powiedzmy — mruknąłem. — Kręciłem się z boku na bok. Ta cała sytuacja nie daje mi spać. Ale ty chyba nie lepiej, co?

— Swoje odespałem. Musiałem się przebiec, aby poukładać sobie kilka tematów w głowie raz jeszcze. Poza tym wpadłem do sklepu i piekarni. — Figur uniósł najpierw jedną siatkę, z której przebijały sok, mleko, ser,

jakaś wędlna i pomidory, a następnie dwie kolejne, wypełnione jajkami i ciepłym, intensywnie pachnącym pieczywem. — Nawet nie wiesz, jak marzyło mi się klasyczne polskie śniadanie — dodał i cicho jak kot wkroczył do znajdującej się za rogiem kuchni.

W jednej chwili zgłodniałem jak lichy, więc szybko wróciłem do pokoju, aby się odziać. Koniecznie chciałem poznać plan Krzyśka, bo świadomość, że Michał był więziony przez tego skurwysyna Abi Rabi'ę i bandę jego pieprzonych synalków, działała na mnie jak płachta na byka. I wcale nie uspokajał mnie fakt, że najmłodszy z nich znajdował się w naszych rękach. Nie miałem podstaw, aby negocjować jak najbardziej sensowne rozumowanie doświadczonego żołnierza, ale gdzieś w środku czułem niekomfortowy ferment, uczucie trudne do opisanego, niejednoznaczne, ale niepozwalające spać spokojnie. Może tak właśnie działa intuicja? Nie wiem, ale choćby Krzychu znał islamskich fundamentalistów na wylot, ścigał ich, przesłuchiwał, walczył z nimi, „sprzątał po nich”, jak często słyszałem to z jego ust, to nigdy nie spojrzał w te czarne, głęboko osadzone, mętne jak brudna kałuża oczy tego spróchniałego starucha. Ja tak, widziałem je z bardzo bliska i nie dostrzegłem pokładów jakichkolwiek uczuć, tak jakby należały do zimnego jak kamień trupa. Podobno oczy są zwierciadłem duszy. Ja jej tam nie ujrzałem.

Chwilę potem ojciec zamordował ciężarną córkę. Miłość mojego życia... I moje dziecko... Jakiż to ohydny i odrażający czyn! Oblać kwasem rodzoną córkę i przyglądać się, jak cierpi. Jak umiera. Przecież to niepojęte, to po prostu nie mieściło się w ramach ludzkiego pojmowania. Słyszało się w życiu różne rzeczy, ale żeby bez powodu mordować własne dzieci? Abi Rabi'a był potworem, bestią w ludzkiej skórze, islam — dosłownie i w przenośni — wyżarł mu mózg. I właśnie dlatego obecność Amira nie była dla mnie żadną gwarancją.

Nałożywszy starą koszulkę Krzyśka, wymknąłem się z pokoju i wszedłem do kuchni. Gospodarz na blacie smarował masłem bułki, obok na pokrytym kraciastą ceratą stole leżała deska do krojenia i kilka pomidorów.

— Jaki masz plan? — spytałem, zabierając się za krojenie dorodnych warzyw, nawet jeśli miałbym ochotę pogadać o dupie Marynie to nie miałem odwagi przed samym sobą, aby podjąć temat odbiegający od niedomkniętej sprawy. A w zasadzie kilku spraw...

— Po śniadaniu udam się do chłopaków. Będziemy potrzebować wsparcia — odparł, nie odwracając wzroku od wykonywanej czynności.

— Do Falubazów.

— Tak.

— Długo ich nie widziałeś...

— Miałem sporadyczny kontakt z kilkoma, czasem do siebie telefonowaliśmy, rzadko bo rzadko, ale nawet w Legii trudno całkiem odciąć się do przeszłości. Co by o nich nie mówić, jak by ich nie oceniać, to dobrzy i lojalni koledzy. Gdyby nie ich pomoc po tej feralnej ustawce, to pewnie do dziś gniłbym w pudle.

— Wciąż jeżdżą za drużyną?

— Nie wszyscy, ale większość. Tes wciąż w tym siedzi, Klamka trafił do GROM-u dwa lata po tym, jak wstąpiłem do Legii. Rudy raczej odbił, znasz go...

— Podobno dobrze idzie mu biznes.

— Tak, przejął go po ojcu. Buduje strzelnice dla wojska, policji czy klubów sportowych. Strasznie się zawziął po tym, co go spotkało.

— Co masz na myśli?

— Nie słyszałeś o Lilce?

— Czekaj... — Jak przez mgłę pamiętałem osiedlowe plotki. Przyleciałem wtedy na tydzień z Hiszpanii, na urodziny siostry. — Pojechał z nią do Berlina na jakąś imprezę i mu zniknęła. Podobno straszno doła złapał, zaczął ćpać, wpadł w depresję.

— No właśnie nie do końca tak było... — Figur skończył układać ser i kielbasę na tak świeżych, że aż strzelających w palcach bułkach. — Ona nie odeszła ani go nie rzuciła. I nie zniknęła... — Popatrzył na mnie wymownie. — Porwali mu ją sprzed nosa w jednej z dyskotek.

— Cooo?! — spytałem z niedowierzaniem.

— Przynajmniej tak twierdził, a ja nie mam żadnych powodów, aby mu nie ufać. Chłopaki też. Zgłosił zaginięcie, niemiecka policja nie była jednak w stanie zbyt wiele zrobić. Czy to polityka względem środowisk muzułmańskich, czy może brak środków i ludzi spowodowały, że podobno nie podeszli do sprawy zbyt rzetelnie. Szukali jej więc sami, kręcili się po tych dziadowskich dzielnicach i burdelach, jak my w Barcelonie, ale Lilka wyparowała. Dodatkowo zwrócili na siebie uwagę lokalnego gangu Afgańczyków, podobno odpowiedzialnych za porwanie Lilki. Nie spodobało im się, że jacyś Polacy weszą na ich terenie. Omal ich nie dopadli i nie pocięli.

— O cholera...

— Zrobili, co mogli, ale musieli odpuścić. Chłopaki nie mieli jak pomóc, bo kręcąc się w Neukölln, wyglądali, jakby ktoś narysował im na czołach tarcze strzelnicze, tym bardziej że policja też nie dawała im spokoju. Rudy się podłamał, ale na szczęście to twardy chłop i jakoś się ogarnął.

Po chwilowym załamaniu uciekł w pracę, dużą w tym rolę odegrał jego ojciec, który postawił go na nogi. Wkręcił się w te strzelnice, ale przy okazji odnalazł drugą pasję — broń. Zwariował na jej punkcie, zwłaszcza że w tej branży ma do niej praktycznie nieograniczony dostęp. Gadałem z nim jakieś dwa miesiące temu. Myślę, że wciąż nie do końca ochłonął po tym, co się wydarzyło.

— Nie miałem pojęcia... — mruknąłem, zamyślając się. — Nie tylko my...

— Tak — przerwał mi Figur. — Nie tylko my.

Woda w czajniku zagotowała się. Mój przyjaciel wyciągnął z górnej szafki trzy kubki i do każdego wsypał trzy czubate łyżeczki kawy.

— Franco nie będzie zadowolony — burknął, zalewając je kolejno wrzątkiem.

Zamieszał i podał mi aromatyczny napój, który jednak nijak miał się do hiszpańskiej kawy z profesjonalnego ekspresu. Gęsta i mocna jak stado diabłów, miała za cel postawić nas na nogi.

— Nie powiedziałaś mi, co planujesz... — zagailem, gdy wziąłem pierwszy łyk czarnej jak smoła cieczy.

— Zadzwoń do Abi Rabi'i i powiem mu, że dokonamy wymiany w lesie przy granicy, po polskiej stronie.

— Myślisz, że się zgodzi?

— Nie wiem, ty mi powiedz. — Figur spojrział na mnie wzrokiem przenikliwym, jakby czytał w moich myślach. Miał szósty zmysł...

— Myślę, że nie — odparłem, nie udając i nie bawiąc się w konwenanse, konkretnie, tak czułem, szczerze i do cna tak to widziałem.

Upiłem kolejny łyk. Krzysiek oparł się łokciami o blat i wygiął plecy w łuk, rozciągając zbolące mięśnie.

— Biorę to pod uwagę i cieszę się, że mówisz to, co czujesz. Jestem pewny jednego: Abi Rabi'a zjawi się w umówionym miejscu, bo chce nas zabić tak samo mocno, jak my chcemy zabić jego. I czy zrobi to po naszej stronie granicy, czy po stronie niemieckiej, nie przybędzie sam. A to oznacza, że będziemy potrzebować ludzi, którzy odetną mu drogę ucieczki. Wtedy go dopadniemy i zrobimy co należy.

Ostatnie zdanie zawisło nad stołem, wypełniając kuchenną izbę ponurą ciszą. Nasze spojrzenia spotkały się w solidarnym geście zrozumienia. Zamyśliłem się. Z letargu wyrwał mnie dopiero trzask pękającej skórki bułki, którą Krzysiek właśnie miażdżył w zębach.

W tym momencie do kuchni wkroczył Franco. Był na bosaka i miał na sobie jedynie szare spodnie dresowe po Mateuszu. Jego porośnięta czarnym

gąszczem klatka piersiowa zdawała się nienaturalnie duża, równie imponująco prezentowały się barki. Bandaż na lewym ramieniu był lekko przesiąknięty krwią, a na prawym boku lśniła bezkształtna połączona blizna po oparzeniu, chropowata, odcinająca się barwą ciemniejszego różu, zdawała się opinać żebra do granic wytrzymałości.

— Masz tu jakieś ciuchy, bo nie mam zamiaru zabijać w tych łachach? — spytał basem równie donośnym, co sygnał nadpływającego tankowca.

Nie doszukałem się w jego tonie ironii, a tym bardziej żartu.

— Zaraz coś ci zorganizujemy — odparł Figur i upił łyk kawy.

— Co to jest? — Włoch wskazał na parujący kubek.

— Wiedziałem, że nie będziesz wniebowzięty, ale nie marudź, gorsze gównem piłeś w robocie.

— Ech... — Franco machnął ręką i wbił zęby w bułkę, choć lepszym stwierdzeniem byłoby, że jego otwór gębowy wchłonął ją niemal w całości.

— Przynajmniej śniadania potrafisz robić — dodał, przeżuwając świeże pieczywo z serem, kiełbasą i pomidorem.

— Nie tylko, ale dobra, skończmy to pieprzenie, nie mamy na to czasu.

— Kiedy chcesz zadzwonić do Abi Rabi'i? — spytałem.

— Jak tylko upewnię się, czy możemy liczyć na wsparcie. Tymczasem chodźmy do salonu. Chcę zobaczyć, co dzieje się w tym zafajdanym świecie.

Figur w jedną rękę chwycił kubek z kawą, w drugą talerz z bułkami i wyszliśmy do salonu. Włączył telewizor, na ekranie pojawiła się panorama ulic Berlina z lotu ptaka, nieco drżące oko kamery przemieszczało się tuż nad dachami budynków. W kilku miejscach płonęły samochody, z jednej z kamienic buchały kłęby czarnego dymu, z których od czasu do czasu wyłaniały się złośliwe jęzory ognia, na ulicach gdzieś biegali ludzie, bez ładu i składu, jak obywatele prowadzonej kolonii w jednej ze starych strategicznych gier komputerowych podczas ataku wrogiego przeciwnika. W tle warkotu śmigieł snuł się komentarz prezentera:

— ...nieokreślona, jednostki policji nie są w stanie zapanować nad zamieszkami, które rozprzestrzeniły się już niemal na całe miasto. Władza apeluje, aby ludzie nie wychodzili z domów, mimo to na ulicach jest bardzo niespokojnie. Po serii wczorajszych ataków kanclerz wprowadził stan wyjątkowy, który tylko spotęgował agresywne reakcje mieszkańców. Świadkowie mówią o strzelaninach na ulicach i licznych ofiarach. Do sieci trafia coraz więcej amatorskich filmów, na których widać starcia mieszkańców Berlina. Na jednym z nich kamera uchwyciła dwóch mężczyzn,

którzy trzeciemu odrąbali głowę tasakiem bądź maczetą. W mieście panuje totalny chaos, ale już teraz można mówić o setkach zabitych. Takiej sytuacji nie było w stolicy Niemiec od zakończenia drugiej wojny światowej.

— Kurwa mać! — zaklął Krzychu, a ja dorzuciłem swoją, wcale nie mniej wyrafinowaną wiązanę. — To nam strasznie skomplikuje cały temat.

— Abi Rabi'a będzie potrzebował czasu, aby tu przyjechać — rzekł Franco, w tle prezenter kontynuował swój komentarz odnośnie do sytuacji w Berlinie.

— Myślę, że już jest w drodze, ale co prawda to prawda. Nawet jeśli władze opanują ten burdel, to szybko się tu nie przedostanie. No i pozostaje jeszcze nasza granica, której zapewne, nawet jeśli chcielibyśmy go do tego przymusić, może nie przekroczyć.

— Chaos może być też naszym sprzymierzeńcem... — zasugerował Włoch, przeżuwając kolejny wielki kęs.

— Owszem, może... — odparł Krzysiek, wpatrując się w ekran telewizora, na którym teraz kanclerz osobiście wypowiadał się na temat zaistniałej sytuacji.

Zaskrzypiały drzwi i z pokoju wychyliła się Monika, przed którą bojaźliwie stąpał mały Amir. Miała na sobie dresowe spodnie i niebieską koszulkę, na twarzy i przedramionach wciąż malowały się piękne wzory z henny. Wyglądała na zmęczoną i wyczerpaną, tak jakby w ogóle nie zdołała odpocząć. Może ją też dręczyły koszmary? Może myślała o Michale? Na pewno miała wiele powodów, aby odegnać spokojny sen.

— Cześć — rzuciła po polsku, nieco bojaźliwie, jakby nie do końca pewna, jak się zachować. — Dacie mu coś zjeść? Musi być głodny — dodała, tym razem po angielsku.

— Jasne — łagodnie odparł Krzysiek, a siedzący najbliżej Franco przesunął talerz z bułkami na skraj stołu.

— I chciałabym... — Monika zawiesiła głos i wykonała wymowny gest dłońmi. — ...zmyć z siebie to świństwo. Ciągłe przypomina mi o...

— Zajmiemy się nim, siostra. Bez obaw.

Jedyna dama w naszym towarzystwie lekko popchnęła Amira w naszym kierunku, a ten w milczeniu i ze spuszczoną głową zrobił kilka niepewnych kroków. Miał na sobie należące do niej krótkie sportowe spodnie w kolorze khaki i czerwoną, nieco za dużą koszulkę z masą bezkształtnych i porozrzucanych napisów. Odprowadziwszy go wzrokiem, Monika przeczesła dłońmi rozczochrane włosy i z cichym westchnieniem poszła do łazienki.

— Podejdz, chłopcze, zjedz coś. Nie obawiaj się, nic ci nie zrobimy —

łagodnie zachęcił go Krzysiek; mówił po angielsku powoli i wyraźnie.

Patrzyłem na tego dzieciaka i nie wiedziałem, co mam myśleć. W głowie pustka. Totalna. Milczałem i obserwowałem. Amir wpatrywał się w bułki złęknionym wzrokiem, nawet nie próbując podnieść głowy i spojrzeć na któregoś z nas. Miał około metra czterdziestu pięciu centymetrów wzrostu i był bardzo szczupły, żeby nie powiedzieć: chudy jak patyk. Ciemniejsza karnacja tylko potęgowała to wrażenie, podobnie jak trochę za duże ubranie, które wisiało na nim jak na wieszaku. Kruczoczarne włosy były kiepsko przystrzyżone, grzywka nierówna, z boku kosmyki nachodziły mu na duże i nieco odstające uszy. Rysy miał jednak regularne, zdrowo lśniąca skórę, jedna z tych starszych pań w okularach, które mijamy na ulicy bądź spotykamy na przystanku autobusowym, zapewne powiedziałyby, że wygląda jak cherubinek. Sprawiał jednak wrażenie zaniedbanego i — zakładałem, że ma około dziesięciu lat — lekko opóźnionego w rozwoju. Stał nieruchomo, ręce trzymając wzdłuż tułowia, lekko pochylony, wyraźnie spłoszony.

— Jedz — ponowił prośbę Krzysiek, nieco bardziej stanowczo.

Z łazienki do naszych uszu dotarł szum wody spod prysznica.

Amir jeszcze przez moment nie reagował, wtem jego oczy zaszkliły się i po policzkach pociekły łzy.

— Szlag... — zaklął pod nosem Krzysiek.

Franco przesunął talerz na sam skraj stołu, niemal pod nos chłopaka, ale ten odruchowo cofnął się.

— Przecież to wieprzowina — wypalił znienacka potężny Włoch.
— On tego nie zje.

— Cholera, zupełnie zapomniałem. — Figur klepnął się wymownie w czoło, po chwili wstał i udał się do kuchni.

Nie miałem pojęcia, jak zareagować, więc wbiłem zęby w kolejny kawałek bułki z pyszną — złośliwie dodałem to w myślach — świńską kielbasą i skierowałem wzrok na ekran telewizora, gdzie przy stole debatowały teraz tak zwane mądre głowy, polscy politycy i dziennikarze, którzy komentowali aktualną sytuację w Niemczech i ogólnie w całej Europie Zachodniej, jakby już dawno pozjadali wszystkie rozumy. Franco też stracił zainteresowanie chłopakiem, myślę, że miał równie kiepskie doświadczenie w kontaktach z dziećmi jak ja, tym bardziej z muzułmańskimi bachorami terrorysty, którego planowaliśmy zabić. Porąbana sytuacja...

Po około minucie Krzysiek wrócił z kuchni, z bułką z serem i pomidorem oraz szklanką soku jabłkowego. Przykucnął i postawił je obok

Amira. Popatrzył na twarz chłopaka, który cicho pociągał nosem.

— Bez wieprzowiny — rzekł. — Możesz to zjeść.

Amir gwałtownie wytarł łyzy wierzchem dłoni w sposób dla dziecka w tym wieku jak najbardziej naturalny. Nieśmiało wyciągnął dłoń w stronę kubka, a chwilę później przystawił go do ust i upił odrobinę soku. Najwyraźniej mu posmakował, bo przechylił go odważniej i opróżnił do dna. Wbił spojrzenie w bułkę, jakby wciąż nie był do końca przekonany, czy może ją zjeść, w końcu jednak chwycił ją oburącz i odgryzł kęs, powoli go przeżuwając. Podniósł wzrok i spojrzał na Krzyśka. Miał bardzo duże i ciemne oczy, ale nie dostrzegłem w nich tego, czego podświadomie szukałem. Chyba myślałem, że tak byłoby dla mnie łatwiej, ujrzeć w nich odbicie ojca, duszę zainfekowaną nienawiścią do wszystkich i wszystkiego, chłód i mrok, kiełkujące zło. Ku mojemu rozczarowaniu zobaczyłem jedynie smutne oczy niewinnego chłopca, zahukanego i zagubionego w otaczającej go rzeczywistości, nierozumiejącego swojego położenia, przeznaczenia ani decyzji ludzi dorosłych, które doprowadziły go do tej bezimiennej dla niego krainy, gdzie wszystko wygląda inaczej, a z okolicznych minaretów od rana nie dobiegało zawołanie muezzinów przywołujących wiernych do obowiązkowej modlitwy. Amir w milczeniu zjadł oba kawałki bułki, następnie wrócił do poprzedniej pozycji — ręce wzdłuż tułowia, głowa spuszczone, wzrok wbity w podłogę. Słuchaliśmy komentarza w telewizji, a on nie ruszał się, wyglądał jak jakiś zaprogramowany robot, który czekał na kolejne polecenia. Niby nic, ale sytuacja zrobiła się dziwnie niekomfortowa, z tego, co zauważyłem, nie tylko dla mnie.

— Możesz usiąść — powiedział Krzysiek i wskazał Amirowi jeden z wolnych foteli.

Chłopak nieśmiało uniósł głowę i spojrzał na legionistę, a następnie na mnie. Hebanowe oczy spoczęły na mojej szyi, omiatały wzrokiem bliźnę przecinającą ciemny zarost. Patrzył na nią zahipnotyzowany, posłusznie, bez ruchu. Wtem jego drobna broda zmarszczyła się nieco, a następnie zaczęła się trząść. Przypominał malca, który w tłumie zgubił rodziców; oczy znów zaszklily się i nie utrzymały łez, które spłynęły wzdłuż śniadych policzków.

— Ja nie chciałem... — wymamrotał, pochlipując i coraz mocniej pociągając nosem.

Przestałem przeżuwać i spojrzałem na chłopaków, najwyraźniej byli równie zaskoczeni jak ja, bo nie skomentowali. Z powrotem skierowałem wzrok na Amira, który chyba zaczynał tracić nad sobą panowanie. W pewnym momencie nogi się pod nim ugięły, padł na kolana i oparłszy się przedramionami o blat stołu, zaczął szlochać. Nie dał się jak większość

niewychowanych dzieciaków w jego wieku, jego płacz bardziej przypominał zawodzenie żałobnika nad grobem najbliższej osoby. To było skrajnie dziwne i niespotykane.

Spojrzeliśmy po sobie, po raz pierwszy poczułem, że legionści byli tak samo zdezorientowani, jak ja, ich szkolenie i doświadczenie w terenie nie miało tu absolutnie żadnego przełożenia. Wtedy do salonu wpadła okryta jedynie rącznikiem Monika.

— Co mu, kurwa, zrobiliście!?! — warknęła po polsku.

Wyglądała jak wściekła osa, mokre włosy i wciąż nie do końca zmyte wzory z henny upodabniały ją teraz do dzikiej Amazonki, która właśnie wyrusza na wojnę. Amir wciąż płakał, oparty o blat stołu.

— Nic... — wydukał zakłopotany Krzysiek. — My tylko...

— Właśnie widzę twoje „nic”! — syknęła i czule objęła chłopaka, szepcząc mu do ucha.

Ten wtulił się w nią, nie przestając szlochać. Chwilę tak razem trwali, następnie rzuciła nam srogie i pełne wyrzutu spojrzenie, po czym odprowadziła malca do swojego pokoju. Znowu spojrzeliśmy po sobie.

— Twarda kobieta... — burknął Franco, wymownie unosząc brwi do góry.

— Taaak — odrzekł Krzysiek, chyba wyraźnie zaskoczony zaistniałą sytuacją, zresztą podobnie jak ja.

Znałem Monikę od lat, ale nie pamiętałem, aby zachowywała się w taki sposób. I to spojrzenie, gniewne, wściekłe, wręcz szalone, w jednej chwili zmroziło mi krew w żyłach, jakby przez moją przyjaciółkę przemawiał jakiś rozjuszony demon.

Figur, spytawszy, czy nie chcę porcji białka, wstał od stołu i poszedł do kuchni, po czym dla każdego przygotował po kuflu surowych jajek. Nigdy nie byłem fanem tego raczej nieprzyjemnego w odbiorze posiłku (w dzisiejszych czasach wszelkie formy proteinowych suplementów smakowały jak delicje i nikt nie musiał katować się tak staroświeckimi metodami dostarczenia niezbędnego dla mięśni białka), ale nie chcąc być gorszy od legionistów, którzy w terenie zapewne byli odcięci od podobnych zdobyczy cywilizacji, chętnie przystałem na propozycję. Przełknąłem koktajl, o dziwo bez większych problemów, i z powrotem wbiłem wzrok w telewizor. Wyświetlane obrazy przykuły uwagę nas wszystkich. Nie tylko ja bezwiednie skomentowałem to, co widzę, klasycznym „ja pierdołę”... To był szok.

Ekran wypełniał pejzaż płonącej — dosłownie i w przenośni — stolicy Francji. Kamera, zamontowana na jednym ze śmigłowców, ukazywała

piętrzące się kłęby dymu, które w pewnym miejscu przysłaniały całe przecznice. Pożary trawiły budynki nie tylko przedmieść, ale także kamienic wokół wieży Eiffla czy nie mniej słynnego Luwru. Komentator mówił o tysiącach ofiar i wielokrotnie wyższej liczbie rannych, problemach w przepełnionych szpitalach, chaotycznych akcjach policji i wojska, płonących galeriach, urzędach, szkołach, posterunkach, kościołach, nie wspominając o niezliczonych sklepach, restauracjach czy kafejkach. Całe zastępy wozów strażackich nie były w stanie ugasić szalejących płomieni, więc służby skupiały się na miejscach najgęściej zaludnionych bądź tych o bezcennej wartości historycznej, jak choćby plująca językami ognia ze strzelistych okien katedra Notre Dame. Ulicami wstrząsały kolejne wybuchy, słychać było strzały, czasem całe serie z broni automatycznej, w wielu miejscach powstały barykady ze spalonych wraków, przyczep, czasem zwykłych mebli powyrzucanych przez okna na asfalt.

Gdy inna kamera pokazywała obraz z poziomu ulicy, odgłosy rebelii stawały się jeszcze bardziej donośne, bliższe widzowi, a tym samym bardziej złowieszcze, filmowanie z ręki dodawało realizmu, a gwałtowne reakcje prezentera nie pozostawiały wątpliwości, że na ulicach Paryża było po prostu niebezpiecznie. Krzyki, nawoływania, brzęk szkła, huk, trzask, strzały, wybuchy, syreny, warkot wirników wiszących nad budynkami maszyn, rozwiewających kłęby czarnego dymu jak amerykańskie śmigłowce na filmach z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, groźnie przelatujące przez gęste obłoki snujące się nad spaloną napalmem dżunglą podczas wojny w Wietnamie. Dosłownie! Ta relacja nie różniła się niczym od sprawozdania z wojny!

Trudno mi było w to wszystko uwierzyć, wpatrywałem się w ekran z rozdziawionymi ustami, próbując przyswoić sobie fakt, że jeszcze kilkadziesiąt godzin temu znajdowałem się w samym sercu miasta, które teraz wygląda nie lepiej niż Mosul, Aleppo czy Mogadiszu, ba, byłem jednym z tych, którzy się do tego bezpośrednio przyczynili i nieświadomie podpalili lont do tej beczki z prochem, na której od lat leżał Paryż. Jeden z największych symboli utopijnej polityki multi-kulti (dziś już nie miałem wątpliwości, że to kompletna utopia, przynajmniej zakładając współzycie z wyznawcami islamu, szczególnie mocno religijnymi, praktykującymi, nie mówiąc o radykałach, co było dla mnie absolutnie nie do zaakceptowania) płonął na moich oczach, stał się areną walki własnych mieszkańców, ludzi na co dzień chodzących tymi samymi ulicami, ale pochodzących z różnych światów, wierzących w jednego, ale różnie nazywanego Boga, wyznających często skrajnie odmienne wartości, wykluczające się w codziennym życiu.

Moje myśli krążyły wokół tych wszystkich przenikających się aspektów, których wcześniej nie dostrzegałem lub dostrzec nie chciałem. Jak miało się obrzezanie małych dziewczynek do poglądów wyzwolonych feministek, legalne bicie żon do ustaw antyprzemocowych, organizowanie targów niewolników do słynnej maksymy rewolucji francuskiej: „Wolność, równość, braterstwo”, która legła u podstaw nowoczesnego świeckiego państwa? A budowane w postępie geometrycznym meczety, w których imamowie nauczali nienawiści do ludzi innej wiary, stricte muzułmańskie klasy w szkołach, nachalne żądania zatrudnionych o czas na modlitwę w pracy, firmowe menu *halal*, tysiące nakazów i zakazów, które islam narzucał swoim wiernym, szczególnie kobietom. To nie miało prawa się udać, te światy były zbyt odległe, znajdowały się na dwóch przeciwległych krańcach, oddzielały je setki lat historii, rozwoju i postępu. Ten szalony miszmasz, podszyty niechęcią, uprzedzeniami, pogardą, wreszcie niepostrzeżenie kiełkującą i szybko kwitnącą nienawiścią, musiał w końcu eksplodować. I eksplodował.

Kątem oka zerknąłem na Krzyśka. Coś go gryzło, wpatrywał się w telewizor, ale myślami był zupełnie gdzie indziej. Podejrzywałem, o co chodzi, ale uznałem, że nie będę wychodził przed szereg. Okazało się, że nie musiałem.

— To naprawdę wygląda źle, panowie — rzekł w końcu i znów się zamyślił, ruszał szczęką w tę i we w tę, marszcząc czoło.

— Rząd wyśle Legię, to niemal pewne... — skomentował Franco, jakby wywołując wilka z lasu.

Nietrudno było się domyślić, że właśnie ten fakt niepokoił mojego przyjaciela. Dostał wolne, miał jeszcze dwa tygodnie, ale w tak kryzysowej sytuacji mógł spodziewać się telefonu w każdej chwili. Wezwanie postawiłoby go w wyjątkowo niekomfortowej sytuacji. Miał kontrakt, był żołnierzem. Dezercja lub... wolałem sobie tego nie wyobrażać. Dokonał wyboru. Ja też.

— Dlatego musimy się spieszyć — uciął. — Tak, panowie, nie ma co tu siedzieć, tylko trzeba działać — powtórzył i dla wzmocnienia przekazu klepnął się po udach.

Najwyraźniej nie chciał ciągnąć tego tematu i prowadzić jałowych dyskusji o tym, co by było „gdyby”. Wierzyłem, że jest przygotowany na każdą ewentualność. Jak zawsze.

— Jestem jak najbardziej za, ale najpierw muszę kupić sobie jakieś porządne ciuchy. Nie będę zabijał w tych szmatach — rzucił śmiertelnie poważnie Franco, sugestywnie wskazując na szare, bezkształtne spodnie

dresowe.

— To zbierajmy się, nie mamy wiele czasu. W południe umówiłem się z chłopakami. Po spotkaniu opracujemy plan.

Krzysiek podniósł się z kanapy, a ja ostatni raz spojrzałem w ekran telewizora.

Paryż wciąż płonął.

Sprawy konieczne załatwiliśmy tak szybko, jak się dało. Po śniadaniu pojechaliśmy taksówką (wcześniej Krzysiek upewnił się, czy Monika na pewno poradzi sobie sama z Amirem) do galerii Focus Mall, znajdującej się w gmachu po starej fabryce tkanin o swojsko brzmiącej nazwie „Polska Wełna”. W ogromnym budynku mieściła się niezliczona liczba butików, sklepów, kawiarni, restauracji, do tego multikino, fitness i wiele innych atrakcji dla żądnych wydawania ciężko zarobionych pieniędzy konsumentów. Dziś nie było tak tłoczno, jak zwykle, wczesna godzina i fakt, że w telewizji trwał emocjonujący serial pod tytułem „Europa rozpada się na kawałki”, zapewne spowodowały, że większość mieszkańców została w domach, z wypiekami na twarzy śledząc obrazy i komentarze zza zachodniej granicy.

Kupiłem sobie ciemnoniebieskie dżinsy i dwie koszulki, do tego bluzę z kapturem, czapkę, kilka par slipów i skarpet. Zrobiłem to, gdyż wciąż biłem się z myślami, czy przed ostatecznym rozstrzygnięciem nie udać się do rodziców, gdzie oczywiście mógłbym zaopatrzyć się w ubrania. Od czasu do czasu korciło mnie, aby oddzwonić albo napisać choć krótką wiadomość. Domyślałem się, że brak odpowiedzi z mojej strony może doprowadzać matkę na skraj szaleństwa, tym bardziej że kolejne esemesy, jakie mi wysyłała, zaczynały brzmieć, delikatnie mówiąc, desperacko. Ostatni otrzymałem wczoraj wieczorem, brzmiał mniej więcej tak: *Synu kochany, odezwij się, proszę, odbierz, napisz, błagamy cię, strasznie się boimy, że coś ci się stało*. Sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna i zaczynałem się poważnie zastanawiać, czy nie strzeli im do głowy, aby udać się do Hiszpanii albo — jeszcze gorzej — zgłosić na policję moje zaginięcie. Odwlekałem decyzję, ale bardziej skłaniałem się ku temu, aby poczekać, gdyż obawiałem się, że ewentualna rozmowa z rodzicami może tylko namieszać mi w głowie, zwłaszcza że w ostatnich dniach moja motywacja jakby nieco osłabła.

Nienawiść wciąż we mnie płonęła, a ja starałem się ją pielęgnować, ale

zar zaczynał powoli ustępować egoistycznym pobudkom. Dręczyło mnie to, bolało, czasem nawet czułem do siebie wstręt. Minęły tylko dwa tygodnie, a miałem wrażenie, że pamięć o Nawal gdzieś mi umyka, tak jakbym podświadomie znalazł w umyśle jakąś szufladkę, wygodnie złożył tam moją księżniczkę i wszystkie piękne, wspólnie spędzone chwile, plany na przyszłość, marzenia, obraz dorastającego owocu naszej miłości. Teraz stymulowała mnie egoistyczna chęć stania się takim jak Krzychu, porzucenia dotychczasowego szarego życia i wkroczenia w świat prawdziwych mężczyzn. Tak jakby to, co przydarzyło się nam wtedy na La Mandze, stało się jedynie środkiem do celu, do moich prawdziwych pragnień, a ja dramat ukochanej wykorzystuję instrumentalnie, zresztą podobnie jak fakt więzienia Michała przez Abi Rabi'ę. Właśnie ta myśl napawała mnie skrajnym obrzydzeniem. Czułem, jakbym na swój sposób zdradzał przyjaciela. Bo czy jeśli wrócilibyśmy w pełnym składzie, to zdecydowalibyśmy się kontynuować naszą vendettę? Wciąż mielibyśmy równie silną motywację, aby zabić tego Araba? Nawet jeśli zniszczył mi życie, ba, jeśli tak okrutnie skrzywdził Monikę, dokonalibyśmy ostatecznej zemsty? Nie wiem, ale fakt, że Afgan wciąż znajdował się w łapskach Abi Rabi'i, pozwalał mi kontynuować tę szaloną przygodę (kolejne słowo, które w aktualnej sytuacji brzmiało podle, ale dziwnie samoistnie nasuwało mi się przy każdej okazji, gdy tylko o tym myślałem). Czułem się wtedy jak cholerny, pozbawiony sumienia egoista.

Boże... Gdybym tylko wiedział, że diabeł już po mnie przyszedł...

Z galerii wyszliśmy już ubrani jak ludzie, szczególnie Franco, który nie żałował pieniędzy. Żołnierz nie żołnierz, był Włochem i choćby z tego powodu musiał wyglądać elegancko. Dżinsy, designerską, rozpinaną pod szyją koszulkę i skórzaną, drogą jak licho kurtkę dopełniły eleganckie, choć wygodne półbuty, wszystko w rozmiarze XXL. Wyglądał po prostu dobrze i najwyraźniej tak się czuł.

— Teraz mogę zabijać — mruknął, gdy zapalił papierosa, już na zewnątrz budynku.

Znów zabrzmiał, jakby to „zabijanie” było dla niego nie bardziej zajmującą czynnością niż poranne wypicie kawy. Człowiek zagadka. Nie rozumiałem ani motywacji, która nim kieruje, ani tym bardziej poczucia, pokręconego, żołnierskiego humoru. A może wcale nie żartował...?

Ponieważ została nam jeszcze prawie godzina, zjedliśmy na szybko po kubelku kurczaka i udaliśmy się do knajpy, która od lat była punktem zbornym dla najzagorzalszych fanów Falubazu. Tu mieli na nas czekać „chłopak”.

Lokal 4VIP znajdował się w starym, chyba jeszcze postkomunistycznym budynku na osiedlu Zacisze, umiejscowionym w północno-zachodniej części miasta, w pobliżu wylotówki na Krosno Odrzańskie i dalej na przygraniczne miejscowości Gubin i Słubice. Bardziej przypominał lokalną spelunę niż miejsce szczytujące się tak zadaną nazwą. Niedzielne słońce przyjemnie przypiekało policzki i nagie ramiona, a lekkie podmuchy wiatru nieco łagodziły efekt silnych promieni. Pachniało pobliskim lasem, a dokoła zalegała niemal głucha cisza, wyłączając sporadyczne pokrzykiwania grających w cieniu drzew amatorów tenisa, na kortach tuż za halą sportową należącą do Uniwersytetu Zielonogórskiego. W zasięgu wzroku dostrzegłem jedynie parę młodych ludzi z psem nieokreślonej rasy i kobietę z wózkiem. Mimo tak przyjemnego poranka na zewnątrz lokalu było pusto, choć potencjalnego klienta można było zrozumieć, gdyż wystawione pod parasolami stoliki wyglądały na zaniedbane i nieumyte. Przez moment pomyślałem, że knajpa jest zamknięta na cztery spusty i nikt na nas nie czeka, ale gdy tylko zbliżyliśmy się do schodków prowadzących do środka, drzwi otworzyły się i w progu stanął postawny facet o twarzy, której z pewnością przeciętny mieszkaniec nie chciałby ujrzeć nocą w ciemnej uliczce. Najbardziej rzucała się w oczy gruba na szerokość palca blizna przecinająca prawą brew, niemal dokładnie w połowie, uwagę przyciągały też głęboko osadzone, ciemnoniebieskie i bystre oczy. Mężczyzna zeskoczył ze schodków i zbliżył się do nas, groźne oblicze rozpromieniło się jak buzia dzieciaka, który właśnie dostał do ręki ulubioną zabawkę.

— Kopę lat, brachu — rzekł, przybijając soczystą piątkę, a następnie mocno ściskając się z Krzyśkiem.

— Siema, Tes. Nawet nie wiesz, jak dobrze cię widzieć — odparł Figur, wciąż trwając w objęciu z dawno niewidzianym przyjacielem.

Znałem Tesa, choć nigdy nie byliśmy bliskimi kolegami, więc również, choć wyraźnie mniej serdecznie, uściskaliśmy się, następnie Figur przedstawił przyjacielowi naszego włoskiego kompana. Oni również przybili sobie piątkę i pokleпали się po plecach.

— Przydałby się nam taki kawał chłopca w ekipie — rzucił żartobliwie Tes łamaną angielszczyzną, gdy w końcu puścił wielką grabę Franco.

— Uważaj, czego sobie życzysz — odrzekł swoim tubalnym głosem Włoch, wprawiając rozmówcę w lekkie zakłopotanie, ale chwilę później uśmiechnął się pod wąsem.

— Ilu przyszło? — spytał Krzysiek.

— Prawie wszyscy. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale jesteś tu legendą, stary.

— Legendą powiadasz... — Figur zawiesił głos i spojrzął w niebo.

— To mało powiedziane. Chodź, sam się przekonasz.

Krzysiek wciąż patrzył w błękit, znałem go i podejrzewałem, że w tej jednej chwili przeszłość wróciła. Kibolska ustawka ze Stałą Gorzów, bijatyka w lesie, cios w gardło, zmiądzona krtań, śmierć młodego chłopaka w ciżbie tłukących się kiboli żuźlowych klubów. Potem strach, panika, ucieczka do Nîmes, podpisanie kontraktu na służbę w obcej armii. Wstyd i wyrzuty sumienia wobec przypadkowej ofiary, jej rodziny i... siostry, którą musiał zostawić samą sobie. Miał wtedy tylko osiemnaście lat...

— Chodźmy więc.

Na dzień dobry musieliśmy przywitać się z każdym z osiemnastu przybyłych, najwierniejszych i najtwardszych fanatyków Falubazu. Nie odbiegali od charakterystycznego sznytu klasycznego kibola. Ogolona głowa, ewentualnie bardzo krótko przystrzyżona fryzura, silna i muskularna postura, koszulka z herbem ukochanego klubu lub jakimś agresywnym napisem w stylu „Pitbull” czy „Terror”, grafika często nawiązująca do sportów walki, które wszyscy jak jeden mąż czynnie uprawiali, obowiązkowo jakiś tatuaż, czasem wydziarane całe ramię. Kilku z nich kojarzyłem, ale żaden nie należał do bliskiego grona moich znajomych. W oczach wszystkich widać było podziw i szacunek, nawet tych starszych wiekowo, którzy pomimo trzydziestu kilku lat na karku swoje życie wciąż w pełni oddawali ukochanemu klubowi. Z większością Figur przywitał się ciepło, zamieniając kilka słów, a ja z Franco po prostu przybijaliśmy kolejne piątki, pilnując, aby nie przeoczyć nikogo, co mogłoby zostać odebrane w tym środowisku jako bardzo niegrzeczne. Gdy w końcu wszystkie zasady kibolskiej etykiety zostały dochowane, usiedliśmy przy jednym z okrągłych stolików, a barman przyniósł nam po zimnym piwie. Krzysiek uprzedził Franco, że teraz będzie używał języka polskiego i nie bawiąc się w dalsze konwenanse, zaczął mówić:

— Dzięki, że przyszliście, panowie, doceniam to i szanuję. Większość z was mnie zna, dlatego wiecie, że nie owijam w bawełnę, w związku z tym od razu powiem, o co chodzi.

Figur na chwilę zawiesił głos i spojrzął po ponurych, choć wyraźnie zaciekawionych twarzach „chłopaków”. Miałem wrażenie, że wszyscy przestali oddychać, przypominali niewzruszone figury woskowe. Legionista kontynuował:

— Potrzebuję waszej pomocy, gdyż jeden z moich bliskich przyjaciół wpadł w poważne tarapaty. Jest więziony przez pewnego człowieka, który już wkrótce pojawi się przy granicy, mam nadzieję po polskiej stronie. Będę

próbował go przejąć, ale ktoś musi w razie czego odciąć mu drogę ucieczki.

— Ma broń? — wyrwał się facet o typowo sterydowej posturze, wielki i nalany, ale z pewnością silny jak tur.

— Tak. I bez dwóch zdań nie zawaha się jej użyć — odparł zgodnie z prawdą Krzysiek, a paru łysych w milczeniu ze zrozumieniem pokiwało głowami.

— Co to za człowiek? — spytał inny, tego znałem, miał ksywkę Puzon i był równie wielki, obaj należeli do „starej gwardii”.

— To dżihadysta.

Zapadło milczenie.

— Niebezpieczny człowiek, obyty z bronią, z pewnością nie przybędzie sam.

Znów kilka osób pokiwało głowami.

— Musicie liczyć się z tym, że będzie strzelane.

W niewielkiej sali dało się słyszeć brzęczenie kilku krążących pod sufitem much. Nieznośna cisza ciągnęła się, a atmosfera zgęstniała. Decyzja nie należała to najłatwiejszych, to na pewno. „Chłopaki” zapewne mogli zasypać legionistę tysiącem dodatkowych pytań, ale większość tych facetów sroce spod ogona nie wypadła i rozumieli, że jeśli zwracał się do nich, a nie do policji czy innych służb, to nie miał innego wyjścia. Patrzyłem na ich harde twarze i zastanawiałem się, ilu to prawdziwi twardziele, a ilu zamiast jaj nosi między nogami jedynie wydmuszki. Co by nie mówić, ustawka wrogich grup kiboli, nawet najbardziej brutalna, była jedynie dziecinną igraszką w porównaniu z prawdziwą akcją przeciwko grupie uzbrojonych terrorystów, w większości szkolonych i mających doświadczenie bojowe. Z satysfakcją pomyślałem, że to, co przeżyłem w Paryżu, pewnie zawstydziłoby większość tych napakowanych kafarów.

— Wchodzę w to — odezwał się w końcu pierwszy głos.

Należał do wysokiego i dobrze zbudowanego faceta w koszulce z napisem „Embrace the pain” i jakimś wściekłym obliczem. Jego twarz też kojarzyłem, ale nie potrafiłem przypomnieć sobie, jaką miał ksywę.

— I ja — dorzucił Puzon, unosząc dłoń.

Chwilę później w pomieszczeniu widniał już las rąk, zgłosili się wszyscy bez wyjątku. Byłem ciekaw, ilu z nich rzeczywiście zrobiło to, bo taką podjęło suwerenną decyzję, a ilu podniosło dłoń, aby nie wyjść na tchórzy. Lokal wypełnił szum podnieconych głosów, a atmosfera wyraźnie się rozluźniła.

— Dzięki, panowie. — Głos Krzyśka spowodował, że znów zapadła cisza. — Który z was ma broń i wie, jak się nią posługiwać?

W górę nieśmiało powędrowało pięć rąk. Figur z uznaniem pokiwał głową, myślę, że to było nawet więcej, niż się spodziewał. Co prawda w ostatnich latach polski rząd ułatwił obywatelom dostęp do broni, ale cała procedura wciąż była długa i skomplikowana, szczególnie jeśli w aktach policji przy twojej twarzy widniał napis „kibol”. Co innego sam rynek, na którym pojawiło się mnóstwo lewych gnatów, głównie z za wschodniej granicy, gdzie niedawno konflikt na Ukrainie ostatecznie zakończył się podziałem kraju. Przemycane na Zachód, miały wzięcie, szczególnie w miejscowościach przygranicznych, w których mieszkańcy, szczuci przez środowiska skrajnie prawicowe, zbroili się na wypadek problemów z pękającymi w szwach od nowych imigrantów Niemcami. Pięć osób to było już coś.

Gdy już mieliśmy zbierać się do wyjścia, wybrzmiał sygnał w telefonie Krzyśka. Dzwoniła siostra. Odebrał. Monika płakała i krzyczała. Była kompletnie przerażona.

Monika

Z PAMIĘTNIKA PORUCZNIK MONIKI FIGURSKIEJ, PSEUDONIM „GHULA”

3 września 2023 roku, Zielona Góra, Polska

Podobno, gdy zło raz dotknie człowieka, zostaje przy nim na zawsze.

To prawda.

Ten pamiętnik miał być lekarstwem, ale czasem myślę, że tylko głębiej pograżam się w otchłani. Bo jak mam opisać emocje, gdy w zdawałoby się bezpiecznym mieszkaniu w moim mieście znów ujrzałam cień demona. Wysłał mi wiadomość i udowodnił, że mój koszmar nie skończył się. Tak naprawdę dopiero się zaczynał.

Pukanie do drzwi nie wzbudziło moich podejrzeń. Leżałam na kanapie, głowę podpierałam na łokciu, drugą ręką wertując strony znalezionej w przepastnych szufladach Krzysztofa komiksu o Człowieku Pająku. Amir był zachwycony i chłonał każdy kolejny rysunek, wyglądał jak kilkuletnie dziecko odkrywające kolorowy świat, jego uśmiech był naturalny, oczy lśniły dociekliwością. Czasem spojrzał na mnie tymi wielkimi źrenicami koloru hebanu, a ja wtapiałam się w nie jak w lustro tajemnego jeziora w jakiejś czarownej, prastarej puszczy. Wtedy on znów wykrzykiwał: „Spiderman!” i pokazywał palcem na człowieka w czerwono-niebieskim kostiumie, który śmigał pomiędzy strzelistymi drapaczami chmur albo rozprawiał się z kolejnymi wrogami mieszkańców Nowego Jorku. Amir był taki słodki i niewinny.

Nasza relacja wchodziła w zupełnie nowy etap. Amir mi zaufał, a ja zaufałam jemu. I choć rozumiałam, że jest tylko dzieckiem i na pewno musi tęsknić za rodziną, to za cel święty, równie święty jak stygmaty, całun turyński czy nasz papież Jan Paweł II, wyznaczyłam sobie, aby nigdy więcej nie trafił do okrutnego świata rodzzonego ojca i rodzonych braci. Świata demonów, gdzie życie i honor człowieka nie

mają żadnej wartości, a ból i cierpienie są jak oddychanie.

Pukanie nie ustawało, więc odłożyłam komiks i podeszłam do drzwi, a następnie spojrzałam przez wizjer. Przez moment pomyślałam, że to brat z Kubą i tym włoskim kolosem, ale ku mojemu zdziwieniu ujrzałam jedynie zniecierpliwioną buzię chłopaka, który wyglądał na niewiele starszego od Amira. Miał bardzo niepospolite rysy, rudą czuprynę i duże okulary, rozglądał się po korytarzu w sposób naturalny dla dzieciaka w jego wieku, w rękach dzierżył niewielką kopertę. Wyglądał jak jeden z tych amerykańskich dostawców gazet z lat osiemdziesiątych, z tą różnicą, że nie miał roweru, a na zewnątrz nie rozpościerało się osiedle domków jednorodzinnych na przedmieściach jednej ze słynnych metropolii.

Chłopak ponowił pukanie, następnie wznosił się na palce i zajrzał przez wizjer od drugiej strony, jakby rzeczywiście miał jakiekolwiek szanse cokolwiek zobaczyć. Wielka jasnoniebieska źrenica poruszała się, jakby jej właściciel miał ADHD. Poczułam dziwny dyskomfort, zdając sobie sprawę, że nasze twarze dzieli zaledwie kilka centymetrów drewna. Nieprzyjemne uczucie towarzyszyło mi przez kilka kolejnych sekund, a ja nie mogłam się zdecydować, co powinnam zrobić. Trwałam w tym zawieszeniu, aż usłyszałam kolejne pukanie. Niepozorny gość nie chciał odejść, jakby doskonale wiedział, że jestem po drugiej stronie.

Zakłęłam pod nosem, przekręciłam zamek i otworzyłam drzwi.

Zapomniałam, że moja twarz wciąż była pokryta wyblakłymi już nieco wzorami henny i chłopak, gdy mnie zobaczył, instynktownie cofnął się o krok.

— Co pani jest? — zapytał jakby nigdy nic.

Dziwne pytanie, w ogóle dziwna sytuacja.

— A kim ty jesteś, kolego?

Chłopak zrobił fikuśną minę i zmrużył oczy, jakby chciał mi się jeszcze bliżej przyjrzeć. Przekręcił głowę i mocno zmarszczył nos.

— Sąsiad, Adrian, z bloku obok.

Wyszczерzył zęby w szerokim uśmiechu i uniósł kopertę.

— Mam dla pani przesyłkę — oznajmił, prezentując przy okazji trzy wyraźne ubytki.

Zgłupiałam i rozejrzałam się po klatce. Była pusta, a z głębi korytarza nie dobiegał żaden hałas. Ktoś na dzień dobry robił sobie ze mnie jaja?

Spojrzałam podejrzliwie na niewielką kopertę i gdy tylko wzięłam

ją do ręki, rudzielec podskoczył i burknawszy krótkie „do widzenia”, rzucił się biegiem w kierunku schodów. Chciałam go zawołać, ale zanim się zdecydowałam, chłopaka już nie było. Nieco zdezorientowana zamknęłam drzwi i przekręciłam zamek. Obróciłam list w dłoni, pod palcami dało się wyczuć niewielkie zgrubienie.

Wtem po plecach przeszedł mnie nieprzyjemny dreszcz, zdałam sobie sprawę, że coś się zmieniło. Tak jakby ta niespodziewana wizyta zakłóciła mój wewnętrzny spokój, który po wielu dniach upokorzeń i cierpienia udało mi się choć na tę krótką chwilę odzyskać. Zrozumiałam, że wcale nie czuję się bezpiecznie, jak jeszcze kilkanaście minut temu. Poczułam też coś niewytłumaczalnego, ale emocjonalnie namacalnego. Zrobiło mi się zimno, a na rękach pojawiła się gęsia skórka. Jakby koło mnie stanął ktoś albo... coś. Coś nieprawego, nikczemnego i podłego do szpiku kości. I na mnie patrzyło.

Poczułam zło.

Stanęłam jak słup soli, do oczu napłynęły łzy. Próbowałam nad nimi zapanować, ale po chwili bezwiednie spłynęły mi po policzkach. Mój oddech przyspieszył, stał się płytki i nierówny. Zaczęłam panikować, ogarnął mnie paraliż.

Zamknęłam oczy. Ukazało mi się oblicze demona. „Jednooki”.

Wrzasnęłam, a przesyłka wypadła mi z ręki. Usłyszałam, że Amir się rozplakał. Upadłam na kolana i histerycznie rozerwałam kopertę.

Potem zwymiotowałam.

Kuba

3 września 2023 roku, Zielona Góra, Polska

Palec.

Odcięty palec.

Tyle usłyszałem od Krzyśka, który teraz nerwowo pędził starą beemką Tesa w kierunku osiedla Pomorskiego. Stary przyjaciel z Falubazów nawet nie pytał, po prostu rzucił mu kluczyki, a legionista, wzbudzając tuman kurzu z ziemistej nawierzchni, na której wóz był zaparkowany, wyrwał na asfaltówkę i ruszył do swojej siostry. Na jego twarzy malowała się gama emocji — strach, wściekłość, gniew. Telefon od siostry wyprowadził go z równowagi, a to świadczyło, że sytuacja jest bardzo poważna.

Przelecieliśmy przez miasto, jakby jego ulice były jednym ze specjalnych odcinków na rajdzie, kilkakrotnie minęliśmy pasy na czerwonym świetle, gdybyśmy wpadli w oko patrolowi policji, nie mielibyśmy żadnych szans się wytłumaczyć i kara z pewnością byłaby sroga (pomijając fakt, że Figur zapewne zostałyby aresztowane). Czułem potężny stres, ale nie tylko z tego powodu. Nie potrafię tego jednoznacznie określić, ale całe moje ciało drażniło coś jeszcze, szarpało mój umysł jak ptactwo padlinę, nie pozwalając skupić się na otaczającej mnie rzeczywistości. Odczuwałem wręcz emocjonalny ból, przez co z tej szalonej jazdy nie zapamiętałem prawie nic, jedynie kilka klatek: gorejące oczy Krzyśka w lusterku, ryk potężnego silnika, pisk opon, mijane pojazdy. Oprzytomniałem w momencie, gdy zajeżdżaliśmy przed blok, a ja usłyszałem z ust któregoś chłopaków to przekłete nazwisko — Abi Rabi'a.

— Dawaj kluczyki! — krzyknąłem, gdy Krzysiek wyskakiwał z samochodu.

— Co?

— Jeśli ten skurwiel znał ten adres, to zna też mój! — warknąłem groźnie i zdecydowanie, chciałem, aby przekaz był maksymalnie mocny.

Kluczyki przeleciały nad maską, a ja pewnie chwyciłem je w garść.

— Jedź z Kubą, poradzę sobie — rzucił Krzysiek w kierunku Franco, w jego oczach ujrzałem jeszcze większą wściekłość. Nie na mnie, czy na zaistniałą sytuację. Był zły na siebie, że w całym tym zamieszaniu sam tego

nie dostrzegł.

Gdy zajmowałem jego miejsce, Figur już zniknął w klatce wieżowca. Wycofałem z piskiem opon, powodując zniesmaczenie dwóch spacerujących kobiet. Wymachiwały rękoma w naszym kierunku i krzyczały coś, ale ryk silnika zupełnie zagłuszył ich głosy. „Głupie baby” — pomyślałem. Nie miały pojęcia...

Do pokonania znów miałem prawie całe miasto, z Pomorskiego na Jędrzychów, gdzie kilka lat temu moi rodzice wybudowali dom z ogródkiem, normalnie jechało się około dwudziestu minut. Przed bramę dotarłem w niecałe osiem, oczywiście łamiąc przy tym niezliczoną liczbę przepisów drogowych. Zatrzymałem się przy furtce. Niepewnie otworzyłem drzwi i wyszedłem na chodnik. Poczulem suchość w ustach, a moje serce zabiło jeszcze mocniej.

Wszystko wyglądało normalnie, choć dość sennie jak na wczesne niedzielne popołudnie. Cicha okolica, szum drzew, szczekanie psa sąsiada, gdzieś w oddali silnik pracującej kosiarki. Na trawniku obok tryskał zraszacz, nieco dalej jakiś wąsaty facet w koszulce na ramiączkach woskował swojego mercedesa. Uniósł głowę i przetarł czoło z potu, po czym znów zabrał się za polerowanie wozu. Nad głowami przefrunęło nam kilka wesoło ćwierkających szpaków, zatoczyły koło i obsiadły jedno z owocowych drzewek przyległej posiadłości. Złapałem się na tym, że może przesadziłem, niepotrzebnie spanikowałem, a teraz jest już za późno, zaraz drzwi się otworzą i wyjdzie matka albo ojciec, serdecznie się przywitamy, a potem będę musiał łąać. Bo jak wytłumaczę obecność mojego włoskiego przyjaciela o aparycji sowicie opłacanego łamacza kości? Powiem, że to nowy kolega? Bzdura. A to nagle przybycie nieswoim samochodem? Samo pojawienie się bez zapowiedzi? Jezu, widziałem oczami wyobraźni, jak biorą mnie w krzyżowy ogień pytań, a ja wiję się jak piskorz, próbując unikać odpowiedzi. Srogi wyraz twarzy ojca, który nienawidzi kłamstwa, smutek i strach w oczach matki, która prędzej czy później wyczuje, że chcę zrobić coś — z ich perspektywy — niewytłumaczalnie głupiego.

Furtka była otwarta, a na podjeździe stało nowe clio mamy, którym tak chwaliła się jeszcze kilka miesięcy temu. Lśniło w promieniach słońca, dbała o nie jak nigdy wcześniej. Jej pierwszy samochód prosto z salonu... Przez moment pomyślałem, że jeszcze mogę zawrócić, ale to nie byłoby najrozsądniejsze posunięcie. Może już mnie zauważyli? A jeśli nie oni, to pewnie widzieli mnie sąsiedzi. Co bym powiedział, gdyby przekazali rodzicom, że podjechałem przed dom i do niego nie wszedłem?

Głupie wątpliwości...

Franco szedł za mną i rozglądał się dokoła, analizował potencjalne niebezpieczeństwo, zdawał się pozbawiony emocji, jak automat, jak maszyna, jak terminator, gotowy w każdej chwili chwycić za broń i zlikwidować źródło zagrożenia. Dobrze się czułem, mając go w odwodzie. Taki anioł stróż.

Krew uderzyła mi do głowy, gdy uzmysłowiłem sobie, że już dawno powinienem usłyszeć radosne szczekanie mojego kudłatego sznaucera. Poczulem nagły przypływ gorąca. Bywało, że Megi wyczuwała moją obecność, zanim jeszcze przekroczyłem furtkę. A teraz cisza. Może wyszli na spacer? Lubili o tej porze, tuż po kawie, wziąć psiaka do lasu, aby dać mu się trochę wyszaleć. Ojciec rzucał mu patyki, a mama z Anią szukały grzybów, które moja śliczna siostrzyczka donosiła do domu w wiklinowym koszyku. Tak, dziś pogoda sprzyjała takim wycieczkom. Jeśli w domu jest tak cicho, to na pewno poszli do lasu.

Zawahałem się. Abi Rabi'a. Odcięty palec. Mój dowód, a na nim wszystkie dane. Adres...

Dyskretnie zajrzałem przez okno od strony kuchni, ale niczego nie dostrzegłem, bo słońce odbijało się od szyby, a dodatkowo rolety były opuszczone niemal do samego dołu. Dlaczego mama miałyby to robić w tak piękny dzień? Kuchnia zawsze była jednym z najjaśniejszych miejsc w nowym domu.

Niepewnie chwyciłem klamkę i po chwili wahania nacisnąłem ją. Drzwi ustąpiły. Jakaś siła ścisnęła mi żołądek, aż odebrało mi dech. Uderzył mnie nieprzyjemny zaduch, jakby nikt nie wietrzył domu od tygodni. Powietrze było gęste i... brudne. Moje serce gwałtownie przyspieszyło, bo wiedziałem, że matka nigdy nie dopuściłaby, aby w takiej atmosferze witać gości. Podobną pamiętam, gdy będąc dzieckiem, nachodziłem z kolegami pewną bardzo biedną i starą kobietę, która skromnie żyła w altance na działkach. Była strasznie pomarszczona, miała długi, haczykowaty nos i zawsze nosiła chustę na głowie. Baliśmy się jej i traktowaliśmy jak wiedźmę. Ale ciekawość zawsze wygrywała i nieświadomie — mieliśmy może po dziesięć lat — ją dręczyliśmy. Kiedyś wsadziłem nos przez rozbitą szybę jej chatki i poczułem podobną woń, jaka teraz unosiła się w moim domu. Nieprzyjemną, ciężką, plugawą. Dzień później widzieliśmy, jak wynosi z altany martwego kota.

Moi rodzice mieli dwa koty.

Cisza stała się klaustrofobiczna, za plecami usłyszałem szczęk mechanizmu odbezpieczającego, na ścianie ujrzałem cień kroczącego moimi śladami Franco, w rękach miał pistolet. Dlaczego go wyciągnął? Poczulem,

że moje oczy wilgotnieją, a mnie ogarnia przerażenie.

Letnie płaszcze wisały na wieszakach, pod nimi znajdowało się puste posłanie Megi, było wymięte. Zajrzałem do kuchni. Cicho mruzczała lodówka, a po blacie spacerowało kilka much. Na wyłączonym palniku stała patelnia z jakimś wschodnioazjatyckim jedzeniem, była przykryta szklaną pokrywą, obok staromodny czajnik i garnek z zupą, z której wystawały obleczone resztkami mięsa kości. Kilka nieumytych talerzy w zlewie, pełna miska wody dla psa, na desce do krojenia połówka chleba, obok rozpływające się w tym zaduchu masło i kilka podsuszonych plasterków żółtego sera. Pomidor, szczypior do pokrojenia i dwie szklanki z włożonymi torebkami z herbatą. Moje serce waliło jak młot pneumatyczny, bo coraz bardziej uświadamiałem sobie, że moja mama nigdy nie zostawiłaby kuchni w niedzielne popołudnie w takim nieładzie. Przerażenie zaczęło przeradzać się w panikę.

Kuchnia przez półotwartą ladę łączyła się z salonem. Spojrzałem tam. Ujrzałem je tylko przez sekundę, po czym widok przesłoniła mi olbrzymia sylwetka Franco. Jego oczy wypełniał niewysłowiony żal. Chwycił mnie w żelazny uścisk i przycisnął do swej wielkiej piersi w momencie, gdy z gardła wyrwał się skowyt, jaki może wydać z siebie jedynie człowiek wpadający w otchłań szaleństwa.

Przez sekundę widziałem donicę. A na drewnianych podpórkach na kwiaty dwie nabite głowy. Jak dynie na płot podczas Halloween.

Mama i tata.

A dokoła krwawa łaźnia.

Niewierny

1 listopada 2033 roku, ruiny Brukseli, Belgia

Kiedyś wyczytałem, że potrafi być słodka.

Bzdura!

Nie uszlachetnia, nie pomaga zapomnieć, strąca człowieka w jeszcze głębszą otchłań, a następnie pożera.

ZEMSTA.

Siostra NIENAWIŚCI, kolejna z JEGO oblubienic. Jest tym, co pozwala mu rosnąć w siłę i infekować kolejne dusze. Aby zło wciąż trwało.

Słyszę krzyki mordowanych. Bezlitośnie. Bestialsko. Bezdusznie. Dziś niewielu z nas ma jeszcze resztki tego, co ludzkość kiedyś nazywała duszą. Tak jak ja. Empatia wobec siewców nienawiści jest mi obca jak ojcowska miłość. Chcę jedynie zasnąć.

Wstaję, aby odszukać spokojne miejsce, które pozwoli mi stłumić echo jęków katowanych. Poranek jest chłodny, słońce skrywa się za cienką warstwą chmur, które pokryły nasz świat jak odwieczna kopuła wypełniona tysiącami okrutnych uczynków, bez ujścia i szans na rozgrzeszenie.

Z mojej torby wystaje jedna z książek. Podmuch wiatru wertuje pożółkłe kartki. Wsuwam ją głębiej, może dziś też będę szukał odpowiedzi. Poprawiam wysłużony AK-47, jego lufa jeszcze nie wystygła, woń, jaką wydaje, jest niepowtarzalna. Zdejmuję maskę, aby zaczerpnąć powietrza, szarego i ciężkiego jak rozlany beton. Czuję zgniliznę, słodko-kwaśny odór jest wszechobecny, drażni płuca opiłkami namacalnej nienawiści. Wielu od tego umarło, ale ja wciąż oddycham, organizm rwie się do życia, choć w moim świecie to śmierć jest naturalną koleją rzeczy.

Czasem myślę, że rak wybiera tylko bezbronnych. Tych, którzy jeszcze mają duszę.

Idę wzdłuż gruzowiska po zniszczonej kamienicy, pomiędzy cegłami, pustakami i całymi zbrojonymi fragmentami leżą wciśnięte nieludzko zmasakrowane truchła. Wiele z nich jest świeżych, to trupy

po dzisiejszej potyczce z wrogiem. Kruki już krążą na głowami, szykują się na ucztę. Pobliski budynek wydaje groźny pomruk i z rozerwanej ściany odrywa się kilka kawałów betonu, które staczają się po poprzędkach. Czasem marzę, aby jeden z nich spadł na mnie i raz na zawsze zakończył marny, naznaczony nicością żywot.

Mijam pochwyconych wrogów. Jest ich garstka, wielu, zrozumiałwszy swoją beznadziejną sytuację, strzeliło sobie w łeb albo poderżnęło gardła. Wiedzą, że lepiej umrzeć w walce, niż wpaść w nasze ręce.

W tym świecie nikt nie bierze jeńców...

Kłęczą okutani w łańcuchy, ich ręce ciasno skrępowane drutem, który wrzyna się w ciało. Słyszą krzyki mordowanych kompanów, mimo to liczą na cud i błagają mnie w swoim języku. Znam go, ale nie reaguję. Lamentują, modlą się do NIEGO. Mają nagie stopy i umorusane twarze. Broń, buty, maski i wszystkie wartościowe rzeczy zostały im odebrane. Jeden z nich rzuca mi się do nóg i chwytą za nogawkę. Prosi o litość, wie, że rozumiem jego słowa. Patrzę mu w oczy, są czarne jak mysie i wyziera z nich strach. Unoszę kolbę i uderzam go w twarz, słyszę trzask pękającej kości jarzmowej, a on pada nieprzytomny. Jego kompani milkną, a jeden z nich pluje mi pod nogi, syczy, że jestem zdrajcą i splonę w piekle. Spoglądam na niego bez cienia emocji i odchodzę. Nie jest wart mojej uwagi. Nie jest godzien, aby ktoś po nim zapłakał.

Niechętnie przypominam sobie, że nie uzupełniłem amunicji. Porucznik Figurska pilnuje, aby każdy zawsze był gotowy na śmierć. Nie chcę testować jej cierpliwości, nawet jeśli jest mi bliższa niż większości moich towarzyszy. Z jeszcze większą niechęcią orientuję się, że zapasy znajdują się wewnątrz ruin szkoły. To stamtąd dochodzą krzyki. Klnę szpetnie i skręcam w tamtym kierunku.

Mijam dwa luźno stojące filary, które kiedyś podtrzymywały niewielkie zadaszenie. Pokonuję rozsypane cegły i zwalone kawały zbrojonego betonu, podpieram się ręką, aby nie skręcić kostki. Duży hol rozbrzmiewa jękami pokutujących za grzechy, których dopuścili się w miejscu świadczącym historią, że kiedyś byliśmy czymś więcej niż tylko pustymi kielichami. Dziś w jego murach już nikt nie uczy miłości, nie niesie kaganka oświaty, nauki, mądrości i moralności. Wszystkie one przegrały z JEGO ciemnym i prymitywnym słowem, które zasiał w człowieku przed wiekami.

Echo mordowanych odbija się od surowych ścian i wrzyna

w zasłonięte szmatami uszy. Wwierca się do mózgu, szarpiąc wyjąłowane z uczuć synapsy. Milczę, nie mam dla nich współczucia, wiem, że konają, cierpiąc męki, jakie sami zadawali. Wiem też, że Sasza, człowiek ze Wschodu, dziś odnalazł tych, którzy sprawili, że stracił duszę. Ma cały dzień, nim znów ruszymy w drogę. Wykorzysta go, ale zdaje sobie sprawę, że ZEMSTA nie da mu ukojenia.

Porucznik Figurska, porucznik Polak, major Bartczak i wielu innych bliskich mi przyjaciół i towarzyszy broni jest tego przykładem. Teraz dołączy do nich Sasza, człowiek ze Wschodu.

Wchodzę do pomieszczenia z amunicją, witam się z dwoma strażnikami. Paweł i Artur, obaj to doświadczeni żołnierze. Na ich twarzach maluje się smutek, są ponure, a oni zmęczeni. Wydzielają mi cztery magazynki i dwa granaty, pierwszy z nich klepie mnie po ramieniu i mówi, że wykonałem kawał dobrej roboty. Jego słowa jednak nic dla mnie nie znaczą, bo czyż powinny? W żadnej z moich książek bezsensowne zadawanie śmierci nigdy nie jest „dobre”. W przeciwieństwie do realnego świata. Mojego świata.

Śmierć i ból. Cierpienie.

Wieczna udręka.

Wracam w miejsce, gdzie znajdę odrobinę ciszy. Zerkam jeszcze na porucznik Figurską, przysłuchującą jednego z więźniów. Dzierży w ręku swój nóż, z którym nigdy się nie rozstaje. Ostrze i rękojeść są skąpane we krwi. Podobnie jej mundur i twarz.

Bogini ZEMSTY.

Wiem, że nie odpuści. Tylko to jej pozostało. Znajdzie to, czego szuka, albo zginie, próbując.

Tak jak ja.

Przeskakuję przez gruzowisko, mijam filary i grupę posilających się kompanów. Kruki krążą nad głowami, skrzecząc natarczywie. Nie wiem, czy zasną. Dostrzegam zaciemiony punkt, niewielką wnękę ukrytą pod betonowym nawisem. Wygląda, jakby zaraz miał runąć. Może runie...

Opieram karabin o mur, kładę torbę z zapasami. Waham się chwilę i wyciągam kawałek suszonego psiego mięsa. Gryzę je, jest słone, ale dobre. Odkręcam menażkę z wodą i przechylam ją. Moje gardło jest suche jak wiór i z ulgą przyjmuje życiodajny płyn.

Myślę.

Znów się waham.

Sięgam po książkę i otwieram ją. Chwilę poczytam, a potem

odpocznę.

Kuba

6 września 2023 roku, Zielona Góra, Polska

Nie zapamiętałem wiele z następnych dni. Demony, który opętały moją duszę, nie miały litości. Runąłem w czeluść, z której nie było powrotu.

Policja, psycholog, nieudane próby przesłuchania, wściekłość, eksplozja nienawiści, otchłań smutku, apatia. Większość z tych kilkudziesięciu godzin przetrwałem na silnych środkach uspokajających, które dwukrotnie (dwukrotnie, bo pamiętam to przez mgłę i taką informację usłyszałem z ust Franco) musiano mi na siłę aplikować dożylnie. Mój świat, już i tak poharatany, teraz rozpadł się na milion kawałeczków, a ja myślałem tylko o śmierci. Najpierw swojej, potem wszystkich dokoła, nie wyłączając najbliższych mi przyjaciół. Gdy po paru dniach temperatura krwi spadła w moich żyłach z poziomu wrzenia, spectrum tych, którzy w moim mniemaniu powinni umrzeć, zawężyło się do „zaledwie” dwóch miliardów wyznawców czegoś, co w telewizji nazywano „religią pokoju”. W końcu gniew skumulował się na jednej starej, pomarszczonej i odrażającej twarzy człowieka, zwanego Muhammad Chalil Abi Rabi’a, która prześladowała mnie za każdym razem, gdy zamykałem oczy.

Ten proces trwał, ale już następnego dnia w asyście Krzyśka (Franco został z Moniką, której od tego czasu brat nie odstępował na krok i jej bezpieczeństwo mógł powierzyć jedynie zaufanemu Zaccheriniemu) udałem się do babci Heli. Ilość środków, jakie wcześniej sobie zaaplikowałem, normalnie powaliłaby słonia, ale buzująca w moich żyłach adrenalina w jakiś sposób wciąż trzymała mnie w pionie. Policyjny psycholog zaoferował swoją pomoc, do przekazania tej informacji został wyznaczony doświadczony funkcjonariusz, ale kategorycznie zabroniłem komukolwiek zbliżyć się do moich najbliższych. Tę wiadomość musiałem przekazać osobiście, tym bardziej że okrutny los pozwolił sobie względem mnie na odrobinę miłosierdzia i litościwie zachował przy życiu moją małą siostrzyczkę Anię, którą rodzice podrzucili do babci kilka godzin przed swoją śmiercią. To ją uratowało, nie miałem co do tego cienia wątpliwości, bo jeśli zabójca działał na zlecenie Abi Rabi’i (a wiadomość od niego, jak się później okazało, była jasna i klarowna), to musiał być potworem

wyzutym z jakichkolwiek ludzkich uczuć, nie miał sumienia ani litości i z całą pewnością także i tę słodką pięciolatkę pozbawiłby życia albo — na samą myśl w żyłach krew zamieniała się w magmę — wcześniej zgwałcił lub porwał, aby robić to w nieskończoność.

Nie spałem przez całą noc, podobnie Franco i Krzysiek, którzy pilnowali mnie jak oka w głowie, abym nie narobił głupot, w szczególności nie skrzywdził siebie bądź — co w aktualnej sytuacji mogło zdawać się prawdopodobne — nie wyładował gniewu na niewinnym dziesięciolatkę, synu mordercy moich rodziców, ukochanej kobiety i dziecka, które nosiła w swoim łonie. Wcześniej Włoch został przesłuchany, ale wobec braku jakichkolwiek dowodów na jego udział w tej masakrze, a także moich wyrzyganych w nerwach zeznań (świadomie pominąłem wszystko, co działo się od momentu zabójstwa Nawal aż do przyjazdu do Polski) policja musiała go zwolnić. Oczywiście obecność byłego legionisty, podobnie jak blizna na mojej szyi wzbudziły podejrzliwość funkcjonariuszy, że mamy z tym wszystkim jakiś pośredni związek, czego nie omieszkali sprawdzić w europejskiej bazie Interpolu, ale z racji tego, co się wydarzyło, nikt nawet nie śmiał zamęczać nas dodatkowymi pytaniami, tym bardziej że psycholog — rudowłosa czterdziestolatka w okularach — stanął w mojej obronie i kategorycznie zabronił dalszego pastwienia się nad pogroźoną w żalu ofiarą. Przez cały ten czas albo płakałem jak bóbr, albo darłem się wniebogłose, wyzywając wszystkich dokoła, ewentualnie, gdy już brakowało sił, pogrążałem się w beznadziejnym letargu, podczas którego nieudolnie próbowałem ogarnąć natłok ponurych myśli, intensywnie bombardujących mój udręczony umysł. Za każdym razem, gdy z tej pokrętej kotłowaniny przebijała się i wizualizowała twarz brodatego potwora, następowała eksplozja nienawiści. Nienawiści z bezsilności, rozpacz, niemocy i coraz odważniej pukających do głowy wyrzutów sumienia. Wylałem morze łez, gardło zdarłem sobie do czerwoności, a gdy nad ranem wychodziłem z mieszkania Krzyśka (tuż po północy policja wypuściła mnie i Franco, wcześniej oferując całodobową pomoc psychologa i dach nad głową, z których zrezygnowałem), moja twarz wyglądała jak maska trupa.

Szedłem do babci jak na ścięcie, nad głową wisiał mi ciężki topór, a na karku czułem gorący oddech kata. Pół nocy starałem się (gdyby nie pomoc legionistów, to chyba strzeliłbym sobie w łeb i tylko dzięki ich opiece potrafiłem choć na moment skupić się na terażniejszości) jakoś ułożyć sobie w głowie, jak mam przekazać tę wiadomość babci i małej siostrzyczce. Podkrążone i spuchnięte oczy, obwisłe policzki, blada cera — wyglądałem

jak śmierć nawet pomimo tego, że zmusiłem się, aby się ogolić i odświeżyć. Krzysiek asystował mi w milczeniu, kroczył przy mnie, pomagając mi dźwigać ten ciężki, ołowiany krzyż, który sam kiedyś musiał nieść na swoich barkach. Owszem, okoliczności były zupełnie inne, jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym, mimo to wiedziałem, że rozumiem mój ból, tak jak ja kiedyś starałem się zrozumieć jego. Wtedy tak naprawdę nie miałem o nim pojęcia, choć byłem przy nim i pomagałem przetrwać najtrudniejszy okres, co raz na zawsze związało nas emocjonalnie, zbliżając do siebie jak rodzonych braci. Nigdy bym jednak nie pomyślał, że los tak okrutnie ze mnie zadrwi, a mój serdeczny przyjaciel stanie się opoką w otchłani niewysłowionego smutku, dogłębnego i tak dojmującego, że odbierającego dech w piersiach.

Stałem przed szarym czteropiętrowcem. Słońce właśnie przysłoniła duża kłębiasta chmura, jakby chciała odebrać mi ostatni promyk nadziei. Gdzieś na parkingu kierowca wcisnął klakson, drugi w odpowiedzi zaklął szpetnie, usłyszałem ćwierkanie ptaków i charakterystyczny sygnał zbliżającej się śmieciarki, stukot obcasów spieszącej do pracy kobiety. A może szła do kosmetyczki? „Kolejny dzień” — pomyślałem.

Wcześniej zadzwoniłem do Kazimierza, partnera babci (dziadek zmarł na raka trzustki na przełomie milenium), i upewniłem się, że będzie na miejscu, gdyż mam jej coś ważnego do powiedzenia i zależy mi na tym, abyśmy zostali sami i w związku z tym, żeby zabrał przybraną wnuczkę na spacer. Spojrzałem na domofon i nazwisko Krasińska, imię Helena. Mama mojej mamy. Ukochana babcia. Pewnie już się denerwowała, że nie ma kontaktu z córką i zięciem, zawsze była zanadto opiekuńcza i czasem ewidentnie przeginała. Wystarczyło, że powiał lekki wiaterek, a już wciskała mi na głowę czapkę, wiecznie ganiała mnie za to, że po domu chodziłem tylko w skarpetkach, przez co na pewno zachoruję, nie znosiła, gdy obcinałem się zbyt krótko. Miała siedemdziesiąt lat, ale trzymała się znakomicie, od lat po przebudzeniu gimnastykowała się, popołudniami chodziła na jogę, dom zawsze opuszczała w pełnym rynsztunku, umalowana, wystrojona, w eleganckiej fryzurze, wieczorami prowadziła aktywne życie towarzyskie, głównie udzielając się w spotkaniach i działalności Uniwersytetu Trzeciego Wieku, często chodziła z Kazimierzem na kolacje czy dancingi. Dbała o siebie jak niewiele kobiet w jej wieku, miała ogromną chęć do życia, tym bardziej obawiałem się jej reakcji na fakt, że jedyna córka, a moja ukochana mama, nie żyje, ba, została w tak okrutny sposób zamordowana przez jakiegoś bezimiennego łotra.

Nacisnąłem guzik, poczułem na ramieniu dłoń mojego przyjaciela.

— Kto tam? — Miała barwny i silny głos.

— Otwórz, babciu, to ja, Kuba — odrzekłem, próbując powstrzymać drżenie, moje oczy natychmiast zasłzy łzami.

— Kubuś, jaka niespodzianka! Już otwieram, kochany — rzekła uradowana, a mnie żal jeszcze mocniej ścisnął serce. Od zawsze byłem jej ukochanym wnukiem i wciąż mówiła do mnie jak do dziecka.

Magnes puścił i otworzyłem drzwi, Krzysiek wszedł za mną. Klatkę opuszczał właśnie zafrasowany starszy mężczyzna w kapeluszu, w rękę trzymał gazetę, którą głośno szeleścił. Odruchowo odwróciłem głowę, bałem się tego, co mogę ujrzeć na pierwszej stronie. Byłem niemal pewien, że to już dawno dotarło do mediów, przecież taka jatka to dla nich żyła złota. Figur wszedł za mną, wtedy obróciłem się w jego stronę i spojrzałem mu w oczy. Współczuł mi, dzielił mój ból, kąciki jego oczu też się zaszkliły. Zapytał, czy ma mi towarzyszyć, ale powiedziałem, że nie chcę. Musiałem załatwić to sam.

Wytarłem łzy, które spłynęły mi po policzkach, uniosłem głowę, aby powstrzymać ich nadmiar. Babcia mieszkała na drugim piętrze, ale te kilkadziesiąt schodów dłużyło się, jakbym wspinał się na Mount Everest. Na szczycie nie czekały na mnie jednak radość, euforia czy zapierające dech w piersiach widoki towarzyszące odnoszącym sukces himalaistom, a jedynie smutek, żal i czarna rozpacz. Kolejne stopnie powodowały, że nogi stawały się jak z waty, mój wzrok przykuwały drobnostki, których zazwyczaj człowiek nie dostrzega — odchodząca farba, przyklejona do poręczy guma, paprotki na oknach, brud na szybie. Gdy dotarłem na miejsce, babcia stała już w drzwiach, na jej ustach malował się piękny uśmiech, który na mój widok zniknął niemal w jednej chwili.

— Wnusi, ty płakałeś? — spytała, wyraźnie zaniepokojona.

Nie odpowiedziałem, tylko mocno ją objąłem i zacząłem ścisnąć. Odwzajemniła ten gest w milczeniu, nie mogła spodziewać się aż tak przerażającej prawdy. Trwaliśmy tak kilka sekund, nie wytrzymałem i po policzkach znów bezwiednie pociekły łzy. W końcu puściłem ją i wycierając rękawem kąciki oczu, spojrzałem na jej coraz bardziej zatrwożone oblicze.

— Co się stało, Kuba? — spytała w końcu, wodziła wzrokiem po mojej twarzy, aż dostrzegła poharatane gardło.

Usłyszałem trzask podobny do pękającej gałązki, do dziś zastanawiam się, czy to było złudzenie, czy w tamtej chwili pękło jej serce, ale zanim odpowiedziałem, jej oczy wezbrały łzami. Nie wiem, czy wyczytała to w moich oczach, ale gdy zacząłem mówić, już łkała. Padła na kolana, a ja razem z nią. Szlochała tak boleśnie, jakby przyjęła na siebie smutek i żal

wszystkich ludzi na ziemi, krzyczała i lamentowała na przemian, a ja mocno przyciskałem ją do swojej piersi, szlochając nie mniej żałośnie. Trwaliśmy tak przez nieokreślony czas, w końcu prawie umilkła, a ja uniosłem jej głowę w obawie, czy nie zemdlą. Jej niebieskie oczy wypełniała pustka, miałem wrażenie, że w jednej chwili straciły kolor i wyjałowiły się, zrobiły się blade jak u człowieka chorego na zaawansowaną jaskrę lub tego, który właśnie żegna się z życiem. Pomyślałem, że właśnie tak umiera ludzka dusza.

Pomogłem jej wstać, nogi babci zdawały się nie mieć w sobie żadnej siły, w jednej chwili ta gibka siedemdziesięciolatka postarzała się o dekadę. Z trudem dotarliśmy do salonu, gdzie usadowiłem ją na fotelu i dla pewności przyjrzałem się, czy nie doznała zbyt dużego szoku, który w tym wieku mógł być niezwykle niebezpieczny. Próbując opanować emocje, nalałem szklankę wody i podałem jej wcześniej przygotowaną porcję leków uspokajających. Przyjęła tabletki, łapczywie je popijając, a potem znów płakała, a ja ją tuliłem. Trwaliśmy tak, babcia i wnuk, jak dwoje cierpiętników w jednej z powieści romantycznego artysty dziewiętnastego wieku.

Potem przyszedł pan Kazimierz z Anią.

Szok, szaleństwo, niedowierzanie. Kolejne łzy. Piskliwy głos, tupot nóżek, ciepło ciała ukochanej siostry, moje łzy moczące różowy kołnierzyk sukienki, bezinteresowna miłość w cieniu rodzinnej tragedii. Druzgocąca prawda, opowieść o Panu Bogu, o rodzicach i niebie. Znów łzy, słowa, emocje, tabletki, łzy. Cierpienie.

Podobno chłopiec staje się mężczyzną, gdy pochowa swoich rodziców. Coś w tym jest...

Mieszkanie babci Heli opuściłem wyzbyty ostatnich chłopięcych uczuć. Ten rozdział już zamknąłem, Kuba student przestał istnieć i wiedziałem, że już nigdy nie wróci. Wypłakałem wszystkie mądre i dobre emocje, a serce stało się czarne, od tego dnia moje marne życie miał napędzać tylko jeden cel. Pragnąłem odwetu, krwawej wendety. Po trupach, w odmętach nienawiści, w szponach demonów, najgorszych z najgorszych. Droga miała okazać się długa i wyboista, naznaczona bólem i śmiercią wielu ludzi, tych złych i tych dobrych. Ale właśnie takie było moje przeznaczenie. Takie było przeznaczenie nas wszystkich. Żyć i umierać w cierpieniu.

Gdy wyszedłem, niebo było już całe zasłane ciężkimi burzowymi chmurami, w oddali dało się słyszeć tęgie grzmoty. Zerwał się wiatr z zachodu i wzniosł w powietrze pierwsze opadłe, nieco już pożółkłe liście. Wzdrygnąłem się, niósł ze sobą coś plugawego. Nadchodziła jesień, która

wkrótce miała przejść do historii.

Tej jesieni wszystko się zaczęło.

Nie owijając w bawełnę, zadałem przyjacielowi tylko jedno pytanie.

Odpowiedział „tak”.

Tej nocy śniłem koszmary. Pływałem w morzu krwi, otaczały mnie odrąbane ludzkie głowy, które bujały się na wzburzonej powierzchni, jak wańki-wstańki. Była ich cała masa — dorosłych, starców, dzieci, o blond włosach, rudych, brązowych, czarnych, z wąsami, brodami, plecionymi warkoczami, niektóre zupełnie łyse — każda wpatrywała się we mnie surowym wzrokiem. Niektóre wyskakiwały z wody jak delfiny i przefruwały nade mną, wciąż mierząc mnie oskarżycielskimi spojrzeniami, przekrwionymi białkami, czarnymi źrenicami. Tysiące par oczu aż po horyzont, wszystkie skierowane na mnie, z niezrozumiałym wyrzutem, a ja w samym centrum tego falującego oceanu krwawych czerepów. To było chore i popieprzone. Chyba traciłem rozum.

Kończyła się trzecia doba od czasu, gdy ujrzałem ten krwawy festiwal w salonie mojego domu. W mieście wrzało, tym bardziej że dziennikarze szybko odkryli, że morderstwo zostało popełnione przez muzułmanina (lub muzułmanów, bo hipotez co do liczby napastników było co niemiara), a dowody wskazywały na motyw religijny. W związku z tym, co działo się za naszą zachodnią granicą, sprawa stała się polityczna, a w mieszkańcach wezbrała nienawiść do obcokrajowców, zwłaszcza wyznawców islamu. Kilka bud z kebabami zostało doszczętnie zniszczonych, jedna, w samym centrum, spłonęła, animozje rozlały się na inne miasta, a media regularnymi doniesieniami tylko podgrzewały napiętą do granic możliwości atmosferę. Te prawicowe natychmiast wykorzystały okazję i jeszcze mocniej zaczęły szczuć społeczeństwo, narzucając własną narrację mającą przekonać obywateli, że to był atak terrorystyczny, wycelowany w samo serce narodu.

To wszystko było dla mnie obrzydliwe. Gdy widziałem na ekranie telewizora czy laptopa pyski tych dziennikarzyn z taką łatwością relacjonujących i powtarzających szczegóły morderstwa moich rodziców, wściekle mordy obywateli czy obłudne i fałszywe oblicza polityków najchętniej wykorzystujących mój dramat do swoich rozgrywek partyjnych, wzbierał we mnie gigantyczny gniew. Ale nawet on nie był w stanie przebić się przez to, co we mnie rosło z każdym kolejnym dniem, godziną i minutą. Powoli, acz systematycznie osuwałem się w otchłań, ciemną, ponurą

przepaść, pełną odrażających wizji, złości, nienawiści i udręczenia. Przeobrażałem się, czułem to całym sobą. Stary Kuba wydawał się jedynie odległym wspomnieniem. Miałem wrażenie, jakbym rodził się na nowo, choć bliżej było mi do wykluwającego się z jaja gada, gotowego niemal natychmiast ruszyć na polowanie, aby pożreć pierwszą lepszą ofiarę w zasięgu wzroku, niż do bezbronного malucha układanego przez pielęgniarkę w ramionach zdyszanej matki. Emocje, jakie się we mnie kotłowały, nie były ludzkie, bardziej zwierzęce, dzikie. To, co wydarzyło się w rodzinnym domu, obudziło we mnie coś naprawdę złego, pierwotnego, ale zarazem organicznego, jakby bezsprzecznie zgodnego z odwiecznymi prawami natury, coś co zawsze we mnie tkwiło, ukryte na samym dnie mojego jestestwa, w najmroczniejszych zakamarkach duszy, zamknięte grubą kłódką w skrzyni z napisem „nie otwierać”. I to coś właśnie się przeciągało, rozprostowywało kości, przecierało oczy. Wiedziałem, że wkrótce uniesie zaropiałe powieki i wyszczerzy zęby, w końcu wysunie rozdwojony jęzor i wysyczy swoje pragnienia.

Potrafiłem to coś opanować, ale zawsze wracało, głównie wieczorami, gdy z zaciśniętymi pięściami i łzami w oczach kładłem się do łóżka. Za dnia Krzychu starał się robić wszystko, abym nie popadał w melancholię i nie odpływał na zbyt długo, jakby doskonale wyczuwał, że za każdym razem zacynam żeglować po coraz bardziej wzburzonym oceanie i jeśli na czas nie ściągnie mnie na brzeg, prędzej czy później mój statek rozbije się o skały, a ja zniknę w mrocznych odmętach, w których buszują już tylko same potwory. Myślę, że dzięki niemu nie utonąłem i gdy trzeciego dnia otrzymałem telefon z policji, przyjąłem go spokojnie i stonowanym głosem odparłem, że stawię się na posterunku następnego dnia o godzinie dwunastej. Oczywiście było, że zadzwonią i poproszą mnie o złożenie zeznań, dlatego nie byłem zaskoczony, ba, wręcz nie mogłem się doczekać, aby wyrzygać im na stół wszystko, co widziałem, a potem wysłuchać szczegółowej retrospekcji z miejsca zbrodni.

Musiałem wiedzieć, aby nakarmić to, co we mnie rosło. Czułem tego głód i wiedziałem, że będę to karmił aż do śmierci.

— Pani Polak przed śmiercią została zgwałcona, ślady walki wyraźnie wskazują, że próbowała się bronić. Naprawdę chce pan znać te wszystkie detale? — powtórzył niepewnie starszy aspirant Rafał Michalczyk, zerkając w kierunku swojego przełożonego, siedzącego w rogu niewielkiego

pomieszczenia w północnym skrzydle Komendy Miejskiej Policji w Zielonej Górze.

Przytaknąłem, bez mrugnięcia, wciąż wpatrując się w oczy tego niczym niewyróżniającego się mężczyzny pod czterdziestkę. To zdawało się chore, ale musiałem poznać każdy szczegół tej ohydnej zbrodni. Pragnąłem, aby ten opis wyrzył mi w mózgu wyrwę wielkości Rowu Mariańskiego, wyłom, którego nigdy nie zasypie upływający czas, nawet gdybym miał żyć kolejne sto lat, zamknięty w więziennej izolatce.

— Proszę kontynuować — rzekłem.

Starąłem się zachować kamienny wyraz twarzy, choć w środku rozpętało się piekło. Siedziałem naprzeciwko mojego rozmówcy, ręce trzymałem na udach, aby uniknąć roztrzęsienia.

Michalczyk zerknął jeszcze na swojego starszego kompana, otyłego mężczyznę o okrągłej twarzy i aparycji rubasznego wesołka. Pod obfitym wąsem nie pojawił się jednak żaden uśmiech, komisarz Janusz Sawicki tylko zmarszczył gęste brwi i nieznacznie kiwnął głową.

— Wyniki z laboratorium wyraźnie wskazują na DNA dwóch sprawców, ślady nasienia w pochwie i odbycie, a także w okolicach twarzy, szyi i we włosach. Płytkie rany cięte na piersiach, udach i pośladkach świadczą o tym, że ofiara była przed śmiercią torturowana. Zmarła wskutek przecięcia kręgow szyjnych, prawdopodobnie w momencie, gdy sprawca oddzielał głowę od korpusu.

Michalczyk znów zerknął w kierunku siedzącego w rogu pomieszczenia przełożonego. Kątem oka dostrzegłem, jak starszy opuścił okulary na nos i wbił we mnie pytające spojrzenie. Zacisnąłem szczękę z taką siłą, jakbym zaraz miał zgruchotać sobie wszystkie zęby, ale łyzy nie uroniłem. Gdy już chciałem przerwać tę uporczywą ciszę, Michalczyk znów przemówił:

— Druga ofiara również poniosła śmierć wskutek przzerwania kręgow szyjnych i też była torturowana, na co wskazują trzydzieści trzy rany cięte na rękach i klatce piersiowej, a także częściowo zdarta skóra z prawego przedramienia. Rany w okolicach nadgarstków sugerują, że pan Polak za wszelką cenę próbował wyrwać się z więzów, nawet pomimo tego, że plastikowe zaciski werznięły się głęboko w ciało. To może sugerować, że...
— Michalczyk zawiesił głos, ale ja wciąż siedziałem niewzruszony, ze spojrzeniem wbitym w jego szare, trochę smutne z natury oczy.

— Że co? — wysyczałem, a Michalczyk odruchowo zerknął w narożnik pokoju, tym razem nie trwało to jednak długo.

— To tylko nasze przypuszczenia i...

— Proszę to z siebie wydusić.

Michalczyk zamrugał, wziął głębszy oddech, a następnie przeciągnął dłonią po ustach i brodzie.

— Pan Polak najprawdopodobniej był świadkiem gwałtu, a następnie śmierci swojej żony...

Nie to, żebym się tego nie spodziewał, ale do samego końca łudziłem się, że proces mordowania moich rodziców był choć trochę humanitarny (jeśli w ogóle można użyć takiego słowa w odniesieniu do zabijania drugiego człowieka). Ale nie! Ten pierdolony staruch zrobił to w najokrutniejszy z możliwych sposobów, z pełną premedytacją, zapewne zlecił swoim ludziom w Berlinie, jakimś bezimiennym bandytom, zarżnięcie moich rodziców, dwojga wspaniałych, niewinnych i kochających się ludzi w kwiecie wieku. Tylko dlatego, aby odegrać się za moje czyny w Paryżu.

Poczucie winy... Kolejne z uczuć dogłębnych i niewyobrażalnie dojmujących. Krzysiek i Franco powtórzyli mi przynajmniej kilkanaście razy, że to nie ja jestem za to odpowiedzialny. Mogli sobie gadać. Oczywiście było, że racji nie mieli. Dalej grunt robił się coraz bardziej grząski, zwłaszcza gdy patrzyłem na tego wychudzonego gówniarza (choć Krzysiek robił wszystko, aby nasz kontakt był jak najrzadszy, nawet ten wzrokowy). To był bardzo, ale to bardzo grząski grunt...

— Pokażcie mi zdjęcia — wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

Starszy aspirant Michalczyk tym razem wstał od stołu i podszedł do swojego przełożonego, a następnie obaj opuścili pomieszczenie, w którym prócz kilku szafek, biurka i zielonej, nieco wysuszonej paprotki nie było nic więcej. Przyznam, że spodziewałem się zupełnie innego otoczenia, wyobrażałem sobie bezbarwny pokój ze stołem, dwoma krzesłami, dla przesłuchującego i przesłuchiwanego, oraz nieodzownym weneckim lustrem, za którym pozostali funkcjonariusze, poczynając od psychologa, a na komendancie kończąc, przypatrują się efektom pracy swojego kolegi. Nic takiego nie miało jednak miejsca, a ja zgodziłem się zeznawać tylko w wypadku, gdy wcześniej dowiem się całej prawdy o tym, co wydarzyło się w moim domu. Oczywiście było, że później będą próbowali wyciągnąć ze mnie wszystko, co możliwe, według Krzyśka mieli czas i nawet pomimo zawieruchy, jaka ogarnęła Francję i powoli zaczynała trawić Hiszpanię (w Barcelonie zamieszki zostały brutalnie stłumione przez służby, ale najpoważniejszy problem jawił się na południu, gdzie mieszkało najwięcej imigrantów z Tunezji i Maroka), zapewne zdołali się do czegoś dokopać. Ustaliliśmy wersję, w której Krzysiek nie istnieje.

Drzwi znów skrzypnęły i do środka wkroczyli obaj policjanci w towarzystwie znajomej psycholog — jak się przedstawiła — Oliwii

Więckowskiej. Ledwo ją poznałem, bo o ile przy pierwszej okazji zapamiętałem ją jako skromną panią z kucykiem, tak dziś jej rude włosy przypominały sierść wściekłego kota. Komisarz usiadł na swoim miejscu, a jego podwładny i psycholog przy stole, ona obok mnie. Michalczyk trzymał w ręku dużą, brązową kopertę, w której — jak się domyślałem — znajdowały się zdjęcia zmasakrowanych ciał moich rodziców. Położył ją na stole i przykrył dłońmi. Poczułem nagłe i silne ukłucie w żołądku, ale opanowałem się, zdradzając zdenerwowanie jedynie głośnym przełknięciem śliny.

— Panie Polak, te zdjęcia są drastyczne, dlatego raz jeszcze pragniemy się upewnić, czy jest pan przekonany, że chce je zobaczyć... — rzekł powoli i wyraźnie, kładąc akcent na słowa „drastyczne” i „przekonany”.

Temperatura krwi w moich żyłach zbliżała się do wrzenia, ale jakimś cudem udawało mi się powstrzymać łzy. W pomieszczeniu zrobiło się gorąco.

— Najgorsze już widziałem na żywo — odparłem tak hardo, na ile było mnie stać, nie spuszczać wzroku z oczu komisarza.

— Jeśli taka jest pana wola... — Otworzył kopertę i wyciągnął plik dużych fotografii, po czym położył je na stole i obróciwszy o sto osiemdziesiąt stopni, przesunął w moją stronę.

Patrzyłem na zmasakrowane korpusy moich ukochanych rodziców, zdjęcie po zdjęciu, czując, jak w moim ciele, jak w każdym mięśniu, ścięgnie, w każdej komórce rośnie coś strasznego. To wrażenie było jedyne w swoim rodzaju, niezwykle dogłębne, jakby oplatał mnie czarny bluszcz, który zdawał się pokrywać mnie coraz bardziej szczelnym kokonem. Przeżywając ten koszmar na nowo, nie uroniłem jednak ani jednej łzy, zamiast tego włoski na przedramionach uniosły się, a w żyłach temperatura spadła do zera. Krew zamieniła się w galaretę, serce w bryłę lodu. Miałem wrażenie, że przestało bić, w tej absurdalnej ciszy słyszałem jedynie własny oddech. Wtedy poczułem na dłoni czyjś dotyk i gwałtownie wróciłem do rzeczywistości.

— Nie waż się... — warknąłem do siedzącej obok kobiety, która natychmiast wycofała rękę.

Zapadła cisza, której nie śmiała przerwać ani ona, ani znajdujący się naprzeciwko Michalczyk, nawet przypatrujący się z narożnika Sawicki. Uniosłem głowę i spojrzałem w oczy nieco zdezorientowanego rozmówcy, o dziwo, przyszło mi to z wyjątkową łatwością. Jestem pewien, że nie takiej reakcji się spodziewałem. Spuścił wzrok i nerwowo zaczął stukać palcami o blat stołu.

— A więc, panie...

— A więc czego chce pan się ode mnie dowiedzieć? — przerwałem, obracając plik zdjęć w jego kierunku.

Zapisałem w głowie wszystkie obrazy i wiedziałem, że już na zawsze pozostaną moim drogowskazem. Nie chciało mi się płakać, w kącikach oczu nie pojawiły się łzy. Emocje zgasły, lodowy kokon domknął się.

Na znak Michalczyka psycholog wstała i wyszła z pokoju, drzwi nieoczekiwanie zamknął za sobą także tęgi komisarz. Zostaliśmy tylko ja i on. Zaczęło się przesłuchanie.

Jak się okazało, Figur przecenił umiejętności — choć może lepszym słowem byłyby „możliwości” — naszej policji. Nie mieli pojęcia o jego obecności ani o tym, co wydarzyło się we Francji, sporo wiedzieli natomiast o wydarzeniach na La Mandze. Zadanie nie należało do wybitnie trudnych, bo moja wciąż lśniąca świeżością blizna na szyi nie pozostawiała wątpliwości, że śmierć moich rodziców nie mogła być, a raczej na pewno nie była, całkiem przypadkowa. Fakt, że — jak by to groteskowo w tej chwili nie zabrzmiało — wciąż byłem na papierze studentem UCAM-u, szybko nakierował policję na hiszpański trop. Najwyraźniej skonsultowali się ze swoimi odpowiednikami w Murcji i otrzymali w odpowiedzi całą dokumentację z historii, która przed trzema tygodniami wydarzyła się w tej obskurnej ruderze. Wiedzieli więc o śmierci Nawal, udziale Michała, porwaniu Moniki i prowadzącym sprawę murciańskim detektywie, Juanie Mondragonie, oraz, oczywiście, podejrzanym (jak to pięknie kretyn ujął) Muhammadzie Chalilu Abi Rabi’i. Co do Afgana, uznaliśmy z chłopakami, że w żadnym wypadku nie możemy wciągać w to policji, bo po pierwsze, nie jest nam w stanie w żaden sposób pomóc (szczególnie biorąc pod uwagę, że we Francji i Niemczech sytuacja zaczynała zmierzać ku wojnie domowej), a po drugie, zdradzając, kto go przetrzymuje, musiałbym się gęsto tłumaczyć z całej reszty. Temat uwolnienia Moniki podobnie, absolutnie nie mógł wyjść na jaw, a przynajmniej nie w tej chwili. Poważnym i szokującym dla mnie newsem była natomiast informacja, że prowadzący sprawę Juan Mondragon został znaleziony martwy na śmietniku pod Barceloną, a w zasadzie odkryto tylko jego korpus. Fakt, że ciało było pozbawione głowy, gwałtownie korelowało z Abi Rabi’ą i dramatem, do którego doszło w moim rodzinnym domu. O Krzyśku i Franco Michalczyk natomiast nie miał bladego pojęcia, tym bardziej próbował maglować mnie w związku z trudną do wyjaśnienia obecnością potężnego Włocha z przeszłością w Legii Cudzoziemskiej. Nic jednak nie wskórał, a ja beczelnie nałgałem tak, jak uzgodniliśmy z chłopakami kilka

godzin wcześniej — Franco to mój kumpel, którego poznałem w Murcji i świetnie się dogadujemy, a ja zaprosiłem go do Zielonej Góry. Oczywiście Michalczyk wyczuł, że opowiadam bzdury i nawet specjalnie tego nie ukrywał, ale wobec mojej nieprzejednanej postawy musiał odpuścić. Łatwo się nie poddał i dwukrotnie próbował mnie podejść, raz także w towarzystwie innego typu, który po krótkiej przerwie w przesłuchaniu dołączył do niego, ale po tym wszystkim, co przeszedłem, ich banalne policyjne sztuczki nie robiły na mnie żadnego wrażenia, czasem nawet zdawało mi się, że Michalczyk się mnie boi. Inna sprawa, że przez cały ten czas trzymałem emocje — choć właściwie czułem się, jakby wszystkie ludzkie odruchy we mnie zgasły — na wodzy i na każde pytanie odpowiadałem, spoglądając funkcjonariuszowi prosto w oczy.

Tak, tego dnia nie byłem już sobą, zrobiłem kolejny krok w stronę mroku. W ruderze koło La Mangi pękło mi serce, w rodzinnym domu straciłem resztki nadziei, u babci wypłakałem wszystkie łzy, a na komisariacie moje serce zamarzło raz na zawsze. I gdy tak siedziałem i pieprzyłem te wszystkie farmazony, nawet nie drgnęła mi powieka. Bo co ci, pożałuj się Boże, „kryminalni” mogli wiedzieć o życiu. No co? O życiu, o śmierci, o stracie ukochanych? O hańbie, wstydzie i poczuciu winy? Ba, o strzelaninach, trupach, zimnym ostrzu noża na gardle? Wątpiłem, aby przez całą służbę przeżyli chociaż połowę tego, co ja przez kilkanaście ostatnich dni. I oni chcieli ze mnie coś wyciągnąć? Byli żałośni...

Z komendy wychodziłem wyprany ze wszystkich emocji, prawie wszystkich. Nie myślałem o Nawal, rodzicach, siostrze i babci. Pragnąłem tylko dopaść starucha. Nieważne jak i gdzie. Po prostu. Musiałem go zabić.

Tego wieczora umówiliśmy się z chłopakami w hotelu Ruben, w którym pokój wynajął jeden z przyjaciół Krzyśka (wcześniej zjadłem obiad w towarzystwie babci i Kazimierza, próbując omówić kwestie związane z pochówkiem rodziców, najbliższą przyszłością, opieką nad Anią i podobnymi przyziemnymi sprawami, wszak życie toczyło się dalej). W pokoju trzysta dziewiętnaście przywitani mnie Krzysiek, Franco, Łukasz i Patryk. Nowe twarze w towarzystwie były mi znane, choć nigdy nie utrzymywałem z nimi bliskich kontaktów. O ile Łukasz, ksywa „Rudy”, mieszkał kiedyś na naszym osiedlu i kojarzyłem go jeszcze dobrze, o tyle Patryka, ksywa „Klamka”, rozpoznałem jedynie po rysach, bo od zawsze należał do kręgu Falubazów, z którymi osobiście nigdy specjalnie się nie

spoufaląłem, tym bardziej że gdzieś obilo mi się o uszy, że chłop wtopił z niejaką Madzią, lokalną tipsiarą z ustami, które sprawiały wrażenie, jakby zostały pokąsane przez pszczoły, przez co odbił od towarzystwa i zajął się wychowaniem dziecka. Szybko domyśliłem się, dlaczego w spotkaniu wzięli udział właśnie oni. Klamka od dobrych kilku lat służył w GROM-ie, a Rudy nie dość, że dysponował dostępem do broni, to podobnie jak ja, miał niewyrównane rachunki z muzułmańskimi bandytami. Obaj dobrze zbudowani, świetnie radzący sobie w sztukach walki, także w tłumie, wszak kiedyś każdy Falubaz musiał trenować, aby móc poradzić sobie podczas kibolskich ustawek. Patryk — wiadomo, pewne kwestie opanował w GROM-ie do perfekcji.

Przywitałem się z każdym i stanąłem przy oknie. W niedużym pokoju było ciasno, zwłaszcza biorąc pod uwagę liczbę i gabaryty obecnych, które powodowały, że pomieszczenie zdawało się jeszcze mniejsze niż w rzeczywistości. Z zewnątrz dochodziły przytłumione odgłosy samochodów sunących główną arterią miasta.

— Zapoznałem chłopaków z sytuacją, tak jak się umawialiśmy — zwrócił się do mnie po angielsku Krzysiek; przytaknąłem na znak pełnego zrozumienia. — Obaj chcą się zaangażować — dodał.

— OK.

Nie wiem, czy spodziewali się czegoś więcej, bo tylko spojrzeli po sobie. Nie interesowały mnie ich pobudki, każdy miał swoją i nie musiał się nią chwalić przed pozostałymi. Patrzyłem na nich bez emocji, nie robiło na mnie żadnego wrażenia, że Patryk to szkolony żołnierz najlepszej polskiej jednostki specjalnej. A Łukasz? Kim był, kurwa, Łukasz? Wiedziałem tylko, że Afgańczycy sprzątnęli mu w Berlinie sprzed nosa Lilkę i już nigdy więcej jej nie zobaczył, ale nawet jeśli miał dostęp do broni i codziennie wywalał na strzelnicy po kilka magazynków, w żaden sposób mi nie imponował.

— Jeśli nie masz żadnych pytań, to nie traćmy czasu i ustalmy podstawowe kwestie — zakomenderował Krzychu.

Plan był szalony. Naszym celem był Berlin, bo tam właśnie zakotwiczył Abi Rabi'a. Był na tyle bezczelny, że sam nas o tym poinformował, wysyłając palec Afgana wraz ze świstkiem papieru, na którym odręcznie napisana widniała nazwa stolicy Niemiec. Co prawda wątpliwe było, aby już wtedy znajdował się w mieście, ale z pewnością tam właśnie podążał. Sam gest był natomiast wyjątkowo zuchwały, bo Arab najwyraźniej wcale nie przejmował się faktem, że jego najmłodszy syn jest naszym więźniem, co, rozumując na chłodno, przewidziałem w rozmowie z Krzyśkiem już następnego dnia po naszym przybyciu. Okrutny mord, jakiego się dopuścił

tej samej nocy (oczywiście rękoma swoich ludzi), jeszcze dobitniej pokazywał, że jest człowiekiem — a raczej najgorszym z potworów — kompletnie nieobliczalnym i pierwotny plan, mający na celu dokonanie wymiany Michała na Amira, właściwie runął, zanim jeszcze na dobre został opracowany. Abi Rabi'a zaskoczył nas, szczególnie Krzyśka i Franco, którzy pomimo wielkiego doświadczenia w relacjach z dżihadystami nie przewidzieli takiego rozwoju sytuacji. Dobitnie dostrzegałem to zwłaszcza w oczach mojego przyjaciela, który wyraźnie obwinił się za tak — zapewne w jego mniemaniu — nierozsądne podejście, a co za tym idzie — wszystkie konsekwencje, włącznie ze śmiercią moich rodziców.

Teraz naszym celem było odbicie Michała i zabicie wszystkich, którzy staną nam na drodze — czyli de facto wejście z drzwiami. Nasza pozycja na szachownicy zmieniła się jednak diametralnie: Abi Rabi'a w dwóch ruchach strącił nam wieżę i damę i był bliski postawienia mata. To implikowało kolejne problemy, bo musieliśmy zadbać o bezpieczeństwo Moniki, która w obliczu tak zuchwałej wizyty nie mogła zostać sama, a przynajmniej nie pod tym adresem. Fakt, że staruch odważył się zapukać raz, nie wykluczał, że nie zdecyduje się zrobić tego ponownie. Najpierw pojawił się więc pomysł, aby zamieszkała u matki Mateusza, ale uznaliśmy, że Dąbrówka Wielkopolska jest zbyt małą miejsciną, gdzie mały chłopak o arabskich rysach za bardzo rzucałby się w oczy. Dopisało nam jednak szczęście i pomoc zaoferował Tes, który dopiero co skończył remontować niewielkie mieszkanie po niedawno zmarłej babci, i Monika, przynajmniej czasowo, miała przenieść się do niego. Odnośnie do kuzyna — on dostał przymusowe wolne, bo z racji sytuacji w Niemczech firma czasowo zawiesiła działalność, ale pomimo jego najszczerzych chęci (choć miałem wrażenie, że napina się trochę na pokaz i w głębi duszy cholernie się boi) Krzysiek zdecydował, że najlepiej będzie, jeśli zostanie w Zielonej Górze. Po pierwsze, mógł do spółki z Tesem doglądać Moniki, a po drugie, warto było mieć człowieka w odwodzie, który w razie nieprzewidzianych komplikacji mógł pomóc logistycznie, na przykład odebrać nas spod granicy bądź jednego z niemieckich miast. Znajomość z celnikami, z większością których znał się po imieniu, a nawet zdarzało mu się wypić wódkę, mogła być nieoceniona.

To wszystko były jednak drobnostki. Prawdziwe problemy generował sam Berlin, miasto podzielone, wstrząsane walkami pomiędzy policją i muzułmanami, policją i prawicowymi bojówkami, muzułmanami i bojówkami. Gdy dodać do tego sprowadzone wojsko, które wciąż tylko czekało na rozkazy, stolica Niemiec jawiła się jako teatr wojny, oczywiście nie takiej w dosłownym znaczeniu, ale według doniesień prasy i telewizji

miasto przypominało Kijów z czasów Majdanu w wersji hard, gdzie poszczególne grupy okopały się za prowizorycznymi barykadami, od czasu do czasu ścierając się w mniejszych i większych potyczkach. Każdy z nas miał na miejscu jakichś znajomych i choć większość uciekła z miasta, to kilka osób wciąż znajdowało się w murach Berlina, więc parę telefonów pozwoliło nam na uzyskanie w miarę jasnej i klarownej sytuacji o mieście, a głosy przyjaciół nie tylko potwierdzały medialne doniesienia, ale pozwalały poznać wiele szczegółów, których próżno było szukać na ekranach telewizora.

Najgorzej sytuacja jawiła się w samym centrum, co nie było dobrą wiadomością, bo właśnie tam najprawdopodobniej ukrywał się Abi Rabi'a, gdyż największe skupisko najbardziej chętnych do bitki muzułmanów znajdowało się tuż przy Bundestagu. Pobliską Bramę Brandenburską traktowali jako swoją zdobycz, coś w rodzaju łupu wojennego i symbolu przejścia miasta, dlatego tuż na granicy przylegającego doń parku Tiergarten zbudowali największe barykady ze zdezelowanych samochodów, autobusów czy wszystkiego, co mogło nadawać się na rodzaj swoistej zapory przed wrogiem. Prawdopodobieństwo, że właśnie w tej okolicy przyjdzie nam działać, było bardzo wysokie, gdyż samozwańczy lider tej islamskiej dziczy, radykalny kaznodzieja i przy okazji lokalny bandyta, głowa jednego z największych tureckich klanów mafijnych stolicy, Ahmed Güneş, tam stworzył prowizoryczne centrum dowodzenia, więc znany i szanowany w środowisku europejskich terrorystów Abi Rabi'a zapewne gościł właśnie u niego. Co gorsza w nasz plan z impetem zaczęła wdzierać się wielka polityka, bo nie bez powodu wprowadzone w samo centrum wojsko stało z założonymi rękami i zamiast rozpieprzyć tę bandę w proch i pył, beczynnie czekało na rozkazy. Niemieckie państwo zostało zaszachowane nie gorzej niż my przez Abi Rabi'ę, gdyż turecki prezydent w przedwczorajszej buńczucznej przemowie ostrzegł, że frontalny atak na środowiska muzułmańskie, które w większości składało się z Turków, zostanie odebrane jako wypowiedzenie wojny jego krajowi, a z najsilniejszą armią w Europie nie było żartów, tym bardziej że Turcja rok wcześniej oficjalnie wycofała się z Paktu Północnoatlantyckiego, więc nie obowiązywały ją żadne porozumienia wewnątrz NATO.

Jednym słowem byliśmy w czarnej dupie i zamiast rozdawać karty, jak zakładaliśmy, opuszczając Francję, musieliśmy przystać na warunki starucha, jakie by one nie były. Owszem, mogliśmy wycofać się i zostać w domach, ale tacy ludzie jak Krzysiek byli wyrzeźbieni z innej gliny i nawet w najbardziej niesprzyjających warunkach musieli dokończyć to, co

zaczęli. Mój przyjaciel powodów miał aż nadto i byłem pewny, że już nigdy nie spojrzalby w lustro, gdyby nie zrobił wszystkiego, co w jego mocy, aby uratować faceta, który poświęcił się dla jego ukochanej siostry, zupełnie pomijając już nawet fakt naszej umowy. Franco — człowiek zagadka — wciąż nie wiedziałem, dlaczego angażuje się tak mocno, pobudki Patryka i Łukasza też musiały być silne, ale, szczerze mówiąc, głównie mnie obchodziły. Co do mnie... mnie już nie zależało na niczym prócz jednego — dopaść tego pierdolonego Araba i żywcem wyrwać mu serce.

A więc po kolei.

Mateusz był posiadaczem starego, ale wybitnie terenowego, mocno podrasowanego i specjalnie wzmacnianego na wyścigi offroadowe jeepa, którego, pomimo że był jego jedynym i ukochanym dzieckiem, bez wahania postanowił nam udostępnić. Pojazd, który na co dzień stał w szopie, a po powrocie kuzyna z trasy ruszał w leśne ostępy, zdawał się idealny na tego rodzaju akcję. I właśnie nim mieliśmy przedostać się przez granicę, w razie konieczności nawet przez rzekę, jeśli poziom wody nie przekraczałby metra, a z racji moich wędkarskich wypraw doskonale znałem wszystkie mielizny na wąskiej i płytkiej Nysie Łużyckiej, więc mogłem robić za przewodnika. Dojazd do Berlina też nie stanowił większego problemu, bo udalibyśmy się tam bocznymi drózkami, omijając główne autostrady, które w większości mocno się korkowały. Według mediów życie na prowincji wciąż toczyło się w miarę normalnie, a prawie wszystkie oddziały policji zostały skierowane do największych miast, dlatego drogę do stolicy, a przynajmniej do przedmieść, mielibyśmy otwartą, a w razie gdyby sytuacja rozwijała się nazbyt dynamicznie, zawsze mogliśmy zjechać w pole czy do lasu, gdzie żaden radiowóz nie byłby w stanie nas dogonić.

To było jednak nasze najmniejsze zmartwienie. Wątpliwe, choć niewykluczone, było dotarcie jeepem do centrum. W sprzyjających warunkach, które mogliśmy ocenić dopiero na miejscu, udana akcja odbicia Michała (i oczywiście ubicia Abi Rabi'i) mogła zakończyć się ucieczką we wnętrzu tego stalowego potwora, dla którego krawężniki, słupki czy nawet większe przeszkody, pokroju lichej barykady, nie były specjalnym wyzwaniem, a tym samym łatwo mogliśmy zgubić ewentualny pościg. Inną sprawą były osiągi maszyny na pustym i płaskim terenie — tu byliśmy słabsi, dlatego musieliśmy wybrać miejsce upstrzone jak największą liczbą potencjalnych ulicznych barier. W razie gdybyśmy jednak nie byli w stanie dostać się samochodem w okolice parku Tiergarten, pozostawała nam ucieczka metrem, które — na początku rebelii wstrzymane — według aktualnych relacji znów zaczęło jeździć, dając mieszkańcom poczucie

odrobiny normalności. Plan B był obarczony znacznie poważniejszym ryzykiem, ale jak pokazała akcja w Paryżu, mógł się bronić. Tym bardziej że natychmiast skontaktowałem się ze starym znajomym, od lat mieszkającym w Berlinie Piotrkim Pawikiem — totalnym maniakiem podziemi, z którym swojego czasu zwiedzałem słynny Riese — aby przedstawił nam rozkład bunkrów znajdujących się pod miastem. Oczywiście nie wprowadzaliśmy go w żadne szczegóły, ale moja kolejna znajomość okazała się niezwykle przydatna, bo już po kilku minutach miałem na smartfonie siatkę podziemnych tuneli. Co ważne, „Jones” — bo taki pseudonim nadał sobie mój kolega jako organizator podziemnych eskapad — wciąż znajdował się w Berlinie, gdzie od zawsze dorabiał sobie jako przewodnik po labiryncie tamtejszych bunkrów, a dziś wykorzystywał sytuację, aby nachapać się jeszcze bardziej, wszak nie brakowało chętnych, którzy chcieli niezauważenie dostać się i wbić szpilę w serce Neukölln, Kreuzberg czy Moabit lub — bardziej przyziemnie — wejść do własnego mieszkania znajdującego się obecnie w strefie zajętej przez muzułmanów i ratować swój dobytek, zanim wszystko zostanie doszczętnie splądrowane. Co by nie mówić, moja obecność w drużynie znów okazywała się nieoceniona.

Powrót do Polski nie zaprzętał naszych głów, bo do tego czasu sytuacja mogła stać się bardzo dynamiczna, w każdym razie zdawał się kwestią wyjątkowo błahą w porównaniu z całą akcją. Tym samym już na starcie popełniliśmy błąd, bo miał się okazać przeprawą przez piekło, które już wkrótce miało pochłonąć niemal całą Europę.

Wtedy jeszcze nikt z nas nie podejrzewał, jak los okrutnie z nas zadrwi. Dziś jednak był czwartek, dzień jak co dzień. Jeden z ostatnich...

Zanim rozeszliśmy się, aby przespać ostatnią noc w ciepłych łóżkach, musieliśmy zrobić jeszcze jedną rzecz. Krzysiek wyciągnął telefon. Staruch na pewno nie mógł się już doczekać.

Krzysiek

7 września 2023 roku, Zielona Góra, Polska

Kuba zasunął rolety i w pokoju nastąpiła niezmacona cisza.

Jeden sygnał, drugi, trzeci. Trzask w słuchawce.

— Muhammad Chalil Abi Rabi'a?

Dyszenie.

— Wiem, że mnie słyszysz, Arabie...

Chrząknięcie. Cichy, zjadliwy rechot.

— Późno dzwonisz, psie... — I znów rechot, obrzydliwy i pewny swego.

— Chcemy dokonać wymiany. — Figur nie pozwolił wyprowadzić się z równowagi.

— Hm... Krzysztof Figurski, legionista... Miło w końcu wiedzieć, z kim się rozmawia. — Ze słuchawki znów wylała się porcja jadu.

To było do przewidzenia. Michał nie był szkolony, a nawet jakby był, Abi Rabi'a miał dużo czasu, aby wyciągnąć z niego wszystko, czego tylko chciał. Biedny chłopak...

— A więc sprawy podstawowej etykiety mamy już za sobą. Ale ty znasz mój adres, Arabie, też chcę poznać twój.

— Już raz wszedłeś do mojego domu, psie. Wlałeś w swoich brudnych buciorach i uświłeś całe obejście, a do tego odebrałeś mi syna. — Abi Rabi'a wyraźnie szydził, bawiła go ta rozmowa i czuł się nieprawdopodobnie pewnie. — Myślisz, że znów pozwolę ci skalać mój dom?

— Chcesz wymiany, to daj mi go do słuchawki.

— Kogo?

— Nie mam czasu na twoje gierki, Arabie. Ja chcesz odzyskać syna, to przestań pierdolić i daj mi Michała do telefonu.

— Niewierny psie! Jeszcze śmiesz mi mówić, co mam robić? Nie dość wam, niewierne polskie świnię? — warknął Abi Rabi'a, ale po chwili dodał, już spokojniej, choć w głosie wciąż pobrzmiwał szydery ton: — Zaraz ci go dam, zaraz go usłyszysz... — I znów ten zjadliwy rechot.

W pokoju panowała cisza i choć Krzysiek trzymał telefon przy uchu,

każdy mógł usłyszeć kolejne polecenia, jakie padały z ust rozmówcy po drugiej stronie.

— Jest koło ciebie ten gówniarz, który zhańbił moją rodzinę? — Głos starucha znów wybrzmiał w słuchawce.

— To rozgrywka między mną a tobą, Arabie.

— Daj mi go! — syknął.

Krzysiek zasłonił słuchawkę ręką i powiedział Kubie, że Abi Rabi'a chce z nim rozmawiać. Przewidział taki rozwój sytuacji i choć chciał tego uniknąć, rozumiał, że staruch nie odpuści. Miał przewagę. Przynajmniej na razie.

— Nie daj się sprowokować, Kuba. On właśnie tego chce — polecił i przekazał aparat przyjacielowi. Ten wziął telefon i powoli przystawił do ucha.

— Jakub Krystian Polak... — W tej ciszy każdy w pokoju słyszał chrypliwy głos po drugiej stronie.

— Jesteś Żydem czy chrześcijaninem... psie...?

— Pierdol się.

Krzysiek aż się wzdrygnął. Kuba mógł sprowadzić tę rozmowę na złe tory. W tej zwięzłej odpowiedzi było jednak coś jeszcze. Chłód, zimno i niespotykane opanowanie, którego by się po przyjacielu — zwłaszcza mając na uwadze wszystko, co go spotkało z ręki starucha — raczej nie spodziewał. Abi Rabi'a nie podniósł jednak głosu, kontynuował po angielsku:

— Wasze imiona są naprawdę idiotyczne. Żydowskie? Chrześcijańskie? Nie macie żadnych zasad, barbarzyńcy. Takich jak wy należy likwidować i wkrótce z przyjemnością dokończę to, co spartolił mój słaby syn.

— Już ci mówiłem, pierdol się, stary capie.

W słuchawce na chwilę rozległ się szyderczy śmiech.

— Pierdolili to twoją matkę, niewierny psie. Dymali ją, a ona kwiczała jak świnia, zanim odrąbali jej ten kurewski łeb. I wiesz co...? — Abi Rabi'a zawiesił głos. — Twój ojciec na to pozwolił. Patrzył, jak zdycha jego żona. Do samego końca. Najwyraźniej niedaleko spada jabłko od jabłoni...

Pokój rozbrzmiał głośnym, chrypliwym rechotem starucha. Kuba zacisnął dłoń na słuchawce, wszyscy usłyszeli, jak zatrzęszczały ścięgna.

— Zabiję cię, Arabie, zeżrę twoje serce, a resztę rzucę świniom.

Kuba nie uniósł się, nie ryknął, nie pękł, jakimś cudem utrzymał emocje na wodzy, gdy to mówił, nie zdrząła mu nawet powieka. Krzysiek poczuł ciarki na plecach. Widział w życiu wiele, ale to, co gnieździło się w środku jego przyjaciela, przeraziło nawet jego. Było lodowate i złe do szpiku kości.

Nie tylko jego uderzył ten chłód, bo z drugiej strony w odpowiedzi tym razem nie wybrzmiał obrzydliwy rechot, a jedynie kilka kaszlnięć i trudne do zdefiniowania rżenie. Figur pomyślał, że Abi Rabi'a zwątpił. Założył, że zwykły student nie posunie się do skrzywdzenia małego, bezbronnego chłopaka. Ale czy na pewno? Teraz mógł pojąć, że się pomylił. Stworzył potwora i Amir wcale nie był bezpieczny. Jak bardzo zależało mu jednak na synu? To pytanie wciąż pozostawało bez odpowiedzi.

Słuchawka znów wylądowała w dłoni legionisty w momencie, gdy Abi Rabi'a zaczął mówić.

— *Allahu Akb...*

— Dość tej zabawy, Arabie. Gdzie jest Michał?

— Zamknij mordę, psie. Zabiję cię, zabiję was wszystkich! Oderżnę te plugawe łby, a truchła rzucę psom na pożarcie!

Podniesiony ton ucieszył Krzyśka, wbrew pozorom Kuba wykonał dobrą robotę, bo wyprowadził tak pewnego siebie starucha z równowagi. Nerwy nigdy nie są dobrym doradcą, a Arabowi najwyraźniej już leciała piana z pyska. Postanowił, że zaryzykuje.

— Zamknij się i słuchaj. Wiem, że jesteś w Berlinie i jeśli chcesz odzyskać swojego gówniarza, to przyjeźdź na granicę przy przejściu w...

— Dość! — warknął Abi Rabi'a. — Nic nie rozumiesz, niewierny psie. Nic a nic! Mój syn będzie spełniał wolę Allaha i jeśli Najjaśniejszy postanowił, że ma umrzeć na barbarzyńskiej ziemi, to przyjmie tę męczeńską śmierć z radością. Nikt ani nic nie będzie podważać jego woli, a już szczególnie ty, pieprzony legionisto. A jeśli Najjaśniejszy, *Allahu Akbar*, pozwoli mu żyć, wkrótce po niego przybędę, a za mną święta armia Proroka. Przyjdziemy do was i odbierzemy wam domy, przyjdziemy i wytniemy w pień wszystkich mężów, przyjdziemy i pojmiemy w niewolę wasze kobiety. Rozumiesz to, niewierny? Rozumiesz to, pierdolony legionisto? Już wkrótce święta stopa islamu zgniecie was jak brudnego i plugawego robaka.

Napad agresji zelżał i w słuchawce znów dało się słyszeć jedynie rżenie. Abi Rabi'a zakasłał i wychrypiał coś po arabsku do swoich ludzi.

— Twój pies, legionisto — warknął.

— Afgan?

— Krzysieek... — Miał wyraźne problemy z mówieniem, charczał, jakby nie był w stanie płynnie oddychać. — Monika?

— Bezpieczna, bracie. Jak się trzymasz?

— Słłabo... — wydusił z siebie. — Pomóżcie, błagam... błagam...

Znów coś zatrzeszczało, Krzychu poczuł ukłucie wyrzutów sumienia.

Nie podejrzewał, że Abi Rabi'a może zaryzykować zdrowie i życie swojego dziecka, katując Michała. Fatalnie się pomylił i skazał niewinnego chłopaka na nieludzkie cierpienie. „Szlag!” — zaklął w myślach. Jak mógł dokonać tak błędnej oceny sytuacji?

— Mój syn, psie.

— Nie ma go z nami.

— Nie drażnij się ze mną, legionisto. Inaczej odpowie za to twój cuchnący pies.

— Twój syn jest bezpieczny i...

Ciszę niewielkiego pokoju rozdarł przeraźliwy wrzask ze słuchawki. Krzychu zacisnęła zęby, aby nie stracić panowania nad sobą i nie zasypać wroga wiązką szkaradnych przekleństw, bo to zapewne tylko pogorszyłyby sytuację więzionego przyjaciela.

— Nic mu nie jest, ale teraz nie mogę ci go dać do słuchawki, Arabie. I jeśli jeszcze raz dotkniesz Michała, to w odpowiedzi wyślę ci kopertę z taką samą zawartością, jaką otrzymałem od ciebie. — To było ryzykowne, ale staruch musiał zrozumieć, że i oni są w stanie posunąć się do ostateczności. Kuba zbudował grunt, aby tak właśnie myślał. Najwyraźniej zadziałało, bo odgłosy krzyków ustały, a w słuchawce znów rozległo się nerwowe dyszenie.

— Czekam w Berlinie. Wymiany dokonamy przy Bramie Brandenburskiej. Macie czterdzieści osiem godzin. Jeśli się nie stawicie, to publicznie zetnę mu łeb — wycodził i się wyłączył.

Krzysiek spojrzął na zegarek. Dochodziła siódma. Należało powiadomić Mateusza, niech chłop szykuje maszynę. Jutro wieczorem znów ruszą do piekła, tym razem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Monika

Z PAMIĘTNIKA PORUCZNIK MONIKI FIGURSKIEJ, PSEUDONIM „GHULA”

7 września 2023 roku, Zielona Góra, Polska

Trudno mi było pogodzić się z tym, że mój ukochany brat znów mnie opuszcza. Nacieszyłam się jego obecnością — a w zasadzie z racji tej napiętej sytuacji i wszystkich strasznych wydarzeń, jakie ostatnio miały miejsce, nie nacieszyłam się wcale — jedynie przez kilka dni, podczas których i tak większość czasu spędzałam z małym Amirem. Czasem miałam wyrzuty sumienia w związku z tym, że pomimo tego wszystkiego, co dla mnie zrobił razem z Kubą i Franco (który okazał się całkiem miłym i sympatycznym facetem), nie poświęcam mu więcej czasu. Stałam się oschłą i trudno mi było normalnie funkcjonować wśród przyjaciół, którzy nie rozumieli mojej więzi z synem Abi Rabi'i i choć ani razu się na ten temat nie zająknęli, widziałam w ich spojrzeniach, że obecność dzieciaka i troska, jaką go obdarzyłam, działa im na nerwy. Źle z oczu patrzyło zwłaszcza Kubie, który zaczął mnie przerażać. Kilkakrotnie rozmawialiśmy, ale odruchowo zawsze trzymałam Amira z dala od niego, gdyż bałam się, że to, co nosił w sobie — a widziałam, wręcz namacalnie czułam, że załęgło się w nim coś odrażającego — po śmierci rodziców, w każdej chwili może przejąć władzę nad jego ciałem, a on temu ulegnie i pod wpływem emocji skrzywdzi to niewinne dziecko. Starłam się go zrozumieć, w końcu Amir omal nie poderżnął mi gardła, a do tego był synem człowieka (przepraszam, zwyrodnialca z najgorszych koszmarów), który najpierw zabił jego ukochaną, a potem wydał rozkaz zamordowania jego rodziców, ale w jego żrenicach czaiło się coś, co przyprawiało mnie o dreszcze. Jakbym wracała do ponurej piwnicy i patrzyła w oczy jednego z tamtych potworów...

Starłam się nie popaść w obłąd, czasem myślę, że Amir stał się dla mnie odskocznią, która pozwoliła mi trzymać z dala wszystkie

przygnębiające myśli o okropnościach, jakie przeszłam, oraz coraz głośniejsze pukające do mojego udręczonego umysłu wyrzuty sumienia. Jedyne ja naprawdę rozumiałam, co może przeżywać Michał — jakoś trudno przechodziły mi przez gardło słowa takie jak „mój”, „drogi” czy „ukochany” — w jaskini czystego, nieskrępowanego, pierwotnego zła. Nie wiem dlaczego, pytałam sama siebie tysiące razy, ale miałam wrażenie, że ten horror oddalił mnie od niego, i choć całym sercem pragnęłam, aby do mnie wrócił, bałam się, że już nigdy nie będzie między nami tej specyficznej więzi, jaka łączy dwoje zakochanych w sobie młodych ludzi. Nie należałam już tylko do niego, szczególnie moje ciało, czułam się brudna, skażona, trudno mi było wyobrazić sobie, abym po tym wszystkim mogła kochać się z nim tak jak kiedyś. Mimo wszystko myślałam o nim każdego dnia, w każdej godzinie, sądzę, że gdyby nie Amir, który zajmował większość mojego czasu, wiecznie wracałabym do krainy potworów, wyobrażając sobie, jak Michał musi cierpieć.

Mój brat był jednak wyrozumiały, nie naciskał i niezwykle cierpliwie znosił moje humory, nawet bezczelne, kompletnie niezasłużone ataki skierowane także w jego kierunku, zazwyczaj w związku z moimi wyimaginowanymi spostrzeżeniami odnośnie do Amira. Potrafił wtedy za mną pójść, objąć i przytulić, powiedzieć, że mnie kocha, że rozpira go duma, a ja jestem najdzielniejszą kobietą na tej planecie. Zawsze umiał mówić o uczuciach, w przeciwieństwie do większości jego łysych kumpli ze światka kiboli, często cwaniaków i chamów, za którymi nigdy nie przepadałam, jeśliby nie powiedzieć — po prostu ich nie znosiłam. Krzysiek był wrażliwy i wielokrotnie zastanawiałam się, jakim cudem jego życie tak się poplątało, a on najpierw wkroczył na drogę przestępstwa, a potem wbił się w żołnierski mundur, który z jego charakterem miał tyle wspólnego, co ryba po grecku z Grecją. Nigdy nie miał łatwo, nigdy nie mieliśmy łatwo oboje, ale w tym ponurym czasie był moją jedyną opoką, czułam się przy nim bezpiecznie. Tym bardziej przerażała mnie wizja kolejnych dni spędzonych w samotności, bo choć Amir stał się moim nieodłącznym towarzyszem leniwie upływającego czasu, to jak nigdy wcześniej potrzebowałam silnego męskiego ramienia. W które mogłabym się wtulić, poczuć jego ciepło, może nawet wyplakać, bo od czasu wyjazdu z Paryża nie uroniłam jeszcze ani jednej łzy, przynajmniej nie ze zgrzyoty.

To wciąż we mnie siedziało, ukryło się, ale czuwało. I było złe.

Znalazło legowisko gdzieś na dnie mojego żołądka i od czasu do czasu drapało, kęsało, przez co nocami męczył mnie uporczywy ból. Przeszło mi nawet przez myśl, że mogę nosić w sobie małego potwora, ale test ciążowy ku mojej olbrzymiej uldze wykazał, że żaden z tych zwyrodnialców nie zdołał zostawić swojego nasienia we mnie raz na zawsze. Biłam się z myślami, aby wybrać się do ginekologa (tym bardziej że wciąż krwawiłam i doskwierał mi przewlekły ból) i się upewnić — w końcu moje ciało w ostatnich tygodniach zostało okrutnie zbrukane, zagłodzone i zmaltretowane, przez co wyniki prostych testów mogły być zakłamane. Wstydziłam się jednak. Czułam, że wciąż jestem tam brudna. I choć myłam się przynajmniej kilka razy dziennie, miałam wrażenie, że cuchnę, że te miejsca zostały skażone raz na zawsze. Wiedziałam, że to jeszcze nie ten czas, po prostu nie byłabym w stanie rozłożyć nóg przed żadnym mężczyzną. Nawet lekarzem.

Potrzebowałam mężczyzny, ale w innym rozumieniu tego słowa, a tylko Krzysztof mógł zaofiarować mi ten rodzaj bliskości, braterskiej miłości, z której nie przebija samcza żądza. Nie mogłam sobie nawet wyobrazić, że już niebawem znów mnie opuści, a ja zostanę z Amirem sama. Bałam się, cholernie się bałam, że już nigdy go nie zobaczę, gdyż doskonale rozumiałam, kim są ludzie, z którymi przyjdzie mu się zmierzyć. Oni nie znali litości, w ich słowniku nie istniało słowo „miłosierdzie”. Jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że tylko on jest w stanie stawić im czoło i odbić mężczyznę, którego tak kochałam, który, nie będąc żadnym żołnierzem czy komandosem, a jedynie zwykłym, dobrym, młodym człowiekiem z głową pełną marzeń, zebrał w sobie tyle odwagi, aby zaryzykować własne życie w obronie mojego.

Musiałam jednak wziąć się w garść. Tak jak wtedy, w tej mrocznej piwnicy, w otoczeniu potworów w ludzkiej skórze.

Gdy w końcu odwiózł mnie do nowego lokum, wypiliśmy herbatę i porozmawialiśmy w cztery oczy, coś we mnie drgnęło, a następnie niemal przytłoczyło. To był bardzo silny impuls, zadziałał instynkt, który wtedy, pomimo tak niesprzyjających warunków, pozwolił mi przetrwać najgorsze momenty. Odezwało się to, co we mnie siedziało. To, co permanentnie wyczuwałam w obecności Kuby. Zrozumiałam, co to jest. Pojęłam, że już nigdy mnie nie opuści. Wraca i będzie wracać.

Gdy zegnaliśmy się i utonęłam w silnych ramionach brata,

szepnęłam mu coś do ucha. Obiecał, że zrobi, co w jego mocy...

Kuba

8 września 2023 roku, las przy granicy polsko-niemieckiej, Polska

Warkot potężnego pięciolitrowego silnika jeepa cherokee XJ wybrzmiewał wśród drzew sosnowego lasu, gdy podążaliśmy w kierunku przeznaczenia. Z głównej asfaltówki wbiliśmy się w piaskowe, pełne nierówności i wystających konarów ścieżki, które znałem jak własną kieszeń. Kiedyś, miałem wtedy zaledwie szesnaście lat, często jeździłem w te okolice na ryby, zwłaszcza że podczas jednej z takich wypraw poznałem Maryskę, wiejską dziewczynę, z którą połączyło mnie gwałtowne uczucie. Piękna blondynka o niebieskich oczach i zgrabnej sylwetce akurat przepływała kajakiem i zahaczyła, a następnie splątała mi żyłkę, co dało początek namiętnej wakacyjnej miłości. Krótkiej, ale niezwykle intensywnej, dzięki czemu po raz pierwszy poznałem smak seksu.

W ponurej rzeczywistości wspomnienie zdawało się takie odległe, że aż nierzeczywiste. Wtedy życie płynęło beztrąsko, a ja miałem głowę pełną marzeń...

Dziś jechaliśmy w milczeniu, ja za kierownicą, z boku Franco, a z tyłu, pomimo przestronnego wnętrza, ściśnięci jak sardynki w puszcze Krzysiek, Patryk i Łukasz. Właśnie minęła północ i zaczynało zbierać się na deszcz. Wiatr przygnał ciężkie chmury, które zawisły nad naszymi głowami, kotłując się niemilosiernie, aby wkrótce otworzyć się i opróżnić swoje trzewia. Zanim jeszcze dotarliśmy nad brzeg rzeki, dało się słyszeć pierwsze groźne pomruki, a na przednią szybę spadły grube krople.

— Fortuna nam sprzyja — skomentował Krzysiek, zerkając w czarne niebo przez boczną szybę, chwilę później w świetle reflektorów wyrosła ściana z trzciny, za którą leniwie płynęła Nysa Łużycka.

— Nie pogniewałbym się, gdyby jutro sam Thor zszedł na ziemię i dał popalić całemu Berlinowi — dodał Patryk i wyszczerzył zęby w grymasie, który w zamyśle miał przypominać zjadliwy uśmiech, choć bliżej mu było do chichotu głodnej hieny.

Rozmawialiśmy o tym już wczoraj wieczorem, podczas omawiania planu. Prognoza pogody dla większości mieszkańców tej części Europy nie zapowiadała się najlepiej. Z zachodu ciągnął potężny orkan, który od

wczoraj demolował północną Francję, Niderlandy i zachodnie Niemcy, jakby był wyrazem gniewu rozsierdzonych bogów, ze smutkiem przyglądających się temu festiwalowi nienawiści w największych miastach Starego Kontynentu. My przyjęliśmy te wiadomości z radością. Ulewa, burza z piorunami, wichur, który wyrывał drzewa z korzeniami — to wszystko mogło nam pomóc w czasie zuchwałej akcji, tym bardziej że dysponowaliśmy, za co każdy z nas w duchu dziękował Mateuszowi, pojazdem, który był wręcz stworzony do takich warunków. Nawałnica musiała spowodować w pogrążonych w chaosie miastach jeszcze większe zamieszanie, a ograniczona widoczność pozwalała łatwiej wtopić się w tłum. Dodając do tego obecność w teamie trzech żołnierzy jednostek specjalnych, którym podobna aura pozwalała na wykorzystanie dodatkowych umiejętności, wszyscy mogliśmy zacierać ręce.

Zatrzymałem samochód przy trzcinach, które gwałtowny podmuch niemal położył na wodzie. Miejsce, które pamiętałem z dzieciństwa, trochę zarosło, ale to właśnie tu znajdowała się płycizna, na której lubiłem wędkować najbardziej, często wchodząc w woderach niemal na środek rzeki. Stan wody był niski i w najgłębszym odcinku nie powinien przekraczać metra, dlatego uspokoiwszy chłopaków, że wiem, co robię, wrzuciłem jedynekę i powoli ruszyłem. Wysokie trawy, chrzęszcząc, nikły pod kołami, aż pojawiło się koryto, a za nim, po drugiej stronie, niewysoki wał. Tak jak podejrzewałem, woda tylko w kilku miejscach zahaczyła o wysoko zawieszony podwozie i bez większych problemów przejechaliśmy przez szeroką na nie więcej niż dwadzieścia metrów Nysę Łużycką.

Niemcy przywitały nas ponurym grzmiotem, a na horyzoncie niebo rozjaśniły dwie błyskawice. Wjeżdżaliśmy na teren wroga, a mnie się to kurewsko podobało, ba, po raz pierwszy od śmierci rodziców zachciało mi się żyć.

Do celu zmierzaliśmy bocznymi drogami, przejeżdżaliśmy przez kolejne niemieckie wsie i miasteczka, które wyglądały, jakby były całkiem wymarłe. Czarne okna, pochowane do garaży samochody, żadnych mieszkańców w okolicy. Jedynymi oznakami świadczącymi, że wciąż poruszamy się po zachodnioeuropejskim, cywilizowanym kraju, były oświetlające nam w terenie zabudowanym drogę latarnie i od czasu do czasu mijane stacje benzynowe.

Deszcz bębnił o karoserię, wprowadzając nieco przygnębiającą

atmosferę, tym bardziej że każdy próbował choć na chwilę zapaść w sen, prócz mnie i Krzyśka, który przesiadł się w miejsce Franco i nawigował w labiryncie wąskich i pokręconych drózek. Wzmagający się wiatr łopotał koronami drzew, a liście co rusz spadały na maskę i przednią szybę. Z radia cicho sączyła się muzyka.

— Myślisz, że Afgan mocno cierpi? — spytałem przyjaciela, który przez większość czasu był pochłonięty pilnowaniem nawigacji.

— Chodzi ci o to, czy go torturują?

— No tak, mniej więcej. Wiesz ogólnie... ile taki gość, jak ja czy on, jest w stanie wytrzymać?

— Trudno powiedzieć, Kuba. Każdy ma własną granicę bólu, ale zdecydowana większość na sam widok narzędzi i myśli o tym, co go zaraz spotka, jest gotowa sprzedać własną matkę.

— Jak w takim razie wy, to znaczy szkoleni żołnierze, jesteście przygotowywani na taką ewentualność? Jak bronicie się przed bólem?

Figur spojrział na mnie pytającym wzrokiem. Domyśliłem się dlaczego, chyba podświadomie mówiłem o sobie. Ostatnio wielokrotnie zastanawiałem się, ile byłbym w stanie znieść, bo jeśli coś poszłoby nie tak, Abi Rabi'a z pewnością nie pozwoliłby mi szybko umrzeć. Przyjaciel jednak tego nie skomentował, tylko wziął głęboki oddech i zaczął mówić:

— To zależy od wielu czynników, bo można być torturowanym po to, aby uzyskać informacje, aby kogoś złamać, z nienawiści, z zemsty lub dla czystej przyjemności. Jeśli o mnie chodzi, to prócz szkolenia nigdy nie byłem torturowany, bo po prostu nie wpadłem w łapska wroga. Z doświadczenia wiem jednak, że w większości przypadków pochwycony człowiek zaczyna sypać, zanim jeszcze do czegośkolwiek dojdzie.

— Jak to się ma do Lecu?

— Należał do jednych z niewielu, którzy potrafią wytrzymać sporo. Był twardy, to mu muszę oddać, ale jak już mówiłem, nie ma takiego, który w końcu nie pęknie. Owszem, można wytrzymać godzinę, dwie, najsilniejsi nawet dobę, ale prędzej czy później pęka każdy. Ale chyba nie do końca o tym mówimy...

— To znaczy?

— Nie mówimy o pękaniu...

— No... — Nie do końca zrozumiałem aluzję Krzyśka.

— W dzisiejszych czasach mało kto używa tortur, które mają na celu pozostawić trwałe ślady na ciele człowieka. Po pierwsze, to oczywisty dowód, w razie ewentualnych procesów w przyszłości, że do czegoś takiego doszło, a po drugie, jest mnóstwo innych sposobów na sprawienie

człowiekowi bólu. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak skuteczny jest ten osławiony waterboarding, choć to metoda kompletnie nieinwazyjna. Przeżyłem podtapianie i wiem, co wtedy dzieje się w umyśle człowieka. Niech ci wystarczy to, że rekordzistą jest niejaki Chalid Szajch Muhammad, pomysłodawca i główny architekt ataku na World Trade Center. Facet wytrzymał dwie i pół minuty. Uwierz mi, to koszmar.

— Zawsze mi się wydawało, że takie rzeczy można znieść, jak wszystko, bo później człowiek może normalnie funkcjonować. Bardziej mi chodziło o te... wiesz, średniowieczne sprawy. Przypalanie, obdzieranie ze skóry, ćwiartowanie.

Figur znów spojrział mi w oczy, myślę, że szacował wszystkie za i przeciw. Wiedział o moich obawach.

— Takie tortury stosuje się dziś tylko wobec ludzi, których z założenia chce się zabić. Co więcej, przez psychopatów i sadystów, którzy czerpią z tego przyjemność. Ale jeśli pytasz o to, czy Abi Rabi'a byłby do tego zdolny, to nie będę cię okłamywał. Posunie się do ekstremum.

Mlasnąłem nerwowo i nabrałem powietrza w płuca. Przez moment milczałem, zbierając myśli.

— Moi rodzice bardzo cierpieli?

— Kuba, kurwa, po co się biczujesz? — Krzychu podniósł ton, ale zaraz dodał spokojniej: — Myślę, że bardziej psychicznie, jeśli już chcesz tak bardzo wiedzieć. Ale cierpieli...

— Przepraszam, wciąż to do mnie wraca... — Zawiesiłem na moment głos, próbując odegnać złe myśli. — Ale w końcu nie powiedziałaś, jak wy sobie z tym radzicie?

— Nie odpuścisz, co?

— Chcę wiedzieć.

— Dobra, słuchaj, stary. Jestem żołnierzem i byłem szkolony, ale to wszystko i tak runie w gruzy, gdyby doszło do najgorszego. Owszem, myślę, że byłbym w stanie wytrzymać, przynajmniej przez jakiś czas, na przykład podtapianie czy rażenie prądem. Jedno miażdży cię psychicznie, a drugie sprawia nieopisany ból. Wszystko jednak siedzi tutaj... — Krzychu popukał się w czoło. — To synapsy w mózgu odpowiadają za odbiór wszystkich informacji, w tym bólu oczywiście, i są pewne sposoby, aby go nieco stępić, chociażby nabranie w płuca powietrza. Ból jako taki podnosi ciśnienie krwi, a wstrzymanie oddechu powoduje zwiększenie ciśnienia w płucach. Znajdujące się tam receptory wysyłają sygnał do mózgu, aby ten je obniżył, a to hamuje pobudzenie układu nerwowego. Są też inne, oczywiście trochę pomaga krzyk i siarczyste przekleństwa, ale tak naprawdę nie da się całkiem

oszukać mózgu. No... najlepsi potrafią dojść do takiej fazy skupienia, wejścia w swoisty trans podobny do autohipnozy, ale to już wyższa szkoła jazdy. Najważniejsza dla przetrwania jest jednak nadzieja, że człowiek ostatecznie wyjdzie z tego żywy. Dlatego każdy żołnierz jest uczony, że jeśli wpadnie w ręce wroga, musi wierzyć, że pozostali zrobią wszystko, aby go odbić. To podstawa. Nigdy nie zostawiamy towarzyszy broni na pastwę wroga. Nigdy!

Podkreślił to wyjątkowo mocno, a ja natychmiast pomyślałem o Afganie. Wierzyłem, że nie stracił nadziei. Tak jak Monika.

— Jest jedno ale... — Krzysiek zawiesił głos i podrapał się po brodzie, jakby szukał odpowiednich słów. — Abi Rabi'a nie będzie chciał od nas wyciągnąć żadnych informacji, nie będzie chciał nas nastraszyć czy złamać. On będzie chciał się zemścić. Marzy dokładnie o tym samym co ty, pragnie sprawić jak największy ból, zniszczyć cię, skatować i sponiewierać. W końcu zabić. To jest jego jedyny cel. Ale żeby to było jasne jak słońce — ja do tego nie dopuszczę. Wyciągniemy Michała i zajebimy tego starucha oraz wszystkich jego popieprzonych synów. Czy to jest dla ciebie zrozumiałe?

Poczułem się trochę jak syn dostający od ojca burę. Przytaknąłem i głęboko odetchnąłem.

— Skończmy więc tę jałową gadaninę, bo nic nie wnosi. Dochodzi trzecia i musimy się trochę przespać. Zatrzymaj się gdzieś i zmienimy się z Patrykiem i Łukaszem.

Nic nie odpowiedziałem, tylko niemal od razu zjechałem na pobocze. W tylnym lusterku dostrzegłem, że chłopaki się wybudzili. Kilka minut później przyłożyłem głowę do zimnej szyby i zamknąłem powieki. Wiedziałem, że sen, jeśli w ogóle przyjdzie, nie będzie spokojny. Adrenalina już buzowała w moich żyłach.

Z półsnu wyrwało mnie gwałtowne hamowanie.

— Widziałeś to? — spytał Łukasz swojego nawigatora, następnie, nie czekając na odpowiedź, włączył wsteczny i zaczął cofać.

Na dworze jaśniało, słońce było jednak skryte za ciężkimi, wiszącymi nisko chmurami, z których kolejnymi falami uderzał deszcz, chłostając wszystko w zasięgu wzroku. Topole, rosnące wzdłuż wąskiej asfaltówki, pod naporem wiatru wyginały się jak wytrenowane baletnice, niemal kładły się na podłożu, jakby chciały rzucić wyzwanie odwiecznym prawom fizyki.

Wnętrze nieco zaparowało, dlatego przetarłem szybę. Widoczność na zewnątrz była fatalna, a podążające w dół szyby krople jeszcze bardziej utrudniały skupienie wzroku. Wyteżyłem go maksymalnie. Nie miałem wątpliwości, na przystanku autobusowym siedziało bądź leżało w jakichś pokracznych pozach kilka postaci.

— Oni nie żyją? — rzucił w przestrzeń Łukasz.

— Wsiądź, to się przekonasz — odparł Figur, który, również rozbudzony, patrzył mi teraz przez ramię. — Dawaj, Kuba, rusz się — dodał i szturchnął mnie wymownie.

Niechętnie otworzyłem drzwi i do środka natychmiast wdarł się porywisty wiatr i zacinający deszcz. Zakląłem szpetnie pod nosem i z trudem naciągnąłem na głowę kaptur, który niemal natychmiast spadł z powrotem na swoje miejsce. Poprawiłem go i mocno związałem pod brodą. Z samochodu wysiedli Patryk z Krzyśkiem, siedzący za kierownicą Łukasz pozostał na miejscu, podobnie zerkający z wnętrza pojazdu Franco.

Na początku chciałem wrócić do środka, ale ciekawość ostatecznie zwyciężyła i podszedłem bliżej. Deszcz wciąż zacinął jak szalony, wiatr dął niemiłosiernie, gdzieś w oddali za plecami usłyszałem trzask pękającego konara, który chwilę potem utonął w morzu odgłosów szalejącej burzy. Wzdrygnąłem się, bo widok był makabryczny. Nie zemdliło mnie jednak, nawet specjalnie nie ruszyło. Po prostu przyjrzałem się ciałom czterech młodych mężczyzn, z których każdy miał podcięte gardło i masę ran kłutych w okolicach klatki piersiowej i głowy. Trzech leżało powykręcanych na mokrym betonie, czwarty siedział na ławeczce z głową spuszczoną w dół i gdyby nie splamiona krwią odzież, można by go pomylić z pospolitym pijaczkiem, który po prostu przysnął, czekając na autobus. Krzysiek omiół wzrokiem każdą twarz, rysy martwych mężczyzn wyraźnie wskazywały, że pochodzą z okolic północnowschodniej Afryki.

— Zimne trupy! — zawołał mój przyjaciel, próbując przekrzyczeć hulający wiatr; w rękach trzymał jakiś dokument, który wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki jednej z ofiar. — Nic tu po nas, panowie — dodał po chwili nieco ciszej i schowawszy zalaminowany papier z powrotem, odwrócił się w kierunku naszego samochodu.

Nie trzeba mi było powtarzać drugi raz. Czym prędzej wskoczyłem do naszej terenówki, chwilę później drzwi zatrzasnęły się za Figurem i Klamką.

— Ruszaj — zakomenderował Krzychu, wygodniej usadawiając się w fotelu.

— Czyja to robota? — zapytał nieco nieśmiało Łukasz.

Miałem wrażenie, że próbuje robić dobrą minę do złej gry. Musiał być

zdenerwowany, a przynajmniej wyprowadzony z równowagi, bo zamiast od razu wrócić na drogę, bez sensu gapił się w boczne lusterko, wypatrując jakiegoś wyimaginowanego zagrożenia. Pomyślałem, że przypomina mnie sprzed kilkunastu dni. Nawet nie miał pojęcia, jak podobne drobne gesty zdradzają go, tym bardziej zaczynałem rozumieć, jak musiałem wyglądać w oczach Krzyśka i Franco na początku tej całej... przygody. Znów to cholerne słowo. Jak mogłem myśleć o tym jako o przygodzie? Moi rodzice, Nawal, Michał... Co się, kurwa, ze mną działo?

— No, ruszaj, Rudy — ponaglił legionista.

— Już... — burknął Łukasz, a silnik mruknął przeciągle, w końcu jednak cherokee wrócił na wąską asfaltówkę. — A więc kto ich zatłukł? — ponowił pytanie, nieudolnie próbując jakoś przykryć wyraźne zdenerwowanie.

— To pewnie robota tych neonazistowskich bojówek — rzucił Krzysiek, w swoim stylu, w ogóle nie dając do zrozumienia, że cokolwiek zauważył. — Nienawidzę tych debili, ale szczerze mówiąc, nie chciałbym włączyć im w drogę, bo to kompletni pojebańcy, a do tego zazwyczaj poruszają się w dużych grupach.

— Kim były ofiary?

— Wyglądali na Somalijszyków, Etiopczyków albo Erytrejczyków, przynajmniej jeden z nich miał przy sobie jakiś dokument z urzędu imigracyjnego. Nie widzę innego wyjaśnienia jak to, że zostali zaatakowani. Poza tym mieli mnóstwo chaotycznych ran na całym niemal ciele, a cięcia na gardle były szarpane. Wygląda mi to na te małe sprężynówki, tak wielbione przez skinheadów.

— Podziurawili ich jak ser szwajcarski... — rzucił Patryk, przecierając mokre czoło chusteczką.

— Może to i dobrze. Nienawidzę skurwieli — burknął Łukasz, ale nikt już nie podjął dalej tematu.

Nastało milczenie i każdy pogрузzył się we własnych myślach. Nie dało się nie wyczuć, że Rudy próbował znaleźć swoje miejsce w tej nieliczej ekipie, ale na razie regularnie walił kulą w płot. Owszem, facet sroce spod ogona nie wypadł, ale podobnie jak ja nigdy nie obracał się w towarzystwie prawdziwych żołnierzy. Takich jak Franco czy Krzychu, którzy nie raz i nie dwa byli w ogniu walki, a to, co widzieli, wystarczyłoby na wypełnienie makabrą kilkunastu krwawych slasherów, gdzie flaki tryskają na ekran z częstotliwością większą, niż pojawiają się dwuminutowe dialogi głównych bohaterów. Ja już zrozumiałem, że w tym towarzystwie milczenie jest czasem cenniejsze od złota, a podobne osobiste wycieczki widziane niemi-

jeśliby nie powiedzieć — traktowane jak napinanie się niedojrzałego chłystka.

Ale czy Rudy nie miał w tym wszystkim racji? Czy ja nie myślałem podobnie? Oczywiście, że tak. Też ich nie cierpiałem. Chryste Panie, jak ja ich nienawidziłem! Wszyscy kojarzyli mi się z tym brodatym staruchem, noszącym tę pieprzoną galabiję i gadającym tym ohydnyim językiem. Bo skoro pochodzili z Rogu Afryki, to z prawie stuprocentową pewnością można było założyć, że to muzułmanie. Ci sami, którzy najpierw zagnieździli się w europejskich miastach, następnie rozplenili, sterroryzowali społeczeństwa, a w końcu wznieśli rebelię, ba, byli bliscy wywołania wojny w samym sercu Starego Kontynentu. Dlaczego miałbym żałować tych zadźganych na przystanku ciapuchów (to słowo, którego kiedyś tak nie znosiłem, przychodziło mi teraz znacznie łatwiej), skoro mogli mieć — a z dużą dozą prawdopodobieństwa mogłem założyć, że tak właśnie było — podobne pryncypia jak większość tych debili latających teraz z maczetami po ulicach Paryża, Berlina czy Brukseli? A może któryś z nich był tym, który z zimną krwią najpierw torturował, a następnie zamordował moich rodziców? Przecież tego nie dało się wykluczyć. Wykrzywiłem usta w paskudnym grymasie gniewu i pogardy. Generalizowałem? I co z tego? Co dobrego mnie z ich strony spotkało? No, kurwa, co? To nie był ich świat, nie zapracowali na niego, nie docenili tego, co zostało im ofiarowane. Nie powinno ich tu być... Dobrze im tak...

Wzdrygnąłem się. Nic tak jak nienawiść nie przyciągało widoku twarzy tego starego bandyty. Wykrzywiona morda Araba znów zwizualizowała się w mojej głowie, a ja nerwowo przygryzłem wargi do momentu aż poczułem na języku metaliczny smak krwi.

Wtedy przez głowę przeleciała mi naprawdę chora myśl. Wyobraziłem sobie, że chętnie posmakowałbym tej z broczącej tętnicy Muhammada Abi Rabi'i.

Niewierny

10 listopada 2033 roku, północna Francja

Patrzę mu w oczy i szukam odpowiedzi.

W tych wyblakłych źrenicach nie uda mi się jej znaleźć. Nie może jej tam być, jeśli nie są zwierciadłem duszy. Ta zgniła już dawno temu...

Pytam „dlaczego?”. Kręci głową, szczyrzy czarne zęby w ohydny grymasie, przygląda mi się, jakbym był kolejną porcją świeżego mięsa. Ma potargane włosy, są posklejane i brudne. Skórę pokrywają paskudne wykwity, duży nos dominuje na podłużnej i wychudzonej twarzy, kości szczęki mocniej zarysowują się, gdy nerwowo porusza żuchwą. Marszczy brwi i nos, prawy kącik ust unosi się w nerwowym tiku.

Ponawiam pytanie, ale w odpowiedzi słyszę tylko gardłowe charczenie. Do dziś myślałem, że już niewiele jest w stanie mnie zaskoczyć, widziałem naprawdę dużo. Ale to...

Wstaję i wyciągam menażkę z wodą. Upijam łyk i patrzę w chore niebo. Jest szare i ponure. Słońce zdaje się z każdym dniem oddawać mniej światła, pograżając świat w coraz bardziej doskwierającym mroku. Jakby umierało razem z nami, jakby już nie chciało patrzeć na niekończący się koszmar i ogrzewać swoimi promieniami tej przeklętej planety.

Rozglądam się po okolicy. Kiedyś musiała wyglądać zupełnie inaczej. Stara rudera, otoczona polami, na których wśród zgniłych traw jakimś cudem wciąż jeszcze upiornie straszą butwiejące przeszkody dla hodowanych tu przed laty koni. Na wzgórzu przy lesie niewielkie trybuny chylą się ku upadkowi, za nimi kikuty drzew trzeszczą pod naporem wzmagającego się wiatru z zachodu, który niesie ze sobą wilgotne powietrze, przesiąknięte wonią zgnilizny. Przy starym hotelu stoją zardzewiałe wraki samochodów, dokoła wala się drobne żelastwo, stary pług i rolnicze narzędzia. Jeśli nawet ktoś kiedyś uprawiał tu ziemię, dawno zaprzestał. Gleba jak stara macica nie jest w stanie utrzymać nowego życia, czarne deszcze

i wszechobecny pył wyjąłowiły ją. Tu już nic nigdy nie urośnie.

Słyszę szcęk łańcucha, rozbrzmiewa niedaleko, tam gdzie podmuch wzbudził w ruch starą huśtawkę. Jej wypłowiłe siedzisko kołysze się teraz miarowo, wydając ten okropny metaliczny odgłos, który zawsze przypomina mi dzień sądu. Dzień, w którym siedziałem na balkonie i po kryjomu paliłem papierosa, a na placu zabaw przed blokiem rozgrywał się czarny horror.

Odwijam z głowy szmaty chroniące mnie przed pyłem, uwalniam szyję i nabieram w płuca cuchnącego powietrza. Szkoda, że już nie zabija tak szybko, jak kiedyś. Beznamiętnie patrzę na grupę łachmianarzy siedzących jeden przy drugim, samozwańcych właścicieli tego ponurego przybytku. Wyglądają odrażająco, zwłaszcza że już wiem, jak żyli i co czynili. Robię krok w tył, coś pęka pod stopą, dźwięk kłuje w odsłonięte uszy, jest obrzydliwy, ale znajomy. Patrzę pod nogi i widzę maleńki szkielet, który rozkruszył się pod ciężką podeszwą żołnierskiego buta. Wracam do rzeczywistości, patrzę na twarze siedzących przede mną zwyrodnialców. Pięciu mężczyzn i trzy kobiety, choć powinienem rzec — pięciu samców i trzy samice. Oni nie przypominają już ludzi, bliżej im do dzikich bestii.

Wiem, jaki los ich czeka. Spodziewam się, jakie padną rozkazy. Spluwam pod nogi ich przywódcy, w jego brzuchu utkwily już dwie kule mojego AK-47. Podnosi wzrok, ale jego głowa opada. Charczy, walczy o życie. Odwracam głowę i szukam wzrokiem porucznik Figurskiej, która kilkanaście metrów dalej rozmawia z dwoma podkomendnymi. Ruszam w ich kierunku, mijam połamany płot, większość naostrzonych sztchet wieńczę ludzkie czaszki. Białe. Wygotowane.

Podchodzę do mojej przełożonej, jest zmęczona i zatroskana, wiem dlaczego, znam ją bardzo długo. Nie ma hełmu ani gogli, trzyma je w ręku. Kiwa głową i wskazuje palcem na stare domostwo przy jeziorze. Podnosi głos, klnie szpetnie, znów kiwa głową, zrezygnowana.

Bezдушnych zabijamy zawsze. Kierowani pierwotnymi żądzami i głodem są odpryskiem JEGO plugawego świata. Dla nich już nie ma ratunku. Ale co z tymi, których znaleźliśmy w tych przepastnych piwnicach? Nagich, brudnych, gwałconych i tuczonych na siłę mięsem towarzyszy niedoli, aby prędzej czy później stać się posiłkiem swoich samozwańcych panów. Co zrobić z tymi

niewinnymi ofiarami w świecie opanowanym przez hordy dzikich, bezdusznych, kierowanych zwierzęcym instynktem istot, które kiedyś, w dawnym świecie, chodziły po tych samych ulicach, pracowały w tych samych firmach i jadały w tych samym restauracjach? Jak to możliwe, że w tak krótkim czasie ludzkość zdołała upaść tak nisko? Wystarczyło, że zrzuciła kaganiec praw i nakazów tworzonych przez wieki, a większość ocalałych powróciła do swojej pierwotnej, drapieżnej natury, dodatkowo popartej wynaturzeniami, dewiacjami i wszelkimi zboczeniami, od zawsze będącymi domeną człowieka, który jako jedyny potrafił czerpać chorą satysfakcję z cierpienia swoich pobratymców.

Niepojęte...

Jak mogło do tego dojść? Dlaczego ludzie do tego dopuścili? Dlaczego dali się omamić temu, który dziś włada tym światem?

Głód, obłąd, wszechobecne zło...

Boję się, że wkrótce też się przeobrażę. Nie jestem pewny, czy jeszcze mam duszę. Wątpię, rzadko cokolwiek czuję. Prócz zgnilizny. Ją wyczuwam zawsze i wszędzie. Plugawa woń prawie zawsze niesie się z zachodu...

Zdaję krótki raport, chcę jak najszybciej odejść, bo nie mam sił odpowiadać na pytania, które zaraz padną z ust porucznik Figurskiej. Mój mały fortel nie udaje się, pyta mnie o zdanie. Spuszczam głowę, ciężko wzdycham. Unikam odpowiedzi, waham się. Nie chcę jej okłamywać, ale ich los jest mi tak naprawdę obojętny. Dyskusja trwa. Mówią o regułach, kanonach, standardach i podstawowych zasadach. W dzisiejszym świecie to puste słowa.

Porucznik zasepia się, odwraca głowę i wyciera wierzchem dłoni spocone czoło. Trwa przez chwilę w zamyśleniu, po czym rozkazuje wybić wszystkich bezdusznych. Akurat to nie jest dla nas żadną niespodzianką. Czekamy co z resztą, dwudziestoma ośmioma ludzkimi istotami, okaleczonymi w sposób perfidny, w większości pozbawionymi jednej, dwóch, a nawet wszystkich kończyn. Tak aby zapobiec ucieczce i... jak najdłużej zachować świeżość. Co mamy z nimi zrobić? Z gnijącymi w piwnicy ofiarami tego nieokiełznanego bestialstwa? Zwichnięci psychicznie, przerażeni, niemogący się samodzielnie poruszać, pełzający w gównianej brei jak szkaradne larwy po miękkzonej deszczem glebie.

Porucznik Figurska w końcu wydaje rozkazy. Z trudem przechodzą przez jej spierzchnięte usta. Mamy zrobić to szybko

i bezboleśnie. Potem wszystko spalić, aż do fundamentów.

Myślę, że to dobra decyzja. Mądra. Nieszczęśnicy już nie będą cierpieć, a to przeklęte miejsce przestanie istnieć.

Mocniej zarzucam sobie na ramię mój stary AK-47. Stal znów rozgrzeje się później, kule poczekają.

Odpinam rzemień i mocno chwytam rękojeść noża. Najpierw bezduszni...

Kuba

8 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

Podążaliśmy w milczeniu jeszcze jakiś kwadrans. Deszcz lał bezustannie, wymywając z pól ziemię i zamieniając rowy melioracyjne, a nawet pobliskie drogi w błotne potoki. Wiatr w kilku miejscach powyrywał drzewa z korzeniami, dając naszej terenówce szansę, aby pokazała swoje możliwości i udowodniła przydatność. Nawigacja wskazywała, że znajdujemy się już na przedmieściach południowo-zachodniego Berlina, czyli tak jak zaplanowaliśmy, aby uniknąć przedzierania się przez dzielnice na południu i południowym wschodzie miasta, w dużej części muzułmańskie lub po prostu, według informacji radiowych, te najbardziej niespokojne. Najwyraźniej nasza ocena okazała się trafna, bo do tego momentu nie natknęliśmy się na żadną uliczną blokadę policji czy wojska, choć minęliśmy cztery wozy opancerzone i kilka radiowozów, żaden z nich nie zatrzymał się jednak ani nie próbował nawiązać z nami kontaktu. Patryk jako jedyny z nas płynnie mówił po niemiecku, dlatego pilnował radia i od czasu do czasu sprawdzał się w poszukiwaniu informacji mogących nam pomóc w bezpiecznym i stosunkowo spokojnym dotarciu, a następnie zorganizowaniu się u celu podróży.

Ten facet zaczynał mnie coraz bardziej interesować. W żadnym wypadku imponować, po prostu interesować. Owszem, przy pierwszym spotkaniu, gdy targaly mną jeszcze te wszystkie negatywne emocje, w pewnym sensie go zignorowałem, zakładając, że Krzychu postanowił go włączyć do naszej ekipy z jakiegoś powodu. A tych było wiele, bo facet był komandosem GROM-u, a do tego snajperem, dzięki czemu mógł zorganizować konkretny sprzęt i kilka innych tak niezbędnych gadżetów, od których obecnie byliśmy odcięci. Do tego świetnie znał niemiecki i miał obycie w krajach Bliskiego Wschodu, zapewne również doświadczenie bojowe. Niby wszystko super, ale podskórnie czułem, że się z facetem nie dogadam. Trudno to jednoznacznie określić, ale był jakiś taki za idealny. Sympatyczna fryzurka „na Lewego” z czasów jego świetności, pociągła twarz z mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi, niebieskie oczy,

dobrze zbudowany, choć nieco szczuplejszy od Krzyśka. Taki przystojniaczek, na widok którego w wiejskich dyskotekach wszystkie laski sikają w majtki i — to drażniło mnie chyba najbardziej — grzeczny, uprzejmy i ułożony aż do bólu. Pomijam już fakt, że poczułem się odstawiony na boczny tor, bo przy omawianiu większości tematów Figur zawsze czekał na jego zdanie, z którym najwyraźniej bardzo się liczył, mnie może nie lekceważąc, ale jakby nieświadomie spychając z miejsca, które sobie wcześniej wywalczyłem. Może przesadzałem i najzwyczajniej byłem zazdrosny, ale facet działał mi na nerwy i nic nie mogłem na to poradzić. Pocieszałem się jedynie faktem, że przynajmniej nie byłem końcem odwłoka, bo to zaszczytne miejsce zajął teraz Łukasz.

W ogóle wkurzała mnie moja słabość i bezsilność. Zdawałem sobie sprawę, że gdyby nie Krzysiek, nigdy nie zdecydowałbym się ruszyć za Abi Rabi'ą, zapewne kolejne tygodnie, może miesiące, a nawet lata, rozczulałbym się nad sobą i beczał w poduszkę, wspominając moją ukochaną Nawal i wierząc w cud odnalezienia Moniki przez Juana Mondragona, którego bezgłowe ciało już wtedy gniło na śmietniku. Siostra Figura stałaby się jedną z setek tysięcy ofiar handlu żywym towarem i na zawsze przepadałaby bez wieści, a ja nie mogąc znieść wyrzutów sumienia, pewnie z podkulonym ogonem wróciłbym do Polski i sterany psychicznie żył kolejne lata, jak żałosna pizda. Ta moja oczywista beznadziejność była dla mnie okropna, czułem do siebie niemal obrzydzenie. Ale co mi zostawało? Mogłem tylko zacisnąć zęby i wierzyć, że kiedyś to się zmieni, że będę mógł decydować i walczyć o swoje, nie patrząc na innych i nie będąc uzależnionym od lepszych od siebie. W tej chwili brakowało mi tych wszystkich umiejętności, które posiadali ci żołnierze, na każdej płaszczyźnie byłem od nich słabszy. Nigdy żadnego z nich nie pokonałbym w walce wręcz, nie oszukałbym, nie ocenił tak dobrze sytuacji, nie pokonał przeciwnika, nie wytrzymał tortur, gdyby do nich doszło... Wciąż byłem bezbronną owcą płaczącą się w świecie wilków. Musiałem to zmienić, a śmierć rodziców tylko wzmocniła to palące pragnienie, praktycznie eliminując pozostałe. W czasie wojny wszyscy twardnieją dużo szybciej — o tym miałem przekonać się już wkrótce...

Naszym pierwszym celem był park Tiergarten, który zgodnie z medialnymi doniesieniami stał się sercem tego całego bałaganu. Północna jego część, a w zasadzie niewielka wysepka pomiędzy linią drzew a rzeką Sprewą, zdecydowanie najmocniej chroniona, z oczywistych względów wciąż należała do sił rządowych. Znajdujący się tam Bundestag był ostatnim bastionem władzy, w którym kanclerz próbował szukać rozwiązania

i wyjścia z kryzysu, a zwołana w trybie pilnym Rada Bezpieczeństwa jałowo debatowała nad możliwościami uspokojenia sytuacji, która, owszem, nieco się ustabilizowała, ale wciąż daleka była od normalności. Problem miała nie lada, bo o ile Francuzi stosunkowo szybko wprowadzili stan wojenny i coraz bardziej krwawo dławili siły rebeliantów, o tyle Niemcy znalazły się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Z jednej strony wściekli Amerykanie (którzy musieli się ewakuować z budynków własnej ambasady, znajdującej się tuż przy Bramie Brandenburskiej) naciskali, aby niemieckie władze w końcu zrobiły w państwie porządek, z drugiej łakomym wzrokiem obserwujący wszystko Rosjanie, którzy postawili w stan gotowości Flotę Bałtycką, z trzeciej prezydent Turcji, który zagroził, że każda agresja w stosunku do niemieckich muzułmanów, z których zdecydowaną większość wciąż stanowili obywatele lub ludzie mający pochodzenie tureckie, będzie odczytana jako wypowiedzenie wojny temu krajowi, a co za tym idzie — nie wyklucza „stanowczej odpowiedzi”. Pomijając ewentualne ryzyko znalezienia się w stanie wojny z największą europejską, bo liczącą milion ludzi pod bronią, świetnie wyszkoloną armią, należało wziąć pod uwagę, że zamieszkujący teren Niemiec Turcy tylko czekali na pozwolenie swojego przywódcy do rozpętania jeszcze większego piekła.

Kanclerz był w kropce, ale oddanie Bundestagu nie wchodziło w grę, dlatego w promieniu kilkuset metrów od rządowego budynku, w kilku kolejnych kordonach, znajdowały się prawie dwa tysiące żołnierzy, w tym przynajmniej kilkuset z oddziałów specjalnych. Trudno było wyobrazić sobie fakt, że w zasięgu wzroku mieli barykadę ze zdezelowanych autobusów i samochodów, za którą kotłowały się tysiące muzułmańskich rebeliantów co rusz prowokujących mundurowych, a to paląc niemieckie flagi i kukły kanclerza, a to wdrapując się na szczyt zapory i bezczelnie oddając mocz czy manifestując poparcie dla kalifatu. Doskonale pamiętałem zdjęcia w telewizji, gdy Brama Brandenburska utonęła w kłębach gęstego dymu z palonych opon, ułożonych w półkolu, z lotu ptaka przypominających czarny uśmiech wściekłego emotikona. Zwłaszcza jedna fotka, zrobiona zresztą przez polskiego reportera, obiegła cały świat. Przedstawiała trzech zamaskowanych mężczyzn na barykadzie, ten znajdujący się w środku dzierżył w rękach kij, na którego szczycie trochę niedbale przymocowana była łopocząca na wietrze flaga Państwa Islamskiego, drugi, nieco przygarbiony, stał wsparty o lufę starego AK-47, a trzeci w drapieźnym geście celował palcem wskazującym wprost w obiektyw aparatu. Zdjęcie wykonano w nocy, na tle języków ognia i kłębów czarnego dymu z palonych opon, przez które prześwitywały grube kolumny osiemnastowiecznego

zabytku, a na górze, w przestrzeni pomiędzy czarnymi kołtunami, trochę rozmazana i ledwo dostrzegalna łypała z rydwanu bogini Wiktoria. To wszystko jeszcze bardziej potęgowało agresywny przekaz i niewątpliwą symbolikę tego niepowtarzalnego zdjęcia, potwierdzając i niosąc w świat informację, że muzułmańscy rebelianci wdarli się do serca Berlina i wyrwali je nieprzygotowanym i nieświadomym zagrożenia Niemcom.

Właśnie oni byli drugą siłą w parku Tiergarten. Ich największy bastion rozciągał się od Sprewy na północy, po park Tempelhof na południu i graniczący z dzielnicą Neukölln na wschodzie, co powodowało, że praktycznie całe ścisłe centrum miasta znalazło się w rękach islamskich przybyszy. Niepisana granica ciągnęła się od Bramy Brandenburskiej do południowo-wschodniego skraju parku, gdzie znajdował się słynny plac Poczdamski, następnie wzdłuż szerokiego pasa zieleni, który za kanałem Landwehr przeradzał się w jeszcze większy, normalnie wykorzystywany przez mieszkańców do celów rekreacyjnych i ciągnący się aż do przedmieść. Na wschód od tej linii lepiej było się nie zapuszczać, na zachód — ludzie mogli funkcjonować w miarę normalnie, a przynajmniej ich życie zdawało się niezagrażone, gdyż obie strony okopały się na swoich stanowiskach i jedynie od czasu do czasu dochodziło do pomniejszych potyczek, głównie za sprawą najbardziej radykalnych grup z obu stron.

To była trzecia siła, która wobec faktycznego braku funkcjonariuszy policji mogła działać praktycznie bez przeszkód. Skrajnie prawicowe, faszyzujące, a czasem nawet nieukrywające swojej prawdziwej natury neonazistowskie bojówki, które zjechały się z całych Niemiec oraz państw ościennych, w tym Polski, okupowały tereny graniczące z niepisaną strefą muzułmańską, regularnie zapuszczając się na „wrogi” teren, aby bezkarnie atakować, a często mordować tamtejszą ludność lub ścierać się z islamskimi odpowiednikami po drugiej stronie. Relacje medialne wspominały o wyjątkowym bestialstwie, a jedni i drudzy dbali o to, aby dziennikarze mieli o czym mówić i pisać, podrzucając im albo po prostu wgrywając do sieci dowody okrucieństwa przeciwników. Dlatego nietrudno było odszukać Niemców pokazujących na filmikach odrąbane głowy swoich kompanów czy muzułmanów przedstawiających własną wersję podobnych wydarzeń. Wojsko, choć w strategicznych, najbardziej zapalnych miejscach ustawiło wozy opancerzone, a nawet czołgi, starało się jakoś utrzymać porządek, ale nie było w stanie zapanować nad sytuacją, tym bardziej że stało się celem obu zradyzalizowanych grup, a dodatkowo, mając zakaz otwierania ognia, w zasadzie mogło się jedynie przyglądać. Zdegustowani żołnierze, których morale i tak było w tej sytuacji wyjątkowo liche, woleli więc siedzieć

w bezpiecznych pojazdach niż wdawać się w z góry przegrane próby powstrzymywania przelewu krwi przez zwalczające się strony.

Berlin, teatr wojny... Brzmiało to tak nieprawdopodobnie...

Z zamyślenia wybił mnie huk upadającego drzewa, które zważyło się dosłownie kilkanaście metrów przed nami. Zatrzymaliśmy się i przez moment czekaliśmy, co się wydarzy, bo w jego koronę zaplątały się, a następnie przerwały druty wysokiego napięcia, które tańczyły teraz w strugach deszczu niczym końcówki diabelskiego bicia, do momentu aż napięcie ustało. Wciąż lało jak z cebra, a wiatr wył jak przywódca wilczej watahy w czasie pełni księżyca. Ominęliśmy przeszkodę poboczem, obserwowałem przez szybę martwe kable w niezrozumiałej obawie, że ich końcówki znów błysną, a następnie oplotą nasz pojazd i zamienią w wielki toster. Nic takiego oczywiście się nie stało i chwilę później sunęliśmy asfaltową jezdnią, zamyśleni, walczący z własnymi demonami. Na nasze szczęście pogoda sprawiła, że większość dróg była pusta, ci, którzy mieli wyjechać, zrobili to już kilka dni temu, reszta o tej porze i przy takiej aurze wolą pozostać w najbezpieczniejszych w tej chwili mieszkaniach i domach. Sporadycznie mijaliśmy jakiś samochód, najczęściej zapakowany po dach klamotami, jak pierwsze golfy i jetty polskich turystów wybierających się w latach dziewięćdziesiątych do Włoch czy Chorwacji. Twarze osób znajdujących się w środku nie przypominały jednak rozanielonych obliczy nowobogackich globtroterów w skarpetach i sandałach, wyrażały głównie przygnębienie i smutek.

Posuwając się przedmieściami, nie natrafiliśmy na więcej niespodzianek, nie licząc kolejnych sześciu trupów leżących przy drodze. Nie zatrzymaliśmy się jednak ani razu, ignorując ten przykry widok, zwolniliśmy dopiero w momencie, gdy trasę zagroziło nam ciało leżące na wznak mężczyzny w zielonej, nadymanej przez wiatr kurtce. Chwilę później przyspieszyliśmy i ominąwszy przeszkodę, pojechaliśmy dalej. Cóż, fortel był wyjątkowo kiepski, bo nawet ja wyczułem, że coś tu nie gra, słaba widoczność nie przeszkodziła nam w dojrzeniu czyhających w zaroślach zakapturzonych typków, którzy, kimkolwiek byli, z pewnością nie mieli wobec nas ani innych naiwnych kierowców pokojowych zamiarów.

Gdy dotarliśmy na tereny bardziej zurbanizowane, dochodziła siódma. Niebo wciąż było zasnutę burzowymi chmurami, z których co chwila błyskało, a na horyzoncie kotłowały się obłoki przypominające mi jedynie pejzaż zbliżającej się apokalipsy. Ciemne, ciężkie i niosące w sobie grozę. Matka natura, wściekła czy nie, była jednak po naszej stronie, bo prognozy wskazywały, że Berlin właśnie znalazł się w epicentrum orkanu Wilhelm,

a ulewy i wiatr będą trwać przynajmniej do późnego popołudnia, jeśli nie wieczora. To był dobry znak, bo właśnie wtedy mieliśmy wkroczyć do akcji. Na samą myśl czułem w brzuchu mrowienie.

Posuwaliśmy się kolejnymi dzielnicami w kompletnie nienaturalnym jak na tę część miasta spokoju. Przez długi czas trudno było dostrzec jakiegokolwiek ślady zamieszek. Niewysokie, zazwyczaj cztero- czy pięciopiętrowe budynki, ni to bloki, ni kamienice, wyglądały jak nowe, nietknięte okna wciąż odbijały blask naszych reflektorów, a pojedyncze samochody stały na przeznaczonych do tego miejscach parkingowych. W pewnym momencie zacząłem nawet wątpić, czy aby na pewno relacje medialne są prawdziwe i czy przypadkiem dla podkreślenia oglądalności kierownictwa stacji dziennikarze nie dokonują szkodliwych manipulacji. Postanowiłem jednak nie przerywać ciszy i nie epatować swoimi bzdurnymi przemyśleniami, których wspaniałomyślne objawienie nie wniosłoby do sprawy absolutnie nic. Bez większych przeszkód przejechaliśmy więc przez Steglitz, Friedenau i Wilmersdorf, aż dojrzeliliśmy pierwszy znak kierujący nas w okolice berlińskiego zoo, w którym umówiliśmy się z Piotrkim Pawikiem, facetem od bunkrów i podziemi. Nietrudno było go namówić do współpracy, bo był wyjątkowo narwanym typem i każda możliwość przeżycia jakiejś przygody sprawiała, że pompowana do żył adrenalina natychmiast przesłaniała mu całą rzeczywistość. I choć oczywiście nie miał zielonego pojęcia, co planujemy, sam fakt, że przyjechaliśmy tu w jakimś konkretnym celu, powodował, że chłop już przebierał nogami, aby nam pomóc, zwłaszcza gdy oznajmiłem, że chcemy niepostrzeżenie przedostać się w okolice Bramy Brandenburskiej.

Gdy mój sceptycyzm nieubłaganie zbliżał się na skraj granicy, za którą już czekała frustracja, moim oczom ukazały się pierwsze dowody niedawnych, z pewnością dynamicznych i brutalnych, zamieszek. Po prawej minęliśmy coś, co przypominało pozostałości po barykadzie, niemal zupełnie blokującej wjazd do jednej z ulic. Dwa spalone wraki, trochę połamanych mebli, jakiś tapczan, worki z piaskiem, porozrzucane dokoła opony i mnóstwo tłuczonego szkła świadczyły, że prawie na pewno doszło tu do jakiejś potyczki, prawdopodobnie również niewielkiego pożaru, bo kilka okolicznych drzew przypominało martwe, bezlistne kikuty, a ściana jednego z budynków nosiła ewidentne ślady osmolenia. Im bliżej centrum byliśmy, Berlin raczył nas coraz większą liczbą podobnych widoków. W oczy rzucały się spalone wraki, witryny sklepowe, te niezniszczone można było policzyć na palcach jednej ręki, a towar wyścielał chodnik i ulice. Z jednej z nich co rusz wyfruwały jakieś papiery, a wiatr unosił je

w górę i porywał w świat, z innej podmuchy zasysały złote zasłony, które łopotały na wietrze, jakby chciały wyrwać się na zewnątrz. Obok znajdował się ogołocony salon jubilerski, po którym zostały tylko porozrywane policyjne taśmy i wystające poza zbitą szybę puste półki. Sporadycznie jakiś mieszkaniec albo po prostu zwykły złodziej wychylał się z wnętrza lokalu lub zgarbiony i okutany w kaptur przemykał w sobie tylko znanym kierunku, dzierząc coś pod pachą. Wiele okiennic nosiło ślady ognia, czarne smugi na murach ciągnęły się ku górze, dając świadectwo niedawnym pożarom. Niektóre ulice wyglądały jak plan filmowy niskobudżetowej produkcji o pladze zombie, które opanowały miasto i doprowadziły do jego wyludnienia, wcześniej siejąc zniszczenie i pożogę.

W pewnym momencie dostrzegłem coś, czego absolutnie się nie spodziewałem. Przetarłem szybę, aby upewnić się, czy wzrok nie płata mi figli. Nic z tych rzeczy. Jakieś dwadzieścia metrów dalej, po przeciwnej stronie ulicy, po chodniku maszerowała zebra, która przystanęła i nic sobie nie robiąc z szalejącej aury, leniwie odprowadziła nas wzrokiem.

— Widzieliście to? — spytałem zdumiony.

— Nooo — burknęli niemal jednocześnie wszyscy kompani.

— Nie wiem, czy to dobra opcja, spotykać się przed zoo — rzucił sarkastycznie Patryk, oglądając się jeszcze za obserwującym nas zwierzęciem.

— Co prawda, to prawda. Sama się nie wydostała, więc jeśli ktoś ją wypuścił, to mógł też wypuścić inne — dodał Figur.

— Ha! — zachnął się Patryk. — No to chyba wywołałeś wilka z lasu. — Żołnierz pogłośnił radio i zaczął tłumaczyć tekst wypowiedziany przez mężczyźnię o surowym i oschłym głosie.

Według relacji nieznana jeszcze liczba zwierząt została wypuszczona z klatek. I tak widziano już w okolicach zoo kilka małąp, hien i pekari, trzy zebry oraz... dwie lwice. Służby ostrzegają, aby ludzie pozostali w domach, dopóki te zaskakujące doniesienia nie zostaną potwierdzone, a ewentualne zagrożenie zażegnane.

W normalnych okolicznościach sytuacja pewnie by nas porządnie rozbawiła, ale dziś nikomu nie było do śmiechu. Deszcz dalej bębnił w karoserię, a pod kołami chrzęściło szkło.

— Kuba, dzwoń do tego grotolaza — polecił Figur. — Dojeżdżamy i nie chcę żadnych niespodzianek.

Wyciągnąłem smartfon i wybrałem numer do Piotrka. Odebrał natychmiast.

— Siema.

— Siema, dojeżdżacie? — wyprzedził mnie.

— Tak, jesteśmy już na Nürnberger Strasse.

— Tym wielkim czarnym bydlakiem?

— Nooo...

— Dobra, widzę was, jesteście za mną. Ten czerwony rzęch przed skrzyżowaniem to ja.

Powtórzyłem kierowcy i wskazałem charakterystyczny czerwony tyłek starego golfa czwórki.

— Kuba, słuchaj... Musimy zmienić plany, bo nie wiem, czy słyszeliście, ale w okolicy pałętają się zwierzęta z zoo, podobno nawet lwy. Ja pieprzę chodzić teraz piechotą, więc jak chcecie, to przesiądę się do was i pojedziemy w okolice Bramy Brandenburskiej od południa. W takiej terenówce będziemy bezpieczni, tym bardziej że w tę pogodę na barykadach jest spokojnie.

Szybko powtórzyłem Krzyśkowi, ale ten tylko potrząsnął głową.

— Nie zmieniamy planów. Niech nas prowadzi do tego garażu.

Przytaknąłem i porozumiewając się z Piotrkim, ruszyliśmy za nim. Ten skręcił za róg i po kolejnych pięćdziesięciu metrach zjechał do podziemnego parkingu. Był prawie pusty, choć ostało się parę samochodów, o dziwo, w nietkniętym stanie. Zaparkowaliśmy w zaciemnionym rogu i wyszliśmy z terenówki. W murach było chłodno i panowała niemal niezmacona cisza, którą po chwili przerwało stukanie podeszew naszych ciężkich butów.

Przywitaliśmy się. Piotrek nie zmienił się od naszego ostatniego spotkania przed kilkoma laty. Dalej nosił długie czarne dready i kozią bródkę. Miał na sobie żołnierskie buty i znoszone spodnie khaki oraz grubą bluzę z kapturem (dałbym sobie uciąć mały palec, że te same nosił, gdy chodziliśmy kiedyś po bunkrach Riese). Jak zwykle uśmiechnięty, otwarty i przesiąknięty charakterystyczną wonią marihuany.

— Niezła ekipa — zagadnął, wyciągając skręta i rolując go w palcach.

— Tylko nie mówcie, że przyjechaliście bić ciapatych. — Wyszczrzył zęby, ale widząc poważne miny rosnących kompanów, trochę spuścił z tonu i agresywniej zaczął żuć gumę.

— Pozwól, że przejdziemy od razu do konkretów. Krzysiek wszystko ci wytłumaczy.

Wskazałem na legionistę, który następnie w kilku słowach wyłuszczył mu, czego od niego oczekujemy. Wymienili kilka uwag, Piotrek chyba wyczuł powagę sytuacji, bo uśmiech zniknął z jego twarzy. Nie spieszył się jednak, chyba nawet nie zdenerwował, ale słowa Figura ostatecznie przyjął zadaniowo. W końcu łażenie pod ulicami Berlina traktował w ostatnich

latach jak pracę zarobkową, więc dostrzegając, że nie przyjechaliśmy tu dla zabawy, potraktował nas jak kolejną grupę, którą musi przeprowadzić z punktu A do punktu B. Musiał znać tunele jak własną kieszeń, bo w czasie rozmowy operował nazwami kolejnych ulic, odległościami i czasem, jaki jest potrzebny, aby je pokonać. Wielkim plusem był fakt, że podobnie jak w Paryżu, muzułmanie byli ostatnimi, którzy kiedykolwiek zapuszczali się pod ziemię, więc nawet jeśli ktoś ruszyłby naszymi śladami, zapewne szybko pogubiłby się w labiryncie starych i poplątanych bunkrów, w których kiedyś Adolf Hitler i jego ponura świta najpierw snuli plany swoich podbojów, aby w tych murach ostatecznie umrzeć, do samego końca świącie wierząc w zwycięstwo dawno już przegranej wojny.

— Ale żeby była jasność: nie idę teraz do parku z buta. Nie chcę się natknąć na jakiegoś tygrysa czy krokodyła. Diabli wiedzą, co tam powyłaziło z tych klatek.

Piotrek odpalił długo rolowanego w palcach skręta. W powietrzu rozszedł się znajomy zapach. Uprzedziłem chłopaków, że koleś lepiej funkcjonuje, mając w żyłach THC, dlatego nie oponowali, choć wiedziałem, co siedziało im w głowie — nie byli zadowoleni, że będzie nas pilotował facet, który większość życia spędza na haju.

— W porządku, kolego, nikt tego od ciebie nie oczekuje — odparł Figur, uspokajając go dodatkowo gestem dłoni, następnie zwrócił się w moją i Łukasza stronę. — Skoro Piotrek mówi, że jest spokojnie, to podjedziemy wzdłuż parku i w połowie drogi wysadzicie mnie, Patryka i Franco. Rekonesans zajmie nam około godziny, a wy w tym czasie zróbcie rundę po ulicach i sprawdźcie, czy nie czekają nas jakieś niespodzianki.

— A co ze mną? — wtrącił się Piotrek.

— Wejdiesz na pakę, a potem się przesiądziesz. Znasz teren, to ich pokierujesz. Ale nie oddalajcie się zbyttno i w żadnym wypadku nie wchodźcie w jakąkolwiek interakcję z innymi mieszkańcami. Patrzycie i spadacie z powrotem na parking.

— Co wy, do diabła, kombinujecie? — wtrącił się Piotrek, marszcząc brwi.

Figur nie odpowiedział, tylko zmierzył mnie surowym spojrzeniem, które znaczyło mi więcej: „to twój kumpel, więc powiedz mu, żeby skupił się na robocie i nie wciskał nosa w nieswoje sprawy”.

— Zostaw to, Piotrek — mruknąłem, na tyle stanowczo jednak, że stary kompan umilkł.

Gdy wsiadaliśmy z powrotem do naszego czarnego potwora, legionieści odeszli na bok, a Krzychu przekazał Franco wszystko, co zostało ustalone,

gdyż dla ułatwienia komunikacji z Piotrkim rozmawialiśmy po polsku. Chwilę później potężny Włoch zaciągnął się po raz ostatni i wystrzelił niedopałek, po czym zapakował swoje wielkie cielsko na miejsce pasażera. Łukasz przekręcił kluczyk, a silnik wydał groźny pomruk. Wszyscy jak jeden mąż zarzuciliśmy na głowę kaptury. Gdy krople znów zabębniły w karoserię, przyszła mi do głowy niedorzeczna myśl, że wyglądamy jak średniowieczni pielgrzymi podążający na spotkanie z ponurym przeznaczeniem.

Krzysiek

8 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

— Żadnej interakcji — powtórzył stanowczo w kierunku Kuby, Łukasza i Piotrka, następnie zamknął drzwi i rozejrzawszy się raz jeszcze, ruszył w kierunku linii drzew słynnego parku Tiergarten.

Plan wydawał mu się dobry, oczywiście niepozbawiony wysokiego ryzyka, ale w aktualnej sytuacji jedyny, jaki mógł im przynieść powodzenie. Ostatnia obserwacja miała tylko utwierdzić go w przekonaniu, że podjął faktycznie najlepszą decyzję z możliwych. Spojrzał raz jeszcze na swoich kompanów i w duszy podziękował, że ma ich przy sobie.

Wciąż lało jak z cebra, łysiejące korony szumiały pod naporem silnych podmuchów, które porywały kolorowe liście i targały nimi, jakby chciały ogołocić drzewa opierające się potędze natury. Wzdłuż krawężników płynęły rwące potoki, a na chodnikach krople siarczyste siekły rozległe kałuże, które rozdzielały wysepki naniesionego błota. Było ślisko i niebezpiecznie, a kiepska widoczność utrudniała orientację w terenie. Ale nie Krzyśkowi, jego to specjalnie nie martwiło, bo mapę parku miał wrytą w głowie nie gorzej niż cyfrowe dane na dysku twardym, zresztą zawsze przejawiał ponadprzeciętne predyspozycje do orientacji w terenie, co pozwoliło mu dość szybko stać się jednym z najlepszych zwiadowców w swojej jednostce. Głównie dzięki temu zdołał przed laty wyciągnąć swojego włoskiego przyjaciela z pułapki w nigeryjskiej dżungli. Raz jeszcze spojrzał na surową twarz Franco Zaccheriniego. Spłacił swój dług już przynajmniej kilka razy, a mimo to przy nim trwał.

Ta myśl podniosła go na duchu. Zerknął na Patryka, który truchtał po jego lewej stronie. Kompan spostrzegł jego wzrok i ledwo zauważalnie skinął, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Posuwali się pomiędzy drzewami, jak cienie, wykorzystując żywe osłony. Nie zważali na wydawane dźwięki, chlupot wody pod ich ciężkimi butami czy szelest krzaków, przez które się przedzierali. Nie musieli poruszać się bezszelestnie, jak byli do tego szkoleni, gdyż wiatr dął jak opętany, a konary trzeszczały pod jego naporem, wzbudzając uczucie permanentnego napięcia i zagrożenia. Legionista rozejrzał się raz jeszcze. Od momentu wyjścia z samochodu nie

dostrzegli w parku nikogo, nie licząc dwóch bezpańskich kundli, węszących i wybierających resztki z przepełnionego śmietnika. Dotarli do granicy drzew i jego oczom ukazał się biały obiekt otoczony zielenią i zniszczonymi przez ulewę kwiatami. Doskonale go pamiętał, potraktował jako jeden z punktów orientacyjnych — biały obelisk z wrytymi podobiznami trzech największych niemieckojęzycznych kompozytorów: Ludwiga van Beethovena, Josepha Haydna i Amadeusza Mozarta. To oznaczało, że znajdują się nie więcej niż czterysta metrów w linii prostej od Bramy Brandenburskiej.

Wokół nie było nikogo. Jedynie kałuże, błoto i masa walających się śmieci. Papiery, szmaty, stare pokrowce, zużyte opony, zniszczone meble i tysiące wszelkiej maści przedmiotów, które paskudnie szpeciły niegdyś całkiem przyjemną dla oka okolicę, wszystko pokryte szalejącą burzą kolorowych liści. Wtem jego wzrok przykuł nienaturalny widok, choć „nienaturalny” znaczyło „sprzeczny z naturą”, ponieważ żadne drzewo nie wypuszcza konarów w takim kierunku. On jednak podobne scenerie kojarzył nie tylko z filmów o Dzikim Zachodzie i zdjęć pokazywanych na szkoleniach w Legii, ale także z pracy, szczególnie gdy razem z innymi żołnierzami wkroczyli do centrum sudańskiego Malakal. Tam ujrzał zbliżony pejzaż, ale rolę drzewa pełniły latarnie i słupy wysokiego napięcia, na których wisały setki gnijących ciał, głównie starców, kobiet i dzieci. Islamiści zostawili ich jako ostrzeżenie dla tych, których uznawali za wrogów. Czyli właściwie wszystkich.

Na rosnącym pięćdziesiąt metrów na prawo drzewie wisiał tylko jeden trup. Dyndał na wietrze jak szmaciana lalka, naginając konar, na którym była umocowana lina. Albo kabel, przy tej widoczności trudno było to jednoznacznie ocenić. Nietrudno było jednak dostrzec, że na drugim konarze tkwiły zatknięte na sękach dwie głowy, jedna większa, druga mniejsza, obie z długimi blond włosami zaplątanymi pomiędzy gałęzie. Musiały być świeże, skoro jeszcze nikt ich stąd nie zabrał, a to oznaczało, że wróg wcale nie musi ukrywać się za barykadami. Może być blisko, przyczajony w gęstwinie, gotowy mordować.

Nie musiał spoglądać na kompanów, wiedział, że też to dostrzegli. Nie mogło to umknąć uwagi żadnego profesjonalisty. Przeskanował linię drzew za obeliskiem. Nie dostrzegając zagrożenia, dał znak towarzyszom i cała trójka szybko przemknęła przez wolną przestrzeń, aby chwilę później znów pochłonęła ich czerwono-złota jesień. Jego czujność wzrosła automatycznie, organizm wszedł na wyższy poziom, umysł zawęził funkcjonowanie jedynie do wykonywanej misji. Działał podświadomie, a każda komórka jego ciała

była przygotowana do natychmiastowej reakcji na jakiekolwiek zagrożenie. Gdyby ktoś chciał go podejść, nie miałby najmniejszych szans, szczególnie jeśli byłby to amator.

Trzymając się drzew i zarośli, doszedł z kompanami do niewysokiego murku, który znajdował się na granicy drzew i ulicy Strasse des 17. Juni, łączącej Kolumnę Zwycięstwa i Bramę Brandenburską. Przykucnął, wykorzystując go jako osłonę i tarczę w jednym, w razie gdyby sytuacja nagle miała się niekorzystnie zmienić. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki minilornetkę i zbadał okolicę. Gdy upewnił się, że z mniej interesujących go kierunków w zasięgu wzroku nie widać żadnego zagrożenia, skupił uwagę na miejscu, które wkrótce miało przejść do jakże ponurej historii.

Brama Brandenburska była stąd ledwie widoczna, bo choć znajdowała się nie dalej niż sto pięćdziesiąt metrów od trójki żołnierzy, jej monumentalne kształty przesłaniały wysokie na — jak szybko ocenił — około trzy metry barykady. W ich skład wchodziły dwa autobusy, które zdawały się głównym budulcem, nawet z tej odległości dostrzegł, że musiały znieść całkiem sporą dawkę ołowiu i ognia. Pobite okna, głębokie wgniecenia, ślady po kulach i osmolona karoseria wyraźnie wskazywały, że jeszcze niedawno było tu bardzo gorąco. Pozostały materiał barykady składał się pewnie ze wszystkiego, co jej budowniczy mogli znaleźć w pobliżu: przewróconych samochodów, niezliczonej masy opon, mebli, płyt chodnikowych, fragmentów plastikowych tablic, worków z piaskiem, a nawet grubych pniaków. To wszystko prezentowało się całkiem okazale i choć pierwszy lepszy niemiecki czołg, choćby ulepszona wersja Leoparda, przebiłby się, nawet nie odczuwając, że coś stoi mu na drodze, to barykady były szczelne i dobrze chroniły znajdujących się za nimi obrońców w potencjalnej walce z piechotą. Ciągnęły się wzdłuż przyległych ulic na tyle daleko, że z tej pozycji nie dało się ustalić, gdzie znajdował się ich koniec i choć Piotrek wstępnie nakreślił sytuację, legionista musiał to potwierdzić bez względu na okoliczności.

Lornetka ponownie powróciła w centralny punkt, omiotła górną część kolumn i zatrzymała się w miejscu, które tak okrutnie brukowało symbol Berlina. Dosiadająca rydwanu bogini Wiktoria wciąż dzierżyła w dłoni długi kij, na którego szczycie łopotała czarna flaga Państwa Islamskiego. Krzysiek poczuł wzbierający gniew, zawsze wdzierał się do jego serca, gdy widział to przekłete płótno. Oznaczało kłopoty. Cholernie duże kłopoty.

— Na razie spokojnie, żadnego ruchu — oznajmił i przekazał lornetkę drugiemu legionście, ten pochwycił ją łapczywie i przystawił do oczu.

— Potrafią lepić mury, sukinsyny — mruknął Patryk, omiatając lokalizację przez własny sprzęt. — Ja nie widzę żadnej rozsądnej opcji, aby ich ugryźć z tej strony.

— Franco?

Włoch jeszcze przez chwilę wodził wzrokiem po okolicy, po czym oddał lornetkę przyjacielowi i potarł wąsa.

— Stąd gównem widać, choć umocnili się nie gorzej niż te islamistyczne ścierwa kiedyś w Rakce. Chodźmy obejrzeć tych gnojników z drugiej strony — zasugerował i cała trójka po uprzednim zlustrowaniu okolicy wycofała się za żywopłot, a następnie, trzymając się możliwie jak najbliżej gęstych zarośli, ruszyła w wybranym kierunku.

Po kilkudziesięciu sekundach natrafili na masę śmieci i połamanych gałęzi, wśród których buszowały wynędzniałe kundle. Dwa z nich wygrzebywały łapami coś spod zielonego worka na śmieci. Miały umorusane krwią pyski, a ich sierść była brudna i wypłowiwała. Dokoła unosił się obrzydliwy smród, coś jakby mieszanka spalenizny, gnijącego mięsa i kału. Krzysiek nawet nie chciał myśleć o tym, co leżało ukryte w stercie odpadów, które dla bezpieczeństwa musieli pokonać w pozycji leżącej. Nie pierwszy raz czołgał się wśród cuchnących resztek, ale ta mieszanka dosłownie zapierała mu dech. Mimo wszystko zachował maksymalną czujność, bo pomiędzy drzewami prześwitywała ulica, a za nią wysoka barykada. Wystarczyłoby, żeby ktoś wspiał się na nią i spojrzął z góry, a z pewnością by ich dostrzegł, gdyby poruszali się w pozycji stojącej. To było niepotrzebne ryzyko, bo choć potencjalny nieprzyjaciel nie zdążyłby oddać strzału, to musiałby go uciszyć, czytaj: wyeliminować, a co za tym idzie — ktoś po drugiej stronie dostrzegłby padającego trupa. Wszczęty alarm nie tylko wzbudziłby czujność wroga, ale także skazał ich rekonesans na niepowodzenie. A bez solidnego rozpoznania poziom ryzyka każdej akcji rósł wykładniczo.

Przezołgali się jeszcze kilka metrów, po czym, wykorzystując stare plandeki i pobliskie krzaki, zajęli najlepsze możliwe pozycje. Barykada znajdowała się niecałe dziesięć metrów od nich i przez prześwity mogli dostrzec sporadyczne ruchy. Po drugiej stronie znajdował się wróg.

Choć zasłonięta przez górę wszelkiej maści przedmiotów Brama Brandenburska była stąd niewidoczna, znajdowała się trochę na lewo, w odległości około stu metrów w linii prostej. Nie ona jednak interesowała teraz Krzyśka najbardziej, a wyglądające na wykonane w sposób zdecydowanie mniej sumienny fragmenty barykady znajdujące się na prawo od nich. Mniej więcej na granicy gmachu, w którym jeszcze kilka dni temu

w pocie czoła próbowali walczyć z kryzysem pracownicy amerykańskiej ambasady, i pomnika, a raczej placu złożonego z ponad dwóch tysięcy siedmiuset betonowych bloków, które składały się na Pomnik Pomordowanych Żydów Europy, barykada wyraźnie obniżała poziom, a dodatkowo wyglądała na mniej spójną i trwałą. W niektórych miejscach dobrze wysportowany mężczyzna byłby w stanie ją po prostu przeskoczyć i choć zapewne w środku czekałaby go niemiła niespodzianka w postaci uzbrojonych po zęby rebeliantów pragnących zrobić z niego sito, to fakt ten był wart odnotowania. Tym bardziej że plan nie zakładał wskakiwania do środka, a na zewnątrz, gdyż wejście do jaskini lwa miało nastąpić dzięki nieocenionej pomocy grotołaza w dreadach.

Wycofali się przez kupę cuchnących śmieci w gęstsze zarośla i lekkim łukiem podeszli jak najbliżej tej wątlej części zapory. Schowani za żywopłotem, profesjonalnym okiem ocenili swoje szanse.

— Tak jak założyłem, barykada nie jest tak solidna na całej długości. Dasz radę się przebić? — Krzychu nie spojrzął na kompana z Legii, ale Franco doskonale wiedział, że pytanie jest skierowane do niego. Włoch tylko nieznacznie pokiwał głową. — To jakieś dwieście metrów od Bramy, być może będziesz musiał pokonać kolejne dwieście do następnej ulicy. Tam barykada jest równie słaba. Będziesz miał dwie, może trzy minuty, jeśli spotka cię twardy opór.

— Poradzę sobie.

— Jak to widzisz, Patryk?

Żołnierz GROM-u obserwował przez lornetkę punkt daleko za barykadą, ledwo widoczny między smaganymi wiatrem koronami drzew. Chłonał każdy centymetr dachu budynku, w którym mieścił się hotel Adlon. To tam miał się przyczaić ze swoim składanym powtarzalnym karabinem wyborowym CheyTac M200, najbliższym mu kompanem w czasie każdej akcji jego jednostki. Efektywny na odległość do dwóch i pół tysiąca metrów, był zabójczy w rękach profesjonalisty mierzącego do celu odległego o metrów kilkaset. Dobry snajper mógł zlikwidować w minutę dziesięć celów, snajper bardzo dobry — nawet piętnaście. Patryk twierdził, że jest w stanie zdjąć dwudziestu, i to w pełnym ruchu.

— Do momentu jak nie wybiegniesz z za rogu ambasady, nie będę cię widział, ale mogę ci oczyścić przedpole. Potem sugerowałbym wskoczyć pomiędzy te kolumny i cisnąć na drugą stronę, gdzie barykady są najsłabsze. Zakładam, że nie będzie tam więcej niż kilka celów, więc zajmę się nimi i drogę powinieneś mieć czystą. A gdy już wbiegniesz pomiędzy te bloki, zajmę się pościgiem. Właśnie tak to widzę.

Patryk odsunął lornetkę od oczu i spojrzął na kompanów. Ich oblicza nie zdradzały wielu emocji, ale nie musiały. Wiedział, że właśnie tego oczekiwali, i nie zawiedli się.

— Jakież zagrożenia ze strony wojska? — zagał Krzysiek.

— Wiesz, jak to jest z tymi szeregowymi ciapciakami. Nie wychylą się, jeśli nie dostaną rozkazu, a póki nikt do nich nie otworzy ognia, to taki na pewno nie padnie. Zresztą działamy po drugiej stronie Bramy, nawet nie w zasięgu ich wzroku. Nasza akcja obejdzie ich tyle, co zeszłoroczny śnieg. — Franco, nawet gdy szeptał, brzmiał jak zbliżająca się lokomotywa.

— Też tak myślę. Zerknijmy jeszcze na tę krzyżówkę na końcu. Myślę, że tam jest jednak najlepsze miejsce odbioru. Jak Patryk oczyści ten fragment terenu, to kicniesz przez barykadę wprost do samochodu — zasugerował Krzysiek.

Po tych słowach cała trójka powoli wycofała się w głąb parku, a następnie, przemknąwszy wśród zarośli kolejne sto metrów, raz jeszcze zbliżyła się do żywopłotu na południowo-wschodnim krańcu parku Tiergarten. Jeszcze przez kilka minut obserwowali w milczeniu prześwity w niedbale zmontowanej zaporze. Tu była bardzo słaba, a jej wysokość momentami nie przekraczała półtora metra. Składała się głównie z worków, desek, opon i mebli, przez co jej funkcja bardziej sprowadzała się do wyraźnego zaznaczenia granicy niż do realnej ochrony przed potencjalnym przeciwnikiem. Na długości prawie dwustu metrów Krzysiek dostrzegł tylko dwóch strażników, a raczej wychudzonych smarkaczy z kałasznikowami przewieszonymi przez ramię. Mieli na twarzach czarne kominiarki i włożyli jakieś łachy mające na celu zmylić przeciwnika, że mają do czynienia z zaprawionymi żołnierzami. Jeden rzut wprawnego oka wystarczył, aby określić je jako gówniane fałszywki zakupione w pierwszym lepszym sklepie z militariami. Paląc papierosy, przechadzając się wzdłuż pełnej prześwitów zapory, dodatkowo całkiem wyprostowani, pogrążeni w ożywionej dyskusji, nie zdawali sobie sprawy, jak łatwym są celem, co tylko potwierdziło przypuszczenia, że prawdopodobnie nigdy nawet nie powąchali prochu. To był dobry znak, bo prawie na pewno nie mieli pojęcia o walce w terenie zabudowanym, więc nie byli dla Franco żadnym zagrożeniem. Nie wspominając o Patryku, dla którego równie dobrze mogliby sobie przykleić na plecach tarcze strzelnicze. Oczywiście z góry można było zakładać, że wieczorem, gdy burza nieco osłabnie, a przy Bramie Brandenburskiej zrobi się gorąco (Krzysiek był niemal pewny, że Abi Rabi'a szykuje jakieś przedstawienie), obrona barykady na całej długości zostanie wzmocniona, ale dla wyszkolonych żołnierzy będzie to

jedynie kilka figurek do strącenia więcej. „Oby” — pomyślał legionista i na jego znak żołnierze zaczęli powoli się wycofywać.

Plan był gotowy. Należało go tylko wykonać, punkt po punkcie, a następnie spieprzać z tego kraju jak najdalej.

Kuba

8 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

Odebraliśmy Krzyśka, Franco i Patryka, tak jak się umawialiśmy. Wcześniej przygotowaliśmy plan trzech ewentualnych dróg ewakuacyjnych, mających nas jak najszybciej wyprowadzić z najgorętszego obszaru. A w zasadzie Franco, którego jedynym zadaniem miało być odciągnięcie uwagi od naszej akcji przy Bramie Brandenburskiej, ściągnięcie na siebie ognia, abyśmy w zamieszaniu mogli przechwycić Michała i zastrzelić Muhammada Abi Rabi'ę. Owszem, nie tak to miało wyglądać i nie tak to sobie wyobrażałem, ale pomimo trawiącej mnie nienawiści musiałem przyjąć do wiadomości, że po prostu nie da się wyprowadzić tego pieprzonego Araba i wsadzić go do samochodu, aby później móc w zaciszu jakiejś ponurej piwnicy zrealizować wszystkie swoje mordercze zapędy. Opuściłem nawet myśl o zemście na jego synach, pojmanie ich wszystkich było w aktualnej sytuacji po prostu niewykonalne. Najważniejsze było odbicie mojego przyjaciela. Pocięczałem się jednak, że może kiedyś, w bardziej sprzyjających warunkach, gdy już posiadam szereg niezbędnych umiejętności, wrócę do tematu. Nie może — na pewno...

Zakładaliśmy, że Abi Rabi'a będzie na nas czekał w okolicach Bramy, prawdopodobnie od strony Pariser Platz, placu osłoniętego od oczu wojska i będącego sercem muzułmańskiej rebelii. Jeśli chciał, żebyśmy się ujawnili, musiał przyprowadzić ze sobą Michała. Według Krzyśka, którego doświadczenie nie podlegało żadnej dyskusji, planował kolejne przemówienie połączone z publiczną egzekucją naszego przyjaciela, oczywiście w razie gdybyśmy się nie pojawili. Wtedy, na co staruch zapewne bardzo liczył, egzekucji mogłoby być więcej.

Plan był niezwykle śmiały i — co z jednej strony mnie cieszyło, a z drugiej przerażało — ja z Krzyśkiem mieliśmy odegrać w nim kluczowe role. Piotrek grotolaz miał nas przeprowadzić podmiejskimi bunkrami niemal pod sam Pariser Platz, a dokładnie naprzeciw słynnego Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud, które znajdowało się zaledwie dwieście metrów od placu i około trzystu od Bramy Brandenburskiej. Właśnie w tym miejscu znajdowało się wejście do metra, gdzie od dłuższego

czasu trwały jakieś prace budowlane, ciągnące się w zasadzie od kilku przecznic na niemal całej długości skweru rozdzielającego aleję Unter den Linden. Głębokie doły i rozgrzebana ziemia obecnie musiały zamienić się w podmokłe bagno, co z jednej strony działało na naszą niekorzyść, bo musieliśmy przygotować sobie ciuchy na przebranie, aby nie wyjść całkiem ubłoceni, przez co moglibyśmy wyglądać podejrzanie, z drugiej — nikt o zdrowych zmysłach nie kręcił się za płotem oddzielającym plac budowy od bezpiecznej ulicy, nikt też raczej nie podejrzewał, że ktoś może stamtąd wyjść, a właśnie tam znajdował się odpływ połączony w głębi z siecią tuneli, przez który można było się wydostać na powierzchnię. Zagadką było jedynie to, czy podmokła ziemia nie obsunęła się i nie przytknęła otworu, którego średnica według Piotrka pozwalała dorosłemu mężczyźnie na spokojne przejście na czworakach. Nie byłem tym zachwycony, ale na szczęście odległość, którą musieliśmy pokonać w tej pozycji, nie przekraczała pięćdziesięciu metrów, więc jakiegokolwiek narzekanie w sytuacji, gdy mogliśmy niepostrzeżenie i praktycznie bez żadnego ryzyka znaleźć się niemal w centrum akcji, byłoby grzechem.

Po wyjściu z placu budowy, przepelnionego mnóstwem obiektów, za którymi można było się ukryć, poczynając od wielkogabarytowych maszyn po najróżniejszego rodzaju materiały budowlane potrzebne do renowacji, musieliśmy wtopić się w tłum. Tego obawiałem się najbardziej, bo choć ulewna i wietrzna pogoda była naszym sprzymierzeńcem, dzięki czemu bez wzbudzania podejrzeń mogliśmy schować swoje twarze głęboko pod kapturami, to świadomość, że wokół mnie znajdują się sami muzułmanie, powodowała, że na samą myśl nogi robiły się jak z waty. Krzysiek próbował mnie uspokoić, że w tłumie, zwłaszcza w czasie tak fatalnej aury, nikt nie interesuje się przechodniami, zwłaszcza jeśli w ewidentny sposób nie zwracają na siebie uwagi, ale wciąż zastanawiałem się, czy zdołam opanować to paskudne uczucie, które dopadło mnie choćby w Paryżu, gdy szukaliśmy sklepu Humy Mosisi, córki Ayo (swoją drogą ciekawe, co teraz robił ten niezwykle człowiek). Wtedy, idąc znajdującą się w strefie szariaty Rue de Rochechouart, miałem wrażenie, że wszystkie oczy skierowane są właśnie na mnie. To uczucie było niezwykle natarczywe, ale byliśmy stosunkowo bezpieczni. Tutaj znajdowaliśmy się na terenie wroga, gdzie każdy mijany mężczyzna mógł odkryć naszą tożsamość, a co za tym idzie — wszcząć alarm i najpewniej nas pojmać. Dalej wołałem nie puszczać wodzy fantazji...

Mieliśmy do pokonania od dwustu do trzystu metrów wśród muzułmańskiej gawiedzi, udając wyznawców Allaha. Niestety, nie

przewidziałem tego i niepotrzebnie kilka dni temu ogoliłem dość bujną już brodę, więc musiałem — zresztą jak większość chłopaków — polegać na doklejanej, w którą, jak w pozostałe niezbędne gadżety, zaopatrzyliśmy się jeszcze przed opuszczeniem Zielonej Góry. Następnie należało maksymalnie zbliżyć się do Abi Rabi’i i Michała — ten moment był zdecydowanie najtrudniejszy i ekstremalnie stresujący, bo istniało duże prawdopodobieństwo, że nasz przyjaciel znajdzie się obok swego oprawcy tuż przed potencjalną egzekucją — po czym w skoordynowanym z Franco i Patrykiem ataku wzbudzić totalną panikę i odbić Afgana z rąk starucha. Brzmi obłąkańczo? Mało powiedziane, ale innego planu nie było i musiałem polegać na doświadczeniu Krzyśka, który w takich akcjach czuł się jak ryba w wodzie. Pewnie zapytacie, jakim cudem mielibyśmy to zrobić i przebyć — być może ze skatowanym i niezdolnym do biegu Michałem — te dwieście do trzystu metrów? Też je zadałem, a odpowiedź była prosta: „Bo nikogo z towarzyszy nie zostawiamy w niewoli. Nikogo!”. Te kilka słów zabrzmiało w ustach mojego przyjaciela tak dobitnie, że poczułem, jak strach ulatuje, a jego miejsce zastępuje szalona determinacja. Zastanawiałem się, jakie psychologiczne sztuczki stosują w wojsku przełożeni wobec podwładnych, których czasem wysyłają pod ogień nieprzyjaciela, niemal na pewną śmierć. Strach przed niewykonaniem rozkazu to jedno, ale dobry oficer musiał wiedzieć, jak przemówić do swoich ludzi. Te kilka słów zadziało na mnie niezwykle mobilizująco. Afgan był moim przyjacielem i w odpowiednim momencie zachował się jak facet. Ja też musiałem przyjąć na swoje barki to brzemie, jeśli kiedykolwiek pragnąłem z czystym sumieniem spojrzeć w lustro.

Na tę okazję każdy miał przy sobie pistolet, a Krzysiek i Franco po dwa niewielkie, choć dysponujące całkiem dużą siłą rażenia ładunki wybuchowe, które udało się zachować jeszcze z czasów akcji na Stade de France. Wielkości długopisu, ale niedające szans nikomu w promieniu pięciu metrów, rzucone w tłumie mogły dokonać krwawej łaźni i wzbudzić totalną panikę. Na naszą korzyść działał jeszcze jeden fakt, o którym do tej pory nie wspominałem — troskliwym spojrzeniem zza snajperskiej lunety miał na nas spoglądać Patryk i to jego zadaniem było oczyszczenie nam drogi i zlikwidowanie wszystkich, którzy w szalejącym tłumie mogli zbyt interesować się dwójką mężczyzn ciągnących ze sobą „niewiernego”. Ba, w kluczowym momencie miał odstrzelić łeb samemu Abi Rabi’i i — jeśli znajdowałiby się w zasięgu jego wzroku — bandzie jego pieprzonych synalków. Zaraz potem ruszyć na drugą stronę dachu, aby skierować lunetę w okolice Pomnika Pomordowanych Żydów Europy i pomóc Franco,

którego zadaniem było odwrócenie uwagi i skierowanie wściekłości motłochu na siebie. My w tym czasie powinniśmy znajdować się już w odpływie, gdzie nieco dalej w głębi miał czekać Piotrek, aby nas wyprowadzić. Patryk po wykonaniu zadania musiał zejść do piwnicy, gdzie było jedno z tajnych przejść, jakich w Berlinie są setki, wprost do starych hitlerowskich bunkrów. Twierdził, że zapamięta drogę, choć w razie nieprzewidzianych problemów Krzysiek z Piotrkim mogli po niego wrócić. Ostatecznie wszyscy mieliśmy spotkać się w garażu jednej ze starych kamienic w pobliżu przyległego do parku Tiergarten ogrodu zoologicznego, do których zawiódł na Piotrek, czyli w miejscu, gdzie miała zaczynać się nasza podróż przez podmiejskie tunele. A potem? Tego, co miało nastąpić potem, bałem się chyba bardziej niż całej obłąkańczej akcji, w którą już za kilka godzin mieliśmy się wpackować. Bo co czekało mnie po powrocie do Zielonej Góry? Pogrzeb, żal, smutek i nudne, gówniane życie z piętnem człowieka, który pozwolił zamordować swoją ciężarną kobietę i wydał wyrok — choć może niebezpośrednio — na swoich rodziców. Do tego ciągły strach przed ewentualną zemstą synów Abi Rabi'i (było mało prawdopodobne, aby Patryk zdołał zlokalizować, a następnie zlikwidować ich wszystkich za jednym zamachem), wizytą policji albo smutnych panów w ciemnych garniturach. Nie mogłem do tego dopuścić.

Cóż... wtedy jeszcze nie wiedziałem, że ponury los przygotował dla mnie własną drogę, a żadna z tych obaw się nie ziści, ba, świat prawdziwych mężczyzn przywita mnie bardzo silnym i szczerym uściskiem. I nigdy już nie wypuści.

Leila

8 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

Atmosfera w ciasnym mieszkaniu na pierwszym piętrze starej kamienicy była napięta. Dwie kobiety właśnie kończyły zmywać naczynia po sutym obiedzie, a w kuchni wciąż utrzymywała się intensywna woń pieczonej baraniny. Gdy matka podała córce ostatni talerz, a ta z namaszczeniem i w milczeniu wytarła go, a następnie odłożyła do szafki, do jasnego pomieszczenia wszedł mężczyzna. Miał daleko zarysowaną łysinę, słuszny nos i skryte pod obfitymi brwiami ciemne oczy, w których wnikliwy obserwator mógł dostrzec wieczny smutek. Poprawił przeciwdeszczowe foliowe nakrycie i położył na ladzie zegarek i kilka banknotów o nominałach od dwudziestu do pięćdziesięciu euro.

Starsza z kobiet, której smukła twarz kiedyś musiała być wyjątkowo urodziwa, zwróciła głowę w kierunku męża i głęboko westchnęła. Przez moment patrzyli sobie w oczy, następnie ojciec zwrócił wzrok ku córce i niezdarnie się uśmiechnął.

— Tak na wszelki wypadek — rzekł, poklepując jeszcze zostawione na wytartym blacie fanty, jedyne cenne rzeczy, które jego najbliżsi mogli wykorzystać w razie gdyby...

— Nie musisz tam iść, mężu — odparła żona.

— Muszę.

— To nie jest nasza sprawa.

— Jest.

— Zaklinam cię, nie wtrącaj się do tego. Czyż litościwy Allah nie pobłogosławił naszego życia w tym kraju?

— Nie chcę do tego wracać. Będę na kolację.

Na twarzy kobiety, której rysy wyraźnie zdradzały lata doświadczeń nie tylko dobrych i przyjemnych, pojawiło się kilka dodatkowych zmarszczek. Zacisnęła pełne usta, a w mądrych oczach przez ułamek sekundy błysnęła złość, która niemal natychmiast została szybko przykryta przez głęboki żal.

— Nie rozumiem cię, mężu, nigdy nie zrozumieję tej chorej męskiej dumy — rzekła i nerwowo chwyciła w dłoń solniczkę, którą zaraz odstawiła na stół.

— Wrócę wieczorem.

— Rób co chcesz, ale wiedz, że jako twoja żona nie pochwalam tego, co robisz. Myślę, że nie tylko ja...

— Nie bluźnij, kobieto!

Tym razem głos mężczyzny był bardziej stanowczy, choć nie podszyty gniewem, a tym bardziej groźbą. Kobieta zmierzyła go surowym wzrokiem i nie wycofała się ze swoich słów. Bo choć doskonale rozumiała zasady rządzące w tym domu, zawsze miała odwagę mówić to, co myśli.

— Przytul przynajmniej swoją córkę i synka, zanim wyjdiesz. I drzwi nie zapomnij zamknąć na klucz — odparła i odwróciła się w kierunku starego zlewu. Oparła się oburącz o blat, jej spojrzenie spoczęło na pokrytym rdzą odpływie.

Mężczyzna opanował emocje i beznamietnie pokiwał głową. Westchnął i w milczeniu zbliżył się do obu kobiet. Objął je czule, a pomieszczenie wypełnił szelest przeciwdeszczowego okrycia, które założył, aby uchronić się przed szalejącą burzą. Po chwili bez słowa opuścił kuchnię i wszedł do pokoju syna, który siedział oparty o starą sofę i układał drewniane, kolorowe klocki. Przytulił go i szepnął coś do ucha, wzbudzając na drobnej twarzyczce szczerą uśmiesz, po czym wstał, otworzył drzwi i opuścił mieszkanie.

Leila wymownie spojrzała na matkę, ale widząc, że ciągnięcie tego bolesnego dla nich obu tematu miało się z celem, wyszła z kuchni i udała się do swojego pokoju. Zamknęła drzwi i włożyła do uszu słuchawki. Donośny dźwięk kropel chłostających parapet zniknął, zastąpiony melodyjnym głosem brytyjskiej piosenkarki Adele. Zamknęła oczy i wzięła kilka głębokich wdechów, wierząc, że tym razem muzyka pozwoli jej zapomnieć o narastających z każdym dniem obawach. Jak zwykle pomyliła się i wszystkie lęki wróciły ze zdwojoną siłą. Przed oczami znów wyrósł las lichych domów i blokowisk na przedmieściach północnego Mosulu. W uszach rozbrzmiał dźwięk świstających kul, piekielnych eksplozji i walących się murów. Pył, kurz i ta okropna woń, jaka unosiła się zaraz po wybuchu, nie do pomylenia z niczym innym na świecie. Ludzie pochodnie, biegający w śmiertelnej agonii, konający na ulicach, broczący krwią, która mieszała się z piachem, barwiąc go na ciemny brąz. Krzyki kobiet i dzieci. W końcu ona, ukryta w ramionach matki, pod jednym z zawalonych stropów. Brak nadziei...

Czy te wspomnienia kiedyś odejdą? Ten nowy świat, do którego przybyły przed ośmioma laty na fali pierwszej wielkiej migracji, miał być bezpieczny. Doskonale pamiętała blisko dwumiesięczną tułaczkę do edenu. W głodzie, smrodzie, skazana na łaskę i niełaskę nieznanym ludzi,

chciwych i pomocnych, dobrych i złych. Przed tymi ostatnimi strzegł ją tata, mężczyzna bogobojny i pełen pasji, ale przede wszystkim kochający ponad wszystko na świecie, gotowy w każdej chwili bronić swojej skromnej rodziny przed wszelakimi niebezpieczeństwami czyhającymi na uciekinierów z piekła. Pamiętała palące słońce, wzburzone fale, zapach soli, widok upragnionego brzegu na horyzoncie, w końcu ojca, który ze łzami w oczach klęczał na greckiej plaży i dziękował Allahowi za łaskę, jaką go obdarzył, że pozwolił mu uratować żonę i córkę, jedyne bliskie osoby, które mu zostały.

Czasem powątpiewała w jego istnienie. Uciekała od tej myśli, odpychała ją, takie bluźnierstwo wypowiedziane przed ojcem, choćby w najbardziej zaowalowanej formie, byłoby gwoździem do trumny jej swobód w nowym świecie, swobód, które ojciec z trudem akceptował, ale w pewnym stopniu tolerował. Mimo wszystko gdzieś w najgłębszych zakamarkach duszy wątpiała w istnienie kogoś, kto mógł obejść się z jej rodziną w tak okrutny sposób. Tak... kiedyś miała braci. Younis miałby dziś dwadzieścia dwa lata. On odszedł pierwszy, umarł na rękach ojca, raniony jednym z odłamków po wybuchu rakiety odpalanej przez amerykańskich najeźdźców. Akurat grał w piłkę z kolegami przy pobliskiej szkole, słońce paliło, a w powietrzu unosił się zapach szykowanych obiadów. Zanim ktokolwiek się zorientował, jak dwa gromy nadleciały z południa odrzutowce, sprowadzając śmierć. Potężny huk wstrząsnął okolicą, ziemia zatrzęsała się, szyby rozprysły w drobny mak, a mury okolicznych domów w jednej chwili popękały, zmieniając ściany w smutną mozaikę. Tam, gdzie uderzyły rakiety, nie zostało nic prócz kupy gruzu. Trzy budynki zniknęły z powierzchni ziemi, piekielny podmuch pochłonął wszystko, a gdy opadł kurz, dostrzegła scenę, która na zawsze pozostanie w jej pamięci. Ojciec klęczał, trzymając na rękach wiotkie ciało syna, czasem nieznacznie drgające w konwulsjach nieopisanego bólu. Czternastoletni chłopak żył jeszcze przez kilka minut, pomimo rozerwanej jamy brzusznej, z której przez palce taty wylewały się wnętrzności. Widziała z okna, jak próbował zatamować krwotok, a naprędce zwołani sąsiedzi starali się ratować ранego brata w wierze. Stała jak wryta, obserwując ten ponury spektakl. Słyszała zbiegającą po schodach matkę, jej krzyk rozpacz, który wkrótce przerodził się w przerażający lament, trwający przez kolejne dni, długie jak miesiące. Smutek, żal, niepowetowana strata, a wszystko to przez dwie tchórzliwe maszyny z bezimiennymi pilotami, którzy z rozkazu człowieka oddalonego o tysiące kilometrów nacisnęli czerwone guziki i sprowadzili śmierć. Kilka dni później ojciec odnalazł w sieci informację, jakoby amerykańscy piloci dokonali

chirurgicznego ataku na jednego z prominentnych działaczy Państwa Islamskiego, przebywającego akurat w Mosulu. O małym Younisie, który po „chirurgicznym” ataku wykrwawił się na rękach ojca, nikt nawet się nie zająknął.

Miała wtedy dziesięć lat i nie pojmowała otaczającej jej rzeczywistości, a tym bardziej brutalnej polityki, która od lat rozdzierała jej rodzinny kraj. Wiedziała tylko, że te dwa samoloty sprowadziły na jej rodzinę ogrom niewyobrażalnego bólu i cierpienia. Ale nawet pomimo tego młody organizm obronił się przed tym, co przywlekły ze sobą amerykańskie rakiety. Nienawiść nie zapałała korzeni w jej sercu zbyt głęboko, ale znalazła podatny grunt w sercach ojca i drugiego brata, zwłaszcza brata. Ali w chwili śmierci Younisa miał dziewiętnaście lat, był pierworodnym synem, dobrze zapowiadającym się architektem z umysłem niezwykle przenikliwym i spójnym, o niespotykanej wyobraźni przestrzennej i talencie do cyfr i geometrii. Miał szansę stać się dumą rodziny, świetlana przyszłość była na wyciągnięcie ręki. Dzięki pomocy wuja, posiadającego kontakty z wysoko postawionymi ludźmi władzy, nadarzyła się okazja, aby wyjechać do Indii, na uniwersytet w Bombaju... Dwie amerykańskie rakiety zmieniły wszystko. Ali wybrał drogę dżihadu. Nie powiedział ojcu, że ma zamiar przyłączyć się do bojowników Państwa Islamskiego. Pewnej nocy po prostu zniknął, zostawiając wiadomość na pożółkłej kartce. W kilku słowach napisał, że pomści młodszego brata i od teraz będzie zabijał niewiernych. Ojciec wściekł się, bo choć równie mocno nienawidził Amerykanów i wszystkich ludzi Zachodu, rozumiał też, że ISIS to organizacja zbrodnicza, w głównej mierze złożona z sadystów, bandytów i ludzi złych do szpiku kości. Bał się o syna nie tylko dlatego, że mógł polec od kuli wroga, lękiem napawał go również fakt, że gdy Ali kiedyś wróci, nie będzie już tą samą osobą i z inteligentnego i pełnego marzeń chłopaka zmieni się w opętanego żądzą mordy szaleńca, gotowego wysadzić się w tłumie niewinnych ludzi.

Szczęśliwie — choć to pojęcie względne — nigdy do tego nie doszło, syn nie splamił honoru rodziny, a przynajmniej ojciec nigdy nie był tego świadkiem. Pewnego dnia w drzwiach pojawił się za to młody człowiek o przenikliwym spojrzeniu. Przyniósł białe zawiniątko, a w nim złoty sygnet, pamiątkę rodzinną, dar przekazywany z dziada pradziada pierworodnemu, gdy ojciec uznał, że syn dorósł i stał się mężczyzną. Przybysz miał melodyjny głos, który nijak współgrał z tym, czym ów człowiek zajmował się na co dzień. Gdy ojciec odwinął biały materiał, stojąca w głębi izby Leila dostrzegła, jak jego nogi raptownie ugięły się, a on oparł się o ścianę, aby nie upaść. Wtedy mężczyzna poinformował, że Ali zginął bohaterską

śmiercią, walcząc z niewiernymi, i podziękował Allahowi za tak wspaniałego towarzysza broni. Ta wiadomość przelała czarę goryczy i skierowała los rodziny Al-Sahili na zupełnie nowe tory. Zanim to jednak nastąpiło, ojciec jakimś cudem opanował targające nim emocje i zapytał o możliwość pochówku. Ku jego wielkiemu rozgoryczeniu emisariusz odparł z przykrością, że to niemożliwe, gdyż ciało zostało rozerwane na strzępy przez jedną z bomb, które tchórzliwie zostały zrzucone na obozowisko. Żadnym pocieszeniem był fakt, że samoloty tym razem należały do irackiej armii, która prowadziła zmasowaną kontrofensywę przeciwko członkom Państwa Islamskiego. Ali, kimkolwiek wtedy był, cokolwiek wtedy robił, już nie żył. Ojciec stracił drugiego syna.

Gdy wszelkie zasady gościnności zostały dochowane, mężczyzna został napojony herbatą i nakarmiony chlebem, opowiedział o bohaterskich czynach męczennika, jego niezwyklej pobożności i miłości, odwadze i męstwie, ojciec grzecznie poprosił o spokój dla pogrążonej w żalu rodziny. Dla przybysza był to jasny sygnał, że zadanie zostało wykonane i najwyższy czas opuścić mieszkanie, aby krewni zmarłego wojownika mogli godnie opłakiwać tę straszliwą stratę. Wstał, podziękował za posiłek i raz jeszcze złożył wyrazy szczerego współczucia, po czym przekroczył próg. Wtedy ojciec wylał na niego wszystkie żale, klnąc szpetnie i sycząc jak wąż, łkając i błagając Allaha o wybaczenie. Gdy wrócił do izby, wziął w objęcia dwie kobiety, żonę i córkę, i wszyscy płakali, a tydzień później, w chłodny listopadowy wieczór, nakazał zabrać wszystkie cenne rzeczy i odebrawszy marne grosze za naprędce sprzedane mieszkanie, cała trójka ruszyła w daleką i pełną niebezpieczeństw podróż. Do nowego świata. Do edenu.

Teraz bała się, że eden może zamienić się w piekło.

W uszach rozbrzmiał nagle głośny, przerywany dźwięk. Otworzyła oczy i dostrzegła, że bateria smartfona jest już na wyczerpaniu. Wyciągnęła słuchawki z uszu i podniosła się z łóżka. Spojrzała na tandetny zegar ścienny z pękniętą szybką. Minęła siedemnasta, co bardzo ją zdziwiło, bo obiad jedli nie później niż o czternastej. Musiała przysnąć, ostatnio zdarzało się jej to coraz częściej. Zarzuciła na plecy wadzący jej kosmyk kruczoczarnych włosów i zbliżyła się do okna, za którym konary pobliskiego dębu gięły się pod naporem wiatru, momentami niebezpiecznie zbliżając się do murów. Przy jednym z silniejszych podmuchów końcówki gałązek omal nie „zapukały” w szybę. Leila aż cofnęła się odruchowo. Deszcz dudnił o parapet, a krople śmiało rozbijały się na szybie. Dotknęła jej, była chłodna. Z salonu dobiegał płacz braciszka.

Aż się wzдрыgnęła, gdy za plecami rozległo się pukanie do drzwi. Tylko

jedna osoba dbała w tym domu o jej prywatność.

— Wejdz, mamo.

Drzwi otwały się z cichym skrzypnięciem i w progu stanęła lekko przygarbiona postać. Wyglądała na smutną i zmęczoną.

— Pomożesz mi z Mahdim, córeczko? Zrobił się strasznie niespokojny i prawie cały czas płacze, a ja muszę powoli zabierać się za przygotowanie kolacji.

— Oczywiście. Taty jeszcze nie ma?

— Nie, i wątpię, aby przyszedł przez zmrokiem.

Matka machnęła ręką i z dezaprobatą pokręciła głową. Kochała męża ponad wszystko, ale nie pochwałała jego działań. W jej mniemaniu niepotrzebnie angażował się w coś, na co i tak nie miał wpływu, poza tym na ulicach było niebezpiecznie i zamiast szlajać się po barykadach z rozemocjonowaną młodzieżą, naiwnie wierzącą w ogólnoswiatową rewolucję, powinien zająć się rodziną, jak na odpowiedzialnego ojca i męża przystało. Może i była tylko muzułmańską kobietą, ale na pewno nie była głupia. Twardo stąpała po ziemi i potrafiła — w przeciwieństwie do wielu innych żon i matek z dzielnicy — wyartykułować swoje zdanie, nawet licząc się z gniewem głowy rodziny. Leila bardzo ją za to szanowała i często stawiała w obronie matki, gdy ojciec w sposób zbyt ekspresyjny chciał postawić na swoim. I odwrotnie, zawsze mogła liczyć na swoją rodzicielkę, zwłaszcza teraz, gdy wkroczyła w wiek, w którym większość europejskich kobiet od dawna umawia się z chłopakami, a nawet uprawia z nimi seks. Raz kiedyś nawet spróbowała, ale bardzo się rozczarowała, a wręcz zraziła do jakichkolwiek bliższych kontaktów z przypadkowymi chłopakami. W całkowitej tajemnicy przed wszystkimi, nawet matką, umówiła się przez jeden z portali randkowych z przystojnym i czarującym dwudziestoczterolatkiem w czasie, gdy ojciec wyjechał do sąsiedniego miasta w interesach. Był rodowitym berlińczykiem z dziada pradziada, pochodził z zamożnej rodziny, w tak młodym wieku miał nawet swoje mieszkanie. Fakt, że zaraz po studiach zaczął pracować w strefie biurowej koncernu Audi, bardzo jej imponował. Zjedli więc pyszną kolację w jednej z lepszych restauracji w mieście, poszli do kina, w końcu do gustownego apartamentu. Wypiła dwa kieliszki wina, poczuła motyle w brzuchu i dała się ponieść emocjom. Zdając sobie sprawę z konsekwencji ewentualnego odkrycia przez przyszłego męża kwestii dziewictwa, a tym samym splamienia honoru ojca, była na tyle świadoma zagrożenia, że zaproponowała kochankowi to, do czego zachęcały ją bardziej doświadczone koleżanki ze szkoły. Seks analny okazał się jednak nieprzyjemny i bolesny,

więc gdy w pewnym momencie otrzeźwiała i zdała sobie sprawę z tego, co robi, spanikowała i uciekła. Przez następne trzy noce modliła się do Allaha o wybaczenie, w końcu przysięgła, że już nigdy nie zachowa się tak głupio i nierozważnie. Ostatecznie tajemnica pozostała tajemnicą, jedyną, jaką trzymała przed swoją rodzicielką.

— Może poukładasz z nim puzzle? — zaproponowała matka.

— Coś wymyślimy — odparła córka i z uśmiechem na ustach podeszła do umorusanego jedzeniem czterolatka, który najwyraźniej nie był zadowolony, bo marszczył brwi i uciekał rękami od dłoni starszej siostry.

Leila wyciągnęła stare, nieco zdezelowane pudełko z puzzlami. Na okładce widniała scenka z dżungli, w której dokazywały bajkowe zwierzęta: czający się w rzece krokodyl, dwie radosne małpki, taplający się w błocie hipopotam i pochrapujący na konarze lampart, a wokół nich kolorowe ptaki i motyle. Lubiła je układać, podobnie jak mały Mahdi. Przypominały jej stary świat, bo choć większość tych zwierząt pierwszy raz zobaczyła na żywo dopiero w berlińskim zoo, to wszystkie one miały w sobie tę dzikość, z którą zawsze kojarzyła Afrykę i Bliski Wschód. Szybko zainteresowała brata nową zabawą i przez następne kilkadziesiąt minut wyszukiwali i dopasowywali kolejne fragmenty układanki, a Leila opowiadała o poszczególnych gatunkach, chichotali i podjadali zaserwowane przez mamę paluszki. Pomyślała, że nie chciałaby tego stracić. Pomyślała też, że chciałaby się zakochać i założyć rodzinę. I żyć... żyć pełnią życia. Długo i szczęśliwie. Kto wie, może nawet pojechać kiedyś na prawdziwe safari.

Nie miała pojęcia, że w tym samym czasie Muhammad Chalil Abi Rabi'a myślał o czymś zupełnie innym. Właśnie kończył posiłek i szykował się, aby już za kilka godzin zrobić coś, co zrujnuje wszystkie marzenia nieświadomej niczego Leili.

Kuba

8 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

W milczeniu zjedliśmy prowiant, na który składały się kotlety mielone z ziemniakami i surówką. Nie był to zbyt wyszukany posiłek, biorąc pod uwagę, że dla części z nas mógł być tym ostatnim. Smakował jednak wyśmienicie, nawet podany na zimno w plastikowych pudełkach i zapity mocną jak diabli kawą z termosu.

W podziemnym parkingu było cicho i spokojnie, tak jakbyśmy byli jedynymi mieszkańcami kamienicy. Piotrek wybrał to miejsce nieprzypadkowo, bo po pierwsze, na najniższym poziomie znajdowała się studzienka, którą mieliśmy zejść do kanałów, a następnie do bunkrów, a po drugie, te okolice niemal całkiem opustoszały. Pojedyncze zaparkowane samochody zdawały się tylko wyjątkiem od reguły, tym bardziej że przez blisko dwie godziny, które spędziliśmy na ostatecznych przygotowaniach, żaden z właścicieli nie zdecydował się wyjechać w miasto. Gdy w końcu wszyscy posilili się, Krzysiek zebrał resztki i wrzucił do worka na śmieci, który następnie wcisnął do bagażnika. „Jak najmniej śladów naszej bytności” — powtarzał na każdym kroku, potwierdzając swoje słowa już na początku, gdy jednym z jego pierwszych ruchów było odłączenie dwóch parkingowych kamer, mogących złapać nas w kadr. Zsynchronizowaliśmy fachowe zegarki z dostępem do Internetu i GPS-em, choć tu pojawił się pewien problem, gdyż mieliśmy tylko cztery sztuki, w tym jeden zapasowy, który w Paryżu nie został wykorzystany, a który Franco miał przygotowany na wszelki wypadek. Biorąc pod uwagę wszystkie za i przeciw, Figur uznał, że mój — ten sam, którego używałem podczas akcji przy Stade de France — powędruje na nadgarstek Rudego. Było to sensowne posunięcie, bo w założeniu przez cały czas miałem przebywać w towarzystwie Krzyśka, a możliwość pilnowania lokalizacji była absolutnie nieodzowna dla kierowcy, który miał nas wszystkich zgarnąć do kupy. Miało się to okazać katastrofalnym błędem, ale wtedy było to najrozsądniejsze wyjście, zwłaszcza że zapasowy trafił na rękę Patryka. On, jako nasz anioł stróż, musiał mieć pełen przegląd sytuacji, zwłaszcza w momencie, gdyby w tłumie wybuchła panika i przy zacinającym deszczu pojawiłby się

problem z ograniczoną widocznością.

Tym razem obeszło się bez górnotłotnych tekstów. Każdy wiedział, co ma robić. Nerwowość dostrzegłem jedynie w poczynaniach Łukasza i Piotrka, dla których była to pierwsza akcja, i choć nasz przewodnik w zasadzie nie wiedział na co się pisze (w czasie ostatecznego doprecyzowania szczegółów akcji Krzysiek poprosił go o odejście, sugerując, że to dla niego najlepsze rozwiązanie, wszak miał nas jedynie przeprowadzić przez sieć bunkrów, poczekać, a następnie wyprowadzić z powrotem i nie ryzykował praktycznie w żaden sposób), musiał domyślać się, że to nie wycieczka krajoznawcza, a pistolety, które każdy z nas sprawdził właśnie po raz ostatni, to nie pukawki na wodę. Nie dopytywał jednak, zresztą został z góry sowicie opłacony, zachował się jak profesjonalista, za co w duszy serdecznie mu dziękowałem, bo po raz kolejny wykazałem się konkretnymi pomysłami, dzięki czemu moja pozycja w towarzystwie prawdziwych mężczyzn znów urosła. Rudy natomiast, choć z pewnością chłop na schwał, był wyraźnie podminowany i mimo że jego zadaniem było w zasadzie jedynie kierowanie, w pełni rozumiałem jego obawy. W Paryżu też miałem tylko siedzieć za kółkiem, a okazało się, że musiałem stawić czoło hordom rozwścieczonych muzułmanów, gotowych zatłuc każdego niewiernego, który stanie im na drodze.

Cóż, ja również nie należałem w tej chwili do osób najbardziej wyciszonych, ale czułem, że kieruje mną bardziej determinacja niż strach. Czy to z powodu, że podobną akcję przeżyłem w Paryżu, czy może fakt, że po tym wszystkim, co mnie spotkało nie dbałem już tak bardzo o własne życie, adrenalina buzująca w moich żyłach sprawiała, że odczuwałem raczej swoiste podniecenie. Możliwość ujrzenia wybuchającej czaszki Abi Rabi'i (jeśli oczywiście wszystko poszłoby zgodnie z planem i Patryk miałby szansę oddać ten jeden celny strzał) powodowała, że aż przebierałem nogami, aby w końcu podnieść wieko studzienki i zejść w mroczne nazistowskie tunele. Co ciekawe, myśli o świętej pamięci rodzicach, a tym bardziej o Nawal, zdawały się utknąć gdzieś za mgłą i nie przebijały się na pierwszy plan, mimo iż temat wciąż był świeży. Nie potrafiłem tego jednoznacznie określić, ale miałem wrażenie, że znalazły wyjątkowo wygodne miejsce w najgłębszych zakamarkach mojego umysłu, aby kiedyś, jeśli los będzie bardziej łaskawy, znów zagrać pierwsze skrzypce w momencie, gdy stanę oko w oko z tymi, którzy przyczynili się do cierpienia mojego i najbliższych mi osób.

W końcu ciężka pokrywa wydała ponury metaliczny odgłos i naszym oczom ukazał się nieprzenikniony mrok. Figur podszedł do Rudego i jako

pierwszy przybił mu soczystą piątkę.

— Będziemy w kontakcie, brachu. Pamiętaj, że będziesz miał nas na oku cały czas, a my ciebie — rzekł z pełną powagą i czymś, co miało na celu ostateczne zmotywowanie starego przyjaciela z Falubazów.

— Kiedyś cię zawiodłem?

— Po prostu na nas czekaj.

— Choćbym miał go tu dopchać własnymi rękami...

Krzysiek skinął w pełnym zrozumieniu, podobnie reszta chłopaków, ze mną włącznie.

— Prowadź, mistrzu — Figur zachęcił naszego przewodnika, a Piotrek, rzuciwszy krótkie „yes, sir”, z nieco wymuszonym uśmiechem wskoczył do studzienki.

Do dziury pofrunęły plecaki z ciuchami na zmianę i niezbędnymi gadżetami. Następnie we wnętrzu studzienki z niemałymi problemami zniknął barczysty Franco, następnie Patryk, wcześniej ostrożnie przekazując mu nieodzowną walizkę ze snajperką. W końcu ja i Krzysiek, który przy pomocy łomu i pozostałego na górze Łukasza starannie odłożył żelazne wieko na miejsce. Mrok w tym czasie już rozświetlały snopy światła z niewielkich, ale solidnych latarek. Zrobiło się chłodno i nieprzyjemnie. Raz jeszcze sprawdziliśmy, czy niczego nie brakuje, ruszyliśmy gęsiego za naszym przewodnikiem. W głuchej ciszy, z głowami pełnymi niespokojnych myśli.

Cuchnęło gównem jak diabli. Nie tak wyobrażałem sobie hitlerowskie bunkry, a może po prostu nastawiłem się na coś zupełnie innego, w każdym razie większość drogi stanowiły wydrążone i wylane betonem tunele, które ze starymi bunkrami miały tyle wspólnego, co kozia dupa z trąbą. Fatalny był zwłaszcza środkowy fragment, gdzie przez około pięćset metrów musieliśmy przejść zwykłymi kanałami, w które zlewano wszystkie możliwe nieczystości, jakie przeciętny berlińczyk był w stanie wydalić. Nie to było jednak najgorsze, bo tunele miały średnicę pozwalającą na poruszanie się w pozycji prawie wyprostowanej, a słowo „prawie” było tu absolutnie kluczowe i robiło różnicę. Szliśmy przygarbieni, w towarzystwie szczurów i robactwa, brodząc po kostki w cuchnącym szlamie. Smród był tak silny, że w pewnym momencie wyciągnąłem chusteczkę i przytknąłem ją do nosa, bo odruch wymiotny zdawał się niemożliwy do opanowania i bałem się, że zaraz porzygam się na plecy kroczącego przede mną Patryka. Pod koniec

drogi kręgosłup czułem już w piszczelach i gdy w końcu znów mogłem się wyprostować, przyjąłem to z ogromną ulgą. Specjalnie się nie zdziwiłem, gdy na starym ceglany m sklepieniu ujrzałem namalowaną swastykę, a na jednej ze ścian tabliczkę z napisem: *UNBEFUGTEN EINTRITT VERBOTEN*.

— To właśnie tu w najgorszym razie się spotkamy. Do tej komnaty zbiegają się cztery tunele, a do tego jest bardzo charakterystyczna, bo w zasadzie którymkolwiek korytarzem byście nie poszli, to prędzej czy później wylądujecie właśnie tu, bo tam i tam są zawały — wytłumaczył nasz przewodnik, przecinając snopem latarki dwie skryte w najczarniejszym mroku drogi.

Jego głos zdawał się donośny, choć mówił przynajmniej o dwa tony ciszej niż zwykle. W tle dało się słyszeć kapanie, chlupot wody i przyspieszone oddechy.

— Daleko jeszcze? — spytałem, prostując plecy, ale znów złapałem się na tym, że nie zabrzmiało to zbyt profesjonalnie.

— My, to znaczy ja, ty i Krzysiek, pójdziemy tym tunelem jeszcze jakieś dwieście metrów, a potem ostatnie pięćdziesiąt przecisniemy się odpływem. Potem wrócę do Patryka i...

— Franco — podpowiedziałem.

— I Franco. Z nimi ruszę dalej, pod kamienicę, tą drogą. — Piotrek skierował snop światła latarki w prostopadły tunel z czerwonej cegły, zdecydowanie jedną z najstarszych części bunkrów, choć bardziej pasowało tu chyba słowo „podziemi”. Ściany pokrywał ciemny, lśniący nalot, jakby mech, widziałem też, jak jakiś drobny insekt uciekł po murach, jakby chciał ukryć się w mroku. Z ust uchodziła para, zrobiło się jeszcze chłodniej.

Usłyszałem szcęk mechanizmu beretty Krzyśka. Był bardzo charakterystyczny i potrafiłem go rozpoznać w mgnieniu oka. Broń przeładowali także Franco i Patryk, ja również wyjąłem swojego glocka i zrobiłem co trzeba. W mroku ktoś nerwowo przełknął ślinę. To mógł być tylko Piotrek.

— OK, panowie, wszyscy wiedzą, co mają robić — szepnął w końcu Krzysiek. — Franco?

Zerknął wymownie na starego kompana, a Włoch przekazał mu dwa niewielkie ładunki, które niczym nie różniły się od zwykłego długopisu. Figur wziął je i schował do wewnętrznej kieszeni zapinanej na zamek bluzy. Uniósł głowę i zwrócił się twarzą do dwóch pozostałych żołnierzy. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym mój przyjaciel nieznacznie, a w zasadzie ledwo zauważalnie kiwnął głową.

— Powodzenia — rzucił krótko i dość beznamiętnie, następnie klepnął w ramię naszego przewodnika i zaprosił go do ciemnego jak najczarniejsza noc tunelu.

Zanim się obejrzałem, dotarliśmy do odlanego z betonu odpływu, który niemal natychmiast przypomniał mi ten, przez który uciekał z więzienia grany przez Tima Robbinsa Andy Dufresne w jednym z moich ulubionych starych filmów — *Skazani na Shawshank*. Na samą myśl, że będę musiał do niego wejść i przeczłgać się pięćdziesiąt metrów, zrobiło mi się słabo. Zdawał się równie mroczny, równie cuchnący i równie wąski jak ten z oscarowego hitu Franka Darabonta. Szczęśliwie, w przeciwieństwie do niego, nie płynęło w nim gówno, a jedynie cienka strużka brudnej wody. Niestety, to nie oznaczało dla nas nic dobrego.

— Tego się obawiałem — skomentował sucho Piotrek, po czym poświecił w głąb rury. — Ale... — Zawiesił głos, próbując dostrzec, co znajduje się po drugiej stronie. — Czekajcie chwilę — rzucił w końcu i wsunął się do wnętrza, jakby nie należał do rodziny naczelnych, bardziej przypominał jakiegoś płaza lub gada, który z niezwykłą łatwością może wcisnąć się w każdą, nawet najmniejszą dziurę.

Spojrzelśmy z Figurem po sobie, z wnętrza dochodziły odgłosy szurania i stukania, a mrok rozświetlał szalejący snop światła z latarki. Milczeliśmy, wpatrzeni w starania naszego przewodnika, a mnie zaczęły nachodzić jakieś kretyńskie wątpliwości, tak jakby ten krótki kawałek rurociągu był jakąś przeszkodą, która miała mnie zatrzymać. Odrzuciłem tę głupią myśl, czułem irracjonalną obawę, że nawet w tym ponurym miejscu, w tej nieprzeniknionej ciemności i głuchej ciszy, mój przyjaciel jest w stanie odgadnąć moje lęki. Gdy tylko o tym pomyślałem, położył mi dłoń na ramieniu i wymownie ścisnął. Potrafił mnie czytać jak otwartą księgę. Zresztą strach — o czym miałem się w przyszłości wielokrotnie przekonać — miał swoistą, niemożliwą do pomylenia woń. Kwestią doświadczenia i wojennej praktyki było nauczyć się go wyczuwać na odległość.

Piotrek zaczął się wycofywać. Niedorzecznie pomyślałem, że wygląda jak jakaś larwa, która posuwa się wydrążonym wcześniej tunelem. Poruszał się z niezwykłą wprawą i po kilkunastu sekundach znów był z nami. Jego twarz była mokra i brudna.

— Tak jak myślałem, wyjście jest zatkane, ale na szczęście nie napłynęło wiele błota. Uporamy się z tym w nie dłużej niż kwadrans — rzekł z uśmiechem na twarzy, co nieco rozładowało napiętą atmosferę.

— To do dzieła — w swoim stylu odparł Figur i wręczył mu saperkę.

Piotrek znów wślizgnął się do tunelu, raz jeszcze sprawdziłem, czy mam wszystko i wskoczyłem za nim. Nie chciałem być tym ostatnim, trudno mi się było do tego przyznać przed samym sobą, ale targają mną jakieś dziecięce obawy, że ten na końcu zawsze jako pierwszy traci życie. Tak zawsze było w horrorach. Najbardziej przejebane miał ten z tyłu, szczególnie gdy w mokrym, ciasnym i cuchnącym tunelu czaiło się coś jeszcze...

Kurwa! Co za bzdury? Jak mogłem myśleć o takich dyrdymałach w takiej chwili? Skarciłem się w myślach, musiałem się opanować, bo jeśli głupi rurociąg robił na mnie takie wrażenie, to co się stanie, gdy nagle stanę wśród tysięcy wyznawców Allaha?

Na szczęście okazało się, że w środku nie było tak źle, ba, miejsca na tyle, że osoba mojej postury mogła poruszać się — przynajmniej teoretycznie, bo okazało się to wyjątkowo niewygodne i niepraktyczne — nawet na czworakach. Czołgałem się więc jak ta larwa, aż dotarłem do obklejonych cuchnącym szlamem podeszew Piotrka, który już dziobał i rył saperką naniesione błoto, przesuwając jego nadmiar za siebie, czyli de facto wprost na moją twarz. Ja starałem się zagarniać je i przekazywać w kierunku Krzyśka. Po dziesięciu minutach miałem już wszystkiego serdecznie dość, czułem się jak szczur uwięziony w kanale — brudny, przemoczony i cuchnący. Pomyślałem, że z przyjemnością zaraz wskoczę w nowe ciuchy, które trzymałem w zamkniętym wodoodpornym plastikowym worku. Wtem wewnątrz tunelu nieco rozjaśniało, a następnie wypełnił je szum ulewnego deszczu. Oba te zjawiska przyjąłem z nieskrywaną ulgą. Piotrek się przebił.

Cierpliwość nigdy nie była moją najmocniejszą stroną, więc z trudem utrzymywałem nerwy na wodzy, patrząc, jak nasz przewodnik najpierw wychyla głowę, a potem przeciska się przez szparę i wychodzi na zewnątrz. W pewnym momencie chciałem go chwycić za nogę, obawiając się, że ktoś może go zobaczyć, ale gdy tylko wychyliłem głowę, dostrzegłem, że niemal z każdej strony jesteśmy perfekcyjnie osłonięci. Znajdowaliśmy się w zabudowanej niecce, dodatkowo po prawej stronie, na lekkim wzniesieniu, stała słusznych rozmiarów koparka, na wprost kilkanaście żółtych kontenerów, a na lewo jakieś tymczasowe blaszane budy, zapewne magazyny ze sprzętem lub miejsca odpoczynku dla pracujących tu robotników. Mało tego, zaraz przy odpływie znajdowała się sklecona naprędce wiata, najwyraźniej stworzona przez tych, dla których słowo „praca” nie do końca równało się temu, które większość ludzi ma w swoim słowniku: obiboków pragnących w czasie przerwy na papierosa czy po prostu „przerwy” ukryć się przed wścibskimi oczami krążących po terenie

budowy przełożonych. Była doskonale usytuowana, za co w głębi duszy każdy z nas mógł tymże „pracusiom” podziękować.

— Macie tu dwa wyjścia, jedno za tymi budami, a drugie tam. — Piotrek wskazał nam szparę pomiędzy łopatą koparki a osłoną z dykty. — Nie powinniście rzucać się w oczy, bo przechodnie traktują czasem budowę jako kibel, więc będziecie wyglądać, jakbyście wracali z sikania. Nikt nie powinien zwrócić na was uwagi.

— Dzięki, Piotrek — rzekł Figur, wodząc oczami po okolicy.

— Zanim pójdę do chłopaków, wyczyszczę wam jeszcze trochę tę rurę, żeby znów nie naniósł się błota. Tak na wszelki wypadek, gdyby znów nastąpiło jakieś oberwanie chmury.

— Tylko nie daj im czekać za długo.

— Góra dziesięć minut.

— OK, poinformuję ich. Raz jeszcze dzięki. Wkrótce się widzimy.

Piotrek uśmiechnął się, szczerząc szereg białych zębów, kiwnął głową na pożegnanie i zniknął w odpływie, a my wyciągnęliśmy pod wiatr suche ciuchy i zaczęliśmy się przebierać. Stare dzinsy i bluzy z kapturem nie mogły uchronić nas od deszczu, ale Piotrek zaopatrzył nas też w foliowe jednorazówki, które były tu hitem i większość ludzi, szczególnie wystających na ulicach muzułmanów, nosiło je namiętnie. W pobliskiej kałuży obmyliśmy z błota buty i raz jeszcze spojrzeliśmy sobie w oczy.

— Wyłącz myślenie, Kuba — poradził mi Krzysiek, choć słyszałem to z jego ust już kilkakrotnie. — Trzymaj się mnie, nie patrz nikomu w oczy, poruszaj się pewnie. Nikt nie będzie zwracał na nas uwagi, a w razie jakichkolwiek problemów ja się wszystkim zajmę. Broń to absolutna ostateczność.

— OK — wymamrotałem i poczułem, jak po kręgosłupie przeszedł mi zimny dreszcz.

— Gotowy?

— Tak — odparłem już pewniej i instynktownie dotknąłem wetkniętego za pasek glocka.

Chwilę później wdrapaliśmy się po niewielkiej skarpie i wyszliśmy na aleję Unter den Linden. Mój los został tym samym przypieczętowany. Wkrótce miałem się przekonać, jak dziwne i zaskakujące mogą być jego tory, że wróg może okazać się przyjacielem, a przyjaciel wrogiem.

Krzysiek

8 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

Gdy wyszli na ulicę, zegarek wskazywał osiemnastą siedemnaście, czyli mieli dokładnie czterdzieści trzy minuty do deadline'u, jaki wystosował im Muhammad Abi Rabi'a. Wystarczająco czasu, aby na spokojnie ocenić sytuację, teren, ryzyko i przygotować akcję. Pytanie brzmiało, czy stary Arab będzie punktualny i nie zabije Michała wcześniej. Ono, niestety, pozostawało bez odpowiedzi.

Legionista rozejrzał się po okolicy. Nie było tak tłumnie, jak się tego spodziewał, choć niemal wszyscy przechodnie, w zdecydowanej większości młodzi mężczyźni w dżinsach, dresowych bluzach z kapturami i przeciwdeszczowych nakryciach, kierowali się w stronę widocznej na horyzoncie Bramy Brandenburskiej. Raczej skupieni, z głowami pochylonymi i ukrytymi pod szeleszczącą folią, rzadko kiedy rozmawiali, próbując skoncentrować się na unikaniu wszędobylskich kałuż i rwących przy krawężnikach potoków. U żadnego z nich nie dostrzegł widocznej broni, choć na krzyżówce trzydzieści metrów dalej zarejestrował dwóch zamaskowanych mężczyzn z przewieszonymi przez ramię kałasznikowami. Obaj palili papierosy i prowadzili ożywioną dyskusję, wymachując rękoma i niespecjalnie zwracając uwagę na ciągnącą wzdłuż ulicy tłuszcę. U celu, do którego owa tłuszcza ciągnęła, tłum zdawał się gęstnieć, choć z tej perspektywy trudno było ocenić jak bardzo. Figur uznał, że należy dotrzeć na miejsce jak najszybciej, zanim zgromadzenie gapiów stanie się na tyle liczne, że może utrudnić przebicie się w okolice centralnego punktu, w którym — doświadczenie w kontaktach z islamistami wyraźnie mu to podpowiadało — pojawi się Abi Rabi'a z Michałem.

Ulewny deszcz zmienił się w nieprzyjemną mżawkę, której drobne kropelki wdzierały się w każdy nieosłonięty kawałek ciała. Na niebie wciąż kotłowały się ciężkie, ciemne chmurzyska, jakby chciały swoją obecnością przestrzec stłoczonych pod nimi ludzi przed nadmiernym optymizmem. Jak na tę porę dnia było ciemno i ponuro, wiatr zawodził pomiędzy budynkami i, jakby złośliwie i z pełną premedytacją, szarpał foliowymi okryciami odzianych w nie pieszych, nadymając je niczym żagle. Spojrzał na idącego

po prawej przyjaciela, spod ściągniętego kaptura wystawał nos i kawałek ust, oczy i reszta nikły w jego głębi, pozwalając na całkowitą anonimowość. Podziękował Bogu — pomimo braku wiary, od czasu tego dziwnego spotkania z francuskim księdzem coraz częściej się na niego powoływał — za taką aurę. Fortuna zdawała się trzymać ich stronę i choć nie należał do ludzi przesądnych, fakt ten nieco poprawił mu nastrój.

Minęli stary biurowiec, jego uwagę zwrócił wysoki dźwig, który w razie niespodziewanych problemów mógł stać się idealnym punktem orientacyjnym. Kątem oka dostrzegł, że coś leży na chodniku. Skierował wzrok na wpół spaloną figurę gwiazdora kina akcji sprzed lat, Arnolda Schwarzeneggera, kilka kolejnych, osmolonych, połamanych, bez rąk czy nóg, leżało na chodniku i ulicy przyległych do niegdyś słynnego Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud, teraz spustoszonego i zapewne nieprzypominającego niczym tego sprzed tygodnia, gdy turyści tłumnie odwiedzali je, aby strzelać sobie fotki ze śmietanką tego świata, aby później chwalić się znajomym podczas wieczornych spotkań przy piwie. Na rozbitej witrynie ktoś rozwiesił czarną flagę Państwa Islamskiego, która teraz drapieźnie łopotała na wietrze, jasno wieszcząc, że czas świetności tego przybytku kultury minął i prędko nie wróci.

Zerknął na dwóch zamaskowanych mężczyzn z bronią, którzy gawędzili na ulicy kilka metrów przed nimi. Szansa, że zostaną zaczepieni, była minimalna, ale musiał przygotować się na każdy scenariusz. Bardzo liczył, że w takim przypadku dzięki płynnemu francuskiemu będzie mógł podawać się za konwertytę. Owszem, ryzykowna opcja, ale zdecydowanie lepsza od ucieczki bądź zlikwidowania zagrożenia, gdyż w obu tych przypadkach akcję można by uznać za spaloną. Z drugiej strony szansa, że taka próba się powiedzie, wynosiła nie więcej niż dwadzieścia procent, zakładając, że potencjalny szeregowiec nie mówił w tym języku, a do tego zaliczał się do grona kompletnych idiotów.

Szczęśliwie obaj mężczyźni nawet nie zainteresowali się dwoma zakapturzonymi niewiernymi, którzy spokojnie przemknęli w towarzystwie innych pieszych podążających w stronę Bramy Brandenburskiej. Przechodząc przez skrzyżowanie, Figur spojrzął w lewo, to tam znajdował się hotel Adlon, do którego Patryk miał się niepostrzeżenie wślizgnąć, a następnie skierować na dach. Pośród drepczących pieszych nie dostrzegł ludzi z bronią automatyczną. Podrapał się za uchem i przekazał informację Patrykowi i Franco, co było znakiem, że mogą ruszać. „Boże, miej ich w swojej opiece” — pomyślał. Boże... Ostatnio zbyt wiele składał w ręce Boga. Boga... Przystawał sobie poznawać.

Dwóch zakapturzonych piechurów przekroczyło skrzyżowanie i ruszyło wzdłuż kolejnej kamienicy. Minęli dwie spustoszone kawiarenki, w których wnętrzach hulał teraz jedynie wiatr, natknęli się na kilka zniszczonych krzeseł, porwany baldachim, pod butami chrzęściło szkło. Dyskretnie zerkając na dach hotelu Adlon, Krzysiek nie dostrzegł żadnych oznak sugerujących, że ktoś może tam przebywać, choćby kolega Patryka po fachu, z tą różnicą, że mający dokładnie odwrotne zadanie, polegające na wychwyceniu w tłumie podejrzanych mężczyzn i przekazaniu tej informacji Abi Rabi’i lub ewentualnie zlikwidowaniu wszelkiego zagrożenia. Znów podrapał się za uchem...

Brama Brandenburska w końcu wyłoniła się znad okutanych głów kroczących przed nimi piechurów. Jej monumentalne kolumny wciąż prezentowały się niezwykle dumnie, nawet pomimo faktu, że wieńczący sklepienie posąg bogini Wiktorii na rydwanie dzierżył w dłoniach łopoczącą na wietrze słusznych rozmiarów flagę Państwa Islamskiego. Przyjął ten widok ze spokojem, choć głęboko w duszy, gdzie w chwilach takich jak ta wszystkie emocje zostawały zduszone i zamknięte na cztery spusty, tliła się złość. I gniew, że wszystkie jego wysiłki, całe siedem lat życia w pogoni za bandą tych popaprańców, w spiekocie, brudzie, z permanentnym lękiem zagnieżdżonym z tyłu głowy, nieprzespanymi nocami i gryzącymi wyrzutami sumienia, nie przyniosło absolutnie żadnego pożytku. Ba, przez kretyńską politykę władz Francji, Niemiec i większości krajów Zachodu terroryści nie tylko wkroczyli do serca Europy, ale zapuścili w niej korzenie, a następnie przy milczącym przyzwoleniu wykastrowanych polityczną poprawnością polityków i mediów zasiali w ludziach ziarno nienawiści, ziarno, które właśnie teraz wystrzeliło w górę jak złośliwy chwast. To potrafiło rozstroić nawet jego, wyostrzone jak brzytwa, nerwy. Zwłaszcza gdy był sam i bez świadków mógł ulec swoim słabościom.

Dotarli do skraju Pariser Platz, na środku którego znajdowało się naprędce sklecone podwyższenie, na nim zaś kilka przykrytych płachtą głośników i wszelkiej maści sprzęt elektroniczny, od mikrofonu po nieliczne wzmacniacze. Z tyłu tej prowizorycznej sceny stała natomiast stalowa konstrukcja pozwalająca na zainstalowanie oświetlenia. Wszystko aż raziło prowizorką i przypominało tymczasowe konstrukcje na małomiasteczkowych wiecach, na których lokalni politycy bądź księża snuli swoje wizje, obiecując lokalnej społeczności kolejne przywileje. Tutaj nie wyglądało to zapewne inaczej, z tą różnicą, że ich miejsca zajmowali siejący mową nienawiści imamowie i terroryści.

Zerknął kątem oka na Kubę. Nie wyróżniał się od reszty, siedł z

spuszczoną głową, z twarzą ukrytą przed zacinającym deszczem głęboko w kapturze, patrząc pod nogi, aby nie potknąć się o jakiś śmieć, które jak wielobarwny, choć wciąż w swej istocie paskudny, dywan pokrywały niesprzątane od tygodnia ulice i chodniki. Wtem coś raptownie brzęknęło, a on zorientował się, że sam nie zachował należytej ostrożności. Czubkiem buta niechcący kopnął pustą butelkę po coca-coli, która z impetem potoczyła się po podłożu z kostki brukowej i uderzyła w piętę jednego z obserwatorów przed nimi, który natychmiast obrócił się i wyzywająco spojrzął w jego kierunku. Figur zaklął w myślach i gdy zorientował się, że mężczyzna mierzy go surowym wzrokiem, uniósł w górę rękę na znak przeprosin, po czym, wcześniej szturchnąwszy Kube, jak najszybciej odbił w prawo, pomiędzy las wiernych, coraz bardziej niecierpliwie wyglądających dzisiejszego kazania. „Tym razem udało się. Ale nigdy więcej” — dodał w myślach, poirytowany.

Stanęli pośród gapiów, w odległości około piętnastu metrów od prowizorycznej sceny. Wybrał miejsce wśród starszyny, która z racji wieku i powagi raczej nie integrowała się z młodzieżą, zwłaszcza zaś jej członkowie nie należeli do ożywionych dyskutantów, jak choćby grupki rozgadanych kawalerów stojące kilkanaście metrów na lewo. Znał trochę zwrotów po arabsku, wszak ponad pięć lat spędził, uganiając się za islamskimi radykałami, potrafił przeprosić, podziękować, przywitać się i poprosić o drogę, nawet płynnie wypowiedzieć słynną szahadę, ale mimo wszystko nie czuł się na tyle pewnie, aby móc podejmować jakąkolwiek dyskusję z muzułmaninem, nawet jeśli podawałby się za francuskiego konwertytę, który dopiero szkolił się w języku arabskim. Należało robić wszystko, aby tylko uniknąć jakichkolwiek interakcji z miejscowymi. Cierpliwie czekać i obserwować, w końcu, w odpowiednim momencie, rozpętać piekło.

Poczuł silny podmuch, który omal nie zerwał mu z głowy foliowego kaptura. Przytrzymał go palcami i spojrzął w niebo. Ciemne, niemal czarne obłoki przypominały teraz tłuste brzuszyska, przewalały się po nieboskłonie jak ciała w bezwstydnym orgii gargantuicznych istot. Wiatr znów przybrał na sile, siekąc po oczach drobnymi kropelkami deszczu i zmuszając gawiedź, aby osłaniała twarze. Wszędobylski szelest foliowych okryć zdawał się wypełniać cały plac, wzmagając się przy każdym silniejszym podmuchu. W oddali gruchnęła piorun, a na horyzoncie niebo rozświetliła błyskawica, na ułamek sekundy zmieniając kłębowisko czarnych chmur w mozaikę światła i cienia. Spojrzął na zegarek, osiemnasta czterdzieści dwie. Osiemnaście minut do deadline’u.

Niemal w tym samym momencie nastąpiło nagłe poruszenie. Usłyszał pierwsze, najpierw tylko sporadyczne, następnie już bardziej skoordynowane, okrzyki wysławiające Boga, kolejne ręce gapiów pofrunęły w górę, a dłonie zacisnęły się w pięści. Harmider narastał z każdą sekundą, a on z niepokojem wspinał się na palce i spoglądał ponad głowami sąsiadów na pękający pod sceną tłum. Motłoch rozchodził się nieco opieszale, niczym brzegi tkanki po kontakcie z niespiesznie, ale głęboko tnącym ostrzem. Wrzawa rosła, a z tysięcy gardeł wyrwało się nagłe donośne: *Allahu Akbar*. Raz, drugi, trzeci... Gruchnął piorun, ale nawet on nie zdołał zagłuszyć wybuchu ekstazy zebranej tłuszczy. Gdy kolejna błyskawica rozświetliła apokaliptyczne niebo, ujrzał w jej blasku bohaterów dzisiejszego wieczoru. Za dwoma młodymi mężczyznami szedł odziany w białą galabiję Muhammad Chalil Abi Rabi'a, a za nim, jak pies na smyczy, podążał skatowany Michał.

Kuba

8 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

Myślałem, że choć trochę uodporniłem się, że stwardniałem i byle bzdura nie zdoła wzbudzić mojego przerażenia, ale w jednej chwili zostałem sprowadzony na ziemię.

Bałem się od samego początku, od momentu gdy opuściłem z Krzyśkiem plac budowy i wkroczyłem na ulice, podążałem u jego boku jak cień, nie mając pomysłu, co zrobić z rozdygotanymi rękoma. W gardle zrobiło się sucho i ciągle przełykałem ślinę, pociągałem nosem i chrząkałem, czasem splunąłem na chodnik, jak większość sunących pod Bramę Brandenburską piechurów. Robiłem wszystko, aby zapomnieć o tym, gdzie jestem i co robię, z trudem panowałem nad odruchem, aby co jakiś czas sprawdzać wsadzonego za paskiem glocka, podobnie nad przemożną chęcią lustrowania twarzy ludzi, z których każdy był potencjalnym wrogiem. Wszystko to wyblakło jednak w momencie, gdy do sceny na samym środku Pariser Platz zbliżał się człowiek, który stał się moją obsesją, który zniszczył wszystkie moje marzenia, zamordował ciężarną ukochaną, omal nie zabił mnie, w końcu z jego rozkazu w sposób iście bestialski zarżnięto moich rodziców. Po raz pierwszy od czasu tamtej feralnej nocy w ruderze koło Murcji Muhammad Chalil Abi Rabi'a znajdował się w zasięgu mojego wzroku, a ja nie byłem spętany i miałem przy sobie broń. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby nie kolejne lekcje mojego przyjaciela, który upominał mnie i powtarzał, że za wszelką cenę muszę utrzymać nerwy na wodzy i zachować zimną krew. Pewnie zginąłbym, próbując w jakiś banalny sposób do niego dotrzeć i zastrzelić, a nawet, jeśli jakimś cudem mój szalony plan by się powiódł i staruch padłby trupem, to zebrany tłum rozerwałby mnie na strzępy w ciągu kilku następnych sekund.

Szczęśliwie — choć biorąc pod uwagę mój ponury los, jest to w sumie pojęcie względne — stałem w miejscu i wymachiwałem pięścią jak tysiące zebranych szaleńców, a w moich uszach dudniło wyrzucane z tysięcy gardeł znienawidzone *Allahu Akbar*. Wwiercało się w mózg, a ja jak w jakimś narkotycznym transie unosiłem zaciśniętą dłoń i z dzikim — sam się sobie dziwiłem, że specjalnie nieudawanym — entuzjazmem wznosiłem okrzyki

na cześć ich zasranego Boga. I wypatrywałem, niecierpliwie, popędliwie. A na niebie kłębowisko czarnych chmur jaśniało w kolejnych spazmach wściekłości żywiołu.

Wtedy ich ujrzałem. Najpierw na scenę wkroczył stary Arab, pochylony, walczący ze wzmagającym się wichrem. Miał na sobie białą galabiję, a na niej bezbarwną folię, sterzącą u szczytu jak kaptur średniowiecznego kata. Potem on... choć wątpię, aby tego dnia matka Michała byłaby w stanie poznać syna. Brudny, podrapany, posiniaczony, z ogromnym krwiakiem na lewym oku, którego nie powstydzilyby się ringowe ofiary Mike'a Tysona w czasach jego świetności, powłóczył nogami, trzymając się za obrozę, do której przymocowany był gruby sznur. Człapał boso, kulał jak chory człowiek, wychudzony, jedynie w szortach i podartej koszulce, wyglądał jak więzień łagru ze słynnej powieści *Archipelag GUŁag* Aleksandra Sołżenicyna. Upadł na kolana, gdy staruch mocniej szarpnął powrozem. Poczulem, jak znów wzbiera we mnie potężny gniew.

Wtedy, gdy ekstatyczny moment osiągnął swoje apogeum, Krzysiek dyskretnie szarpnął mnie za rękaw. Pokazał dwa czytelne gesty. Oznaczały: „Patryk z Franco są już gotowi. Wkrótce zaczynamy”. Przyjąłem to do wiadomości, ale chyba nie do końca zarejestrowałem. Moja uwaga była skupiona na Abi Rabi'i, który teraz stał w towarzystwie kilku innych mężczyzn i próbował gestami dłoni uspokoić rozentuzjasmowany tłum. Jego przybocznicy — nie rozpoznałem wśród nich jego synów — niezdarnie krzatali się po scenie, w końcu jeden z nich podał mu mikrofon, a drugi, z kamerą w dłoni, zaczął nagrywać. Wtedy, po wcześniejszym upewnieniu się, że sprzęt działa, staruch zaczął mówić. Kolumny zawyły przeciągle, jakby zaraz miały wydać z siebie ostatnie dźwięki. Próbowałem wychwycić cokolwiek, ale fakt, że przemawiał po arabsku, a odgłosy zbliżającej się burzy i szum z głośników zniekształcały głos, po prostu kompletnie mi to uniemożliwił. Rozumieć sensu jednak nie musiałem, w końcu pewne kwestie są ponadnarodowe. Ton, ekspresja, siła wyrazu, mowa ciała — to byłem w stanie wychwycić nawet ja. Widziałem jego coraz większe pobudzenie, podniecenie, jak z każdym wyrzyganym słowem ożywa coraz bardziej, w końcu niesiony płomienną przemową wznosi ręce do nieba. Jego emocje zdawały się namacalne, pałał złością i gniewem. I nieopisaną nienawiścią. Pomyślałem, że wygląda jak karykatura samego Adolfa Hitlera, nawołującego naród do rozpętania wielkiej wojny. Kto by pomyślał? W samym sercu stolicy niegdysiejszej Trzeciej Rzeszy...

Wtedy usłyszałem coś, co nie tylko zmroziło mi krew w żyłach, ale zamieniło w gęstą galaretę. Tak, usłyszałem z głośników swoje imię

i nazwisko, a wcześniej — co tylko wyostrzyło moją uwagę — końcówkę „-gurski”. Wypowiedziawszy te słowa, Abi Rabi’a po raz pierwszy, od kiedy zaczął mówić, rozejrzał się dookoła, tym razem w milczeniu, wyzywająco lustrując tłum. Znów coś wyrzucił do mikrofonu, następnie obrócił się raz i drugi, w świetle jednej z błyskawic ujrzałem jego poraną bruzdami, wykrzywioną gniewem twarz. Miałem wrażenie, że nasze spojrzenia przez ułamek sekundy spotkały się. Serce zamarło na chwilę, a czas zwolnił. Patrzyłem na to znieprawione oblicze jak w transie, a ludzie wokół krzyczeli, w górę znów powędrowały zaciśnięte pięści. Nie dostrzegł mnie, bo po prostu nie był w stanie, moja twarz zbyt głęboko była ukryta pod kapturem. Odwrócił się więc i niespiesznie, z należyтым szacunkiem, wyjął z pochwy podany mu przez asystenta żołnierski nóż. Zrozumiałem, że nie doczekał się odpowiedzi, jej brak potraktował jako złamanie umowy, a mój przyjaciel zaraz umrze. Wtedy, jakby na potwierdzenie zrobił dwa kroki w kierunku Michała, chwycił go za włosy i pociągnął głowę do tyłu, eksponując gardło.

Spojrzałem na zegarek, który wskazywał godzinę osiemnastą pięćdziesiąt siedem. Trzy minuty do deadline’u. Tumult zaczął się wzmacniać, a staruch znów zaczął mówić. Powoli, leniwie, zachowując pełną gamę emocji na finał, punkt kulminacyjny, czas, gdy w końcu poleje się krew. Poczułem, jak jakaś siła ściska mi wnętrzności i zawiązuje w supeł. To było silniejsze ode mnie, pomyślałem, że zaraz zwymiotuję albo się zesram. W jednej chwili pojąłem, co się wydarzy, jeśli nie zainterweniujemy, dotarło to do mnie z taką mocą, jakby ktoś wbił mi to do głowy dwudziestokilowym młotem do nitów kolejowych. Spojrzałem nerwowo na Krzyśka, ale nie otrzymałem żadnej informacji zwrotnej. Jakbym patrzył w posąg albo oblicze cyborga, maszyny bez krzty emocji, zaprogramowanej na wykonanie określonego zadania, bez względu na okoliczności. Wtedy za plecami usłyszałem znajomy warkot silników.

Kilkaset metrów za Bramą Brandenburską, z okolic słynnego Bundestagu, potężna rządowa maszyna wzbiła się w powietrze w eskorcie dwóch innych. Krzysiek wciąż czekał. Spojrzałem raz jeszcze na starucha. Każdy mój ruch trwał nienaturalnie długo, jakbym puścił film w lekko zwolnionym tempie. Arab wciąż przemawiał, coraz bardziej ekspresyjnie, trzymając ledwie przytomnego Michała za włosy. Oczami wyobraźni widziałem, jak jego głowa eksploduje, a siła odrzutu miota jego ciało daleko w stalową konstrukcję. Czerep wciąż jednak tkwił na miejscu, a z ust starucha wylewały się pełne nienawiści treści. Krzysiek uniósł dłoń i spojrzał na zegarek. To była ta chwila. To musiała być ta chwila.

Za sekundę, może dwie, mieliśmy rozpętać piekło.

Nie wiem, czemu zamknąłem oczy, może kierowała mną jakaś wyższa świadomość, może zwierzęcy instynkt, a może po prostu byłem śmiertelnie przerażony i spanikowałem. Gdzieś nad głową usłyszałem dziwny świst, a chwilę później omal nie rozerwało mi bębenków.

Krzysiek

8 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

W pierwszej chwili pomyślał, że to kolejny grzmot, ale ułamek sekundy później zrozumiał, że cały misterny plan runął jak domek z kart. Znów poczuł się jak w domu, czas zwolnił, obraz garbiących i łapiących się za głowę mężczyzn trwał, jakby ktoś z pełną premedytacją włączył na pilocie guzik mający na celu spowolnienie starej taśmy. Obrócił się i ujrzał kulę jaskrawego ognia, która zawisała kilkadziesiąt metrów nad Bramą Brandenburską, jej srebrny ogon ciągnął się aż do ściany jednej z przylegających do Pariser Platz starych kamienic, w której strzelistym oknie dwóch mężczyzn wznosiło teraz pięści w geście szalonego triumfu. Jeden z nich wciąż klęczał, trzymając na ramieniu ręczną wyrzutnię rakiet, przelotne spojrzenie wystarczyło, aby stwierdzić, że to stara rosyjska Igła.

Zanim echo eksplozji rządowego śmigłowca na dobre wybrzmiało w sercu Berlina, płonące odłamki zaczęły razić zgromadzony tłum, spadały na ludzi jak deszcz z rosyjskich katuszy albo iskry krzeszone przez rozgniewanego tym ponurym spektaklem Boga. Kuba patrzył na niego rozbieranymi oczami, jak na zbawienie czekając na jakikolwiek sygnał. Abi Rabi'a właśnie zniknął w tłumie, cały i zdrowy, a Michał leżał na deskach prowizorycznej sceny, spętany i mokry jak bezdomny kundel, jacyś ludzie brali go pod ręce i próbowali unieść bezwładne ciało.

Właśnie do takich sytuacji był szkolony. Gdy od południowej strony usłyszał serię strzałów, popartą kolejną eksplozją, jego umysł i ciało w jednej chwili zmieniły się w maszynę. Przedał się przez kilku najbliższych stojących mężczyzn i dwoma błyskawicznymi strzałami pozbawił życia pomocników Abi Rabi'i, którzy upadli jak rażeni piorunem. Biegnąc w kierunku Michała, oceniał sytuację, czując na sobie czujne oko żołnierza GROM-u, który dwieście metrów dalej zajął już swoją pozycję na dachu hotelu Adlon i ze skierowaną w to miejsce lunetą swojego karabinu wyborowego CheyTac M200 obserwował piekielne widowisko. I choć Krzysiek nie miał czasu analizować, dlaczego stary przyjaciel do tej pory nie nacisnął na spust, a jego kula nie wyrwała z czaszki mózgu starego Araba, wiedział, że Patryk przez następne kilkadziesiąt sekund będzie jego aniołem

stróżem, dla innych zaś — aniołem śmierci...

Strzelił jeszcze raz, kładąc jakiegoś bezimiennego brodacza, który stanął mu na drodze i próbował zatrzymać wyciągniętymi przed siebie rękoma. Kolejna dusza uleciała, zanim jeszcze ciało uderzyło o podłoże. Jednym cięciem swojego żołnierskiego noża urznął sznur na wysokości obroży i zarzucił sobie Michała na ramię. Gdy tylko go uniósł, na foliowych okryciach szalejącej gawiedzi dostrzegł odbicie zbliżającej się do ziemi kuli ognia. Obrócił się — śmigłowiec powoli opadał na ziemię, kręcąc się wokół własnej osi, a śmigła siekły burzę płomieni. Chrząst kolejnych metalowych elementów odrywających się od głównej konstrukcji i rażących rozbieganych poniżej ludzi wespół z zawrotem wicheru i kolejnymi grzmotami sprawiał, że maszyna zdawała się wyć z bólu. Już za chwilę, kilka sekund, które musiał wykorzystać jak najlepiej, miała zabrać ze sobą dziesiątki istnień, a jej metaliczny skowyt zmieszać się ze skomleniem umierających i zawrotem rannych.

Zeskoczył z drewnianego podestu na podłoże z kostki brukowej, ze szwagrem na ramieniu. Przysiadł, przygnieciony siłą ciężaru Michała, ale utrzymał go w stalowym uścisku. Miał te dodatkowe ułamki sekund, których luksusu nie posiadałby, gdyby sytuacja rozegrała się inaczej. Patryk nad nim czuwał, na pewno, teraz dostrzegłszy go przez lunetę wśród tysięcy zakapturzonych mężczyzn, mógł razić wszystkich, którzy pragnęli zatrzymać uciekających. Musiał jednak błyskawicznie dostosować plan do nowych okoliczności, w końcu to, co wydarzyło się zaledwie kilka sekund temu, absolutnie niespodziewanego i niemieszczącego się w żadnym z potencjalnych scenariuszy, jakie brał pod uwagę, było szansą absolutnie niepowtarzalną, zaskakującym darem od ponurego losu, może nawet magicznym dotknięciem palca samego Boga. Instykt podpowiadał mu też, że to jeszcze nie koniec, doświadczenie zaś, że dopiero początek. Nie wstał, choć na jego ciało padł cień, a następnie pomocna dłoń wślizgnęła się pod jego ramię i szarpnęła do góry. Nie poddał się jej i sprowadził Kubę w dół, następnie obaj przyłgnęli twarzami do zimnego i mokrego podłoża.

Nagle gruchnęło potężnie, jakby za ich plecami sam Thor grzmotnął młotem w środek Pariser Platz. Ziemia zadrżała, a okolicę rozświetliła kolejna łuna eksplozji, gdy rządowy śmigłowiec, po długim i efektownym tańcu w strugach deszczu na tle rozświetlanego błyskawicami nieba, z impetem runął w końcu na ziemię. Tysiące stalowych fragmentów jego kadłuba i zbrojonej szyby pofrunęło, tnąc i siekąc wszystko, co stało im na drodze, wbijając się w ciała, zapalając i topiąc foliowe okrycia i zamieniając ludzi w żywe pochodnie. Nieszczęśnicy biegali jak cierpiętnicy u wrót

piekiel, machając rękoma, panicznie próbując ściągnąć z siebie wierzchnie okrycie, wtapiające się w ubrania i żywe ciało. Oni leżeli rozplaszczeni, czekając na najgorsze. Wtedy powietrze rozpruł nagły świst, złowieszczy jak pogwizd demona z najgłębszych czeluści, i w jednej chwili skąpał okolicę w morzu czerwieni. Kolejne skrzydła wciąż pracującego wirnika po kontakcie z podłożem połamały się, a ich fragmenty z zabójczą skutecznością runęły w tłum, przenikając ludzką masę niemal bez żadnego oporu. Siekły ciała, otwierając je i uwalniając fontanny krwi, oddzielając członki i głowy, zostawiając ludzi kroczących w śmiertelnych spazmach z korpusami rozwartymi jak płatki jakiegoś obrzydliwego kwiatu. Jedna z metalowych części przemknęła z łoskotem koło nich i wyłupawszy kawałek podłoża zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od lewego ramienia Krzyśka, odbiła się od kostki brukowej i przeszła biegnącego mężczyznę, który rażony potężną siłą runął na twarz.

Zanim ostatni krwawy korpus uderzył bezwładnie o podłoże, a jęki rannych wypełniły przestronny plac, dwóch mężczyzn gnało już w stronę placu budowy, w tłumie napełnionym grozą i trwogą, niezwracającym uwagi na fakt, że na ich ramionach wisało bezwładnie ciało trzeciego, na którego spuchniętej twarzy malował się nieludzki wysiłek, kryjący uśmiech pełen niewysłowionej ulgi.

Kuba

8 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

Jatka.

Nigdy nawet nie śniłem, że kiedykolwiek przyjdzie mi ujrzyć coś takiego na żywo. To naprawdę popieprzone, jak los człowieka może zmienić się w ciągu kilku tygodni. Jeszcze niedawno przechadzałem się z moją ukochaną brzegiem hiszpańskiej plaży, jadłem pyszne lody i popijałem kolorowe drinki, a teraz brodziłem po kolana w ludzkich flakach. Ręce, nogi, korpusy porozcinane wzdłuż i wszerz, z których wylewały się jelita i wątroby, niektóre wciąż drżały w śmiertelnych spazmach dogorywającego organizmu, jak olbrzymie, czerwone robale wychodzące na żer. Jęki zawodzenia rannych wżerały się w umysł, krew mieszała się z deszczem, tworząc szkarłatne jezioro, pod nogami słyszałem chlupot wody i szelest foliowych okryć, które teraz pokrywały ten odrażający zbiornik jak jakieś dziwne, odpychające w swej istocie lilie. Ale choć widziałem to wszystko, a w świetle kolejnych błyskawic krew zdawała się jeszcze bardziej czerwona, twarze konających jeszcze bardziej wykrzywione, a krzyki rozpaczki niosły się na wietrze jeszcze donośniej, w ogóle nie zwracałem na to uwagi. Tak jakbym siedział w jakimś futurystycznym kinie, od początku do końca zdając sobie sprawę, że to wszystko tylko fikcja, wizja jakiegoś szalonego reżysera, który poziomem brutalności chce zszokować zgromadzonych widzów. Ludzie różnie radzą sobie w skrajnych sytuacjach, a mój organizm zareagował właśnie tak — po prostu wyłączył pewną część mózgu, tę odpowiedzialną za uczucia. Strach, obrzydzenie, empatia stały się dla mnie pojęciami obcymi, a wszystkie szare komórki skupiły się na tym, aby przetrwać ból i zmęczenie i dotrzeć do tej niewielkiej dziury w ziemi. Nic więcej mnie nie interesowało. Absolutne, pierdolone NIC.

Dziś wiem, że już wtedy trwał proces mojej powolnej śmierci. Nie ciała, lecz duszy, z każdym kolejnym dniem coraz bardziej jałowej, pozbawionej emocji i marzeń, smutnej, zagubionej, posępnej, zgorzkniałej. Duszy gnijącej za życia, która wkrótce miała dostać od losu jeszcze jedną, ostatnią szansę...

Wtedy jednak to pierwotne zło dało mi siłę. Biegłem więc, choć nogi

odmawiały posłuszeństwa, przedzierałem się przez tłum bezimiennych ludzi w kapturach, gnających w różnych kierunkach, o oczach przekrwionych i twarzach bladych, wykrzywionych ustach, gardłach pełnych nieznanych mi treści. Słyszałem swój ciężki oddech, dyszenie Krzyśka i pojękiwanie Michała, chlupot wody, szum wiatru i huk grzmotów na apokaliptycznie czarnym i kłębiastym niebie. Z głową pochyloną, nieludzko wycieńczony, zbryzgany nieswoją krwią, parłem jednak do przodu niczym rozjuszony byk podczas corridy. Nie wiem, ile to wszystko trwało, choć wtedy miałem wrażenie, że te dwieście metrów jakimś złośliwym zaklęciem zmieniło się w przynajmniej dwa tysiące. W końcu jednak minęliśmy dźwig, a następnie pozostałości po dawnym Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud. Czuję się już skrajnie wycieńczony, więc gdy w końcu wcisnęliśmy się pomiędzy osłony z dykty na plac budowy, przyjąłem ten fakt z ogromną ulgą. Wykop znów przypominał bagno, a ja musiałem stracić koncentrację, bo schodząc, poślizgnąłem się i wyrznąłem miednicą o kawał chodnikowej płyty, przez co Michał stracił oparcie i zsunął się za mną, pociągając za sobą Krzyśka. Wszyscy jak jeden mąż wylądowaliśmy w głębokim błocie, a ja w tej absurdalnej sytuacji, gdy uniosłem kompletnie umazane brzoję ręce, aby wytrzeć twarz, po raz pierwszy pomyślałem o czymś innym niż obrany cel.

Wyobraziłem sobie wydostającego się z kanału wspomnianego wcześniej Andy'ego Dufresne'a, więźnia słynnego amerykańskiego zakładu penitencjarnego Shawshank, i nagle poczułem przypływ niesamowitej energii. Tak jak on pragnąłem rozłożyć ręce i wydrzeć się, ile tylko miałem sił w gardle, dając upust tłamszonym emocjom, pokazać Abi Rabi'i i wszystkim jego podłym sługusom, że znów go ograłem i prędzej czy później dopadnę, a potem wyrwę serce. Tę chwilę niedorzecznej słabości przerwał nagły atak bólu w lewym boku, który pojawił się raptownie, jakby organizm chciał mi przypomnieć, że to jeszcze nie koniec. Jęknąłem i zakląłem szpetnie, chwytając się za kość miednicy, ale wtedy Krzysiek przytomnie złapał mnie za ramię i potrząsnął, natychmiast przywracając do rzeczywistości. Kaptur nieco mu się osunął z głowy i doznałem chwilowego szoku, bo cała odsłonięta twarz była pokryta grubą warstwą powoli spływającego błota. Pomyślałem, że teraz naprawdę wygląda jak John Rambo z drugiej części tej ponadczasowej serii, a gdy rzucił mi ostatnie surowe spojrzenie, pojąłem, że muszę wziąć się w garść. Wszak, co by nie mówić, różnica między nami a Dufresne'em polegała na tym, że on był już wtedy wolny i po drugiej stronie ciasnego i cuchnącego kanału, a my jeszcze do niego nawet nie weszliśmy.

Pięćdziesiąt metrów w tej cholernej rurze brzmiało dla mnie prawie tak

samo, jak pięćdziesiąt tysięcy, biorąc pod uwagę całkowite wycieńczenie, zwłaszcza zaś kondycję fizyczną i psychiczną Michała, którego ubłocona twarz przypominała teraz facjatę nie najlepiej ucharakteryzowanego aktora, którego rolą miało być straszenie nastolatków pod postacią golega w jednym z horrorów klasy B. Krzysiek szarpnął go i sprowadził jeszcze kawałek, aż obaj znaleźli się przy wejściu do kanału. Zanurzył dłonie w brudnej kałuży i przetarł oczy szwagra, ten jęknął, gdy woda obmyła opuchliznę pod okiem, wielkości pięści kilkuletniego dzieciaka.

— Jesteś w stanie się czołgać? — wykrzyczał Figur.

Deszcz powoli obmywał jego ubłoconą twarz.

— Tak — wydukał Afgan. — Dzięki...

— Nie ma czasu, Michał — przerwał mój przyjaciel. — Wejść do kanału tyłem i będę cię ciągnął. Kuba, ty za nami. Wiesz, co robić.

Przytaknąłem i spojrzałem raz jeszcze na Michała. Rozpierała mnie duma.

Zanim się obejrzałem, z otworu wystawała już tylko głowa Figura. Po chwili zupełnie znikł, a za nim wsunął się Michał. Przez chwilę zostałem sam. Nerwowo rozglądałem się po placu budowy, czy aby nikt nas nie dostrzegł i zaraz nie spadnie na nas lawina islamskiego gniewu. Na szczęście nie zauważyłem niczego niepokojącego, choć fakt, że będę ostatni w tej betonowej rurze, nie napawał mnie zbytnim optymizmem. W końcu i ja wsunąłem ręce do środka. Uderzył mnie zatęchły smród, jaki można spotkać tylko w takich miejscach, mieszanka zgnilizny, pleśni i fekaliów, mimo to poczułem się bezpieczniej niż na zewnątrz, a gdy wraz z kolejnymi pokonywanymi metrami harmider berlińskiego piekła cichł, wypierany przez odgłosy szurania i mój własny, przyspieszony oddech, poczułem, jak wstępują we mnie nowe siły. Od czasu do czasu starałem się popychać stopy Michała, aby dać mu jakiś punkt odbicia i ułatwić poruszanie się. Najgorsze było to, że nie widziałem żadnego światła w tunelu i droga ciągnęła się niemiłosiernie. Dodawaliśmy sobie animuszu, rzucając krótkie: „dawaj” czy „jeszcze chwila”, aż w końcu z ulgą przyjąłem chlupot wody pod żołnierskimi buciorami mojego przyjaciela. Chwilę później wszyscy trzej staliśmy w kompletnym mroku, wsłuchując się w odgłosy kapiącej wody.

Wygrzebałem z kieszeni latarkę i niemal równocześnie z Krzyśkiem włączyłem ją. Dwa snopy światła rozjaśniły niewielkie pomieszczenie.

— Wiedziałem, że przyjdziecie, ale... — Michał zakaszłał. — ...ale nie sądziłem, że każecie mi tyle czekać.

„Fajnie, że w takim momencie chłopca się jeszcze żarty trzymają” — pomyślałem i poklepałem go po ramieniu.

- Nie myślałeś chyba, że... — zacząłem, ale Krzysiek mi przerwał:
- Później o tym pogadamy, panowie. Michał, możesz chodzić?
- Tak, stopy i kolano bołą, ale mogę.
- Wkrótce cię opatrzemy. Kawał z ciebie twardego sukinsyna, brachu.

A teraz chodźmy.

Jak na zawołanie gdzieś z głębi tunelu rozległy się odgłosy kroków i zatańczył snop światła. Domyślaliśmy się, do kogo mogą należeć, ale nie zdziwiłem się, gdy usłyszałem szczęk odbezpieczanej broni. Tak na wszelki wypadek. Chwilę później z ceglanego tunelu wyłonił się nasz przewodnik.

— Jasny gwint! — mruknął. — Co to za facet?

— Nie mam na to czasu. Prowadź, chłopie.

— OK. Chcesz czekać na pozostałych?

— Nie, oni pójda inną drogą. W ostateczności wrócisz tu, jeśli coś się zmieni. Daj tę bluzę i buty.

Piotrek otworzył plecak, w którym na wszelki wypadek przygotowaliśmy ciuchy dla Michała. Afgan, jęcząc z bólu, włożył je i ruszyliśmy przed siebie. W mroku i ciszy, przygarbieni i brudni, drepcząc w cuchnącej brei, jak jakieś fantasmagoryczne istoty wędrujące w głąb podziemi z wyroku własnego obłądu.

Franco

8 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

Kolejnych sześciu mężczyzn dołączyło do imponującej grupy tych, których posłał na tamten świat. Przestał liczyć, gdy liczba przekroczyła pięćdziesiątkę, już dobrych kilka lat temu. Nie było sensu, uodpornił się.

Teraz biegł w deszczu, a pod jego stopami chlupała woda i chrzęściło szkło. Za plecami śmigłowiec rządowy właśnie runął w tłum. To musiała być masakra, wszak kiedyś był świadkiem podobnej pod nigeryjskim Maiduguri. Wtedy nie było czego zbierać, pewnie nie będzie czego zbierać i dziś.

Wąski korytarz pomiędzy barykadą a byłym budynkiem amerykańskiej ambasady był najeżony śmieciami i prowizorycznymi minibarykadami, które wykorzystywał do rozeznania się i sprawdzenia, czy z przodu nie czekają na niego żadne niespodzianki. Właśnie kuczał przy spalonym golfie, gdy zza jednej z przeszkód wyłoniło się dwóch pseudożołnierzy w kominiarkach ze sklepu z tanią odzieżą. Jeden trzymał w rękach wysłużonego kałasznikowa, a drugi był bez broni. Zastrzelił ich obu i pobiegł w kierunku kupy gruzu, za którą przykucnął, aby się rozejrzeć. Zerknął przez plecy. Nie był z siebie zadowolony. Miał odciągnąć uwagę zbiegowiska od Krzyśka i Kuby, a tymczasem nikt specjalnie nie zainteresował się faktem, że wysadził jedną z kolumn Bramy Brandenburskiej, przy okazji usuwając z tego świata kilku uzbrojonych typów, krążących pod wielkimi filarami. Ale kto mógł przypuszczać, że te półmózgi akurat w kluczowym momencie zestrzelą rządowy śmigłowiec?

Usłyszał krzyki za plecami. Odwrócił się, wyczekał, aż cele znajdą się na czystej pozycji i położył trupem trzech kolejnych. Wątpił, aby to była pogoń, raczej spanikowane jednostki, które zawieruszyły się akurat w tej okolicy po uderzeniu śmigłowca. Przeładował broń, coraz bardziej wściekły. Przeszło mu przez myśl, aby zawrócić i pomóc chłopakom na głównym placu, ale szybko otrząsnął się z tego głupiego pomysłu. W tym tłumie najpewniej nie miałyby szans, aby ich odnaleźć, zresztą anioł stróż patrzył na nich z góry. To generowało jednak kolejny problem, bo zajęty ich „odprowadzaniem” Patryk, mógł nie zdążyć przemieścić się na drugą stronę dachu, aby oczyścić

mu przedpole. Nie pierwszy i nie ostatni raz plan musiał się spierdolić. „Cóż... taka robota” — pomyślał i ruszył przed siebie.

Minął kolejny wrak i fragment wyrwanego ogrodzenia, okrytego workami z piaskiem i jakimiś kolorowymi szmatami. Przykucnął za wystającym z głównej barykady fragmentem autobusu, którego karoseria przypominała bardziej ser szwajcarski niż fragment nadwozia. W kałużach pływały wyblakłe i podziurawione plakaty z popiersiami znanych zachodnich polityków, obok wały się pojedyncze łuski po nabojach i kilka rozbitych butelek. Przetarł spoconą dłonią mokrą twarz, oddychał ciężko. Wychylił się — na lewo ciągnęła się ulica, niemal pusta, na wprost, za pasami, ogromny plac naszpikowany betonowymi blokami pomnika upamiętniającego pomordowanych Żydów. Właśnie pomiędzy nimi prowadziła najlepiej osłonięta i najbezpieczniejsza droga do miejsca, gdzie miał czekać na niego Łukasz.

Splunął w kałużę i rozejrzał się po okolicy. Na prostej wzdłuż pomnika było, jak szybko policzył, dwunastu nieco zdezorientowanych ludzi z bronią, głównie przewieszonymi przez ramię kałasznikowami. Machali rękoma, przekrzykiwali się, wskazywali na okolice Bramy Brandenburskiej, byli wyraźnie zdenerwowani. Ale nawet jeśli byli tylko amatorami, taka liczba ludzi z bronią maszynową zapewne nawet dla niego mogła okazać się zbyt duża. Owszem, z tej odległości mógłby szybko zdjąć dwóch, może nawet czterech, ale reszta zapewne wykorzystałaby minibarykady lub betonowe bloki i raziłaby miejsce, z którego strzelał, uniemożliwiając ucieczkę. Przy wsparciu Patryka...

Wychylił się raz jeszcze i zerknął w miejsce na dachu, gdzie spodziewał się ujrzeć zarys przyczajonej postaci, opartej łokciami o rant, nieruchomej, cierpliwie wyczekującej, niezważającej na zacinający deszcz i trzaskające pioruny. Nie ujrzał jej i pomyślał, że coś jednak poszło nie tak. Znów przeszło mu przez myśl, aby zawrócić, ale zrezygnował. Zamiast tego uniósł i przystawił dłoń do ust, już nie ryzykował zdekonspirowania Krzyśka. Nie w tym hałasie i chaosie.

— Krzysiek, jesteś?

Cisza.

— Krzysiek, macie go?

Gdy już miał po raz trzeci i ostatni powtórzyć pytanie, minigłośnik w jego uchu zadrżał.

— Mamy go, rób swoje.

Odetchnął, niepotrzebnie zwątpił. Ten chłopak był niemożliwy. Miał to coś, co posiadają tylko nieliczni, może jeden na tysiąc, może nawet jeden na

milion — niesamowity talent do wojaczki, ale — co najważniejsze — poparty absolutnie niepowtarzalnym darem wychodzenia z każdej, nawet najbardziej beznadziejnej sytuacji w jednym kawałku. Tak jak wtedy, w tym tropikalnym gąszczu nigeryjskich lasów deszczowych, gdy sam rozprawił się z dwunastoma bojówkarzami Boko Haram, a następnie rannego mentora wyniósł z buszu na własnych barkach. Niemal nadludzką siłą targał go półprzytomnego przez góry, prawie dwadzieścia kilometrów, dzięki czemu uratował od niechybnej i z pewnością bardzo powolnej i bolesnej śmierci z rąk tych sadystycznych psychopatów. Taki już był, kule tego faceta omijały, jakby się go nie miały, wróg go nie widział, jakby był ślepy, a on zawsze wiedział, kiedy znaleźć się w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze. I miał serce jak sam Leonidas. Skurczybyk! Kochał tego gościa jak brata, od lat zastępował mu tragicznie zmarłego Gennaro...

Przetarł wierzchem dłoni krzaczaste brwi i obfity wąs, po czym odciągnął kaptur, aby uzyskać większe pole widzenia. Oparł się o barykadę i spojrzał w górę. Wicher wciąż dał jak opętany, a błyskawice rozdierały gniewne niebo. Wziął głęboki oddech, foliowe okrycie zaszeleściło, gdy opięło nienaturalnie wielką klatkę piersiową. Okolicę Bramy Brandenburskiej rozświetlała krwawa łuna, jaką można spotkać, patrząc z oddali na płonący las. Kolory, jakie roztaczała, zdawały się jednak bardziej agresywne i zaborcze, równie drapieżne jak te wokół płonących wiosek, zjadliwe i złośliwe w obliczu rozkazów, które nakazują nie podejmować żadnych działań, choć serce się kraje na widok czystek etnicznych, ulubionej zabawy islamskich ekstremistów w północnej i środkowej Afryce. „Tu śmierć też musiała zebrać krwawe żniwo” — pomyślał, po czym raz jeszcze splunął na ziemię.

Wtedy spomiędzy filarów monumentalnej budowli wybiegło kilkunastu mężczyzn. Mieli do pokonania jeszcze ze sto metrów upstrzonej wszelakimi przeszkodami drogi, ale wobec faktu, że za jego plecami znajduje się przynajmniej dwunastu kolejnych, sytuacja stawała się coraz bardziej poważna, żeby nie powiedzieć — krytyczna. Raz jeszcze spojrzał na dach. Ani śladu snajpera. Przystawił nadgarstek do ust.

— Patryk?

— Sto dwadzieścia sekund.

— Przyjąłem. Nie mam tyle. Ruszam za sześćdziesiąt.

— Nie zdążę.

— Poradzę sobie. Bez odbioru.

„Nie z takich opresji wychodziłem” — pomyślał i mocniej ścisnął lśniącą berettę, której rękojeść niemal utonęła w ogromnych, niemal

niedźwiedzich grabach.

Przeanalizował możliwości, a komputer w jego głowie, zaprogramowany przez najbardziej skurwysyńskich i sadystycznych instruktorów całej Legii Cudzoziemskiej, w kilka sekund przetworzył wszystkie dane: czas, liczbę wrogów, ich uzbrojenie, potencjalny procent znalezienia się wśród nich szkolonych żołnierzy, liczbę sekund potrzebnych na dotarcie do pierwszych bloków skalnych i całkowity czas przedarcia się pod ogniem aż do barykady. Zaklął pod nosem, gdy ocenił swoje szanse jako wyjątkowo lichy. Bez pomocy Patryka oscylowały pomiędzy spotkaniem na ulicy Elvisa a trafieniem szóstki w totka bez wchodzenia do kolektury.

Głosy nadbiegających od strony Bramy Brandenburskiej mężczyzn nasiliły się i zaczęły przebijać przez szum wiatru i huk piorunów. Byli coraz bliżej i choć pierwszych trzech, może czterech, mógł wystrzelać jak kaczki, to pozostali staliby się ogromnym zagrożeniem, zwłaszcza że zapewne daliby znać kompanom krążącym wzdłuż barykady po drugiej stronie autobusu. Wzięty w krzyżowy ogień nie miałby żadnych szans.

Wyszczerzył zęby i zerknął na zegarek. Czas obliczył właściwie. Minęło czterdzieści pięć sekund, za kolejne piętnaście, góra dwadzieścia, zostanie dojrzany. Ostatni raz spojrzął na dach. Ani śladu Patryka. Wstał i pobiegł w kierunku betonowych bloków.

Patryk

8 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

Zamknął osłonę lunety.

Wszystko poszło nie tak jak trzeba. Może nie wszystko, ale tutaj każdy miał swoje motywy. Z drugiej strony przecież wiedział, że będzie musiał pracować z amatorami. Pieprzony Abi Rabi'a i jego banda...

Pogoda znacznie utrudniła mu zadanie, widoczność w kluczowym momencie spadła niemal do zera, mrok, zacinający deszcz i porywisty wiatr od zawsze były zmorami każdego snajpera, nawet jeśli cel znajdował się zaledwie kilkaset metrów dalej. No i ten śmigłowiec. Czy ktoś to wcześniej zaplanował? Trudno mu było uwierzyć, że nie, chociaż po tych imbecylach można było spodziewać się absolutnie wszystkiego. Gdy maszyna gruchnęła o ziemię, w zasadzie mógł zapomnieć o swoim zadaniu. Cele zniknęły w dymie po eksplozji, w panicznie miotającym się tłumie, niemal wszystkie ubrane jednakowo, w białe lub niebieskie foliowe okrycia, z twarzami skrytymi pod kapturami, przy takiej pogodzie i w takim chaosie stały się praktycznie niemożliwe do zidentyfikowania. Owszem, był szkolony do operowania w podobnych warunkach, GROM nigdy nie pozostawiał niczego przypadkowi, różnica polegała na tym, że zawsze miał obok skrzydłowego, który zajmował się obserwacją celów, mierzeniem odległości, oceną warunków pogodowych i kontaktem z bazą, czyli w zasadzie wszystkim tym, co teraz bezpośrednio spadło na jego barki.

Usłyszał coś za plecami, błyskawicznie obrócił się i skierował lufę w tamtą stronę. Pusto. Ani żywego ducha, jedynie deszcz tłukący w dach i łopocząca czarna flaga z szahadą. Zaklął pod nosem. Zmysły zaczynały go zawodzić. Czuł, że jeszcze trochę, a nerwy wezmą górę nad opanowaniem i spokojem. Gdyby tylko miał czysty i niezmacony umysł...

Obezwładniające uczucie...

Musiał wziąć się w garść. Przetarł mokre oczy i omiółł wzrokiem Pariser Platz, który teraz przypominał pole po krwawej bitwie, z centrum którego uciekały w popłochu niedobitki po dzikiej szarzy ciężkiej konnicy wroga. Kompletny chaos, powietrze przesiąknięte grozą, ludzie tańczący ostatnie tango z kostuchą. Cierpienie.

Wolał nie myśleć nad konsekwencjami. Abi Rabi'a zniknął, podobnie Krzysiek i Kuba. Przez moment, gdy dobiegli do Michała, miał ich na celowniku, ale chwilę później śmigłowiec uderzył w ziemię i doszło do masakry, obraz sytuacji zmienił się diametralnie i wszystko szlag trafił. Zgubił ich i choć przez kilkadziesiąt następnych sekund próbował odnaleźć, zadanie to w tym tłumie zakrawało na misję niewykonalną.

Podjął ostatnią próbę i przeczesał wzrokiem zatłoczoną ulicę. Jego wzrok przykuły trzy postaci, które niepokornie przebijały się przez rozszalały motłoch. Jakby nie pasowały do reszty, nie poddały się psychologii tłumu, nie szły jak owce na rzeź. Mężczyźni znajdowali się przy dźwigu, minęli go, zatem zaraz mogli zniknąć za ścianami z dykty, ochraniającymi plac budowy. Czy naprawdę mogło im się udać?

Spojrzał przez lunetę. Dwie postaci w niebieskich foliowych okryciach, dokładnie takich, jakie sam miał na sobie. Nieśli trzeciego, prawie nagiego, wycieńczonego, półprzytomnego. Dokoła panika, nikt nie zwracał na nich uwagi. Położył palec na spuście i czekał. Krótco, bo po chwili zniknęli za białą ścianką i stracił ich z oczu. Boże, miej ich w swojej opiece...

Na samą myśl jego tętno podskoczyło. Podjął decyzję. Miał priorytety. Podniósł się i ruszył na drugą stronę dachu. Po niecałej minucie znalazł się na miejscu. Trzysta metrów dalej ogień z luf kałasznikowów rozjaśniał mrok przy barykadzie. Wszystkie były skierowane z stronę betonowych bloków, zasypywały je chaotycznymi seriami w próbie odnalezienia kryjącego się pomiędzy nimi mężczyzny. Nawet w tak fatalnych warunkach atmosferycznych byli doskonale widoczni, mógł do nich strzelać jak do kaczek. Przyjął pozycję, otworzył osłonę lunety. Decyzja została podjęta.

„Boże miej ich w swojej opiece” — powtórzył w myślach, następnie skierował wzrok na obrany cel.

Franco

8 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

Teraz był z siebie zadowolony. Pruli do niego jak naćpani maniacy militariów na wieczorze kawalerskim, oby tylko walić przed siebie i wybebeszyć jak największą liczbę łusek. Betonowe bryły dawały mu jednak znakomite schronienie i gdyby nie fakt, że podłoże opadało w dół, w którym po ulewie uzbierało się sporo wody, przez następne minuty mógłby śmiać się tym amatorom w twarz i ściągać jednego po drugim. Sztukę walki w terenie zabudowanym miał opanowaną do perfekcji i przy dobrym zbiegu okoliczności mógłby pozbyć się nawet ich wszystkich, wszak każdy wysoki rangą dowódca wiedział, że profesjonalnie wyszkolony komandos jest wart co najmniej czterdziestu ludzi z łapanki.

Gdy znalazł się po pas w wodzie, uznał, że warto wykorzystać ten przypadkowy zbiornik. Zanurzył się i odpychając rękoma od rantów kolejnych bloków, pokonał dwadzieścia metrów na bezdechu. Woda była ciepła, a przynajmniej tak mu się zdawało. I bezpieczna, z takiej odległości i pod takim kątem kule nie mogły zrobić mu żadnej krzywdy. Kiedy tylko wynurzył głowę, aby nabrać powietrza, dwie kule świsnęły mu obok ucha i wyłupały kawałek betonu w jednym z bloków. Niechętnie przyjął też do wiadomości, że przynajmniej dwóch mężczyzn zdecydowało się wejść w obręb steli. „Przynajmniej” było tu słowem kluczem, bo tych ujrzał w swoim „korytarzu”. W kolejnych mogło być ich znacznie więcej, więc aby zniechęcić potencjalnych bohaterów, dwoma precyzyjnymi strzałami pozbawił ich życia. Wybrzmiały ostrzegawcze głosy kompanów, ale najwyraźniej nie wpadli w panikę, bo ton i przekaz zdawał się raczej agresywny i nawołujący do kontynuowania podjętego działania. Co gorsza, zabijając tamtą dwójkę, jednoznacznie wskazał miejsce, w którym aktualnie się znajdował.

Zanurzając się ponownie, pomyślał o Patryku, chłop powinien już dawno być na dachu i robić swoje. Każdy w Europie i na świecie znał żołnierzy tej legendarnej polskiej jednostki, dorównującej, a według wielu specjalistów przykrywającej czapką amerykańską Navy SEALs czy brytyjski SAS. Sam miał okazję dwukrotnie współpracować z komandosami GROM-u i miał

o nich jak najlepsze zdanie. Wybitni specjaliści. „Oby Patryk był jednym z nich” — pomyślał, ale niemal w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że obecność tych gówniarzy pomiędzy stelami nie była przypadkowa. Owszem, mogli wejść tam, chcąc go dopaść, ale tym samym narażali się znacznie bardziej. Wyłumaczenie mogło być zgoła inne — to Patryk miał spustoszenie na otwartym terenie, więc zasańcy uznali, że najlepiej ukryć się pomiędzy betonowymi blokami, aby zniknąć z pola widzenia snajperskiej lunety. Jak to łatwo z myśliwego zamienić się w zwierzynę...

Gdy woda znów stała się płytką i został zmuszony, aby się wynurzyć, w odległości nie więcej niż dziesięciu metrów dojrzał następnego zamaskowanego typu. Kolejny cień przemknął nieco dalej pomiędzy blokami, które stawały się coraz niższe. Nie przekraczały już dwóch metrów i jeśli chciał dotrzeć do barykady, musiał na nowo ocenić niebezpieczeństwo. Nie oddał strzału, nie chciał zdradzać swojej pozycji, jedynie dyskretnie wychylił głowę ponad stelę. Zacinający deszcz znacznie ograniczał widoczność, ale była to broń obosieczna, wszak przeciwnicy musieli zmagać się z tym samym problemem. W świetle błyskawicy dojrzał przynajmniej pięć postaci, zatem większość albo padła już ofiarą Patryka, albo znajdowała się pomiędzy najwyższymi blokami. Uznał, że to dobry moment, ale potrzebował potwierdzenia.

— Patryk. Prawie się przebiłem. Potwierdź, że jest czysto.

— Droga wolna.

— Rudy?

— Jestem na miejscu.

Nie potrzebował nic więcej, pomyślał, że niepotrzebnie zwątpił, przecież to ludzie Krzyśka. Przeczłogał się jeszcze kilka metrów w niskiej wodzie, w końcu podniósł się i ruszył przed siebie. Jego potężne ciało długo zbierało się do sprintu, ale po trzech sekundach wyglądał już jak rozpędzony bawół. Za plecami wybrzmiały strzały, musieli go dostrzec. Biegł, nie zważając na nie, teraz liczyło się tylko, aby dotrzeć do barykady i jakoś przedostać się, przebić, przeskoczyć, choćby wyrąbać dziurę i znaleźć się po drugiej stronie, gdzie czekał czarny, pięciolitrowy smok o wdzięcznej nazwie „jeep cherokee”, następnie wskoczyć do jego paszczy i dać się ponieść w jego trzewiach jak najdalej od tego pieprzonego miejsca.

Wtem poczuł uderzenie w prawej łopatce, niespodziewanie silne, którego nie był w stanie w żaden sposób zamortyzować. Jego ciało doznało niekontrolowanego skrętu i upadł, ryjąc twarzą po mokrym asfalcie. Dopiero wtedy każdą komórką jego ciała wstrząsnął porażający ból, mimo to zdołał zachować kontrolę umysłu. Trafili go, to było bardziej niż pewne, stracił

oddech, kula najwyraźniej przeszła płuco, bo poczuł metaliczny smak w gardle. Zakaszał, a następnie zwymiotował krwią, poczuł, że zaczyna się topić. Podjął próbę wstania, ale cała prawa część ciała była praktycznie bezużyteczna. Jak to możliwe, aby jeden pieprzony nabój z kałacha narobił tyle szkód? Kiedyś dostał dwa i mógł dalej poruszać się o własnych siłach, a teraz miał wrażenie, że w plecach zionie czarna dziura wielkości krateru Wezuwiusza.

Zaklął. Za plecami usłyszał kroki i nawoływania. Uderzające o asfalt krople wydawały mu się nienaturalnie głośne. Chłupot wody spod butów nadbiegających mężczyzn i szum wiatru. Huk grzmotów.

Nadludzkim wysiłkiem przewalił się na plecy, w dłoni wciąż trzymał swoją berettę. „Wszystko się popierdoliło” — pomyślał. I wtedy pojął coś strasznego.

— Skurwys...

Nie dokończył, gdy druga kula rozerwała jego czaszkę jak łupinę dorodnego orzecha. Beznamiętnie pożarł go mrok.

Leila

8 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

Siedziała na kanapie z nogami wyłożonymi na pufie, a główka Mahdiego spoczywała na jej miękkich i ciepłych udach. Oglądali bajkę o dinozaurach, ale duże oczy brata coraz częściej znikwały za zasłoną powiek zdobionych wyjątkowo długimi jak na chłopca rzęsami. Leila z matką zawsze zastanawiały się, dlaczego Allah obdarzył nimi właśnie Mahdiego i nigdy nie potrafiły znaleźć odpowiedzi na to nurtujące pytanie.

Głaskała go delikatnie po skroniach, opuszkami palców muskając kark i uszy. Często usypiała go w ten sposób, a on uwielbiał zapadać w sen w objęciach starszej siostry. Był bezpieczny, myślała, gdy na niego patrzyła. To było najważniejsze. Zdrowy i bezpieczny.

Gdy upewniła się, że Mahdi już śpi, łagodnie uniosła jego głowę i wsunęła pod nią poduszkę, a potem przeniosła go do łóżka przy rozkładanej kanapie, na której zwyczajowo spali rodzice. Przykryła ciepłym, choć wiekowym już kocem o nieco wyblakłych kolorach i pocałowała w policzek. Uśmiechnęła się na myśl, że może układać do snu młodszego brata bez obaw, że obudzi go seria z karabinu albo wybuch bomby. Płacz najmłodszych budził w niej nie mniejsze przerażenie niż widok zamaskowanych żołnierzy pukających wieczorami do drzwi ich mieszkania w Mosulu. Widziała tyle załzawionych oczu, smutnych i zdruzgotanych twarzy, matki próbujące uciszyć krzyczące pociechy, wyginające się na rękach rodziców, jakby cierpiały na jakąś straszliwą i nieuleczalną chorobę, osmolone policzki, spalone włosy, przetarte stópki i poszarpane nogawki, czarne rączki, poplamione rękawki, wystające kości, otępiełe spojrzenia... oczy, na dnie których próżno szukać nadziei. Te dzieci znały ból, to był ich jedyny świat, jedyny, jaki poznały, jaki kiedyś poznała ona.

Pokręciła głową, aby otrząsnąć się z ponurych myśli. Ostatnio łapała się na tym, że przychodziły niepostrzeżenie i coraz częściej w chwilach takich jak ta. Lub w snach, realistycznych jak sam diabeł, koszmarach, które wracały i wracały. Trudno jej było zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, bo zamiast cieszyć się z hojności Allaha, który pobłogosławił ich rodzinę takim cudownym domem, w kraju spokojnym i bezpiecznym, prawie codziennie

wracała do piekła Mosulu. Czy Bóg chciał jej coś przekazać? Może ją karał? Może to pokuta za świętokradztwo, jakiego się dopuściła, uprawiając brudny seks z tamtym ledwo co poznanym chłopakiem? Do dziś czuła niezwykle dojmujący wstyd, gdy tylko przypominała sobie ten wieczór. Wypełniało ją wówczas uczucie absolutnie obezwładniające i bała się, że szkaradne kłamstwo, które tak głęboko skrywała przed najbliższymi, prędzej czy później wyjdzie na jaw. Ileż to razy podczas spożywania rodzinnego posiłku milczała jak grób, tępo gapiąc się w talerz, a ojciec przyglądał się jej przenikliwie. Matka pytała, czy aby wszystko w porządku, czy coś ją boli i czy nie ma problemów w szkole, a Leila zawsze odpowiadała to samo: że jest super i rodzice nie muszą się o nic martwić. Ojciec rzadko włączał się wówczas do rozmowy, ale za każdym razem czuła na sobie jego palące spojrzenie i była niemal pewna, że coś podejrzewa, co gorsza, miała wrażenie, jakby na czole ktoś namalował jej grubym czerwonym mazakiem napis: „Jestem dziwką”.

Zamknęła oczy i zakryła usta. Pomyślała, że musi się czymś zająć, bo nie wytrzyma i zwariuje. Posprzątała już klocki, ułożyła Mahdiego, postanowiła, że teraz pomoże matce w kuchni. Porozmawiają o najnowszych trendach modowych albo ostatnich newsach z życia serialowych celebrytów i głupie myśli odejdą. Wychodząc z saloniku, rzuciła ostatnie spojrzenie na małego Mahdiego. Jego klatka piersiowa unosiła się miarowo. Spał.

— Mamo, czyżbym wyczuwała moją ulubioną kolację? — spytała, przekraczając próg kuchni.

— Czyżbym wyczuwała, że chcesz mi pomóc, córko? — odparła przekornie matka pytaniem na pytanie, nie odrywając wzroku od krojonych w słupki marchewek, ale kąciaki jej ust ledwo zauważalnie uniosły się.

Obok leżały namoczone już liście winogronowe oraz miska z farszem: mieszanką mięsa wołowego, ryżu, cebuli, czosnku i przecieru pomidorowego, wszystko oczywiście piekielnie doprawione bogatą mieszanką, od pieprzu i papryki po cynamon, kardamon i goździki. Wytarła czoło wierzchem dłoni i szczerze uśmiechnęła się do Leili, wyglądała na zmęczoną.

— Wyciśnij cytryny i przygotuj wodę, proszę. Ja zawinę farsz.

— Ja to zrobię, mamo, ty odpocznij.

— Ech... — Kobieta machnęła ręką, w której trzymała kuchenny nóż. — Trudno mi usiedzieć w miejscu, gdy myślę, że twój ojciec biega po mieście z tą niepokorną młodzieżą. Tylko ta rewolucja i rewolucja. Po co to wszystko? Czyż jest nam tu źle? Chyba nigdy nie zrozumieję mężczyzn...

Matka usiadła zrezygnowana na taborecie i spuściła wzrok. W gęstwinie

czarnych włosów, spiętych z tyłu kilkoma wsuwkami, można było dojrzeć pierwsze ślady siwizny, która w silnym świetle kuchennej lampy dostojnie posrebrzała głowę pani domu.

— Wiesz, jacy są faceci. Nigdy się nie zmieniają — rzuciła Leila, wyciskając sok z cytryn wprost do garnka.

— Święta prawda, córko, bezsprzecznie święta prawda. Powiedz... Mahdi zasnął?

— Tak, śpi.

— Zjadł to, co mu przyniosłam?

— Ugryzł tylko kilka kęsów chleba, kaszy w ogóle nie chciał, chyba nie był głodny.

— Chuderlak będzie z niego, jak ojciec.

Obie kobiety zaniósł się szczerym śmiechem, po czym zboczyły na tematy typowo kobiece, poczynając od osiedlowych plotek po komentarze ostatniego odcinka ulubionego serialu o przygodach bohaterki haremu Sulejmana Wspaniałego. Leila w tym czasie wyręczyła matkę i zaczęła układać pokrojoną marchew na liściach winogron, następnie kolejne warstwy mięsno-ryżowego farszu. Gdy wszystkie zawiniątka były gotowe, wsadziła je do garnka z wcześniej przygotowaną wodą, oliwą i sokiem z cytryny, następnie przykryła i postawiła naczynie na gaz. Już wkrótce intensywny zapach tradycyjnej irackiej dołmy miał wypełnić niewielkie mieszkanie rodziny Al-Sahili. Stało się inaczej...

Gdy tylko Leila puściła ucha garnka, w kuchni rozległ się przeraźliwy huk, a na przyległym do parapetu stole wraz z masą szkła wyładował fragment płyty chodnikowej. Podskoczyła i krzyknęła, matka zerwała się na równe nogi i przylgnęła do przeciwległej ściany, z przerażeniem patrząc na bezkształtny otwór w oknie, przez który teraz do wnętrza wdzierały się wiatr i deszcz, szarpiąc koronkowymi firankami, jakby chciały je rozerwać na strzępy. Kobiety stały tak przez moment w kompletnym szoku, nie rozumiejąc, co się właściwie wydarzyło, z chwilowego letargu wyrwał je dopiero płacz Mahdiego, którego najwyraźniej obudził brzęk tłuczonego szkła. Matka jako pierwsza chwyciła dwie wiszące przy zlewie ścierki i nieudolnie zaczęła zapychać nimi dziurę, Leila szybko do niej dołączyła, ale widząc kiepskie efekty zmagania swojej rodzicielki, pobiegła do łazienki, skąd przyniosła jeszcze kilka ręczników. Po kilkudziesięciu sekundach kobietom udało się opanować sytuację i jako tako zatkać otwór, wtedy matka pobiegła uspokoić syna. Leila odprowadziła ją wzrokiem, ale pozostała na miejscu. Z duszą na ramieniu wychyliła głowę i zaczęła obserwować ulicę, na której grupy młodych ludzi biegały raz w jedną, raz

w drugą stronę, obrzucając się kamieniami, sztchetami i wszystkim, co wpadło im w ręce. W zdecydowanej większości twarze mieli zasłonięte szalikami albo chustami, a na głowach zaciągnięte kaptury, więc nie była w stanie rozpoznać, kim są, nie wątpiła jednak, że to nie porachunki rywalizujących ze sobą lokalnych młodocianych gangów, a coś znacznie bardziej poważnego. Kątem oka dojrzała, że kilkadziesiąt metrów dalej płonie samochód, chwilę później stojąca obok furgonetka też zajęła się ogniem, po tym jak ktoś rzucił w nią butelką z jakąś łatwopalną cieczą. Usłyszała strzały, krzyki, przeraźliwe, upiorne. I znów grupka młodych mężczyzn przebiegła koło jej okna.

Nie pierwszy raz widziała w stolicy Niemiec zamieszki, ale tym razem z tego chaosu wyzierało coś złego, czego nie potrafiła jednoznacznie określić, ale co napawało ją paralizującym wręcz strachem. Gdy w końcu zza rogu stojącej naprzeciwko kamienicy wychylił się wysoki i chudy mężczyzna, poczuła, jak zalewa ją zimny pot. Na twarzy miał kominiarkę z własnoręcznie wyciętymi otworami na oczy i usta, a przez ramię nosił przewieszony pas z nabojami. Nie to jednak przerażyło ją najbardziej. Mężczyzna wykrzykiwał w stronę uciekającej grupy obraźliwe hasła, jedną ręką wymachiwał zakrwawioną maczetą, a w drugiej, dumnie wyprostowanej przed sobą, trzymał za bujną czuprynę — ten widok z Mosulu wyrzył w jej umyśle krater nie mniejszy niż lej po eksplozji słynnej „matki wszystkich bomb” — odrąbaną ludzką głowę. W pewnym momencie zrobił kilka kroków i kopnął czerep niczym bramkarz wybijający piłkę z własnego pola karnego, wykrzyknął jeszcze kilka agresywnych tekstów, po czym jego wzrok spoczął na oknie mieszkania rodziny Al-Sahili. Leila natychmiast odskoczyła i błyskawicznie zaciągnęła zasłony. Przyłgnęła plecami do ściany, czując, jak trwoga wypełnia każdą komórkę jej ciała, wwierca się w umysł i odnajduje wszystkie zakorzenione przed laty lęki. Pomyślała, że piekło wróciło, ba, sam diabeł kroczył zaledwie kilka metrów od jej domostwa i w każdej chwili mógł zapukać do drzwi.

Wtedy zgasło światło.

Serce podeszło Leili do gardła, instynktownie zasłoniła dłońmi usta, aby nie krzyknąć. Tego przed laty nauczyła ją matka. Wtedy, gdy demony zawładnęły ich rodzinnym miastem i krzewiły wypaczoną naukę Proroka, a wszyscy inni bombardowali ich miasto, jakby było poligonem wojskowym, a nie miejscem zamieszkanym przez setki tysięcy niczemu winnych i bezbronnych cywilów.

Stała przy ścianie, jakby ktoś przyspawał ją do podłogi, modląc się, aby mężczyzna w kominiarce nie zapukał do ich drzwi. Wtedy do kuchni

wkroczyła matka. Na rękach trzymała zapłakanego Mahdiego, który wciąż chlipał, ale najwyraźniej nie był już tak przerażony, jak na początku. Postawiła go na podłodze, a on chwycił się jej sukni i niemal zniknął w obfitych fałdach materiału.

— Podaj mi radio, córko — stanowczo poleciła Leili, która natychmiast sięgnęła po stojące na szafce urządzenie z epoki słusznie minionej.

— A telewizor? Może tam coś powiedzą? — spytała, przekazując je matce.

— Próbowałam przed chwilą, ale przecież wyłączyli prąd.

— Boję się, mamó. Tam... na ulicy...

— Cśśś... — Pani Al-Sahili, poruszając pokręteł, próbowała ustawić odpowiednią stację.

— Ale tam się...

— Jest! — mruknęła zadowolona matka i pogłośniła dźwięk.

— Ty znasz lepiej niemiecki, tłumacz, proszę.

Leila wsłuchiwała się w słowa kobiety o mocnym i apodyktycznym głosie, która mówiła, jakby strzelała z karabinu. W półmroku matka nie mogła dostrzec, że twarz jej córki blednie z każdą przyswojoną informacją, oddech i tętno przyspieszają, a dłonie zaczynają drżeć.

— Co mówią, córeczko, co mówią? — naciskała.

— Mówią, że... mówią...

— No, dalej, Leila. Co tam się dzieje?

— Mamó! Oni podobno stracili rakieta rządowy śmigłowiec.

— Niemiecki? O Allahu!

— Mówią, że w tym śmigłowcu leciał kanclerz i stracił życie w katastrofie przy Bramie Brandenburskiej...

Obie kobiety jeszcze kilkakrotnie wzywały swojego Boga, chwytaly się za głowę, z niedowierzaniem otwierały szeroko oczy, wsłuchując się w meldunki reporterki. Fakt, że mąż i ojciec miał być jednym z uczestników kazania pod Bramą Brandenburską, przyprawiał je o mdłości, zwłaszcza gdy szorstki głos przekazywał z głośnika informacje o dziesiątkach zabitych i setkach rannych. I do tego ten kanclerz! Przecież śmierć przywódcy kraju musiała mieć niewysłowione wręcz konsekwencje.

Leila spróbowała zadzwonić, ale system łączności najwyraźniej był przeciążony albo w ogóle padł, bo po wykręceniu numeru nie usłyszała nawet jednego sygnału, a aparat automatycznie zawieszał połączenie. Matka w tym czasie zapaliła świece. Mrok rozjaśniły niewielkie płomienie, w ich świetle było coś złowieszczonego, cienie tańczyły na ścianach jak pokraczne istoty z nieznanego wymiaru, które pragną znaleźć bramę do naszego świata.

Zapanowała niemal głucha cisza, przerywana od czasu do czasu krzykiem lub hukiem wystrzału gdzieś z oddali. Uliczne latarnie zgasły, podobnie kolorowe neony pobliskich lokali, zrobiło się ciemno i strasznie. Jak podczas długich nocy w okupowanym przez bojowników Państwa Islamskiego Mosulu.

Słuchały dalej karabinowych serii z ust niemieckiej reporterki, która przekazywała kolejne szokujące informacje. Od czasu do czasu widziały, jak za oknem mrok rozświetla snop reflektorów poruszających się samochodów, jazgot na ulicach znów zaczął się wzmacniać. Kolejne głosy, krzyki, tupot nóg, strzały, grzmot, jakieś dudnienie, brzęk wywracanego śmietnika, trzask pękającej blachy. Chaos powracał, a one modliły się, aby mąż i ojciec wrócił do domu cały i zdrowy, nawet pomimo coraz bardziej wstrząsających meldunków, jakie docierały do ich udręczonych uszu z głośników starego radioodbiornika. W końcu usłyszały ten dźwięk, jedyny w swoim rodzaju, niemożliwy do pomylenia z niczym innym, tak doskonale znany im z czasów życia w piekle. Głęboki bas potężnych dieslowskich silników, połączony z szorstkim szcękaniem przesuwających się gąsienic ciężkich wozów bojowych, był zapowiedzią, że tym razem sprawa nie skończy się na policyjnej obławie, w efekcie której dojeżdżąc do kilkunastu zatrzymań najbardziej krewkich zadymiarzy.

Leila spojrzała przez okno i niemal natychmiast została oślepiona przez silne światła reflektorów pierwszego z kolumny ciężkich wozów pancernych niemieckiej armii. Ale to nie ten widok wzbudził w niej nagły przypływ obezwładniającego strachu. Gdy poczuła zimny podmuch na plecach, a w kuchni zgasły wszystkie świece, krew w jej żyłach w jednej chwili zamieniła się w galaretę.

Przeciąg! Ojciec! Drzwi! Mahdi!

Instynktownie wyjrzała przez okno i z przerażeniem odkryła, że młodszy brat, nieświadomy zagrażającego mu niebezpieczeństwa, właśnie wychodzi na ulicę. Tuż pod gąsienicę nadjeżdżającego wozu opancerzonego.

Choć słyszała echo gwałtownych kroków na klatce schodowej, zrozumiała, że jest już za późno. Matka nie zdąży, stalowy potwór był już zaledwie kilka metrów od małego Mahdiego i pruł wprost na niego, jakby z pełną premedytacją chciał go rozmazać na ulicy. Gdy światło reflektora spoczęło na pizamce w kolorowe hipopotamy, Leila zawyła z rozpacz.

Wtedy nieoczekiwanie pojawił się ON...

Kuba

8 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

— Gdzie Franco i Patryk? — Krzysiek był wyraźnie podenerwowany, według jego oceny Łukasz już dawno powinien zabrać obu żołnierzy.

— Nie wiem, obaj milczą, a Franco nie dotarł. Boję się, że go dopadli — odparł nasz kierowca zaraz po tym, jak pomógł wyciągnąć przez właz kanału półprzytomnego Michała.

Twarz mojego przyjaciela sposepniała jeszcze bardziej.

— Boisz się, czy to widziałeś? — spytał w swoim stylu, nie dając rozmówcy szans na wyartykułowanie jakiegokolwiek wątpliwej kwestii.

— Nie jestem pewien, ale...

— Skup się, Rudy, do jasnej cholery! — warknął, pomagając jednocześnie ułożyć półprzytomnego Michała na tylnym siedzeniu.

— Ostatni raz słyszałem go przez radio, gdy pytał, czy jestem na miejscu. Odpowiedziałem, że tak, i myślałem, że zaraz przeskoczy przez tę cholerną barykadę, ale nie pojawił się. Poczekiałem jeszcze minutę, nawet podjechałem kilka metrów, bo w pewnym momencie po drugiej stronie zebrało się jakieś zbiegowisko.

— Jakie zbiegowisko, człowieku? Mów konkretnie!

— Nie wiem, kurwa! Skakali jak mały i strzelali w górę, jakby świętowali. Obserwowałem to przez chwilę, ale w końcu jeden z nich zwrócił na mnie uwagę i otworzyli ogień. — Łukasz wymownie wskazał cztery dziury po kulach w karoserii tylnej części pojazdu.

Krzysiek zaklął pod nosem, ja zresztą też. Fakty mówiły same za siebie i choć Łukasz przedstawiał sytuację trochę chaotycznie, to nietrudno było wychwycić przekaz, który najwyraźniej nie chciał mu przejść przez gardło w swojej pełnej formie. Te gnoje tańczyły nad Franco, kto wie, może nawet nad jego trupem, wszak nasz włoski przyjaciel od tamtego momentu przestał reagować na jakiegokolwiek przywołania. GPS też skłaniał do przyswojenia czarnego scenariusza, czerwony punkt na wyświetlaczu wciąż krążył w obrębie barykady, co gorsza, zachowując się kompletnie absurdalnie, tak jakby już nie znajdował się na nadgarstku właściciela.

— Patryk też się nie odzywa? — dopytał Figur przez zaciśnięte zęby,

prawie w ogóle nie otwierając ust.

— Nie.

Legionista spojrział na swój zegarek. Na ekranie palił się jaskrawo tylko jeden punkt. Krzysiek zasępił się i przez kilka kolejnych sekund analizował sytuację, następnie kilkakrotnie spróbował wezwać obu żołnierzy, ale odpowiadała mu jedynie głucha cisza. Widziałem, jak na skroniach nabrzmiały mu żyły, a oczy zaszyły tą jedyną w swoim rodzaju mgłą. Jak kiedyś, gdy z byle powodu potrafił wpaść w furję, gdy był nieokrzesanym narwańcem wychowanym przez ulicę.

— Zwijamy się! — zakomenderował. — Rudy, natychmiast wyłącz swój GPS i daj kluczyki. Kuba, wsiadaj na miejsce pasażera. Jedziemy sprawdzić co z nimi.

Krzysiek sam wygasił funkcję lokalizacji i wskoczył za kierownicę, my również wypełniliśmy rozkaz. Drzwi otworzył także Piotrek, ale Figur jednym warknięciem polecił mu zostać. Pomyślałem, że to trochę chamskie, skoro facet wykonał dla nas kawał tak dobrej roboty, ale po pierwsze, w razie odnalezienia Franco i Patryka nie mielibyśmy w samochodzie aż tyle miejsca, aby wszystkich pomieścić (i tak ktoś już teraz musiałby trafić na pakę), a po drugie, nasz przewodnik znał Berlin jak własną kieszeń, miał swój samochód, a do tego najzwyczajniej w świecie wywiązał się z poleconego mu zadania, zapracował na sowite wynagrodzenie, które właśnie w tej chwili wylądowało w formie grubego rulonu w jego dłoni. Chwilę później Figur zamknął szybę. Spojrzałem po raz ostatni na nieco rozczarowaną twarz starego kumpla „od bunkrów”, który stał bez ruchu i odprowadzał nas wzrokiem. Gdy znikaliśmy za zakrętem, dostrzegłem, jak wprawnymi ruchami zaczyna skręcać jointa. Co by nie mówić, był już wolny.

Gdy wyjechaliśmy z parkingu na ulicę, położyłem dłoń na rękojści pistoletu. Jakkolwiek głupio by to nie zabrzmiało, dotykając od czasu do czasu zimnej stali, czułem się bezpieczniej. Wciąż lało jak z cebra i wycieraczki z trudem zbierały wodę z przedniej szyby. Krople nie zacinały już jednak tak mocno, wiatr najwidoczniej musiał zelżeć, gdy spojrzałem w niebo dostrzegłem, że błyskawice rozświeślały już niebo tylko na wschodzie. Jechaliśmy wzdłuż parku Tiergarten w stronę Pomnika Pomordowanych Żydów Europy, miejsca, w którym Rudy miał odebrać Franco. Korzystanie z GPS-u było w tej chwili zbyt niebezpieczne, bo jeśli któryś z naszych kompanów wpadł w ręce wroga i nie zdążył na czas wyłączyć sygnału, nowy właściciel zegarka miałby nas jak na widelcu. Uważnie obserwowaliśmy więc obrzeża ulicy, krzaki i ławeczki, wypatrując

towarzyszy, którzy — biorąc pod uwagę najbardziej optymistyczny scenariusz — mogli w związku z nieprzewidywanymi okolicznościami zmienić plany i przycząić się gdzieś na uboczu. Szanse na taki rozwój wypadków były raczej wątpliwe, ale w pamięci miałem słowa Krzyśka: „Nigdy nie zostawiamy towarzyszy broni na pastwę wroga. Nigdy”. Wryły się w umysł, jakby miały być swoistym zabezpieczeniem dla moich potencjalnych czynów, w wielu momentach kierowanych zapewne podświadomymi lękami, których, jako człowiek bez specjalistycznego szkolenia, nie byłem w stanie wyzbyć się ot tak przed kolejnymi podejmowanymi decyzjami. Dlatego nie tylko nie śmiałem — choćby jedynie w myślach — kwestionować poleceń mojego przyjaciela, ale czułem, że to jedyna słuszna droga i za wszelką cenę, póki wciąż istnieje choć cień szansy, musimy dołożyć starań, aby odnaleźć naszych kompanów. Zresztą Franco zacząłem darzyć jakimś nowym uczuciem, ni to przyjaźnią w klasycznym tego słowa znaczeniu, ni to szacunkiem, jaki ma się do starszych i bardziej doświadczonych. Znikł też ten mur, na szczycie którego zawsze natykałem się na termin „respekt”, a nawet „lęk” czy „strach”. Od czasu tamtej rozmowy w lesie, przy parkingu, gdzie znaleźliśmy tę nieszczęsną kobietę, traktowałem go inaczej. Ten gargantuiczny i szorstki w obyciu jak szczotka do kibla Włoch nie tylko docenił moje starania i dowartościował jak chyba nikt nigdy wcześniej, ale pozwolił poczuć się pełnoprawnym członkiem tej niezwyklej ekipy i uwierzyć, że naprawdę jestem w stanie zmienić swoje nędzne życie. Może tak właśnie kiełkuje przyjaźń pomiędzy żołnierzami? Ta wyjątkowa więź, która potrafi połączyć dwóch obcych sobie ludzi, którzy ramię w ramię biją się przeciwko wspólnemu wrogowi? Zawsze mnie to zastanawiało podczas oglądania filmów wojennych. I fascynowało zarazem.

Na ulicach było praktycznie pusto i nic nie wskazywało, że kilkadziesiąt minut temu za Bramą Brandenburską, oddaloną może o kilometr w linii prostej, doszło do tak spektakularnej rzezi. Nic też nie zapowiadało jej następstw i zmian, jakie wywoła nie tylko w Niemczech, ale w całej Europie. Oczywiście nikt z nas o tym jeszcze nie wiedział, ba, pewnie żaden człowiek na tej pieprzonej planecie nawet nie podejrzewał, co czeka nasz głupi gatunek w najbliższej przyszłości, w każdym razie tego wieczoru został przekroczony Rubikon i Stary Kontynent wkraczał w czasy złe i okrutne, a los wszystkich mieszkańców jawił się w barwach mrocznych jak najciemniejsza dolina z najbardziej ponurych biblijnych przypowieści.

Jechaliśmy w milczeniu, skupieni i czujni, taksując okolicę. Wtem Krzysiek gwałtownie przyhamował, a naszym oczom ukazał się widok

niecodzienny, żeby nie rzec cholernie irracjonalny jak na centrum Berlina. Z opadniętą szczęką patrzyłem, jak dwie hieny ciągną przez ulicę wybebeszone zwłoki jakiegoś faceta, jedna trzymając truchło za bark, druga szarpiąc za lewe przedramię. Trzecia, jakby na przekór dwóm poprzednim, próbowała chwycić trupa za nogę i nieporadnie ciągnęła w przeciwnym kierunku. Kilka przekleństw, jakie wyrwały się nam pod nosem, wcale nie pomogło otrząsnąć się z szoku, ale Figur nie dał nam więcej czasu na bezsensowne rozwodzenie się nad nielogicznością tej sytuacji i powoli ruszył w kierunku skrzyżowania z Ebertstrasse, która ciągnęła się wzdłuż barykady od Pomnika Pomordowanych Żydów Europy, przez były konsulat USA, Bramę Brandenburską, aż po gmach Bundestagu. Stąd już można było dostrzec miejsce, w którym miał pojawić się Franco.

W oddali unosiła się efektowna łuna, zwłaszcza że nagle zgasyły w mieście wszystkie latarnie. Pożarów musiało być więcej, szczególnie na północ od Bramy, gdzie mieściły się dzielnice Wedding i Moabit, bo świeciła nadzwyczaj mocno i sprawiała wrażenie, jakby płonęło pół miasta. Tutaj jednak wciąż było spokojnie, w zasięgu wzroku można było dostrzec tylko kilka cieni, ludzi raczej nieuzbrojonych, biegających gdzieś w oddali bez głębszego celu. Figur przemknął wzdłuż barykady, następnie zawrócił i przejechał raz jeszcze. Prześwity w lichej konstrukcji nie zdradzały żadnego ruchu i choć mógł to być złudny obraz, ba, nieprzyjaciel mógł czyhać w bezruchu, szykując zasadzkę, Figur nieoczekiwanie zatrzymał samochód i odbezpieczywszy swoją berettę, wysiadł na ulicę. Trochę mnie zatkało, bo ta decyzja nie należała do najrozsądniejszych, ale przemilczałem temat, już dawno nauczyłem się nie kwestionować wyborów mojego przyjaciela. Patrzyłem, jak ze lśniącym pistoletem przy udzie zbliża się w kierunku zapory, jak zagląda przez dziury w bezkształtnej masie, następnie z niezwykłą gibkością przeskakuje na drugą stronę. Odczekałem kilkanaście sekund, ale nie wytrzymałem i otworzyłem drzwi. Nie robiąc sobie nic z szalejącej ulewy, podbiegłem do barykady i wsadziłem nos pomiędzy dwie opony.

Wtedy go ujrzałem. Klęczał nad jakimś ciałem, nawet z tej perspektywy jego gabaryty robiły wrażenie. Franco leżał bez ruchu, a w miejscu jego głowy zionęła bezkształtna miazga. Odwróciłem wzrok. Nie dlatego, że ten widok mnie jakoś specjalnie poraził, ale uznałem, że moja obecność w tej chwili byłaby swoistym świętokradztwem. Nie wiem, dlaczego tak się zachowałem, dlaczego taka myśl przygniotła mnie i nakazała zachować się w taki, a nie inny sposób, ale stwierdziłem, że nie jestem godzien kraść Krzyškowi tej chwili prywatności, jeszcze na to nie zasługiwałem.

Woda zalewała mi oczy, ale instynkt najwyraźniej działał na najwyższych obrotach, bo kątem oka dostrzegłem po lewej jakiś ruch. Od razu wycelowałem w tamtym kierunku, ale postać nawet nie zwolniła, a mężczyzna nawet przyspieszył kroku, aż w końcu zaczął biec. Pomimo panujących warunków atmosferycznych zalał mnie zimny pot, brakowało naprawdę niewiele, abym nacisnął spust i zastrzelił pierwszego człowieka w swoim życiu. Dopiero gdy uniósł jedną rękę, dostrzegłem, że w drugiej taszczył pod pachą walizkę, a zarys postaci nie jest mi całkiem obcy. To był Patryk.

— Spieprzamy stąd! Oni zaraz tu będą! — krzyknął mi prosto w twarz, niemal równo z nieco już przytłumionym grzmotem przemijającej burzy.

— Czekaj, Krzysiek...

— Nie ma, kurwa, czasu! Do samochodu!

Nie zdążyłem odwrócić głowy, gdy usłyszałem głośne kłapnięcie za plecami. Figur właśnie przeskoczył barykadę, lądując ciężkimi żołnierskimi buciorami w rwącym strumieniu przy krawężniku.

— Zjeżdżamy stąd — zaordynował beznamiętnie i ruszył w kierunku jeepa, niemal zupełnie ignorując fakt, że nagle odnalazł się drugi zaginiony kompan.

Nie trzeba mi było powtarzać dwa razy i chwilę później siedziałem już na fotelu pasażera. Gdy ruszaliśmy z miejsca, pomyślałem, że wcale nie czuję się lepiej niż po opuszczeniu paryskich katakumb. Cena zwycięstwa (w sumie dla mnie dość wątpliwego, bo jednym z moich głównych celów było unicestwienie, najlepiej jak najbardziej bolesne, tego islamskiego skurwysyna Abi Rabi’i) okazała się bardzo wysoka. To jednak nie był czas, aby rozmyślać o tej niepowetowanej stracie, należało skupić się na bezpiecznym opuszczeniu tego przeklętego miasta, zwłaszcza że na ulicach zaroilo się nagle od chaotycznie zachowujących się mieszkańców i chaotycznie jeżdżących samochodów. O ile nie mieliśmy specjalnych kompleksów względem osobówek, o tyle coraz bardziej niepokojącym sygnałem była rosnąca w postępie geometrycznym liczba pojazdów wojskowych, w tym ciężkich maszyn gąsienicowych, które zdawały się powoli, acz systematycznie zajmować miasto.

Nie ujechaliśmy nawet dwóch kilometrów, gdy podpisałem na siebie kolejny wyrok. Może gdybym był zimnokrwistym sukinsynem albo po prostu skoncentrowanym na zadaniu wyszkolonym żołnierzem, nie zadziałałbym tak instynktownie. Ale nie byłem, przynajmniej wtedy, ani jednym, ani drugim. I gdy w świetle reflektora ujrzałem tego dzieciaka, który wchodzi wprost pod gąsienice nadjeżdżającej kolumny opancerzonych

wozów Bundeswehry, po prostu wysiadłem i rzuciłem się w tamtym kierunku. Wystarczyło kilka kroków, abym chwycił malca w ramiona i uratował od niechybnej śmierci. I przy okazji dostał w łeb ważącym ponad trzydzieści ton żelaznym monstrem rozpędzonym do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

To starcie ewidentnie przegrałem i ogarnął mnie mrok.

Niewierny

23 listopada 2033 roku, północna Francja

Droga.

Wije się jak wąż pośród szarych, nieurodzajnych pól. Wokół wraki samochodów niczym chroniące go zbrojone łuski, brudne i zardzewiałe, świadczące, że wokół śmierć.

Leżę na wzniesieniu i obserwuję szlak. Za mną sterczące kikuty drzew trzeszczą bez nadziei, echo ich jęków niesie się w ciszy po zdegenerowanym świecie. W oddali trzask pękających konarów, a nad głową trzepot skrzydeł przemykającego padlinożercy. Ostatnie słabe promienie słońca na horyzoncie. Niebo zasnute czerwonym całunem, jakby jego celem było odebranie nam tchu, uduszenie w oceanie plugawych pragnień, które od lat nie mają ujścia z atmosfery tej przeklętej planety.

Odkładam lornetkę. Wyciągam z kieszeni baton i odgryzam kęs. Jest pyszny, dawno nie jadłem nic tak smacznego. Czekolada, karmel, orzechy. W moim zgniłym świecie to jak dotyk historii. Upływającego czasu. Wspomnień. Miękkiego łóżka, radości po strzelonym голу, ciepłej herbaty późnym wieczorem w towarzystwie dobrego człowieka. Dziś rzadko trafia się nam taka zdobycz. Dlatego zawijam resztę w papierek i odkładam do kieszeni przy piersi. Zapinam guzik, wtedy kątem oka dostrzegam jakiś ruch na horyzoncie. Przykładam lornetkę do oczu i kieruję wzrok na zachód.

W końcu. Prawie dwa tygodnie w tej zgniłej wsi zaczęły przyprawiać mnie o ból głowy. Siedzenie i czekanie, warty, czasem żarty przy ognisku. Ale rzadko, głównie apatia i otępienie. Melancholia ciała i duszy. Albo tylko ciała.

Skupiam wzrok. Tuman kurzu zbliża się leniwie, pęcznieje w oczach jak pełzające zło, sączące się wąskim traktem wydrapanym przez wszystkie nikczemne uczynki w tym niegdyś pełnym życia, zielonym i głośnym od śpiewu ptaków krajobrazie, dziś smutnym, szarym i martwym. Kimkolwiek są ci, którzy wzbudzają pył, nie należą do przyjaciół. Jesteśmy zbyt blisko miejsca, w którym oddają JEMU

cześć. Tu nie ma dobrych ludzi. To miejsce nie dla nich. Woń zgnilizny jest zbyt intensywna, czasem mam wrażenie, że przenika przez te wszystkie szmaty, mundur i wżera się w skórę. Infekuje i próbuje opętać. Jak demon.

Czy to ON? Chciałbym tego, chciałbym GO kiedyś ujrzeć. Nie boję się GO, nie zależy mi na życiu, mógłbym nawet tu zdechnąć, w tej chwili. Ale bardzo pragnę stanąć z NIM kiedyś twarzą w twarz. Zrozumieć. Po prostu.

Może wkrótce będę miał na to szansę. Zaczynam wątpić, że w którejś z moich książek znajdę odpowiedź na nurtujące mnie pytania. Może w ogóle nie istnieje. A może jest tak straszna, że nikt nigdy nie miał odwagi jej odkryć. Albo odkrył, ale nie spisał w obawie, że ludzkość wpadnie w obłęd i ogarnie ją szaleństwo.

Czasem zastanawiam się, skąd we mnie tak silne dążenie do poznania prawdy. Dlaczego tak bardzo pragnę zrozumieć JEGO intencje? Może powinienem odpuścić i przestać szukać. Ale czy wtedy mój nędzny żywot miałby jeszcze jakiś sens? Większość moich towarzyszy w NIEGO nie wierzy, uważa, że nie istnieje, jest jedynie imaginacją niedoskonałego umysłu, który szukał odpowiedzi na odwieczne pytania. Swoistą chorobą, wirusem toczącym pewne obszary naszego mózgu, niezdolnego do obrony przed zrozumieniem potęgi i bezmiarów kosmosu.

Ja mam inne zdanie. Wiem, że ON istnieje. Fizycznie. Jest namacalnym bytem, czymś o wiele potężniejszym, niż nam się wydaje. Czuję to. Byłem świadkiem tego, co potrafi zrobić z człowiekiem. Rodziną.

Tylko skąd się wziął? Kto GO stworzył? Po co i dlaczego?

A może jest wieczny. Przedwieczny?

Pasożyt. Żywi się wszystkim tym, czym nie jest. Wysysa, pożera, trawi i wydalą na ten ponury świat. Co NIM kieruje?

Oddałam myśli. Skupiam wzrok. Tuman kurzu rośnie, z jego oparów wyłania się pierwszy pojazd, z czarnym sztandarem, moim wiernym, choć zniechęconym kompanem od czasu, gdy opuściłem ciepłe łono matki. To taran, który ma za zadanie usuwać wszystkie przeszkody na drodze, aby reszta kolumny mogła poruszać się po pustym i bezpiecznym gruncie. Potężny tir z przerobioną kabiną o ciemnych szybach i zaostrzonym korpusie z grubego żelaza, roznoszącym przy glebie wszystko w perzynę, zawsze porusza się na przodzie. Za nim podąża przynajmniej jeden, a najczęściej dwóch

bandytów, czytaj: przednia straż sunącej kolumny. Następnie ładunek, na który może składać się wszystko — paliwo, surowce, woda, żywność czy niewolnicy — najczęściej wspierany dodatkowo po bokach przez pomniejsze maszyny z najlepiej wyszkolonymi kierowcami, w końcu kolejna straż mająca za zadanie chronić tyły kolumny.

Nie pomyliłem się — gdy kawalkada rozciągnęła swoje stalowe cielsko, dojrzałem wszystkie jej moduły. Nie czuję żadnej satysfakcji, to tylko doświadczenie, podobnych widziałem już przynajmniej kilkanaście. Kolumna jest długa i dobrze uzbrojona. I co ważne, prócz niewiadomego ładunku w ciężarówkach wiezie także żywy towar. Widzę postaci w autobusie, skute i stłoczone jak bydło. Wychudzone ludzkie cienie, wraki bez nadziei, skazane na niekończącą się gehennę ciał i dusz. Czy wśród nich jest ten, którego wszyscy szukamy? Wkrótce się przekonamy. Kolumna jest mocna, ale do zdobycia, a dla niego bez wahania jestem w stanie poświęcić moje nędzne życie.

Opuszczam lornetkę i ostrożnie wycofuję się za wzgórze. Wyciągam podręczny laser i morsem daję znak partnerowi znajdującemu się pięćset metrów dalej. On przekaże informację następnemu, tamten kolejnemu i wiadomość w niecałe trzydzieści sekund dotrze do porucznik Figurskiej. Będzie miała jeszcze kwadrans, żeby wydać rozkazy, a podkomendni, aby zająć pozycje.

Zbiegam kilkadziesiąt metrów w dół, wzbudzając tumany pyłu. Nie mam czasu, muszę się spieszyć, aby dołączyć do towarzyszy broni. Nie mogę przegapić tej szansy.

Ja szukam jeszcze kogoś. To osobista sprawa. Wszak rodziny się nie wybiera...

Ostatni raz spoglądam w niebo. Jest krwiście czerwone.

Monika

Z PAMIĘTNIKA PORUCZNIK MONIKI FIGURSKIEJ, PSEUDONIM „GHULA”

22 września 2023 roku, Zielona Góra, Polska

Tego chłodnego wieczoru wróciłam do domu cała poobijana. Bolała mnie głowa i tułów, zwłaszcza żebra, prawą dłoń miałam owiniętą bandażem elastycznym. Musiałam wyrzucić z siebie pełną gamę emocji, nie do końca zrozumiałych dla mnie samej, które nagromadziły się w ciągu ostatnich tygodni. Od pierwszego dnia na treningach dawałam z siebie wszystko, zostawiałam na materacach krew, pot i nocne koszmary, ale dziś przeszłam samą siebie. Trener chyba też to zauważył i stanowczo polecił, żebym wróciła do domu i ochłonęła, bo zrobię sobie krzywdę.

Poszłam, nie chciałam się z nim kłócić. Szanowałam go, wiedziałam, że to dobry człowiek. Pomimo wątpliwości, jakie mnie ogarnęły przed podjęciem decyzji o rozpoczęciu treningów, pierwszy kontakt z tym mężczyzną okazał się całkiem normalny. Nie spojrzał na mnie jak na kawał mięcha, tyłek, parę cycków i dziurę między nogami, w którą może wepchać to, na co akurat ma ochotę. W jego oczach nie dostrzegłam samczego pożądania, a jedynie chęć pomocy. Przyjęłam to z ulgą i choć początkowo wzbraniał się, aby Amir towarzyszył mi w salce treningowej, ostatecznie, nie widząc innego wyjścia, zgodził się przyjąć mnie do swojej grupy. Poprosiłam go tylko o jedno — aby nie traktował mnie ulgowo. Na to też przystał i po pierwszych dwunastu dniach wyczerpujących treningów indywidualnych, po których regularnie wymiotowałam ze zmęczenia, pozwolił mi dołączyć do pozostałych. Nie wiem, co im powiedział, nie wiem, czy musiał, w każdym razie ósemka jego podopiecznych nie dała mi odczuć, że jestem inna. Że jestem kobietą. I choć zdawałam sobie sprawę, że musieli mi dawać fory, to na macie robiłam wszystko, aby wykrzesać z siebie cały możliwy gniew i dać im

popalić. Docenili to, widziałam to w ich oczach, słyszałam pokątne szepty. Gdy tamtego dnia jednemu z moich partnerów złamałam nos — oczywiście zdawałam sobie sprawę, że Marcin dał mi szansę na otwarty cios — ujrzałam w ich oczach podziw. Co prawda powybijałam sobie kłykcie prawej dłoni, ręka rwała, jakby zaraz miały pokruszyć się wszystkie kości, ale wracałam do domu uspokojona i wyciszona. Mój humor poprawił się jeszcze bardziej, gdy Amir położył sobie moją zabandażowaną rękę na ramieniu i zapytał po polsku: „Mniej boli?”.

Bolało nawet bardziej, ale czy mogłam powiedzieć mu prawdę? Ten drobny gest był tak szczerzy i bezinteresowny...

Amir mnie zadziwiał, okazał się niesamowicie mądrym i chłonnym wiedzy młodym chłopcem, wszak po dwóch tygodniach przebywania w moim towarzystwie — a nie rozstawaliśmy się ani na chwilę — rozumiał już całkiem sporo poleceń, umiał wyartykułować, jakie chce komiksy, co ma ochotę zjeść, jaki obejrzeć film, potrafił nawet sklecić proste zdania, typu: „Monika do stołu”, „Thorgal strzela łuk”, „kąpać do wanna”. Milkł jedynie w obecności innych, zwłaszcza moich mężczyzn.

Krzysztof i Michał wrócili z Berlina po blisko dwóch dniach. Gdy zobaczyłam twarz mojego brata za szybką judasza, doznałam wielkiej ulgi, ale od razu wiedziałam też, że coś poszło nie tak. Trudno opisać mi emocje, które zalały moje całe ciało, gdy ujrzałam w jego obecności mojego Michała. Piszę „mojego”, choć wtedy brzmiało to dla mnie trochę sztucznie, tak jakbyśmy już nie byli zakochaną parą, jakby coś przerwało tę długą i silną nić uczucia, jakie nas wcześniej łączyło. Nie chciałam być wówczas „czyjaś”, czym — choć zdawałam sobie sprawę z tego, że zachowuję się wobec Michała nie w porządku — najwyraźniej skrzywdziłam mojego partnera. Owszem, przytuliłam go, podziękowałam, pociekły mi łzy radości, ale nie byłam w stanie odpowiedzieć mu, że też go kocham. Wiem, że czekał, dostrzegłam w jego oczach olbrzymi zawód, swoiste zdziwienie, ale także żal i rozgoryczenie. Wszak ten wspaniały mężczyzna, z którym kiedyś planowałam życie, był w stanie poświęcić swoje dla ratowania mojego. A ja nawet nie miałam odwagi odpowiedzieć mu, że nadal darzę go uczuciem.

Mur, który wyrósł pomiędzy nami, zdawał się tylko powiększać. Krzysztof zapłacił całkiem sporą kwotę za prywatnego lekarza, który w trzy dni postawił Michała na nogi, ale nawet w momencie, w którym

odwiedzali mnie wspólnie w domu Tesa (wciąż w nim czułam się najbezpieczniej), nasze rozmowy się nie kleiły. Cóż, oboje wiedzieliśmy, co mnie spotkało z rąk tych okrutnych ludzi i świadomość ta ciążyła nam obojgu chyba najbardziej. Przez te dwa tygodnie żadne z nas nie zdecydowało się podjąć, ba, choćby otrzeć się o ten trudny temat, a ja dwukrotnie odrzuciłam jego próby zbliżenia. Ten specyficzny dotyk, choćby nakrycie dłonią dłoni, mający na celu nawiązanie relacji damsko-męskich, działał na mnie odstręczająco i budził uśpione demony.

Krzysztof dwukrotnie pojechał do Berlina, ale dwukrotnie wrócił sam. Kuba, człowiek, który poświęcił najwięcej z nas wszystkich, zapadł się pod ziemię. Nie znałam szczegółów, ale brat oznajmił mi, że w stolicy Niemiec zabito tego potężnego Włocha, a Kuba został potrącony przez jakiś wóz opancerzony Bundeswehry, która obecnie trzymała w szachu nie tylko stolicę, ale także wszystkie największe miasta Niemiec. Pytanie, które mi się wyrwało, wyraźnie zdenerwowało Krzysztofa, ale szybko się uspokoił i wyjaśnił, że nie był w stanie nic zrobić, aby zabrać Kubę z powrotem do samochodu.

Fatum, nieszczęście, niefortunny zbieg okoliczności, a może po prostu zwykły pech spowodował, że ten dobry człowiek, który tyle w życiu wycierpiał, ratując życie jakiegoś bezimiennego dziecka, prawdopodobnie stracił swoje. Oczywiście Krzysztof natychmiast wybiegł z samochodu i chciał przedrzeć się przez kolumnę wojskowych wozów, ale został zatrzymany przez mundurowych, którzy oddając kilka strzałów ostrzegawczych, zmusili go do odwrotu. Nie miał żadnych szans, tym bardziej że chwilę później żołnierze ustawili szczelną blokadę i odcięli cały sektor miasta, wyraźnie ostrzegając przez megafon wszystkich potencjalnych chętnych do jej przekroczenia, że złamanie zakazu będzie karane strzelaniem bez ostrzeżenia.

Kilka metrów ulicy rozdzieliło zatem Kubę i pozostałych mężczyzn, żadne próby negocjacji nie pomogły, a jedynie niepotrzebnie prowokowały wojskowych. Rozkaz był rozkazem, zwłaszcza w tak nerwowej, dynamicznie rozwijającej się i niepewnej sytuacji, jaka zapanowała wówczas w Berlinie. Mój brat, jako wyszkolony żołnierz, doskonale to rozumiał i pojął, że musi się wycofać, w przeciwnym razie tak on, jak i pozostali kompani zostaną aresztowani, a wobec nieposłuszeństwa — nawet zastrzeleni.

Kuba pozostał zatem za szpalerem wozów opancerzonych,

martwy lub ranny, tego wówczas nikt z nas nie wiedział. Wobec ogromu śmierci na ulicach nikt specjalnie nie przejął się potrąconym mężczyzną, zwłaszcza że doszło do kolejnych potężnych zamieszek, które wywołała akcja niemieckich wysokich rangą oficerów, którzy dokonali zamachu stanu. Ale nie to było w tym wszystkim najgorsze. Prawdziwym koszmarem okazał się fakt, że władzę przejęła frakcja muzułmańska, która w ostatnich latach rozrosła się w Bundeswehrze do gigantycznych rozmiarów. Gdy okazało się, że miliony imigrantów, które szalona kanclerz przyjęła przed laty, nie są w stanie odnaleźć się na rynku pracy, ktoś „mądry” wpadł na pomysł, aby znów pomogło państwo, czytaj: „przyjęło” ich do służb mundurowych, zwłaszcza do wojska. Utworzono więc specjalne jednostki, skoszarowano prawie milion młodych mężczyzn, którzy od tej pory mieli stanowić o sile nowej niemieckiej armii. W ciągu następnych kilku lat wielu dochrapało się wyższych stanowisk — według fachowców rozdawanych nieco na wyrost, aby zachęcić pozostałych do integracji i wytężonej pracy na rzecz nowej ojczyzny — w ostatnim czasie stając się potężną siłą w podzielonej Bundeswehrze. I to właśnie oni, na czele z generałem wojsk lądowych Raadem Mohammedem Hassanem, po zestrzeleniu śmigłowca z kanclerzem wykorzystali wywołane tym szok i niedowierzanie i przejęli władzę w kraju. Sytuacja okrutnie się zaogniła, Polska i większość krajów europejskich nie uznały nowego przywództwa, ale masa państw muzułmańskich przyklasnęła temu, na czele z Turcją, której prezydent już dwa dni później przyleciał do Berlina, aby osobiście pogratulować samozwańcemu przywódcy, Ahmedowi Güneşowi, powodzenia w stworzeniu tymczasowego rządu, oczywiście w zamyśle w pełni „demokratycznego”.

Żywo interesowałam się tym tematem, polityka jak nigdy wcześniej wdarła się do mojej codzienności, zbyt dużo wycierpiałam, abym mogła ją lekceważyć. Niestety, nie było mi dane oglądać codziennych informacji na spokojnie, zwłaszcza że już drugiego dnia po przejściu władzy przez wojsko ujrzałam na ekranie coś, a w zasadzie kogoś, kto sprawił, że moje serce niemal zatrzymało się w miejscu. Sam Muhammad Chalil Abi Rabi'a pojawił się u boku Ahmeda Güneşa, jak się później okazało, mój oprawca został jednym z najbliższych współpracowników nowego „kanclerza”, mało tego, szykowanym na ministra spraw wewnętrznych. To wywołało w nas wszystkich potężny szok, oglądaliśmy i słuchaliśmy kolejnych

informacji z zapartym tchem, próbując przyswoić tę przerażającą prawdę, ale z każdym dniem zdumieni otwieraliśmy oczy coraz szerzej, gdyż sytuacja w Niemczech skręcała w coraz bardziej nieprawdopodobnym, a co gorsza, fatalistycznym kierunku. Zresztą cała Europa poszła w rozsypkę, a twór szumnie zwany Unią Europejską w zasadzie przestał istnieć i choć do tej pory jeszcze nikt oficjalnie nie podpisał jakichkolwiek traktatów mających na celu usunięcie z niej poszczególnych krajów, jasne było, że ten wspaniały, budowany przez dziesiątki lat sojusz jest już tylko wspomnieniem. Ostatecznym potwierdzeniem tego faktu była decyzja polskiego rządu, który po tygodniu od zamachu stanu zerwał praktycznie jakiegokolwiek stosunki dyplomatyczne z Niemcami, a na granicach pojawiły się uzbrojone jednostki, a nawet czołgi. Dla większości naszego społeczeństwa najbardziej zabawne było, że stacjonujące w naszym kraju w ramach NATO jednostki niemieckie, w zdecydowanej większości należące do frakcji niemuzułmańskiej, poprosiły o azyl, obawiając się powrotu do zdominowanej przez wyznawców Allaha ojczyzny.

Myśli o aktualnej sytuacji zawsze wracały do mnie po opuszczeniu salki treningowej i choć momentami potrafiłam zapomnieć o tym wszystkim w obecności Amira, świadomość niepewnej — powoli traciłam nadzieję, że żyje — sytuacji Kuby, śmierci Włocha oraz faktu, że ten pierdolony Arab wciąż żyje, a w dodatku wkrótce może stać się jednym z ministrów w nowej, zapewne jakiejś islamskiej wersji republiki Niemiec, sprawiała, że krew gotowała się we mnie jak zupa w kipiącym garnku. Zastanawiałam się też, co powinnam powiedzieć Amirowi, który prędzej czy później również ujrzy swojego ojca w telewizji. Nie miałam pomysłu i intensywnie o tym myślałam, a gdy tak patrzyłam na jego uśmiechniętą buzię, gdy czytaliśmy kolejny komiks o Thorgalu, aż ścisnęło mnie w żołądku. Jakim cudem tak piękny i miły chłopczyk mógł nosić w sobie geny tego zwyrodnialca? To zdawało się niepojęte.

Pogłaskałam go po głowie i dałam buziaka na dobranoc. Jeszcze nie spał, ale powieki powoli zaczęły mu opadać, coraz częściej zakrywając te wyjątkowe hebanowe oczy. Gdy się odwrócił i wtulił w poduszkę, podniosłam się z łóżka i wyszłam z pokoju, następnie zrobiłam gorącą herbatę i usiadłam wygodnie w fotelu. Chwyciłam pilot i, jak zawsze o tej porze, włączyłam program informacyjny. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułam się odprężona,

wyczerpana i obolała, ale spokojna. Pomyślałam, że nie wyobrażam sobie teraz życia bez tego chłopaka. Nie starałam się nawet spojrzeć na tę dziwną więź z innej perspektywy, na przykład Michała czy Krzysztofa. Oni na pewno nie byli zadowoleni z tego, jakie wypracowałam sobie relacje z Amirem. To mnie jednak nie interesowało. Ten dzieciak był dla mnie kimś absolutnie wyjątkowym, kto nadawał mojemu życiu nowy sens. Nie potrafiłam tego wytłumaczyć bratu, po prostu brakowało mi słów, ale stał się dla mnie kimś bardzo ważnym i choć z jednej strony codziennie przypominał o horrorze, jaki przeżyłam, z drugiej — dodawał siły i wiary w to, że nawet w najtragiczniejszych sytuacjach nie można tracić nadziei i trzeba walczyć. Myślę, że to właśnie on dał mi tę wiarę, on był tą ostoją w świecie strasznym i okrutnym, pełnym bólu i cierpienia, kroplą nadziei w morzu niehumanicznego bestialstwa. Nie mogłam pozwolić, aby znów tam trafił. Amir nie mógł stać się potworem. Nigdy, przenigdy!

Gdy tak o tym myślałam, usłyszałam, jak skrzypnęły drzwi jego sypialni. Amir stał w progu, w piżamie, i piąstkami przecierał oczy.

— Chcę do taty — powiedział.

Po polsku.

Poczułam, jak zalewa mnie tsunami kompletnie sprzecznych emocji. W końcu nie wytrzymałam i się popłakałam.

Kuba

22 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

Ktoś nade mną czuwał. Albo się pastwił. Sam nie wiem, choć fakt, że wciąż żyję, ewidentnie przemawiał za opcją numer dwa. Błążnię? Może, ale czasem żałuję, że ten kawał żelastwa nie załatwił sprawy. Śmierć jest dużo prostsza niż życie. I mniej bolesna.

Zabrakło niewiele, może centymetr, może ułamek sekundy, wtedy opancerzona puma rozmazałaby mnie po ulicy. Ale nie skończyłem jako plama na asfalcie, paskudnym zbiegiem okoliczności trafiłem natomiast w miejsce, gdzie już wkrótce miały się spotkać wszystkie moje lęki. Te prawe i nieprawe, dobre i złe, jasne i mroczne.

Tamtego dnia narodziłem się po raz trzeci.

I od razu ujrzałem anioła.

Wielkie szmaragdowe oczy przypatrywały mi się z bliska z wyraźnym zaciekawieniem. Ich głęboka barwa przebijała przez biały całun, jaki krył moje tęczówki, zanim te po dwóch tygodniach pełnych majaków na granicy życia i śmierci przyzwyczyły się do światła, które rzucała na mnie stara lampka nocna. Postać przede mną wyglądała jak dopiero co formujący się dżin, który właśnie został uwolniony z butelki i błysnął zielonymi ślepiami w oczekiwaniu na pierwsze życzenie. Usłyszałem głos, dochodził jakby z oddali, ciepły i lekki jak piórko, a przy okazji niezwykle donośny i harmonijny, miałem wrażenie, że niesie się jak śpiew jakiegoś wyjątkowego ptaka po spokojnej tafli, ukrytego w baśniowym lesie jeziora.

Wtedy, gdy ośmieliłem się pomyśleć, że w końcu los się do mnie uśmiechnął i trafiłem w jakieś piękniejsze miejsce, wróciłem do rzeczywistości w sposób, z którego żaden z facetów nie byłby dumny. Nie owijając w bawełnę, puściły mi zwieracze i z pełną świadomością tego, co robię, zesrałem się pod siebie. Wstyd był jednak ostatnią rzeczą, o której w tamtej chwili mogłem myśleć, bo całe moje ciało przeszył tak porażający ból, jakby ktoś obdzierał mnie ze skóry, przy okazji posypując rany solą i przypalając palnikiem do cięcia metalu. Nie wiem, czy są jakieś granice, jakie może wytrzymać ludzki organizm, ale wtedy znalazłem się chyba nad przepaścią. Świadomość w tak ekstremalnych momentach staje się dla

człowieka przekleństwem i zamarzyłem, aby znów udać się w krainę koszmarów, w której błądziłem przez ostatnie dwa tygodnie z wszelakimi upiorami i ohydztwami tego i tamtego świata. Krainę złą i pełną istot plugawych i przerażających, które towarzyszyły mi na każdym kroku wędrówki na granicy światów, na czele z — nawet najbardziej zwyrodniała imaginacja mojego umysłu nie była w stanie rywalizować z tą szpetną gębą — starym, brudnym i pooranym bruzdami, co gorsza, wiecznie wykrzywionym w szyderczym grymasie obliczu Muhammada Abi Rabi'i, przyklejonym do nieustępliwie kroczącego za mną cienia.

Mimo to w tej jednej chwili zapragnąłem tam wrócić. Wydarłem się, ale wtedy moja szczęka znalazła się w stalowym uścisku, a następnie ktoś przyłożył mi chusteczkę do twarzy. Uderzył mnie intensywny, słodkawy zapach i ból minął.

Obudziłem się po nieokreślonym czasie. Moje zmysły zdawały się mocno przytępione, jakbym znajdował się pod wpływem silnych leków przeciwbólowych. Postanowiłem nie ruszać się ani o centymetr, aby nie wywołać podobnej reakcji jak wcześniej. Nic nie rozpraszało mojej uwagi — oczy miałem okryte jakimś materiałem — skoncentrowałem się więc na tym, aby przypomnieć sobie, co się stało. Na początek postarałem się zignorować ból, który permanentnie zagnieździł się w mojej głowie, wyraźnie promieniując na lewą łopatkę, bark i całą rękę. Nie było to łatwe, ale przeżyłem już gorsze rzeczy, więc powiedziałem sobie, że nie czas na biadolenie, należy wziąć sprawy w swoje ręce i poszukać sensownego wyjaśnienia mojej obecności w tym nowym miejscu. Wróciłem myślami do ostatnich chwil przed utratą przytomności, musiałem mocno się skupić, bo krążyły mi po głowie wyjątkowo chaotycznie i fragmentarycznie, jakby ktoś rozsypał puzzle i kazał poskładać w jedną całość na potężnym kacu. Niby wiedziałem, jak to zrobić, ale kolejne elementy nie do końca do siebie pasowały. Berlin, płonący śmigłowiec, burza, Brama Brandenburska, Michał, wóz opancerzony... dzieciak w piżamie... W końcu nieznajome twarze i głoso, dzin o zielonych oczach. Zielonych...

Chwilę zajęło mi, aby to wszystko poukładać, ale efekt zdawał się zadowalający. Oczywiście było, że moja gwałtowna reakcja i raptowna pomoc jakiemuś nieznajomemu dzieciakowi musiały zakończyć się dla mnie boleśnie, bo ze zderzenia z trzydziestotonowym wozem opancerzonym nie mogłem wyjść bez szwanku. A to ostatnie, co zapamiętałem. Kawał mokrego żelastwa i charakterystyczny chrzęst gąsienic. Potem tylko ciemność. I ponury świat majaków. Jak długo w nim trwałem? Czy chłopak przeżył? Kto mi pomógł? Te pytania wciąż pozostawały bez odpowiedzi.

Poruszyłem palcami u stóp, były zdrętwiałe, ale reagowały, a to oznaczało, że na pewno nie jestem sparaliżowany. „Dobry początek” — pomyślałem. Z dłońmi sprawa miała się nawet lepiej, problemem był fakt, że najmniejszy ruch lewej natychmiast generował silny ból, rozlewający się od razu na całą rękę, bark i pół pleców. Trochę mi to popsuło humor, więc aby go sobie poprawić, przypomniałem sobie powiedzenie mojej świętej pamięci prababci Jadzi, która na pytanie, jak się czuje, zawsze odpowiadała, że boli, ale w jej wieku jak boli, to znaczy, że żyje. Do jej szacownego wieku dziewięćdziesięciu lat jeszcze sporo mi brakowało, ale zasada była mniej więcej taka sama. Ból oznaczał, że żyję. A jeśli żyję, to wciąż mogę dorwać Abi Rabi’ę, aby wyciąć mu żywcem serce. Dokładnie tak, jak mu obiecałem przez telefon. I je „zeżreć”, jak wówczas dodałem. Uśmiechnąłem się na tę myśl. Podobne sprawiały mi olbrzymią przyjemność, uspokajały i pomagały, niemal oczyszczały i pozwalały marzyć, że ta chwila kiedyś naprawdę nadejdzie.

Zdałem sobie sprawę, że bardzo chce mi się pić i jestem głodny. Uniosłem prawą rękę, ale musiałem być bardzo osłabiony, bo przyszło mi to z niezwykłym trudem. Musnąłem palcami twarz, której górna część była owinięta jakimś materiałem, w dotyku przypominającym bandaż. Badanie dalszej części okazało się niezwykle bolesne, zwłaszcza w okolicy lewej skroni, która przy najmniejszym naciśnięciu paliła żywym ogniem. Odpuściłem i skupiłem się na opatrunku zakrywającym oczy. Uniosłem go delikatnie, ale nie byłem w stanie go ściągnąć, a jedynie zrobić nieco większą szparę, pozwalającą na dostrzeżenie zarysu dużego okna, za którym w bladym świetle księżyca tańczyły kościste cienie. Ciężko dyszałem, słyszałem swój oddech i bicie własnego serca. W pomieszczeniu zalegała dojmująca cisza, ale zdałem sobie sprawę, że nie znajduję się w nim sam. Maksymalnie się wyciszyłem i skupiłem na wyłowieniu najdrobniejszego hałasu. Nie pomyliłem się, ktoś oddychał, miarowo i spokojnie. Na pewno nie byłem sam. Pomyślałem o Krzyśku i tym, co zrobiłby w tej chwili na moim miejscu. Bo byłem przekonany, że to nie on ani żaden z chłopaków. Zatem kim był tajemniczy jegomość?

Dżin...

Brzmiało to absurdalnie, ale miałem wrażenie, że ta dziwna i tajemnicza istota towarzyszyła mi od dłuższego czasu. Mało tego, w jej obecności czułem się wyjątkowo komfortowo i bezpiecznie, tak jakby była moim aniołem stróżem. I te zielone, lśniące jak dwa szmaragdy oczy...

Boże...

Nawal?

Czy to ona? Czy ja umarłem? Czy trafiłem do...?

Tętno najwyraźniej musiało mi gwałtownie podskoczyć, bo poczułem nagły, wręcz porażający atak bólu, który w jednej chwili wyrzucił mi z głowy stek życzeniowych bzdur. Przez chwilę myślałem, że serce przemieściło się wprost do lewej skroni i zaczęło pompować krew niczym u finiszującego maratończyka. Jęknąłem przeciągle, i to nie tylko z bólu. Przy okazji zdałem sobie sprawę, że jestem naiwnym durniem.

Zanim zdołałem wydać z siebie więcej żalosnych dźwięków, mój dżin objawił się przy mnie bezgłośnie, jakby rzeczywiście składał się wyłącznie z magicznej pary, a następnie przyłożył swoją ciepłą dłoń do mojego policzka. Przez ciekłą warstwę bandaża nie byłem w stanie dostrzec więcej niż zarys jego filigranowej sylwetki, uderzył mnie za to łagodny, jakby znajomy mi zapach, a raczej bukiet woni, z których przebijał ten jeden, niepowtarzalny. Oddałem się w opiekę tej tajemniczej istoty, a gdy po chwili zdołałem wyizolować i finalnie przypomnieć sobie, skąd go znam, drzwi raptownie otwały się, a ja usłyszałem gniewny potok słów.

Tętno znów mi wzrosło, a krew uderzyła do głowy z siłą szalejącego tsunami. Nienawidziłem tego języka.

Gdy ból wściekle zaczął wdzierać się w każdą komórkę mojego ciała, znów poczułem subtelny dotyk i słodkawy zapach.

— *Fi amani Allah*^[1] — szepnął dżin.

Wtedy znów ogarnął mnie mrok.

Leila

23 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

W niewielkim salonie starej kamienicy atmosfera aż wibrowała od emocji. Ojciec chodził od ściany do ściany zamyślony, z miną poważną, twarzą posagową, podłoga skrzypiała pod jego kapciami, a jej jęki niosły się po całym mieszkaniu. Leila wiedziała, że ta sytuacja powoduje u niego wrzody żołądka, przez co nie może normalnie spać, niewypoczęty zaś, jest jeszcze bardziej poirytowany i spięty.

Miała na ten temat swoje zdanie, dokładnie takie jak matka, ale nigdy nie odważyła się go wyartykułować w obecności ojca, choć kilka razy miała ku temu sposobność. Czasem bardzo tego chciała, ale nie potrafiła przełamać się, zwłaszcza że wciąż czuła się winna i bała się, że jeśli okaże się zbyt bezczelna, on wyciągnie jej grzechy na światło dzienne i udowodni, jaką jest bezbożnicą. Oczywiście szansa, aby mógł cokolwiek wiedzieć na ten temat, była praktycznie zerowa, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że ojciec czyta w jej myślach jak w otwartej księdze. Dlatego milczała przez te wszystkie długie wieczory, naznaczone przez potężny dylemat, który runął na jej rodzinę niczym beznamiętne spojrzenie samego Proroka.

Gdy pojawił się on, zmieniło się wszystko. Stała w oknie jak wryta, czekając na najgorsze, ale zmaterializował się niczym duch pustynny, wybiegł z mroku i w ostatniej chwili chwycił w ramiona małego Mahdiego. Krzyknęła, gdy stalowe monstrum uderzyło. Dźwięk trzaskających kości był krótki, ale niezwykle donośny, niewiele różnił się od pękających pod gąsienicami gałęzi, ale zdawał się bardziej przejmujący i wbrew swej istocie — nieludzki. Mężczyzna potoczył się po chodniku kilka metrów, ale Mahdiego z rąk nie wypuścił, a gdy przerażona zbiegła na dół, ujrzała scenę, której — jak wielu innych w jej smutnym życiu — nigdy nie zapomni. Matka klęczała w strugach deszczu, tuląc szlochającego syna i biadoląc nad nieprzytomnym człowiekiem, z którego powoli uchodziło życie. Krew wyciekała mu ze skroni i w półmroku barwiła mokry chodnik na kolor kasztanowy, a on z trudem, jakby nieświadom tego, co robi, zachłannie chwycił powietrze. Leżał wykrzywiony, nienaturalnie i paskudnie zarazem, a jedna ręka drżała jak u chorego na padaczkę.

Matka, wciąż tuląc i sprawdzając główkę małego Mahdiego, wstała i podbiegła do córki, prosząc, aby ratowała bezimiennego śmiałka. Leila nie spanikowała, nieznajomy nie był pierwszym umierającym na jej oczach człowiekiem, ba, nie po to całymi dniami i nocami uczyła się do egzaminów wstępnych na medycynę, aby w takim momencie uciec przed przeznaczeniem. Zbliżyła się do rannego, ściągnęła bluzę i zatamowała najbardziej niebezpieczny krwotok, po czym ułożyła w pozycji bezpiecznej. Widząc, że nie uzyska pomocy od wojskowych, zupełnie ignorujących jej wołania, zorganizowała apteczkę i opatrzyła mężczyznę, a potem, gdy matka bezpiecznie odstawiła brata do pokoju i wróciła na ulicę, razem wciągnęły broczącego krwią człowieka do klatki. Nadludzkim wysiłkiem kobiety wniosły go po schodach do mieszkania i czym prędzej ułożyły na łóżku, czyniąc wszelkie starania, aby uratować mu życie. Sieć komórkowa padła i nie były w stanie nawiązać kontaktu choćby z najbliższym szpitalem, więc po kilku rozpaczliwych próbach wezwania karetki, Leila zrezygnowała i modląc się do Allaha, przytomnie zajęła się rannym. Gdy kobiety zrobiły co w ich mocy, użyły całej swojej wiedzy i wszelkich możliwych medykamentów, opatrzyły rany głowy i tułowia, zatamowały krwotok, w końcu przykryły kocem i ułożyły na łóżku mężczyznę o skórze bladej i bez krwi, pozostała już tylko modlitwa. Przez kolejną godzinę żarliwie dziękowały Bogu za zesłanie nieznajomego oraz prosiły o miłosierdzie dla człowieka, który uratował ich syna i brata. Wtedy do domu powrócił ojciec.

Wbiegł po schodach, cały przemoczony i zdyszany. Trzasnął drzwiami i natychmiast wezwał do siebie matkę i córkę. Pochylny ze zmęczenia, zaczął dzielić się kolejnymi informacjami, skrajnie podekscytowany, choć równie mocno przerażony. O katastrofie przy Bramie Brandenburskiej, o prawdopodobnej śmierci kanclerza, o rzezi i przeznaczeniu. I wielkości Allaha. Słuchały go posłusznie, aż dojrzał w ich oczach nienaturalne lśnienie, wtedy jego gęste brwi splotły się jak u sowy, a na twarzy pojawił się rumień. Nigdy nie zapomniła wyrazu jego twarzy, gdy w końcu otworzyły drzwi i ojciec ujrzał tego człowieka.

Obcy mężczyzna w jego domu? W sypialni jego córki? Z nagim torsem? Niewierny?!

Oczy otwały się szeroko, na skroniach wyrosły pulsujące żyły. To przekraczało wszelkie granice, rujnowało cały system wartości, jaki przez lata wypracował ojciec, a przed nim jego ojciec i ojciec jego ojca. Wybuchł. Choć wcale tego nie chciał, ciężka ręka wylądowała najpierw na głowie żony, a potem córki. Raz, drugi, trzeci. Bił swoje kobiety, błagając Allaha o wybaczenie za to niepojęte świętokradztwo, tak dla nich, jak i dla

siebie. Bił, dopóki nie usłyszał szlochu swojego najmłodszego syna, który zamknięty w pokoju obok usłyszał niepokojące hałasy dochodzące z korytarza. Wtedy uspokoił się i zostawiając skarcone kobiety, poszedł utulić Mahdiego. Wyrazu jego twarzy w następnych sekundach Leila też nigdy nie zapomni.

— Dobrze mieć syna w ramionach, mężu? — zapytała matka, dumnie unosząc głowę i wycierając łzę, który spłynęła jej po policzku.

Ojciec milczał. Widziała w jego oczach, że żałuje tego, co zrobił. Znała go i wiedziała, że kocha rodzinę ponad życie.

— Pytam cię, mężu, czy dobrze trzymać w ramionach syna całego i zdrowego? — spytała matka, jeszcze bardziej wyzywająco, ostatecznie prostując plecy.

— Zamilcz, kobieto! — warknął ojciec. — Dlaczego strzępisz język, zadając takie głupie pytania w obliczu Allaha?

— *Al-hamdu lillah!*^[2]

— Nie bluźnij, kobieto! Zgrzeszyłaś, przyprowadzając tu tego niewiernego. Ten dom jest nieczysty, a ty śmiesz przyzywać imię Miłosiernego? — Ojciec agresywnie oddał syna na ręce swojej żony i rzucając jej surowe spojrzenie, wkroczył do pokoju, w którym leżał ranny mężczyzna. — Co mu się stało? — spytał po dłuższej chwili, którą wykorzystał, aby uspokoić emocje.

— Uderzył go czołg — odparła matka.

— Czołg? Co ty pleciesz, kobieto? — Ojciec podniósł głos, widać było, że gniew znów zaczyna brać go we władanie.

— Nie czołg, tylko... no... ten, wóz opancerzony. Zresztą to akurat nie ma tu żadnego znaczenia! — Matka wykonała ręką wymowny gest.

— I dlatego go tu przyprowadziłyście? — Ojciec znów odwrócił się w stronę matki i córki. — Czy wiecie, ilu pobożnych muzułmanów straciło dziś życie? Ilu odniosło rany albo do tej pory kona na ulicach, wykrwawiając się, bo nie ma kto im udzielić pomocy?

— Nie rozumiesz, mężu...

— To ty nic nie rozumiesz, kobieto! To *kafir!* To...

— To człowiek, który uratował życie twojego syna.

Ojciec zamilkł i znieruchomiał. Spojrzał na żonę, następnie córkę, w końcu na nieprzytomnego mężczyznę. Chciał coś powiedzieć, ale zawahał się.

— Ten chłopak wyskoczył z mroku jak sam *kutrub* albo inny duch i w ostatniej chwili chwycił w ramiona Mahdiego, gdy ten już prawie wszedł pod gąsienicę tego czołgu czy wozu bojowego. Nie musiał tego robić, ale ten

NIEWIERNY — to słowo matka zaakcentowała wyjątkowo mocno — uratował twojego syna od niechybnej śmierci. A wiesz dlaczego, mężu? Wiesz dlaczego? — Leila to w matce kochała i podziwiała najbardziej, wszak w takich momentach nawet ciężka ręka ojca nie była w stanie zamknąć jej ust. — Bo ty, mężu, zdecydowałeś się zostawić rodzinę, aby szlajać się z bandą jakichś fanatycznych gówniarzy w czasie, gdy na ulicach ludzie mordują się, a pod oknami jeżdżą czołgi. I znów, choć powtarzam ci to za każdym razem jak mantrę, zapomniałeś zamknąć na klucz te cholerne drzwi!

Matka wykrzyczała ostatnie słowa przez łzy tak intensywnie, że rozwiane czarne włosy przylepiły się do policzków i musiała je odgarnąć, przez co jeszcze bardziej potargała przyprószone siwizną loki. Patrzyła na niego nienawistnie, a on tylko kucnął przy łóżku z rannym mężczyzną i ukrył twarz w dłoniach. Trwał tak przez chwilę, jak żywy posąg, w końcu podniósł się, ale nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Pieklił się, jego twarz przybierała coraz to nowe kolory, ale Leila wiedziała, że jego gniew tym razem nie eksploduje w jej stronę. Ani matki. Ojcu było po prostu potwornie wstyd. Obserwowała go w milczeniu, aż się uspokoił, opanował emocje, w końcu zbliżył się i przytulił swoje kobiety, mocno, prawie odbierając im dech, przeproszał je i prosił o wybaczenie. Żonę, córkę i syna. I Allaha Miłosiernego.

Przez kolejne niespokojne dni prawie nie wychodził z mieszkania, opuszczając je jedynie z konieczności, aby zakupić jedzenie, zdobyć leki lub sprawdzić, czy rodzinie nie zagraża niebezpieczeństwo. Jego zakład zawiesił działalność, jak większość podobnych w całym mieście, sklepy w kilka dni zostały opróżnione z prawie wszystkich artykułów, dostawy rzadko kiedy docierały na miejsce, więc większość z nich opustoszała. Kobiety przywdziały nikaby i burki, ucichła muzyka, a z minaretów i krążących w „niemuzułmańskich” dzielnicach samochodów z megafonami codziennie zawodzili nawołujący do modlitwy muezzini. Żołnierze na ulicach rozdawali Koran i religijne ulotki, na skwerach i w parkach odprawiano modły, a na budynkach zawisły flagi Turcji, Iraku, Afganistanu, zwłaszcza zaś Państwa Islamskiego. Trzeciego dnia wrócił sygnał radiowy i telewizyjny, ale znacznie okrojony, prezentujący jedynie właściwe dla nowej władzy treści, pozbawiony programów rozrywkowych, sportowych czy muzyki, emitował głównie modlitwy, czytanie Koranu czy przemowy prominentnych członków tymczasowego rządu, informujących mieszkańców o zachodzących w państwie zmianach. Większość rodowitych mieszkańców Berlina, zwłaszcza innych wyznań niż islam, uciekła z miasta albo zamknęła

się w domach na cztery spusty, obawiając się reperkusji ze strony wciąż niepewnej i nieprzewidywalnej władzy. Stolica Niemiec zmieniła oblicze, dostosowując się do gwałtownych przemian, jakie już w pierwszych dniach, przy mocnym wsparciu prezydenta Turcji, wprowadził samowładny naczelnik Ahmed Güneş.

Trzeciej doby od czasu wielkiej zmiany przyszli żołnierze. Chodzili od kamienicy do kamienicy, rozpytując mieszkańców o białego mężczyznę w wieku około dwudziestu pięciu lat, mierzącego sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu bruneta z Polski, dobrze zbudowanego, z wyraźną blizną na szyi, prawdopodobnie rannego. Ojciec, człowiek o przenikliwym umyśle, w lot zrozumiał, że nowa władza nie nosi wobec poszukiwanego dobrych zamiarów, zgrzeszył więc i okłamał braci w wierze, przez co całą noc żarliwie błagał Boga o wybaczenie. Znany ze swojej bogobożności, uczestnik niejednej manifestacji i dzielny wojownik spod Bramy Brandenburskiej, znalazł się poza podejrzeniem i ludzie w mundurach uwierzyli mu na słowo, mimo to kolejne dni w domu rodziny Al-Sahili dłużyły się jak miesiące. Nerwowa atmosfera udzieliła się wszystkim bez wyjątku, nawet mały Mahdi płakał więcej niż zwykle, stał się krnąbrny i złośliwy, przez co ojciec dał mu w końcu lanie na goły tyłek.

Czas płynął, z pozoru spokojnie. Leila spędzała go na opiece nad rannym mężczyzną majaczącym w nieznanym języku, słuchaniu jego jęków w dzień i w nocy, zmienianiu opatrunków i pieluch oraz gorącej modlitwie. Posiłki liche, spożywane w milczeniu i strachu przed kolejnymi zamieszkami, które prowokowane przez „starych imperialistów” stały się coraz bardziej brutalne i równie bezwzględnie tłumione przez wierne Güneşowi oddziały wojska i milicji religijnej. Brak internetu i wyłączone maszty telefonii komórkowej doprowadzały do jeszcze większego chaosu, a zasłyszane przez ojca informacje zdawały się z dnia na dzień coraz bardziej nieprawdopodobne i szokujące. Wprowadzenie godziny milicyjnej jedynie wzmogło wśród mieszkańców niepewność, także wśród muzułmanów, zwłaszcza zaś znienawidzonych przez Turków Kurdów i będących w mniejszości szyitów, do których Leila, jako Irakijka, należała. I choć wozy opancerzone ostatecznie zniknęły z ulic, ciężka i lepka atmosfera, jaką pamiętała z obskurnych przedmieść Mosul, udzieliła się całej stolicy i utrzymywała ją w permanentnym strachu przed nieznanym.

Minęły dwa tygodnie i brzemień, które rodzina Al-Sahili przyjęła na swoje barki, zdawało się uwierać każdego jej członka coraz bardziej dokuczliwie. I choć nikt nie podważał konieczności kontynuowania obranej drogi, nerwowa, naznaczona lękiem przed ewentualną wizytą żołnierzy

atmosfera spowodowała, że gdy stan rannego mężczyzny ustabilizował się, a on zaczął nawiązywać pierwszy, nie do końca przytomny kontakt z domownikami, należało przedyskutować następne kroki. Jego obecność, biorąc pod uwagę zaostrzający się kurs władz wobec obywateli nieislamskich oraz fakt, że był poszukiwany przez wojsko, stawała się coraz bardziej niebezpieczna dla rodziny, zwłaszcza że jego twarz pojawiła się nawet w wiadomościach, a tymczasowy rząd ustalił nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy euro za pomoc w odnalezieniu mężczyzny. Leila wiedziała, że ojciec — żarliwie modlący się dniami i nocami w poszukiwaniu odpowiedzi — musi podjąć trudną decyzję, bo nawet tak olbrzymi dług wdzięczności wobec przybysza, dla bogobojnego muzułmanina praktycznie niespłacalny, nie mógł tłumaczyć długotrwałego narażania całej rodziny na surowy gniew władzy. Myśli te, o dziwo, wprowadzały ją w stan melancholii, a nawet zasmucały, odkryła bowiem, że opieka nad tym młodym mężczyzną — co by nie było przystojnym, dobrze zbudowanym i posiadającym oczy tak intensywnie niebieskie, że można by się w nich utopić — sprawiała jej dziwną i nie do końca zrozumiałą dla niej samej przyjemność. Lubiała o niego dbać, czasem po prostu patrzeć i zastanawiać się, kim jest i jaka jest jego historia. Fakt, że pochodził z Polski — tak przynajmniej mówili żołnierze, wypytujac sąsiadów i jej ojca — intrygował ją nie mniej niż szeroka blizna na szyi. Ale kimkolwiek by nie był i jakichkolwiek grzechów by w swoim życiu nie popełnił, dla jej rodziny stał się darem od Boga, który w swoim nieprzebranym miłosierdziu zesłał go w to miejsce, aby uratował jej małego braciszka. Dla Leili był też pierwszym mężczyzną, z którym legalnie mogła przebywać w swoim pokoju sam na sam, do którego mogła się zbliżyć na tyle, aby poczuć ciepły oddech na swoich ustach, a nawet ujrzeć i dotknąć — czerwieniła się na samą myśl o tym, że robi to z wyjątkowo przyjemnością — jego miejsc intymnych. I choć momenty te zazwyczaj nie należały do najbardziej romantycznych, wszak była zmuszona wykonywać „te” czynności po tym, gdy przybysz bez przytomności wypróżniał się do miski lub w pieluchę, czuła się, jakby zlepek tych wszystkich drobnych, choć bardzo intymnych elementów ich swoistej relacji sprawił, że stał się jej bliższy niż jakikolwiek inny mężczyzna w całym jej życiu. Z jednej strony swoją fascynację tłumaczyła zdroworozsądkowo, wszak opiekowała się rannym człowiekiem, który uratował jej brata, a taka piecza łączyła się z głęboką fizycznością, przecież pielęgniarki muszą obcować z nagością pacjentów na co dzień, z drugiej — odczuwała coś, czego zaczynała się lękać i miała wrażenie, że ją przerasta. Do tej pory nie miała pojęcia, co to prawdziwe uczucie. Kobiety wychowane

w jej kulturze rzadko kiedy mogły doświadczyć prawdziwej miłości, tym bardziej tłumaczyła sobie, że to, co dzieje się w jej umyśle i ciele, jest zwyczajnie głupie, zwłaszcza że do tej pory nie zamieniła z nieznajomym ani słowa. Jej myśli zaprzętało coś jeszcze — zdawała sobie sprawę, że ojciec przystał na to, aby opiekowała się rannym przybyszem z dwóch powodów: pierwszym, swoją drogą długo konsultowanym z żoną, był fakt, że łączyła swoją przyszłość z medycyną, drugim, że „pacjent” był nieprzytomny i w zasadzie bliski śmierci. Gdy dziś po raz pierwszy nawiązał kontakt, lękała się, że pretekst numer dwa zostanie wyczerpany, wtedy ojciec odetnie ją od bliższych kontaktów z gościem ich domu. Na samą myśl o tym, że straci możliwość obcowania ze swoim „kuracjuszem”, coś ścisnęło jej serce, a na duszy robiło się znacznie ciężiej.

Dziś ojciec mógł w końcu rozwiązać ten węzeł. Krążył od ściany do ściany, wciąż nie potrafiąc znaleźć odpowiednich słów. Leila patrzyła na niego tak beznamiętnie, na ile tylko ją było stać, robiła wszystko, aby udowodnić, że przybysz jest jej kompletnie obojętny, a nawet ma już serdecznie dość podcierania mu tyłka. Co z tego, skoro znów miała wrażenie, że na czole ma wypisane: „Dziś znów podejrzałam jego członek i cholernie mnie to podnieciło”. Nie mogła przestać myśleć o podobnych grzeszkach, których w ostatnim czasie popełniała coraz więcej. Z jednej strony niby przypadkiem, z drugiej — z pełną premedytacją, jakby trochę na przekór sobie.

Wtedy ojciec przemówił.

Kuba

23 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

W krainie koszmarów tkwiłem do momentu, gdy ujrzałem szyderczy grymas Muhammada Abi Rabi'i oblewającego kwasem twarz mojej Nawal. Ocknąłem się. Ciężko dyszałem, czułem, jak moje serce pompuje krew, której kolejne przypływy powodowały okropne pulsowanie w lewej skroni. Dotknąłem czaszki, a następnie chwyciłem bandaż i uniosłem go nad powiek. W pomieszczeniu panował półmrok, ale zza zasłon przebijało światło słoneczne. Próbując opanować targające mną emocje, fizyczny ból i szalony natłok myśli, rozejrzałem się po pokoju. Trochę trwało, zanim oczy przyzwyczyły się do światła i obraz nabrał ostrości, ale po chwili miałem już jako takie pojęcie o miejscu, w którym się znajduję.

Raz jeszcze przeanalizowałem ostatnie wydarzenia i choć nie byłem w stanie jednoznacznie oddzielić sennych imaginacji od realnych faktów, miałem przeświadczenie, a w zasadzie przekonanie graniczące z pewnością, że znajduję się w domu, którego mieszkańcy mówią po arabsku. Pamiętałem ten język, słyszałem go wielokrotnie, zwłaszcza gdy żeglowałem bez przytomności po oceanach szkaradnych wytworów mojego umysłu. Najczęściej docierał do mnie melodyjny szept, miękki i przyjazny, pozwalający przebrnąć przez plugawy świat, w którym się zagubiłem. I choć na sam jego dźwięk zazwyczaj podnosiło mi się ciśnienie, tym razem głos zdawał się działać kojąco. Jakby mnie przywoływał i pragnął obronić przed wszelakimi potworami krążącymi w krainie koszmarów.

Do kogo należał?

Dżin...

Kim była ta istota i czego ode mnie chciała? Zacisnąłem powieki i wyszczerzyłem zęby w grymasie bólu, który nagle ukłuł niepostrzeżenie, czym pozwolił wrócić mi do rzeczywistości.

Jaki dżin, do jasnej cholery? Co ty bredzisz, człowieku?

Ktoś się mną opiekował. Byłem ranny, zapewne poważnie, bo odczuwałem silny ból głowy i całej lewej części ciała, zwłaszcza barku i ręki, ale także żeber i miednicy. Nie mogło być inaczej, skoro ostatnie, co pamiętałem, to błyszcząca deszczówką stalowy błotnik opancerzonego wozu

bojowego, z którym miałem nieprzyjemność spotkać się niemal czołowo. Wnioski nasuwały się same. Jeśli nie pomogli mi Krzysiek z ekipą, zrobił to ktoś inny. Dlaczego mnie zostawili? Kto zdecydował się zabrać mnie z ulicy? Czy dzieciak, który spowodował we mnie ten naiwny przyływ empatii, przeżył zderzenie? Jak długo leżałem nieprzytomny i kto się mną opiekował? Te pytania na razie pozostawały bez odpowiedzi.

Zamknąłem oczy, aby raz jeszcze wszystko sobie jakoś poukładać, ale wtem coś przygniotło mnie niczym kawał zbrojonego betonu. Pogrzeb rodziców, siostra Ania, babcia Hela. Czy jeszcze zdążę? Ja długo tu leżę, do jasnej cholery?

Zawsze byłem pieprzonym egoistą...

Gdy zbrojony beton zaczął odbierać mi oddech, a gniew na samego siebie znów rozruszał serce, zaskrzypiały drzwi i do pokoju wkroczyła młoda kobieta z butelką wody w dłoni. Nawet na mnie nie spojrzała, tylko od razu skierowała się w stronę szafki, na której stały dwie doniczki z kwiatami. Podlała je, następnie cztery kolejne: wiszącą na ścianie paprotkę, stojącą w rogu jukę i jakieś niewielkie roślinki na parapecie. Przy okazji odchyliła zasłony i wpuściła do środka nieco więcej światła. Zmrużyłem oczy, ale nie spuściłem z niej wzroku. Stała tak przez chwilę, rozglądając się po podwórzu, po czym odwróciła się i ruszyła w moją stronę. Wtedy nasze spojrzenia spotkały się, a ona aż podskoczyła z wrażenia, przy okazji upuszczając butelkę z resztą wody na podłogę.

Trudno mi było ocenić, co jej chodziło po głowie, ale musiała się wystraszyć, a co najmniej mocno zdziwić. Położyła ręce na piersiach i spojrzała w górę, szepcząc jakieś słowa, po czym zbliżyła się i przykucnęła tuż obok mnie. Poczułem zapach, który omal nie pozbawił mnie przytomności, a gdy w świetle świecy tęczówki nieznajomej rozbłysły szmaragdowym blaskiem, moje serce niemal stanęło.

Nawal...

Te same perfumy, równie wielkie, intensywnie zielone oczy i nieco tajemnicze, szlachetne rysy sprawiły, że przez moment kompletnie się zatraciłem. Chłonałem chwilę, jakbym dostał szansę na cofnięcie się w czasie i ponowne spotkanie kobiety, która była dla mnie całym światem. Wtedy uśmiechnęła się i wierzchem dłoni pogłaskała mnie po policzku.

— Jesteś bezpieczny — rzekła po angielsku z wyraźnym arabskim akcentem. — Nie lękaj się, jesteś tu bezpieczny — powtórzyła, kładąc długie palce na mojej głowie.

Przełknąłem ślinę, kompletnie mnie zatkało i choć zdawałem sobie sprawę, że nieznajoma nie jest Nawal ani żadnym jej kolejnym wcieleniem,

a ja wcale nie trafiłem do nieba, trudno mi było ogarnąć tę zdecydowanie niecodzienną sytuację. Powiedzieć, że to spotkanie mną wstrząsnęło, to nic nie powiedzieć. W końcu zebrałem się w sobie.

— Kim jesteś? — wydusiłem z największym wysiłkiem.

Piękna nieznajoma pochyliła się nade mną, w pewnym momencie znalazła się tak blisko, że poczułem jej ciepły oddech na swojej twarzy.

— Mam na imię Leila i jesteś w domu mego ojca, Ahmeda Husajna Al-Sahili. Nie musisz się obawiać, nie musisz...

— Jak się tu znalazłem? — spytałem, przerywając swojej tajemniczej opiekunce.

Spróbowałem się unieść, ale zaraz tego pożałowałem, bo nagły atak bólu omal mnie nie obezwładnił. Jęknąłem, a Leila wsunęła dłoń pod moją głowę i delikatnie ułożyła ją z powrotem na poduszce.

— To długa historia — odparła i nieco zawadiacko uniosła brew, a jej pełne usta ułożyły się w grymasie uśmiechu starej przyjaciółki z osiedla, z którą można było konie kraść.

W tej jednej chwili zdałem sobie sprawę, że ta dziewczyna widziała mnie już z każdej strony, mało tego, przypomniałem sobie, że kiedy ostatnio widziałem „dzina”, beczelnie zesrałem się w gacie. W jednej chwili moje policzki przybrały kolor dorodnych buraków, bo — nawet biorąc pod uwagę te niecodzienne okoliczności — brak kontroli nad zwieraczami w towarzystwie młodej i pięknej kobiety chyba na większość facetów sprowadziłby nieopisany wstyd. Co gorsza znów kompletnie mnie zatkało i nie miałem pojęcia, jak wybrnąć z tej skomplikowanej i wyjątkowo niekomfortowej dla mnie sytuacji. Na szczęście Leila wyciągnęła mnie z opresji:

— Jak masz na imię? — spytała.

— Kuba.

— Czy to imię coś znaczy?

Pytanie niby zupełnie zwyczajne, ale kompletnie zbiło mnie z tropu. Nigdy nie zastanawiałem się nad znaczeniem mojego imienia, tak naprawdę nie miałem pojęcia, czy w ogóle jakieś ma. Leila dostrzegła moje zakłopotanie.

— Moje imię oznacza „zrodzona w nocy” — rzekła, wykonując dłonią gest pokazujący brzuch kobiety w ciąży, gdy w pamięci szukała angielskiego słowa „born”. — Chciałabym...

Zawiesiła głos i nadstawiła uszu w kierunku otwartych drzwi. Też to usłyszałem — stukot ciężkich butów na klatce schodowej. Leila gwałtownie podniosła się i przyłożyła palec do ust, po czym chwyciła leżący na kanapie

kwef i zasłoniła twarz. Chwilę później wymknęła się z pokoju i delikatnie niczym japońska gejsza zamknęła drzwi. Usłyszałem, jak te wejściowe otworzyły się i do mieszkania wszedł ktoś, kto z pewnością nie był równie subtelny jak moja tajemnicza opiekunka. „Ahmed Husajn Al-Sahili” — pomyślałem. Ojciec Leili i gospodarz tego domu. Gdy usłyszałem, jak wita się z domownikami, zrozumiałem, że ten głos też nie jest mi obcy. Słyszałem go i doskonale pamiętałem, że zdecydowanie nie należał do przesadnie życzliwych i przyjaznych, więcej — arabski w jego wykonaniu sprawiał, że jeżyły mi się wszystkie włosy na ciele, a krew zaczynała gotować w żyłach. Zamknąłem oczy, aby uspokoić narastające emocje, jednak w świecie prawdziwych mężczyzn nie było miejsca dla gówniarzy niebędących w stanie zapanować nad swoimi słabościami. Musiałem zachować trzeźwość umysłu. Tak jak Krzysiek, być twardy, stanowczy i niewzruszony, nawet w najbardziej ekstremalnej sytuacji, tego wymagało moje aktualne, raczej kiepskie położenie. „Adaptacja — pomyślałem. — Umiejętna adaptacja do zmiennych warunków jest moją jedyną szansą na przetrwanie”.

Postanowiłem, że poczekam i wykorzystam czas na analizę potencjalnych scenariuszy. Fakt, że jeszcze żyłem, pozwalał mi sądzić, że nie jestem więźniem w klasycznym tego słowa znaczeniu. Nawet jeśli ojciec Leili nie pałał do mnie przesadną sympatią (a tego byłem niemal pewien, podświadomie widząc w nim wroga), musiał mieć konkretny powód, aby trzymać mnie przy życiu. Motywacja ta musiała być silna, a nawet bardzo silna, bo nie wątpiłem, że sporo ryzykował, ukrywając mnie w swoim domu, jednak gdyby nie musiał albo miał inne wyjście, zapewne po prostu odesłałby mnie do szpitala lub oddał w ręce tych, którzy zdecydowanie nie życzyli mi najlepiej. Jak natomiast miały się do tego słowa Leili? Że jestem bezpieczny i nie muszę się niczego obawiać? Choć ta zjawiskowa dziewczyna zrobiła na mnie kolosalne wrażenie, moja nieufność wobec muzułmanów osiągnęła poziom superhard, gdyż słynna *takija*, którą Rabah próbował na nas skutecznie w czasie przesłuchania przez Krzyśka, już na zawsze miała zmienić moje podejście do jakichkolwiek dyskusji, zwłaszcza zaś zawierania jakichkolwiek umów z ludźmi wyznającymi islam.

Gubiłem się w swoich przemyśleniach, choć miałem swoje podejrzenia, zdawały się jednak zbyt banalne, aby były prawdziwe, poza tym, aby choć spróbować wszystko sobie poukładać, musiałem najpierw dowiedzieć się więcej o miejscu, w którym przebywałem, i czasie, jaki w nim spędziłem. Najlepszym rozwiązaniem było ponowne nawiązanie kontaktu z Leilą, ale nie było mi to dane, gdyż już kilka sekund później mój plan legł w gruzach.

Drzwi do pokoju otworzyły się i do środka wszedł Ahmed Husajn Al-Sahili. Miał na sobie wysłużoną galabiję, a twarz porastała słusznych rozmiarów broda, która kontrastowała ze szczupłą posturą i sprawiała, że zdawał się jeszcze chudszy niż był w rzeczywistości. Mimo to biła od niego jakaś siła i coś, co nazwałbym doświadczeniem, a raczej zbiegiem niefortunnych zdarzeń z przeszłości, które wyrwały głębokie bruzdy na pokiereszowanej twarzy gospodarza tegoż przybytku. Al-Sahili zmierzył mnie srogim spojrzeniem, aż mnie zmroziło, ale chwilę później przykucnął i położył dłoń na mojej.

— *Assalamu alayka*^[3] — rzekł. — Niech pokój będzie z tobą — dodał po angielsku, tonem brytyjskiego lokaja; surowe rysy nie złagodniały ani trochę, co zupełnie nie współgrało z tym przyjaznym gestem. — Czy słyszy pan, co do pana mówię?

Gospodarz wymawiał kolejne słowa wolno i wyraźnie, prostym angielskim, który chyba nie był jego najmocniejszą stroną. Przytaknąłem ostrożnym ruchem głowy.

— *Al-hamdu lillah*^[4] — rzekł, spoglądając w górę. Chwilę później podniósł się, nabrał powietrza i przemówił: — Jest pan gościem domu rodziny Al-Sahili i pozostanie pan nim do czasu, gdy będzie go pan mógł opuścić o własnych siłach. Do tego czasu moja córka Leila Al-Sahili jest na każde pana wezwanie, więc proszę się nie krępować. Niestety, nasze możliwości są ograniczone, zwłaszcza jeśli chodzi o medykamenty, dlatego proszę być wyrozumiałym i brać pod uwagę, że robimy wszystko, aby ulżyć pana cierpieniu i doprowadzić pana do zdrowia.

Słuchałem monologu gospodarza domu w kompletnym zdumieniu, bo choć wszystkie przesłanki wskazywały, że nie muszę spodziewać się najgorszego, to na pewno nie byłem przygotowany na tak przyjazne przyjęcie ze strony muzułmanina, po stroju i wyglądzie mogłem zaryzykować stwierdzenie religijnego, żeby nie powiedzieć radykała. Al-Sahili kontynuował:

— Wiem, kim pan jest i że jest pan poszukiwany przez obecną władzę, ale zapewniam pana, że w moim domu może pan czuć się bezpieczny, dopóki jestem jego gospodarzem. Daję też panu słowo, że zrobię wszystko, aby panu pomóc, *in sha'Allah*.^[5] Chciałbym też wyrazić najszczerze podziękowania za to, co pan zrobił i chcę, żeby pan wiedział, że bez względu na wszystko do końca życia pozostanę pana dłużnikiem. *As'alul laahal Aziim. Rabbal arszil aziim an jaszfiik*^[6].

Wymawiając tę ostatnią formułkę, której — jak zresztą większości

poprzednich — oczywiście nie rozumiałem, Al-Sahili uklonił się i wyszedł. Zostałem sam z masą pytań, w lekkim szoku, kompletnie zagubiony wśród ludzi, których kultury nie rozumiałem, choć już zdążyłem ją znienawidzić. Trwałem tak przez chwilę, próbując jakoś poskładać do kupy wszystko, co usłyszałem z ust gospodarza domu, ale zanim się w sobie zebrałem, drzwi znów zaskrzypiały i do środka wślizgnęła się Leila. Pochyliła się nade mną, a ja znów zatopiłem się w zieleni jej nieprzyzwoicie ślicznych oczu.

— Odpoczywaj — rzekła głosem miękkim i zwiewnym jak piórko.

— Ale...

— Nic nie mów, musisz nabrać sił. Zdrzemnij się, obudzę cię, jak posiłek będzie gotowy.

Leila uśmiechnęła się, a ja zupełnie zgłupiałem. Uległem jej i zamknąłem oczy.

— Kuba... — szepnęła.

Uniosłem powieki.

— Mój ojciec chciał ci podziękować za uratowanie mojego młodszego brata. Ja też ci dziękuję. — To powiedziawszy, wstała, a jej oczy zaślnęły znanym mi blaskiem, jak opromienione wstającym słońcem szmaragdy w toni krystalicznie czystego jeziora.

Coś ścisnęło moje serce, a ja poczułem, jak w oczach zbierają się łzy. Zamknąłem powieki. Chwilę później zostałem sam.

Krzysiek

24 września 2023 roku, Zielona Góra, Polska

Od wczoraj był dezterem. Do jednostki planowo miał wrócić dwudziestego trzeciego września, ale tego nie zrobił, czym skreślił całe siedem lat służby w Legii Cudzoziemskiej. Nie chciał myśleć o konsekwencjach, zwłaszcza że dezterzy byli traktowani wyjątkowo surowo. Mógł zapomnieć o tłustych wypłatach i przyszłej emeryturze, bankowo trafiłyby też pod sąd, który w przypadku dalszego uchylania się od wypełnienia kontraktu najpewniej skazałby go na kilka lat odsiadki.

Ale czy mógł postąpić inaczej? W tym wypadku nie było dobrego wyjścia, powrót w kamasze oznaczał, że musiałyby zostawić siostrę samą, a w obecnych, wyjątkowo niestabilnych warunkach nie mógł na to pozwolić. Fakt, że przy okazji narobił w Barcelonie, Paryżu i w końcu w Berlinie niezłego burdelu, dodatkowo nie działał na jego korzyść, bo „góra” to nie były przygłupy i mieli swoje kontakty, dzięki czemu mógł spodziewać się zsyłki do jakiejś dziury na końcu świata, nawet biorąc pod uwagę aktualne zapotrzebowanie na wykwalifikowanych żołnierzy na terenie Francji. Ewentualny powrót z takiego zadupia na własną rękę trwałby najpewniej wiele godzin, a może nawet dni, a mając na uwadze bezpieczeństwo Moniki, taka opcja w żadnym wypadku nie mieściła się w jego planach.

Do tego Franco. I Kuba... Czuł się winny śmierci swojego mentora, ale kimkolwiek Włoch by dla niego nie był, należał do legionistów i nie pierwszy raz spojrzął śmierci w oczy. Choć nie był w stanie znaleźć sensownego wytłumaczenia dla tak nieodpowiedzialnego zachowania doświadczonego kompana, co ostatecznie poskutkowało jego głupią śmiercią, musiał zaakceptować fakt, że Franco odszedł i już nigdy nie usłyszy jego tubalnego głosu ani szorstkich jak papier ścierny żartów. Pożegnał go już, wtedy, w deszczu i świetle błyskawic, na rozłupanych płytach chodnikowych przy Pomniku Pomordowanych Żydów Europy. Tego samego nie mógł jednak powiedzieć o Kubie, swoim najbliższym przyjacielu, człowieku, z którym wychował się na jednym podwórku, z którym lepił w piaskownicy pierwsze babki i opatrywał pierwsze rany po otarciach na wyścigach rowerowych, które symbolizowały biegi żużlowców

Falubazu. To razem z nim popijał pierwsze piwa i popalał pierwsze papierosy, podrywał i rywalizował o dziewczyny, w końcu to właśnie Kuba był tym, który pomógł mu przetrwać najtrudniejszy okres w życiu, gdy w wypadku samochodowym stracił oboje rodziców.

Jego nie pożegnał. Co gorsza, nie miał pojęcia, co się z nim dzieje i czy w ogóle żyje, a coraz bardziej dynamicznie rozwijająca się sytuacja w Niemczech sprawiała, że jego poszukiwanie z każdym dniem stawało się jeszcze trudniejsze. Obwinał się o to, co stało się na tamtej ulicy. Nie powinien do tego dopuścić, był najbardziej doświadczony i odpowiedzialność spoczywała na jego barkach. Ale co miał zrobić, gdy żołnierze rozstawili barykady i rozkazali odjechać pod groźbą otwarcia ognia? Nie miał najmniejszych szans na przebicie się, a pozostanie w centrum Berlina w tak krytycznym momencie mogło spowodować, że narazi na niebezpieczeństwo wszystkich pozostałych. Przecież Abi Rabi'a musiał być wściekły i z pewnością dwoił się i troił, aby dorwać wszystkich odpowiedzialnych za odbicie Michała, wszak ten zuchwały akt w jego mniemaniu po raz kolejny sprowadził hańbę na jego ród.

Właśnie... A jeśli Kuba trafił w jego łapska? Ta wersja przerażała go najbardziej, bo odbicie go z rąk człowieka, który od tygodnia oficjalnie dowodził oddziałami, a raczej bojówkami islamskiej milicji, powołanymi i skleconymi z radykalnych, często wziętych wprost z ulicy wyznawców przez samozwańczego kanclerza nowo powstałego Tymczasowego Rządu Niemieckiej Republiki Islamskiej, tureckiego radykała Ahmeda Güneşa, zdawała się misją niewykonalną, nie tylko dla jednego człowieka, ale całego zastępu najlepiej wyszkolonych komandosów. Doniesienia mediów, zwłaszcza zaś masa filmików i zdjęć przemycanych do sieci przez przerażonych i zszokowanych skalą i gwałtownością zachodzących w ich kraju zmian mieszkańców, też nie pozwalały patrzeć w przyszłość zbyt optymistycznie. Powołana milicja religijna podobno od razu wzięła się za „odnowę duchową” państwa i coraz śmielej poczyniała sobie nie tylko w dużych miastach, ale także na prowincji, gdzie nakłaniała ludność do zmiany wiary, kościoły przerabiała na meczety i radziła zaakceptować nowe prawa oparte na szariacie. Na razie jeszcze nie zmuszała — przynajmniej oficjalny komunikat brzmiał, że „sugeruje obywatelom kosmetyczne zmiany światopoglądowe” — ale już pojawiały się pogłoski o pierwszych aresztowaniach, a nawet egzekucjach. Biorąc pod uwagę poglądy, poziom zradyzalizowania i przede wszystkim brak jakiegokolwiek empatii ze strony Abi Rabi'i, nie można było wykluczyć ich prawdziwości, bo choć nowy system dopiero się wykluwał, a szef milicji nie mógł tak otwarcie pozbywać

się najbardziej zagorzałych przeciwników, kwestią czasu było, kiedy dojdzie do szerszych reperkusji wobec buntującej się ludności nieislamskiej. Sam Abi Rabi'a nie był już natomiast ściganym terrorystą, a oficjalnym przedstawicielem państwa, chronionym nie tylko przez tysiące swoich podwładnych, ale także — przynajmniej w teorii, bo wiele krajów do tej pory nie uznało nowej władzy w Niemczech — przez różnego rodzaju międzypaństwowe bilateralne umowy. W zasadzie stał się nietykalny, mało tego, mógł oficjalnie podróżować za granicę i śmiać się w twarz przywódcom innych krajów, którzy do tej pory ścigali go jako jednego z najbardziej poszukiwanych terrorystów świata.

Wszelkie plany zemsty na tym pierdolonym Arabie wzięły w łeb. To, co irytowało Krzyśka jeszcze bardziej, to fakt, że kolejne państwa Europy Zachodniej nie były w stanie opanować rebelii wznieconych przez społeczności muzułmańskie i wszystko wskazywało, że mogą pójść w ślady Niemiec, czego nieuchronną konsekwencją byłby całkowity rozkład Unii Europejskiej. Owszem, większość z nich broniła się jak mogła, często używając najbardziej drastycznych środków przymusu, gdyż nauczona przykładem Niemiec, których niezdecydowanie i chwiejność w podejmowaniu kluczowych decyzji doprowadziły kraj do upadku, nie chciała ryzykować podobnej ewentualności. Dlatego władze krwawo tłumili zamieszki, ale wciąż pojawiały się kolejne punkty zapalne, przez co służby i mundurowi nie byli w stanie w pełni zapanować nad sytuacją. Brak ochrony ze strony państwa prowokował natomiast zwykłych obywateli do samosądów. Uliczne bijatyki stały się więc codziennością, a do większości krajów Zachodu wkradła się anarchia. Co najgorsze, trudno było znaleźć światelko w tunelu, a żadne z państw nie dawało gwarancji, że służby uporają się z problemem i podobna sytuacja, jak ta w Berlinie, już się nie powtórzy. Przywódcy drżeli o swoje zdrowie i życie, stali się nieufni i podejrzliwi wobec opozycji, zwłaszcza mając na uwadze, że w Szwecji Bractwo Muzułmańskie również przejęło władzę poprzez zamach stanu, co prawda nie w tak drastyczny sposób, jak w Niemczech, ale efekt był dokładnie taki sam. Tym, co szokowało najmocniej, był natomiast fakt, że nowa władza dokonała tego przy współpracy ze skrajną w swoim programie Partią Lewicy, która co prawda weszła do nowo utworzonego rządu, ale niemal natychmiast została zmarginalizowana i przestała się liczyć. Naiwność szwedzkich polityków lewicy stała się swoistym symbolem i przykładem dla wszystkich pragnących wchodzić w układy z muzułmańskimi radykałami. Tak czy inaczej, kraj zmienił ustrój, dosłownie i w przenośni uległ silnemu i skonsolidowanemu Bractwu

Muzułmańskiemu, którego przywódcy, z Ibrahimem Ebrahimzadehem na czele, zastraszyli społeczeństwo potencjalnymi zamieszkami. Wystarczyło więc tylko pomachać przysłowiową szabelką, na kolejnym posiedzeniu Riksdagu zablokować mównicę i proklamować Kalifat Niepodległej Szwecji, aby przerażeni i kompletnie zagubieni ministrowie oddali władzę, nawet specjalnie nie oponując.

Sytuacja w Europie w ciągu kilku tygodni zmieniła się więc nie do poznania. Wciąż stosunkowo spokojnie było jedynie w krajach byłego bloku wschodniego, w tym w Polsce. Oczywiście panowała nerwowa atmosfera, ale rząd przyjął pozycję obserwatora i patrzył na wszystko z boku, nie angażując się i naiwnie wierząc, że wykorzysta osłabienie państw Zachodu — które prędzej czy później ostatecznie poradzą sobie z problemem — aby wkrótce przejąć rolę nowego przywódcy w Europie. Durni politycy, tak zapatrzeni w siebie, albo naprawdę nie dostrzegali zagrożenia, albo byli wyjątkowymi ignorantami, deprecjonując fakt, że ze Wschodu na kontynent łakomym wzrokiem spoglądał ktoś jeszcze, ktoś, dla kogo aktualna sytuacja była spełnieniem marzeń, kto nie zawahałby się użyć całej swojej siły, jeśliby uznał, że jest w stanie spełnić swoje mocarstwowe ambicje. Tym bardziej że od roku znajdował się w wojskowym sojuszu z państwem o drugiej największej armii w Europie — Turcją, krajem niechcianym w Unii Europejskiej, który w ostatnich latach przeszedł gruntowną rewolucję światopoglądową i w ramach odpowiedzi na odrzucenie jego europejskich aspiracji ze strony liderujących Unii Niemiec wypisał się z Paktu Północnoatlantyckiego, aby niedługo później sprzymierzyć się z Rosją. Dziś Turcja miała swoją chwilę chwały i natychmiast wykorzystwała niepokoje w Niemczech, aby zemścić się na znienawidzonych decydentach, stając się pierwszym państwem, które uznało za legalną nową władzę w Berlinie. Wystarczyło spojrzeć na mapę, aby zrozumieć, co by się stało z kontynentem, gdyby armie obu tych potęg otrzymały rozkaz do wymarszu. Rosyjsko-tureckie kleszcze zacisnęłyby się na Europie i zamknęłyby w uścisku ponad pół miliarda ludzi, od pokoleń rozpieszczonych wolnością i konsumenckim stylem życia, wojnę znających jedynie z opowieści pradziadków lub filmów z Tomem Hanksem. Taki zuchwały, choć całkiem prawdopodobny atak zmusiłby do odzewu wciąż jedynie nawołujące europejskich braci do opanowania sytuacji Stany Zjednoczone, które zaangażowane w ostry spór na Półwyspie Koreańskim oraz coraz trudniejsze relacje z panoszącymi się na szeroko pojętym Dalekim Wschodzie Chinami, musiałyby w końcu stanowczo zareagować także i tutaj. Efekt nie był trudny do przewidzenia — trzecia wojna światowa

stałaby się faktem.

O konsekwencjach takiego konfliktu Krzysiek wolał nie myśleć. Podniósł się z łóżka i poszedł do łazienki. Obmył twarz i ogolił kilkunastodniowy zarost. Jeszcze przed śniadaniem zrobił pięćset pompek i tyle samo brzuszków, następnie zjadł jajecznicę na boczku z ośmiu jajek ze szczypiorami, którą popił mocną jak sam diabeł sypaną kawą z czterema łyżeczkami cukru. W końcu odnalazł najbardziej elegancką koszulę, jaka wisiała w skromnie wyposażonej szafie, i założył ją, chowając pod spód nieodłączny nieśmiertelnik. Wychodząc z mieszkania, sięgnął jeszcze po przeciwsłoneczne okulary Oakleya, choć niebo było zasłane chmurami po sam horyzont i z krótkimi przerwami siało od wczorajszego poranka.

Sam nie wiedział, po co idzie na cmentarz, na którym pochowano rodziców Kuby. Może po prostu tego potrzebował? Może potrzebowali tego oni? Gdy będąc dzieckiem, stracił matkę i ojca, wizyty na ich grobach traktował bardzo poważnie, stały się nieodłącznym elementem jego życia, intymną chwilą wyłącznie dla niego. To tam mógł robić to, na co nie pozwalała mu ulica, poluzować napięte do granic możliwości nerwy, uronić łzę, a nawet zwyczajnie popłakać. Traktował to jako swojego rodzaju katharsis, oczyszczenie mrocznej i sfatygowanej ciężkim życiem duszy, jako swoistą smycz, która nie pozwalała mu zatracić się i przekroczyć tej cienkiej granicy, za którą czekało zło.

Zabrał kluczyki i wyszedł z mieszkania. Niedzielny poranek nie rokował najlepiej, szare chmury szczelnie zakryły niebo, a ze wschodu hulał nieprzyjemny wiatr, zwiastujący ochłodzenie. Droga przez miasto minęła szybko, ulice były prawie puste, nie licząc kilku pechowców, którzy musieli wstać w niedzielę o piątej rano. Na miejsce dotarł o brzasku i narzuciwszy na siebie leżącą na tylnym siedzeniu jesienną kurtkę, udał się w miejsce, gdzie spoczywali rodzice Kuby.

Pogrzeb odbył się tydzień temu, a on przypatrywał mu się w milczeniu, skryty za drzewami, z których opadały kolorowe liście, układając na ziemi żółto-czerwony dywan. Nad głowami fruwały ptaki, ich skrzek nastrojał do zadumy nad ulotnością życia. On stał pod jednym z dębów i obserwował uroczystość w milczeniu, ze łzami w kącikach oczu i napierającym z tyłu głowy wstydem. Słuchał słów księdza i płaczu małej Ani, której nigdy nie miał okazji spotkać, choć znał z opowiadań starego przyjaciela. Na uroczystość przybyło kilkanaście tysięcy ludzi, w tym środowiska katolickie, uczelniane, a nawet kibicowskie, ale także zwykli mieszkańcy Zielonej Góry i okolic, którymi okrutny mord tak dogłębnie wstrząsnął. Sama ceremonia przebiegła w miarę spokojnie, przybyli zdołali uszanować

podniosłość chwili. Powrót do centrum miasta zamienił się już natomiast w marsz z transparentami i okrzykami, jawnie nawołującymi do nienawiści i odwetu na muzułmanach, choć warto dodać, że wtedy nie było już w mieście żadnej działającej budki z kebabem ani żadnego sklepu z drobiazgami z Bliskiego Wschodu, które w pierwszych dniach września, zwłaszcza zaś krótko po ujawnieniu przez media islamskiego motywu zbrodni, zostały albo spalone, albo doszczętnie zdemolowane. Oczywiście w związku z tym na uroczystości nie zabrakło policji i przynajmniej kilkunastu tajniaków, Krzysiek wątpił jednak, aby szukali akurat jego, pomimo to wolał pozostać w ukryciu i obserwować ceremonię z oddali.

Teraz z trudem uporał się, aby wcisnąć gdzieś dwa znicze, których wokół świeżego grobu były całe setki, od maleńkich po wielkie i finezyjne. Świeży bukiet chryzantem położył na górze pozostałych kwiatów i usiadł na ławce. Myślał o przeszłości, o Kubie, o siostrze i tysiącu rzeczy minionych. Czuł się równie bezradny jak wtedy, gdy w tym maleńkim kościółku przy hiszpańsko-francuskiej granicy kajał się przed Bogiem, pierwszy raz od niepamiętnych czasów. Bezsilność była najgorsza...

Klęknął na grząskiej ziemi i raz jeszcze zaczął błagać Boga o pomoc, o siłę, o nadzieję. Modlił się żarliwie, nie bacząc na wzmagający się wiatr i deszcz, zamknięty w stalowym uścisku nieśmiertelnik znów werznął się w ciało i czerwone krople spadły spomiędzy palców na rozmokły grunt. W końcu wstał i przez kolejny kwadrans patrzył na tańczące płomienie, które coraz częściej gasły przy silniejszych podmuchach wschodniego wiatru. A on czekał, sam nie wiedział na co czy na kogo... Może podświadomie spodziewał się spotkać tamtego księdza, albo ducha, albo po prostu kogoś, kto go wysłucha i wskaże mu drogę. Tym razem nie pojawił się nikt, mimo to on stał jak posąg, ze wzrokiem nieruchomym jak spojrzenie kamiennej figury, gapiąc się w ogień, jakby w jego złotym blasku miała kryć się odpowiedź, której tak pragnął.

Wtedy nadeszła wiadomość. Wyrwany z zadumy wyjął smartfon i odczytał ją, po czym ruszył biegiem w kierunku samochodu. Opuszczając nekropolię, zdał sobie sprawę, że przez te wszystkie lata był pieprzonym ignorantem. ON istniał. Wysłuchał go.

Przekręcając kluczyk w stacyjce, pomyślał, że tym razem tego nie spartoli. Nie miał pojęcia, że ON właśnie skazał go na cierpienie straszne i nieludzkie, a to finezyjne zaproszenie jest furką do miejsca bez nadziei, tam, gdzie ludzie zamieniają się w demony, a demony w ludzi. Gdzie ludzie ludziom gotują piekło na ziemi.

Kuba

24 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

Kolejne dwa dni przeminęły niemal niepostrzeżenie. Walczyłem z bólem, a Leila opiekowała się mną, zmieniała mi opatrunki, podawała leki, które ojciec zdobywał gdzieś pokątnie, bo splądrowane apteki wciąż nie wróciły do normalnej sprzedaży, gdyż brakowało dostaw. Moja „pielęgniarka” okazała się bardzo interesującą dziewczyną, charakterną, o ciekawych i niespotykanych poglądach. Bardzo przypominała mi Nawal, choć w przeciwieństwie do mojej ukochanej zdawała się pewniejsza siebie, posiadała mocniejszą osobowość i za każdym razem, gdy wchodziła do pokoju, wypełniała go niesamowitą charyzmą. Leila była też piękną młodą kobietą, choć w mojej obecności starała się zakrywać twarz, zwłaszcza gdy w domu przebywał ojciec. Robiła to jednak w sposób, który przypominał mi obrazki z *Baśni tysiąca i jednej nocy*, na których tancerki brzucha bądź kurtyzany, choć ubrane od stóp po czubek głowy, i tak wyglądały na półnagie pod zwiewnymi i na wpół przezroczystymi tkaninami. Podobnie sytuacja miała się z Leilą. Niby nosiła na twarzy chustę, ale była ona na tyle subtelna, że wszystko, co miała zakrywać, nabierało jedynie bardziej kuszącego wyrazu.

Starłem się nie zdradzać zafascynowania jej osobą, ale chyba kiepsko mi to wychodziło. Trudno było jednak udawać, że jest się obojętnym, skoro miało się pod bokiem śliczną opiekunkę, bardzo młodą, ale nad wyraz dojrzałą emocjonalnie, silną, ale zarazem czułą i delikatną, a do tego po prostu mądrą. Szybko doszedłem do takiego wniosku, gdyż dyskusja z Leilą, choć czasem brakowało jej konkretnych słówek, nigdy nie schodziła poniżej pewnego poziomu, do tego od pierwszych prób była wyjątkowo naturalna, a ja, rozmawiając z tą niesamowitą Irakijką, miałem wrażenie, że gadam ze starą kumpelką z osiedla. Może to fakt, że Leila przez dwa tygodnie „wysadzała” mnie i podcierała mi tyłek, a może to zasługa jej wyjątkowego charakteru — w każdym razie połączyła nas przedziwna więź, którą opisałbym jako połączenie obopólnej fascynacji, przyjaźni, wdzięczności i... pożądania. Tak, pożądania, bo choć w mojej aktualnej sytuacji seks był ostatnią rzeczą, która mogła zaprzętać mi głowę, to nie mogłem pozostać

zupełnie obojętny na jej wdzięki, zwłaszcza że ta dziewczyna posiadała wszelkie atrybuty, jakie określa dzisiejszy wzorzec kobiety idealnej. I bazując na stosunkowo bogatym doświadczeniu w tych tematach, mogłem zaryzykować stwierdzenie, że Leila również była zainteresowana moją osobą bardziej, niż wynikało to z jej obowiązków.

Jednak to, czym mnie zaskoczyła najbardziej, to bogata wiedza, zwłaszcza na tematy polityczno-społeczne, które zazwyczaj nie były domeną młodych i pięknych kobiet wywodzących się z kultury islamu. Dzięki Leili zapoznałem się z informacjami absolutnie dla mnie kluczowymi w razie ewentualnej ewakuacji z Berlina i choć kolejne odpowiedzi wprowadzały mnie w stan coraz większego zdumienia, mogłem wyobrazić sobie, co działo się przez ostatnie dwa tygodnie, gdy ja bez przytomności walczyłem o życie w krainie koszmarów. Gdy moja opiekunka nakreśliła mi obraz przechodzącej gwałtowne zmiany stolicy, w końcu przełamałem się i zapytałem o możliwość zatelefonowania do przyjaciela. Niestety, okazało się to niemożliwe, gdyż jedną z pierwszych decyzji nowej władzy był dekret nakazujący wyłączenie masztów telefonii komórkowej. Co prawda sygnał powoli wracał, ale już na zupełnie innych zasadach, a główną zmianą — poza niemal pewną inwigilacją rozmawiających — było odcięcie przeciętnych obywateli od roamingu. Bez zgody specjalnej komórki, która zajmowała się łączeniem z numerami zagranicznymi, nie było więc możliwe zatelefonowanie do osoby znajdującej się poza granicami kraju, przynajmniej z Berlina, bo chodziły słuchy, że poza miastem są miejsca, gdzie ludzie jakoś sobie radzą. Zdumiony zapytałem więc o możliwość połączenia z internetem, ale nowa władza także i w tym względzie nie zasypiała gruszek w popiele. Owszem, walka z dostępem do sieci w tak zurbanizowanym i nowoczesnym państwie, jak Niemcy była o wiele trudniejsza niż na Bliskim Wschodzie czy w Afryce, mimo to sieć została drastycznie ocenzurowana, mocny nacisk położono zwłaszcza na portale społecznościowe i różnego rodzaju komunikatory, które zostały zupełnie zablokowane. I choć rządzący nie byli w stanie zupełnie wyeliminować możliwości korzystania z internetu, a mieszkańcy posiadający na przykład własne serwerownie i potrafiący obejść zabezpieczenia nie należeli to skrajnych wyjątków, to przeciętny obywatel, nie do końca obeznany ze światem cyfrowym, został praktycznie odcięty od świata. A ja teraz leżałem w domu właśnie takiego szarego obywatela Niemieckiej Republiki Islamskiej.

Ależ to miało wydźwięk! Niemieckiej Republiki Islamskiej... Brzmiało jak jakiś ponury żart, ale rzeczywistość już wtedy była znacznie bardziej

brutalna niż śmiałem sądzić. Na razie jednak, odizolowany od szalejącej rewolucji, pod opieką irakijskiej piękności, w domu surowego, acz — zdawało się — uczciwego Ahmeda Husajna Al-Sahili, dochodziłem do zdrowia, próbując wykoncypować, jak wydostać się z miasta opanowanego przez islamskich radykałów, na ulicach którego roiło się od wojska i milicji szariatowej. Gospodarz domu wyraził się wszak jasno — mogłem mieszkać w jego domu do czasu, aż będę w stanie opuścić go o własnych siłach. Wczoraj po raz pierwszy poszedłem do toalety, aby w końcu wypróżnić się jak normalny facet, i choć te kilka metrów przemierzyłem z wielkim wysiłkiem, oczywiste było, że już na dniach będę w formie pozwalającej mi poruszać się w miarę normalnie.

Zdrowiałem, nabierałem siły, bóle ustępowały. Leila miała czarodziejskie dłonie i aż żal było myśleć, że taki talent zostanie zmarnowany, wszak w nowym państwie niemieckim miejsce kobiety miało znajdować się w domu, a edukacja — gdy podjęliśmy temat jej przyszłości w świątku uniwersyteckim, bardzo posmutniała — kończyć na szkole podstawowej. Odniosłem wrażenie, że moja opiekunka w ogóle nie pasuje do zmieniającej się rzeczywistości i w przeciwieństwie do swojego bardzo konserwatywnego ojca, pod którego modły o stałych porach dnia i nocy można było ustawiać zegarek, podchodzi do wyznawanej wiary mniej skrupulatnie, żeby nie powiedzieć — zupełnie na luzie. Co prawda w jego obecności zdawała się zachowywać jak wzór posłusznej muzułmańskiej córki, ale gdy tylko poczuła się swobodniej, potrafiła zagadać mnie na śmierć. Przede wszystkim miała w sobie coś z tej osiedlowej kumpeli, co zupełnie nie licowało z chorobliwie poważnym podejściem do wiary w islam. Te jej spojrzenia, czasem rzucane nieświadomie, czasem z pełną premedytacją, kokieteryjne, trochę szelmowskie, a zarazem kuszące i wampowate, sprawiały, że czułem się w jej obecności doskonale. A gdy zostawałem sam, zdarzało mi się myśleć, że w innym życiu mógłbym się w niej zakochać. W tym życiu miałem inne priorytety. Tak samo, jak ja byłem priorytetem dla innych.

Tego wieczora po raz kolejny zostałem sprowadzony na ziemię, zaraz po kolacji, którą skonsumowałem w towarzystwie pozostałych domowników. Dość grobowa atmosfera podczas posiłku specjalnie mnie nie zdziwiła, pamiętałem, że w kulturze islamskiej nie jest to czas do wymiany żartów o blondynkach, więc zjadłem ze smakiem danie na brązowym ryżu z marchwią, soczewicą i cebulą, oczywiście doprawione przyprawami z gatunku tych, których jedynym celem jest wypalenie wszystkich tkanek od ust po jelito grube, po czym podziękowałem i wychwaliłem zdolności

kulinarne pani domu, pilnując się, aby nie przesadzić i tym samym nie urazić bardzo religijnego, a przez to także zapewne wyczulonego na punkcie swojej żony gospodarza. Żony, dodam, bardzo urodziwej i obdarzonej silną osobowością, gdyż doznałem zaszczytu posilenia się w towarzystwie kobiet, które tym razem nie przywdziały nikabów, a zadowolily się jedynie kolorowymi hidżabami. Nawet nie próbowałem się zastanawiać dlaczego, dla mnie zasady panujące w islamie, te wszelkie zakazy, ograniczenia, restrykcje, były nie tylko zupełnie obce, ale kompletnie niezrozumiałe. Wiedziałem tylko, że muszę się pilnować i nikomu nie ufać. Choć wciąż byłem laikiem w kwestii rozumienia tej dziwacznej kultury, kilka rzeczy zdołałem zapamiętać, a *takija* była jedną z nich.

Al-Sahili powiedział coś po arabsku do żony i córki, po czym poprosił mnie do dużego pokoju, który do tej pory miałem okazję widzieć tylko przez matową szybę w drzwiach. Wstałem i dyskretnie złapałem jeszcze zaniepokojone spojrzenie Leili. Wzbudziło automatyczny alarm w mojej głowie, gdyż do tej pory podobnego z jej strony nie uświadczyłem. Nie miałem jednak wyboru, wciąż czułem się osłabiony i nie byłbym żadnym wyzwaniem dla dorosłego mężczyzny w sile wieku, myślę, że w ogóle nie byłbym w stanie stawić oporu komukolwiek. Gospodarz wpuścił mnie do środka i gestem ręki wskazał kanapę. Wykrzywiony bólem, doczłapałem na miejsce i usiadłem, a on dołączył do mnie, sadowiąc się w fotelu obok. Przez chwilę milczeliśmy, aż do pokoju weszła Leila z tacą, na której stał dzbanek i dwie gustowne filiżanki. Wnętrze niewielkiego salonu wypełnił aromatyczny zapach herbaty, kątem oka dostrzegłem panią domu, która przemknęła za otwartymi drzwiami, tuląc do piersi małego chłopca. To był on, poznałem go od razu. To jego uratowałem.

Leila nalala gorącego napoju do obu kubków i cicho niczym duch opuściła pokój.

— Proszę się poczęstować, panie Jakubie — rzekł Al-Sahili, gdy jego córka zamknęła drzwi.

Upiłem łyk, herbata była pyszna, jak zwykle. Co by nie mówić o kulturze islamskiej, to nawet Anglicy mogliby się od muzułmanów uczyć parzenia tego wyborowego napoju.

— Czy spotkał się pan z nazwiskiem Abi Rabi'a? — spytał tonem pełnym powagi, patrząc mi w oczy.

Zaskoczył mnie, bo prędzej spodziewałbym się pytania o relacje między mną a jego córką. Stwierdziłem, że skoro zaczął tak konkretnie, to musi coś wiedzieć, zatem nie było sensu go oszukiwać.

— Tak — odparłem, jakbym znajdował się na jakimś przesłuchaniu,

zwłaszcza że właśnie takie odniosłem wrażenie.

— Może pan powiedzieć na ten temat coś więcej? — zasugerował.

Poczułem mrowienie w żołądku, bo Al-Sahili naprawdę mnie zaskoczył, a tak zadane pytanie dodatkowo zmuszało mnie do maksymalnej ostrożności. Mogłem niepotrzebnie się wygadać, dając mu paliwo do kolejnych pytań, na które raczej nie chciałbym odpowiadać. „Zimna krew” — pomyślałem.

— Co konkretnie chce pan wiedzieć?

— Skąd pan zna to nazwisko?

Gospodarz upił łyk herbaty, nie tracąc ze mną kontaktu wzrokowego. Jego poorana bruzdami twarz nosiła ślady lat ciężkich doświadczeń, a przenikliwe spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, że facet nie jest w ciemę bity, dodatkowo solidnie przygotował się do tej rozmowy i toczenie z nim niepotrzebnych gier może tylko pogorszyć moją sytuację, która, biorąc pod uwagę jego dotychczasowe podejście, w sumie nie była taka zła. Przecież już dawno mógł mnie wydać, a tego nie zrobił, tym samym narażając swoją rodzinę na niebezpieczeństwo. Uznałem, że nie warto go okłamywać.

— Ten bandyta zamordował moją ciężarną kobietę i porwał przyjaciółkę. To zły człowiek — rzekłem i skrzywiłem się z bólu. Na samą myśl o tym skurwysynie skakało mi tętno, jakiego nie powstydzilby się bijący rekord świata czterystumetrowiec.

Al-Sahili wbił we mnie spojrzenie, jakby miał zamiar przebić się przez mur, za którym znajdowały się odpowiedzi na wszystkie jego pytania. Pomyślałem, że nie chciałbym stanąć twarzą w twarz z typem o podobnej aparycji w mniej sprzyjających okolicznościach. W tych ciemnych oczach czaiło się coś diabolicznego i gdyby w dłoni pojawił się nóż albo inne narzędzie mogące zostać wykorzystane do zadawania tortur, zapewne zesrałbym się w gacie. Ci ludzie doprawdy mnie przerażali.

Gospodarz przemówił:

— Przedstawię panu sytuację, w jakiej się pan znajduje, co pośrednio wpływa również na mnie i moją rodzinę. — Al-Sahili znów upił łyk herbaty i bezszelestnie odstawił kubek na stół. Kontynuował: — Dziś rano w telewizji zamieszczono pana zdjęcie jako groźnego terrorysty i zaoferowano pięćdziesiąt tysięcy euro za informację o aktualnym miejscu pana pobytu. — W jednej chwili serce podskoczyło mi do gardła, ale gospodarz nie dał mi szans, abym przetrawił tę informację i wyciągnął błędne wnioski, mówił dalej: — I proszę się nie obawiać, nie wydam pana. Dla rodu Al-Sahili pieniądze nie są największym obiektem pożądania,

śmiem twierdzić, że częściej przynoszą smutek i nieszczęście. Zdaję też sobie sprawę, że nowa władza nie jest idealna, ale każda rewolucja wymaga niekonwencjonalnych, czasem drastycznych metod, które są w stanie wprowadzać jedynie ludzie zdeterminowani i niemający skrupułów. Odnośnie do pana — nie wnikam w pana przeszłość, nie interesuje mnie ona. Kimkolwiek by pan nie był i czegokolwiek by pan nie zrobił, wiem, że nie jest pan złym człowiekiem, inaczej dziś opłakiwałbym śmierć kolejnego syna. Za uratowanie go, *al-hamdu lillah*^[7], będę panu wdzięczny do śmierci, mimo wszystko pana obecność w moim domu stała się w tym momencie zbyt dużym ciężarem, gdyż jako głowa rodziny jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo pozostałych jej członków, a dalsza pomoc naraża nas wszystkich. Chciałbym zatem prosić pana o zwolnienie mnie z obowiązku dalszej hospitalizacji, gdy tylko uzyska pan sprawność pozwalającą na opuszczenie mojego domu, *in-sha 'Allah*^[8].

Słuchałem w osłupieniu, próbując przyswoić wszystko, co mówił ten brodaty facet o wyglądzie klasycznego dżihadysty, ale przychodziło mi to z wielkim trudem. Mój obraz przeciętnego religijnego muzułmanina nijak miał się do postawy siedzącego naprzeciwko mnie seniora rodu Al-Sahili. Wydusiłem z siebie krótkie „oczywiście” i „dziękuję”, dając znać, że w pełni akceptuję jego ofertę. Zdałem też sobie sprawę, że dałem się sprowadzić do roli zagubionego chłopaczka, który jest na łasce i niełasce wyznawcy tak znienawidzonej przeze mnie religii. Cóż, wciąż była mi obca większość technik negocjacyjnych i różnych kruczków socjotechnicznych, które tak świetnie miał opanowane Krzysiek, byłem zresztą w takim szoku, że dopiero po chwili dotarło do mnie to, co zostało wypowiedziane między wierszami. Moje zdjęcie w publicznej telewizji? Pytanie o znajomość z Abi Rabi'a?

— Jaki związek ma z tym Abi Rabi'a? — spytałem nieco płochliwie, co gospodarz z pewnością odnotował.

— To on podał do publicznej wiadomości tę informację. Muhammad Chalil Abi Rabi'a, *radhi Allahu'anhu*^[9], jest naczelnym dowódcą tajnej milicji i najpoważniejszym kandydatem na przyszłego ministra spraw wewnętrznych Niemieckiej Republiki Islamskiej.

Krew uderzyła mi do głowy, a świat zawirował. Serce znów zabiło mi tuż przy skroni, a bandaż zabarwił się na czerwono. Abi Rabi'a naczelnym dowódcą tajnej milicji? Kandydatem na ministra spraw wewnętrznych? Zanim straciłem przytomność, zdążyłem pomyśleć, że teraz ściga mnie cały opresyjny aparat państwa kierowanego przez radykalnych islamistów, a ja mam totalnie przejebane.

Michał

24 września 2023 roku, Zielona Góra, Polska

— I co ty na to?

Spojrzał na swojego szwagra, który zacisnął zęby i przetaił spoconą czaszkę. Obserwował go, stukając palcami po stole i wybijając miarowo prosty rytm. Traktował to jak swoisty odruch bezwarunkowy, dziwną i niezrozumiałą reakcję własnego organizmu na pewne „manko”, którego nabawił się w tamtej cuchnącej piwnicy.

— Wiesz, że tym razem chcę jechać z tobą...

— To ci powiem od razu, że nie ma takiej opcji. Poza tym Monika potrzebuje cię tu, na miejscu.

— Kurwa...

— Nie kurwa, tylko to po prostu nie ma sensu. Nie teraz, gdy ten sukinsyn ma do dyspozycji swoją prywatną armię.

Michał zagryzł wargi, wciąż wyglądał, jakby przejechał po nim walec, choć ślady po opuchliznach znikły, a zastąpiły je żółtozielone zasinienia, zwłaszcza pod oczami. Codziennie przypominały mu horror, jaki przeszedł, będąc więzionym przez Abi Rabi'ę i jego synów, ale napawały go dumą nie mniej niż poświęcenie, na jakie się porwał, aby uratować swoją kobietę. Przetrwał tydzień w łapskach terrorysty ISIS, bity, torturowany, rażony prądem, psychicznie poniżany i maltretowany. I nie dość, że wytrzymał, to zdołał uciec i zagrać gnojowi na nosie. Uczucie siły czasem wręcz go paraliżowało, czuł w sobie moc, o jakiej nigdy wcześniej nie śmiał marzyć, pewność, jakiej nie doświadczył przez całe swoje życie. Tydzień w tej zatechłej piwnicy ociosał go i wydobyl potencjał, o którym do tej pory nie miał pojęcia. I cholernie mu się to podobało.

— Krzychu, nie mogę tu beczynn timer siedzieć...

Legionista spojrział mu w oczy, nie pierwszy raz widział taką metamorfozę. Znał przynajmniej kilkunastu byłych więźniów ISIS i większość z nich, czy to żołnierzy, czy zwykłych cywilów, po takich ekstremalnych przeżyciach przechodziła radykalną ewolucję. Egzystencja ze złem w najczystszej postaci słabych najczęściej doprowadzało do kompletnej ruiny, silnym wyostrzało psychikę do maksimum, utwardzając

charakter i hartując osobowość. Monika i Michał szczęśliwie należeli do tej drugiej grupy. Nie pomylił się co do szwagra.

— Słuchaj, stary, wiem, że nie brakuje ci odwagi, ale tu nie o to chodzi. Abi Rabi'a dysponuje teraz całym pieprzonym aparatem państwowym, a do tego jest potężnie wkurwiony, bo fakt, że zdołaliśmy mu cię odbić wprost sprzed nosa, a dodatkowo wciąż mamy jego syna, w tej kulturze sprowadza na niego nieopisaną hańbę. Zrobi wszystko, aby nas dopaść, a teraz ma do pomocy tysiące ludzi, zapewne zdołał już rozesłać szpiegów do każdego niemieckiego miasta, może nawet wsi. Sądzę, że penetruje także Zieloną Górę i okolice i choć w obecnych warunkach ma tu bardzo utrudnione zadanie, jestem przekonany, że nie odpuści. Wiesz, co spotkało rodziców Kuby i rozumiesz, że nie mogą zostawić Moniki samej?

Michał odetchnął głęboko i pokiwał głową. Pamiętał, gdy Krzysiek przekazał mu tę straszną wiadomość. Dopiero co dochodził do siebie, był przytłumiony masą silnych środków przeciwbólowych, ale myślał trzeźwo. Podczas jednego ze spotkań zapytał, czy nie byłoby właściwe poinformować rodziców przyjaciela o tym, że ich syn zaginął w Berlinie. Odpowiedź szwagra runęła na niego niczym wyburzany wieżowiec. To był szok.

Legionista kontynuował:

— Nie wiemy też, jak na ten komunikat zareagują polskie władze, przecież to potwarz dla naszego rządu. Weź pod uwagę, że pewnie jeszcze dziś sprawa trafi do mediów i rozpęta kolejne piekło. A służby? Jestem przekonany, że już w tej chwili szukają Kuby i próbują jakoś to wszystko powiązać. Nie wątpię też, że prędzej czy później dotrą i tutaj, więc musisz być przygotowany na takie spotkanie.

Michał chwycił kubek z przestygniętą kawą i jednym haustem opróżnił go.

— No, o tym nie pomyślałem, szczerze mówiąc...

— W końcu wciąż nie wiemy, gdzie jest Kuba. Dwukrotnie próbowałem go namierzyć, ostatnio tydzień temu. I nic. A na ulicach warunki robią się coraz trudniejsze, prawie na każdym rogu widać patrole milicji, ludzie są zastraszeni, nigdy nie wiesz, czy nie zwrócisz czyjejś uwagi. Bywałem już w takich miejscach i wiem, jak się tam poruszać. Stary, uwierz, że jednej osobie będzie łatwiej przeniknąć do centrum. I zaufaj mi, znam się na tej robocie. Jeśli tam jest, znajdę go. — Figur mocno zaakcentował ostatnie zdanie i poklepał szwagra po ramieniu. — Znajdę go, choćbym miał przeryć każdą zatechłą dziurę w tym cholernym mieście — dodał zadziornie. — A teraz włącz ten filmik jeszcze raz. Może coś przegapiliśmy.

Słuchali nagrania jeszcze trzykrotnie. Było przygotowane w sposób dość

amatorski, ale bardzo treściwy. Jakiś młody mężczyzna z bujną brodą najpierw wyrecytował szahadę, a następnie ostrzegł przed groźnym terrorystą, Jakubem Krystianem Polakiem, który był poszukiwany za wielokrotne morderstwo na ludności muzułmańskiej. Na ekranie pojawiło się zdjęcie Kuby z paszportu, a narrator zapoznał widzów z krótką charakterystyką poszukiwanego: wzrostem, budową ciała, kolorem oczu i włosów oraz znakami szczególnymi, z których na pierwszy plan wysuwała się świeża i dobrze widoczna blizna na gardle. Mówił w języku arabskim, a poniżej wyświetlano tłumaczenie w trzech innych: tureckim, niemieckim i angielskim. Ostrzegł, że terrorysta może być niebezpieczny i mieć współników, następnie zaoferował pięćdziesiąt tysięcy euro za informację pomocną w jego odnalezieniu, na którą gwarancję dał sam naczelny dowódca tajnej milicji, Muhammad Chalil Abi Rabi'a, który pojawił się na nagraniu na sam koniec, jakby potwierdzając prawdziwość słów młodego aparatczyka.

— Nie mogę patrzeć na pysk tego sukinsyna — warknął Michał, nie przestając stukać czterema pozostałymi palcami o stół. — Jak to możliwe, że ten popier...

— Nie nakręcaj się — skarcił go Krzysiek. — Skup się na tym, że w końcu ruszyliśmy do przodu. Kuba żyje i to jest najważniejsze.

— No OK. — Michał zaszepił się nieco. — To jaki masz plan?

— Jeszcze dziś w nocy wyjeżdżam. Zadzwoń do Matiego, żeby przywiózł jeepa, a każdy niech sprawdza mejle, wszelakie komunikatory i zawsze ma włączoną komórkę. Może Kuba będzie próbował się z nami jakoś skontaktować.

— A co ja mam robić?

— Opiekuj się Moniką. Ona cię potrzebuje.

— Tylko tyle? Nie pomagasz mi w...

— To aż tyle, Michał. — Ton legionisty nabrał mocniejszego wyrazu.

— Wiesz, co przeszła...

— Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało i...

— Rozumiem, po prostu przy niej bądź.

— O to nie musisz się martwić.

— Nie wątpię, bracie.

Michał raz jeszcze spojrział na ekran laptopa, na którym wciąż migał ostatni złapany kadr z obliczem człowieka, którego każdej nocy kroił w myślach w talarki, w czasie gdy czterech opłaconych zwyrodnialców dymało go w dupę.

— Nie mogę patrzeć na mordę tego sukinsyna — mruknął i podniósł się

z krzesła.

— Już ci mówiłem, nie nakręcaj się. To ci w niczym nie pomoże.

Michał podszedł do szuflady i wyciągnął z wnętrza swój ostatni zakup. Pomiedzy palcami błysnęła częściowo ząbkowana głownia z wysokowęglowej stali.

— Odebrałem go wczoraj — rzekł, prezentując sporych rozmiarów wojskowy nóż. — Zatrzymam go na specjalną okazję.

Krzysiek wyciągnął rękę i przejął ostrze, zważył je i omiół wzrokiem każdy centymetr żołnierskiego majchra.

— Dobry nóż, bardzo dobry nóż — skomentował. — Amerykański Ka-Bar, wzorowany na starym MK II, kultowym modelu wykorzystywanym przez amerykańskich marines jeszcze w czasie drugiej wojny światowej. Stała klinga, stalowa głowica, dość ciężki i surowy w obyciu, ale uniwersalny i niezastąpiony w walce. Dbaj o niego.

— Będę — mruknął Michał, odbierając broń z powrotem. — Kiedyś wbiję go w bebechy tego Araba i wypatroszę go jak świnię. Za to, co zrobił Monice i nam wszystkim.

— Ustaw się w kolejce — rzucił za jego plecami szwagier, po czym chwycił kurtkę i skierował się do wyjścia. — Idę załatwić kilka tematów przed wyjazdem. Wracając, odbiorę z treningu Monikę i Amira.

— OK.

— I bądź dobrej myśli. Kuba żyje!

To rzekłszy, opuścił mieszkanie i zostawił go samego. Michał stał przez chwilę, obserwując, jak szwagier kieruje się do starej vectry, którą z musu kupił tydzień temu za niecałe cztery tysiące złotych. Za oknem znów padało, a bezlistne konary uginały się pod naporem wiatru. Położył się na łóżku i zaczął obracać nóż w dłoniach. Spojrzał na kikut po odciętym palcu, strup powoli odchodził i rana się zablizniała.

Zamknął powieki. Oczami wyobraźni widział, jak znów staje naprzeciwko swojego oprawcy, tym razem w innej roli, spętanego jak dziki zwierz, taplającego się we własnym moczu i fekaljach, z przewodami rozruchowymi podłączonymi do jąder i pianą na ustach. Obrócił ostrze w dłoniach.

„Boże, daj mi szansę” — pomyślał i zatopił się w morderczych fantazjach, karmiąc to, co powoli rosło w jego ciele i umyśle. Coś, co powoli dojrzewało w ciałach i umysłach milionów, aby wkrótce wybuchnąć z pełną mocą, uwalniając na świat głęboko skrywane bestie. Pierwotne i złe. Potwory, które już wkrótce miały wyruszyć na wieczne łowy.

Niewierny

28 listopada 2033 roku, środkowa Francja

Czy istnieją granice okrucieństwa?

Widziałem już wiele, sam zabijałem na dziesiątki sposobów, nie szczczędając ofiarom bólu i cierpienia. Mordowałem bez emocji, na zimno, podryzając gardła i strzelając w głowę. Torturowałem, aby wyciągnąć informacje, obcinałem palce, uszy i nosy, wylupiałem oczy, przypiekałem żywym ogniem. Cóż, przyznaję się bez bicia — kawał ze mnie bezwzględny skurwysyna.

Ale to...

Leżę w podręcznym hamaku rozpiętym pomiędzy martwymi kikutami starych drzew. Patrzę w czarne niebo bez gwiazd i nadziei. Szczelny całun z chmur i pyłów rozciąga się po horyzont, przygniata nas ciężarem niecných uczynków, powietrze wypełnia smród zgnilizny, który przywiódł nas w to przeklęte miejsce.

I szlak trupów.

Dolina, kiedyś wypełniona wodami malowniczego jeziora, wtłoczonego w gęsty i zielony las, dziś cmentarzysko drobnych szkieletów, niemych świadków ludzkiego bestialstwa. Setki tysięcy zbiałych kości, lśniących w świetle naszych latarek, niczym góra zrodzona ze schyłku wszelakiego życia, udręczone, niewinne, wołające o sprawiedliwość, która nigdy nie nadejdzie. Suche jak wiór, trzaskają pod stopami, stukoczą, staczając się strącone gdzieś w czarną nicość. Nad głowami skrzek ptaszysk, sytych po latach niekończącej się uczyty, dziś rozdziobujących ludzkie poszycie w nadziei na resztki zachowanego szpiku. Wściekle, że ktoś śmie zakłócać ich codzienny rytuał, czarne oczy wbite w nieproszonych gości — puste, bez jaźni, dzikie i głodne.

W środku szczury, wielkie jak koty, bez strachu przed nieproszonymi gośćmi. Czerwone ślepia, zgrzyt zębów, pisk piłujący bębenki niczym drapanie kredą po tablicy. Krążą w tym ponurym człowieczym górotworze, ryją tunele niczym krety w ziemi w poszukiwaniu dorodnej larwy. Wolę nie myśleć, co kryje się na

samym dniu. Tam wciąż może trwać uczta. Jak w komnatach jakiegoś zamczyska z ludzkich kości w ponurej baśni chorego na umyśle artysty.

Siedlisko zła.

Kto to uczynił? Kto zamordował tysiące niewinnych matek i dzieci?

Stary pień, zatruty, martwy, kora odpada. Na spróchniałych płatach wryta historia bestialstwa. Imiona, wzory i liczby. Liczby śmierci. Wiemy, kto tu był, wiemy, kto je wydrążył. Imiona uczestników nie pozostawiają wątpliwości.

Słynny szósty batalion JEGO siepaczy. Skórzane twarze. Czyste zło. Mordercy, gwałciciele, rzeźnicy z piekła rodem. Najgorsi z najgorszych.

Imię, konkurencja, liczba punktów.

Konkurencja...

Skurwysyny!

Zapędzili tysiące niewinnych i zrobili sobie zawody. Na oczach matek. Miecze, bagnety, noże. Dla zaspokojenia chorej satysfakcji i głodu własnych, wiecznie nienasyconych bestii.

Trudno mi zasnąć. Gdy tylko zamykam powieki, przed oczami pojawiają się te wszystkie potworności. Widzę zagubione i zdezorientowane twarze dzieci, skołowane i przerażone, bo matki i ojcowie powtarzali, że prawdziwe potwory istnieją tylko w bajkach. Widzę krzyczące niemowlęta, rozdzierane, rozrywane, nabijane na bagnety demonów, na oczach oszalałych ze zgryzoty matek, spętanych, próbujących przegryźć własne żyły, aby nie patrzeć na cierpienie swoich synów i córek. Zmuszanych do oglądania koszmaru koszmarów, aby w końcu trafić w łapska oprawców swoich dzieci.

Czuję, jak wzbiera we mnie gniew. Wszyscy przeznaczeni na rzeź. Dla zabawy. Diabłów w ludzkiej skórze. Dawno nie czułem takich emocji, zazwyczaj śmierć nie porusza mnie ani trochę. Może moja dusza jeszcze całkiem nie zgniła? Może moje serce jeszcze nie jest całkiem czarne? No bo jeśli ja jestem potworem, to kim są ci, co zrobili sobie zawody w mordowaniu niewinnych kobiet i dzieci?

Chory świat. Słońce już dawno powinno zgasnąć i nie tracić życiodajnej energii na tę szkaradną planetę. Skorupę, która wydała na świat nasz plugawy gatunek.

Jest zimno, idą chłody. Wkrótce spadnie śnieg. Otulam się kocem pod szyję, ale wiem, że dziś już nic nie sprawi, że zdołam zasnąć.

Czytać też nie jestem w stanie. Te obrazy posiadały mnie i nie chcą odejść. Karmię się nimi. Na swój sposób pragnę, aby pozostały. Pozwalają mi dalej mieć cel. Aby jutro podnieść się i ruszyć śladami bestii.

Czasem myślę, że JEMU o to chodzi. Przyciąga mnie, robi to, abym znów uwierzył w JEGO słowo. Nie mogę przestać o tym myśleć. Czuję, że ON bawi się ze mną, czyta w moich myślach jak w otwartej księdze, a potem kpi i szydzi. Bo czyż nie wezwał mnie w to upiorne miejsce, abym osobiście spojrział na zapiski JEGO siepaczy, wszak w naszej drużynie tylko ja byłem w stanie je odczytać. Czy to tylko zbieg okoliczności? Wątpię. Przeczytałem, a gdy w końcu pojąłem, co oznaczają kolejne liczby, podświadomie poszukałem imienia zwycięzcy tych upiornych zawodów.

Znalazłem je szybko. Przy jego imieniu widniała liczba 666.

Przy moim imieniu.

Kuba

25 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

Musiałem się zwiijać, i to jak najszybciej. Pytanie brzmiało: jak? Wiadomość, którą przekazał mi Al-Sahili, wstrząsnęła mną tak mocno, że puściły mi dwa szwy na skroni, rana częściowo znów się rozlazła, a ja przez całą noc nie zmrużyłem oka, walcząc z bólem i tysiącem myśli, które atakowały mnie niczym alianci plażę Omaha. Bronilem się jak mogłem, ale kolejne scenariusze, które lęły się w mojej głowie, jedynie rozbudzały gniew i coraz mocniej pukający do bram umysłu strach.

Musiałem być ze sobą szczery. Teraz to ja stałem się zwierzyną, a nie posiadałem żadnych konkretnych umiejętności, aby wydostać się z obstawionego milicją Berlina, zwłaszcza że moja twarz regularnie pojawiała się w każdym z kilku milionów telewizorów, a pięćdziesiąt tysięcy euro nagrody za głowę niewiernego z pewnością podziałało na wyobraźnię wielu mieszkańców miasta. Musiałem pogodzić się z tym, że moje aktualne położenie nie prezentowało się lepiej niż sytuacja szczura zagonionego w narożnik niegdysiejszej rezydencji Violetty Villas. Próba ucieczki prawie na pewno zakończyłaby się dla mnie równie źle, jak dla tego gryzonia, wszak wystarczył jeden nienaturalny ruch czy gest na ulicy zdominowanej przez muzułmanów, by rzucili się na mnie, a następnie rozszarpali na strzępy, aby móc ubiegać się o obiecane pięćdziesiąt kawałków. Druga opcja zdawała się jeszcze mniej zachęcająca, mogli mnie przecież rozpoznać i po prostu unieszkodliwić, a następnie zaprowadzić na najbliższy posterunek, za co otrzymaliby — o tym dowiedziałem się dopiero z ust Leili, która ponownie zszyła mi ranę na skroni — kolejne pięćdziesiąt tysięcy, które Abi Rabi'a przygotował dla osobnika który przyprowadzi mnie w stanie nienaruszonym. Cóż, tyle razy w myślach opawiałem starucha na tysiące sposobów, ale dopiero teraz dotarło do mnie, że on zapewne przygotował dla mnie równie szczodry wachlarz rozwiązań. A ja nie wytrzymałbym tortur, zwłaszcza mając na uwadze, że katuje mnie człowiek, który najpierw zamordował moją ciężarną kobietę, a później bestialsko zarżnął moich rodziców. Ta wizja prześladowała mnie pół nocy, zwłaszcza gdy nagle stała się całkiem prawdopodobna.

Obudziło mnie dudnienie deszczu o parapet. Spojrzałem na stary zegar na ścianie, spałem niecałe dwie godziny. Jakoś zebrałem się z łóżka i zmusiłem się do krótkiej rozgrzewki, gdyż lewy bok wciąż rwał mnie jak jasna cholera, podobnie fragment łądzwiowy kręgosłupa, a już przedwczoraj zauważyłem, że po jakimś czasie ból słabnie i jestem w stanie jako tako poruszać się o własnych siłach. W kuchni krzątała się pani domu z Leilą, więc wydając z siebie dźwięk kaszłąco-chrzakający, mający na celu oznajmienie mojej obecności, udałem się do toalety, aby doprowadzić się do porządku. Spojrzałem w lustro. Naprzeciwko stał jakiś zarośnięty typ w starej i rozciągniętej koszulce, z worami pod oczami wielkości Zalewu Solińskiego, jedna z gałek wciąż pokryta była gęstą siateczką pękniętych żyłek i kolorem przypominała dorodną czereśnię. Na lewej skroni wyrastał gigantyczny guz, który nikł pod świeżym, choć nieco zaczerwienionym bandażem, owiniętym wokół głowy, a gdy facet w lustrze uniósł szczękę, z czarnego zarostu wyłoniła się długa, szarpana blizna, przecinająca szyję od ucha do ucha. Przeciągnąłem po niej palcami, następnie dotknąłem okolicy skroni. Zaboląło, mimo to spróbowałem lekko odsunąć bandaż, poniżej którego widać było pierwszych kilka szwów. Nie wyglądały na założone nieprofesjonalnie, ale wobec braku możliwości skorzystania ze specjalnych nici chirurgicznych moja „pielęgniarka” skorzystała ze zwykłej czarnej do szycia na maszynie czy jakiegoś cholernego szydełkowania, przez co mój łeb bardziej przypominał teraz piłkę do futbolu amerykańskiego niż głowę osobnika z gatunku homo sapiens. Nie mogłem jednak narzekać, Leila połatała mnie całkiem przyzwoicie i z pewnością tej dziewczynie zawdzięczałem życie.

Gdy już jako tako się oporządziłem, uznałem, że najwyższy czas porozmawiać z gospodarzem tegoż przybytku po raz kolejny, tym razem na spokojnie i bez emocji. Pomimo trudnej nocy zdołałem wykoncypować kilka ewentualnych scenariuszy mojej ewakuacji, niestety, każda z nich wymagała pomocy Al-Sahiliego. Wróciłem do pokoju, wolałem nie panoszyć się w cudzym domu, zwłaszcza należącym do konserwatywnego muzulmanina. Nie musiałem długo czekać i po chwili zawitała do mnie Leila, ubrana w obcisłe džinsy, zapinaną sportową bluzę adidasa i zielony hidżab, który perfekcyjnie współgrał z głębokim kolorem jej oczu. Uśmiechnęła się szeroko i zapytała, jak się czuję, bo w jej oczach prezentuję się jak sam Prorok w czasach swojej największej świetności. Przyjąłem ten liche komplement, ale nie skomentowałem. Prorok i wszystko, co z nim związane, działało na mnie jak płachta na byka, a nie chciałem w jakikolwiek sposób urazić tej pięknej i opiekuńczej dziewczyny. Starłem się udawać

zainteresowanego jej kolejnym monologiem, ale nie byłem w nastroju do dyskusji, więc gdy zbliżyła się do mnie, aby odwinąć bandaż i przyjrzeć się ranie, poprosiłem o widzenie z ojcem.

— Wyszedł z domu, ale wkrótce ma być z powrotem — oznajmiła, jakby podenerwowana. — Do tego czasu możesz w kuchni zjeść śniadanie.

— A mógłbym tutaj? Nie czuję się najlepiej...

Pomyślałem, że to nie najlepszy pomysł, aby przesiadywać z żoną gospodarza pod jego nieobecność. Choć wciąż byłem laikiem w wielu kwestiach związanych z kulturą islamu, zdawałem sobie sprawę, że kobiety konserwatywnych wyznawców mają zakaz przebywania z mężczyznami spoza rodziny sam na sam bez ich zgody. A takiej oficjalnie nie otrzymałem, bo Al-Sahili nigdy nie wspomniał o żonie w podobnym kontekście.

— Oczywiście, zaraz ci przyniosę.

Chwilę później na tacce pojawił się ichni dziwaczny chleb z oliwkami i pomidorami oraz nieodłączną oliwą, do tego mocna i słodka herbata. Skromnie, choć jak na obecne warunki i tak niezłe, Al-Sahili musiał mieć niezłe chody na mieście, aby przy braku towaru na półkach sklepowych móc zorganizować świeże warzywa.

Zacząłem jeść, a Leila przypatrywała mi się. Nic nie mówiła, tylko patrzyła, przez co zacząłem czuć się niezręcznie, a nawet głupio, bo nigdy wcześniej nie zachowywała się w ten sposób, zazwyczaj od rana pitoląc, jakby znajdowała się na babskim wieczorze. Nie miała zasłoniętej twarzy i dostrzegłem, jak zagryzła wargi, jakby w próbie powstrzymania tego, co tak pragnęło wyrwać się z jej wnętrza.

Przełknąłem kęs chleba i spojrzałem jej w oczy, wtedy Leila nagle przybliżyła się i pocałowała mnie w usta, nienachalnie, ale jednocześnie bardzo zmysłowo. Uległem tej niezwyklej dziewczynie, zupełnie zatracając się w chwili, ciesząc się ciepłem i smakiem jej pełnych warg. Trwaliśmy tak przez kilka sekund, musieliśmy wyglądać jak dzieciaki z trzeciej klasy podstawówki, które w krzakach przy szkolnym placu zabaw zdecydowały się na ten wiekopomny gest. W końcu Leila zaczęła się wycofywać i ujrzałem jej zamknięte, starannie podkreślone makijażem powieki. Otworzyła je i dwa szmaragdy zaśniły znanym mi blaskiem.

— Chcę iść z tobą, Kuba — szepnęła, czym w jednej chwili przywróciła mnie do rzeczywistości.

Wzdrygnąłem się na samą myśl, co ja tu odpierdzielał.

— Jezu... przepraszam, nie powinienem... — rzekłem, zmieszany, próbując w absurdalny sposób jakoś wykręcić się z tego, co przed chwilą zaszło. Cofnąłem się gwałtownie i odłożyłem tackę ze śniadaniem na łóżko.

Leila spojrzała na mnie nieco zdezorientowana i wyciągnęła dłoń w kierunku mojej twarzy, ale cofnąłem się jeszcze bardziej.

— Kuba... proszę... — Jej oczy zaszklily się.

— Leila, ja... przepraszam. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, ja nie chciałem, ja... — Płatałem się jak zawstydzony smarkacz, nie miałem pojęcia, co jej powiedzieć, bo i tak wszystko, co bym teraz wyartykułował, byłoby jednym wielkim kłamstwem.

Leila była śliczną młodą kobietą, miała wszystkie atrybuty, które predestynowały ją do bycia w przyszłości cudowną żoną i matką, w dodatku niemal w każdym aspekcie przypominała mi moją Nawal. Te same włosy, ten sam uśmiech, ten sam zapach. I te zabójczo zielone, zniewalające oczy! W tej chwili zapragnąłem jej najbardziej na świecie, mimo to odtrąciłem wysuniętą rękę i schowałem głowę w dłoniach.

Gdy w końcu opanowałem emocje i z powrotem uniosłem wzrok, zorientowałem się, że znów jestem sam. Nie wiem, jak Leila to zrobiła, ale rozplynęła się w powietrzu niczym ten bajkowy dżin i jedynym dowodem na to, że przed chwilą siedziała obok mnie, pozostał zapach jej perfum i ciepło jej ust.

Nie wytrzymałem. Emocje znów wzięły górę. Popłynęły łzy. Wściekłem się i w nerwach omal nie zdarłem sobie z głowy bandaża. Pomyślałem, że wciąż jestem słodki i miękki jak cukrowa wata, a świat prawdziwych mężczyzn — odległy niczym najbliższa gwiazda neutronowa.

Wtedy usłyszałem ciężkie kroki na klatce schodowej.

Leila

25 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

Czuła się okropnie. Co sobie wyobrażała? Wstyd. Chciała uciec jak najdalej, najlepiej zapaść się pod ziemię i już nigdy nie wyjść na powierzchnię. Weszła do salonu, w którym odpoczywała matka, ale zaraz go opuściła, nie chciała, aby padło na nią jakiegokolwiek podejrzenie. Choć była jedyną osobą, której ufała w stu procentach, jej reakcja na fakt, że przybysz nie jest córce całkiem obojętny, wcale nie należała do gatunku tych oczywistych. Leila na palcach wbiegła do kuchni i schowała twarz w dłoniach.

Gdy wrażenie upokorzenia sprowadziło pierwsze łzy, usłyszała zgrzyt zamka i przeciąg na karku. Tysiące pytań, fala gorąca, panika. Jeśli wcześniej czuła, że w obecności ojca ma wypisane na czole każde swoje przewinienie czy najgłębiej skrytą myśl, tak teraz miała wrażenie, że jej ciało i umysł starały się wykrzyczeć wszystko wprost. „Jestem smarkatą idiotką i zakochałam się bez wzajemności w tym chłopaku z Polski” — taki napis mogłaby wyryć sobie na środku czoła nożem kuchennym i z pewnością nie zmieniłoby to wiele, gdyby ojciec ujrzał ją w tym stanie.

Błyskawicznie wytarła rękawem bluzy załzawione oczy, ale zorientowała się, że właśnie rozmazała tusz pod powiekami i jest praktycznie stracona. Zaraz ujrzy twarz ojca, który zmierzy ją surowym spojrzeniem i odczyta z czoła wszystko, absolutnie wszyściuteńko, co jej w duszy gra. Okryje go hańbą i skaże siebie na srogą karę, kto wie, czy jeszcze kiedykolwiek będzie jej dane spotkać się z jakimkolwiek chłopakiem, nie wspominając o czymś takim jak randka. Zabroni kontynuować naukę i ograniczy wszelkie swobody, a po odbytej pokucie prędzej czy później wezwie ją i oznajmi, że została przyrzeczona obcemu mężczyźnie, najpewniej starszemu, być może posiadającemu już żonę bądź dwie, w najgorszym wypadku jednemu z tych opętanych ideologią dżihadystów, z którymi ojciec po cichu sympatyzował. Fakt, że do tej pory nie została obrzezana, przerażał ją, bo taki właśnie warunek ze strony potencjalnego, skrajnie konserwatywnego męża zdawał się niemal równie oczywisty jak to, że jutro również wszędzie słońce. Ta myśl ją prześladowała

niczym cień samego *ifryta*, najpotężniejszego i najokrutniejszego z dżinów czyhających na nieświadomych zagrożenia wędrowców kroczących przez pustynię. I przysysała się jak złośliwa i nienasycona trupim mięsem *ghula*, a następnie pożerała jej myśli, pozostawiając złowieszczą, kasandryczną pustkę.

Ileż to razy słyszała historie okaleczonych kobiet, dla których każdy dzień jest walką z dotkliwym, dławiącym bólem, spętanych wstydem, złamanych psychicznie, wtłoczonych w jarzmo codziennych obowiązków wobec rodziny, marzących o chwili wytchnienia w samotności, dziękujących Bogu za spokojny, choć najczęściej wypełniony ciężką pracą dzień i modlących się do niego, aby znów dał im siłę, gdy nadejdzie noc.

Kiedyś widziała efekty tego odrażającego obrządku na własne oczy. Popłakała się, gdy przez przypadek weszła do łazienki swojej przyjaciółki, gdy ta akurat zmieniała podpaszkę, a w zasadzie rozmiękły opatrunek, przesycony cuchnącą wonią od lat ropiejącej rany. Wyraz twarzy Rashy, której grymasu nie zapomni do końca życia, czegoś, co porównałaby do mieszanki zawstydzenia, smutku, upokorzenia i niewyobrażalnej odrazy do siebie samej, wbił się w jej umysł na stałe. I ten widok...

Nie mogła pojąć, dlaczego mężczyźni robią swoim kobietom takie rzeczy. Bo czyż między dwojgiem ludzi zmuszonych do małżeństwa, z których jedno jest brutalnie okaleczane na wniosek drugiego, skazane na życie w cierpieniu do końca swoich dni, może nawiązać się choćby nic głębszego uczucia? Miłości? Czy można kochać mężczyznę, który każdej nocy — może i nie zawsze świadomie — sprawia swojej żonie nieopisany ból, samemu pławiąc się w oparach rozkoszy? Koszmar... To nie było jej pisane. Nie mogło być...

Z przedsonka dochodziły do jej uszu odgłosy krzątania się ojca, który na całe szczęście najpierw skierował się do salonu, gdzie siedziała matka z młodszym bratem. Leila wykorzystała okazję i chyłkiem przemknęła do łazienki, po czym pospiesznie zaczęła doprowadzać do porządku rozmazany makijaż. Ściągnęła hidżab i przetarła zacieki pod oczami, następnie poprawiła cienie, przeciągnęła kredką powiekę i przypudrowała czoło i policzki. Spojrzała w lustro, a potem zamknęła powieki. Trwała tak przez kilkadziesiąt sekund, a jej myśli niespokojnie krążyły wokół najbliższej przyszłości. Była młoda, ale niegłupia i potrafiła trzeźwo spoglądać na otaczającą ją rzeczywistość. I rozumiała, że jej plany, jej życie, cały jej świat z każdym kolejnym dniem rozsypują się jak domek z kart. Ci sami ludzie, którzy kiedyś posiadli Mosul i trzymali mieszkańców w morderczym uścisku prawa szariatu, dziś wylegli na ulice i stali się wiodącą siłą

w kosmopolitycznym Berlinie, jednej ze stolic Europy Zachodniej, legendarnego raju dla wszystkich przybyszy z wiecznie skonfliktowanego Bliskiego Wschodu. Znała ich mentalność, sposób prowadzenia polityki, nienawiść do wszystkiego i wszystkich, którzy nie godzą się na ich interpretację Świętej Księgi. Pamiętała, jak przychodzili do domów w poszukiwaniu heretyków i innowierców, jak zmuszali do oglądania straszliwych egzekucji i jak z uśmiechem na ustach grali w piłkę ludzkimi głowami.

Ci ludzie byli teraz tu i powoli przejmowali władzę w mieście i całym kraju, które od zawsze były dla niej symbolem tolerancji i wolności. Wiedziała, że świat, jaki ją otacza, już wkrótce zmieni się nie do poznania, a ona straci szansę na przyszłość, o jakiej marzyła. Edukacja? Jaka edukacja? Studia medyczne? Marzenie ściętej głowy, tym razem brzmiące znacznie bardziej dosadnie i złowieszczo niż zwykle. Wszak kobieta według nich zawsze była, jest i będzie jedynie narzędziem do spełniania cielesnych rozkoszy i maszynką do rodzenia dzieci, przy okazji odkurzaczem, pralką i zmywarką, które można włączyć i wyłączyć w dowolnym momencie bez strachu, że jakiś podzespół się przepali albo zardzewieje. A jeśli dany moduł jednak nie będzie chciał pracować jak należy, nie trzeba oddawać go do drogiego specjalisty, gdyż każdy użytkownik może naprawić go w swoim warsztacie, wystarczy kij od miotły albo szorstki rzemień, które raz dwa sprawią, że zbuntowany automat wróci do pełnej sprawności.

A gdzie wolność wyboru? Miłość? Muzyka? Sport? Palicho, choćby głupie wyjście do kina?

Berlin. Raj utracony.

Otworzyła oczy i spojrzała w lustrzane odbicie. Pomyślała, że to za duża cena. Gdy podjęła ostateczną decyzję, do drzwi łazienki zaczął dobijać się ojciec.

Kuba

25 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

— Czy zatem mogę liczyć na pana pomoc? — spytałem w końcu gospodarza domu, który bez żadnych emocji wysłuchał mojego monologu.

Nie ukrywam, że trochę mnie to zmroziło i nieco straciłem wigor, bo choć cały czas starałem się zachować kamienną twarz, własna intonacja ewidentnie zdradziła moje zdenerwowanie — fakt, że jeszcze kilkadziesiąt minut temu całowałem się z jego córką, stresował mnie nie mniej niż świadomość ogólnonarodowego polowania na moją skromną osobę, jakie zarządził w kraju *Abi Rabi'a*. Wkurzyłem się, wiedziałem przecież, że dla konserwatywnych muzułmanów wewnętrzna siła i pewność siebie są jednymi z najważniejszych wyznaczników specyficznie pojmowanej męskości. Pozostała improwizacja, ale, o dziwo, gospodarz nie dał nic po sobie poznać, więcej, dość solidnie mnie zaskoczył.

— Proszę bardzo — rzekł i wyłożył na stół elegancki smartfon Samsunga. — Należy do pana.

Chwyciłem go łapczywie, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszę.

— Byłem przekonany, że...

— Owszem, to prawda. Sieć telefonii komórkowej oraz internet są odłączone, a w zasadzie przejęte, ale moja córka nie wie wszystkiego. W pewnych miejscach sygnał jeszcze łapie i prawdopodobnie miną tygodnie, jeśli nie miesiące, zanim nowa władza na dobre przejmie kontrolę nad sferą komunikacji. Wie pan... ludzie potrafią sobie radzić.

Al-Sahili obserwował, jak dotykam ekranu, z pewnością dostrzegł mój srogi zawód, bo upił łyk herbaty i kontynuował:

— Tutaj nie złapie pan zasięgu, ale znam kilka miejsc, w których przy dobrych warunkach atmosferycznych jest szansa na nawiązanie połączenia telefonicznego i internetowego. Wszystko już zaplanowałem.

Gospodarz mówił powoli, prostym językiem, z wyraźnym bliskowschodnim akcentem, często nie stosując odmiany czy mieszając szyk zdania. Nie przeszkadzało mi to jednak ani trochę, nawet pomagało przyswoić kolejne informacje bez zbędnych ozdobników. Ostatnimi słowami znów mnie zastrześlił, nie byłem przygotowany na takie okoliczności, przez

co zapewne nie prezentowałem się jak facet, który panuje nad sytuacją. Byłem na tyle zaskoczony, że kompletnie mnie zatkało i zdołałem wydusić z siebie jedynie żalosne „yhy”, dając do zrozumienia rozmówcy, aby kontynuował.

— Wywiozę pana na granicę miasta, na samo południe Neukölln, aż pod lotnisko Schönefeld. Zorganizowałem już dla pana burkę, którą pan włoży na czas podróży i w razie kontroli będzie milczał jak grób. Czy to jasne?

— Mam włożyć burkę? — Dopiero po chwili zorientowałem się, że mój ton ocierał się o drwinę, za co natychmiast skarciłem się w myślach; moja ignorancja naprawdę nie znała żadnych granic...

— Czy to dla pana jakiś problem?

— Nie, skądże. Przepraszam, nie chci...

— A więc pojedziemy na granicę miasta i tam pan wysiądzie. Wtedy się pożegnamy. Wokół lotniska sygnał jest stosunkowo silny, zresztą podobnie jak wokół innych, które wciąż funkcjonują. Nie wiem, nie znam się na tym, ale podobno niedobitki poprzedników i ogólnie ludzie nieliczący z obecną władzą, wykorzystują w jakiś sposób te radary, anteny satelitarne i inne zaawansowane technologicznie systemy, a rządzący nie są w stanie nic z tym zrobić. Przynajmniej dopóki chcą, aby samoloty wciąż mogły startować i lądować bezpiecznie. W każdym razie tam powinien pan złapać sygnał bez większych problemów.

Spróbowałem to sobie jakoś wyobrazić, ale mój umysł nie mógł wykrzesać w sobie podobnej projekcji. Owszem, znałem tamte okolice dość dobrze, gdyż w przeszłości wielokrotnie korzystałem z lotniska Schönefeld, ale po pierwsze, zawsze poruszałem się samochodem, po drugie, nie miałem głowy jak rozkwaszona dynia, a po trzecie, nie byłem wrogiem publicznym numer jeden, na którego polował co drugi, jeśli nie każdy, mieszkaniec tego cholernego miasta.

Pomyślałem, że taką pomoc to może sobie w dupę wsadzić, ale chwilę później otrzeźwiałem, w końcu facet od tygodni ukrywał mnie pod swoim dachem, ryzykując życie swoje i rodziny. Mógł mnie wydać, zgarnąć równe sto tysięcy i w glorii chwały stać się jednym z bohaterów islamskiej rewolucji. Tymczasem traktował mnie prawie jak członka rodziny. Musiałem zaakceptować postawione warunki i grzecznie za nie podziękować.

— Jest pan dobrym człowiekiem — rzekłem bez głębszego zastanowienia; zdanie to nasunęło mi się tak jakoś samoistnie, jakby miało stać się bardziej wyrafinowanym substytutem słowa „dziękuję”.

Al-Sahili kiwnął głową na znak, że przyjmuje podziękowania. Upił łyk

herbaty i rozsiadł się wygodniej w fotelu.

— Czy poza Berlinem jest bezpiecznie? — spytałem.

— Zależy z czyich ust pada takie pytanie. W Niemieckiej Republice Islamskiej jest pan teraz *kafirem*, czyli niewiernym. A dla innowierców nastały trudne czasy. Wiem to, bo znam tych ludzi, widziałem, jak traktują wyznawców innych religii. I bez względu na to, jaki jest mój stosunek do nowej władzy, prędzej czy później narzuci ona swoją retorykę wszystkim obywatelom i każdy muzułmanin przyjmie ją jako jedyną i absolutnie oczywistą. A to oznacza, że dla żadnego z niewiernych nie będzie tu bezpiecznie. Ani w mieście, ani poza nim.

Poczułem, jak zaczyna wzbierać we mnie gniew. Mężczyzna przede mną nosił w sobie tyle sprzeczności, że wystarczyłoby na małą plemienną wojenkę. Mimo to zdawał się człowiekiem inteligentnym, rodzinnym, a nade wszystko prawym, przecież gdyby było inaczej, moja zatknięta na bramie głowa zapewne już od dawna witałaby wszystkich potencjalnych gości Bundestagu, a przynajmniej gości rezydencji *Abi Rabi'i*. Nie byłem w stanie rozgryźć *Al-Sahiliego*, o zrozumieniu jego priorytetów nawet nie wspominając. To pytanie zadać jednak musiałem:

— Pan naprawdę w to wierzy?

Al-Sahili zmarszczył krzaczaste brwi, wyraźnie nie spodobało mu się to pytanie. Upił łyk herbaty.

— Wierzę w Miłościwego Allaha i jego Proroka oraz w Świętą Księgę. A pan w co wierzy?

Nie powiem, żeby ta odpowiedź mnie usatysfakcjonowała, tym bardziej że kontra była zabójcza. Wiedziałem, jaki stosunek mają muzułmanie do ateistów, a za takiego się właśnie uważałem. Nie dane mi było jednak długo szukać odpowiedzi, przyszła sama, gdzieś z wnętrza, z najgłębszych czeluści mojego jestestwa, napierała z siłą, której nie byłem w stanie zatrzymać, obezwładniła mnie i przejęła we władanie. Uniosłem głowę i wskazałem palcem na bliznę na szyi.

— Wierzę w to. — Przeciągnąłem palcem po gardle, eksponując wydatną szramę. — I w to, że *Abi Rabi'a* zamordował moją ciężarną kobietę, swoją rodzoną córkę, oblewając ją kwasem tylko dlatego, że chciała żyć normalnie. I w to, że zmusił swojego dziesięcioletniego syna, aby poderznął mi gardło. I w to, że wielokrotnie bestialsko zgwałcił moją przyjaciółkę. I w to, że zrobił z niej niewolnicę, którą chciał sprzedać jak świnie czy worek ziemniaków. I w to, że przysłał do mojego domu zabójców i kazał patrzeć ojcu, jak jego zwyrodnialcy gwałcą moją matkę, a potem obcinają jej głowę. I w to, że...

— Świat nigdy nie był sprawied...

— Wierzę też w to, że kiedyś zapierdolę go jak psa — rzekłem, nie dając dokończyć gospodarzowi i choć z pewnością było to cholernie niegrzeczne w domu konserwatywnego wyznawcy Allaha, Al-Sahili nie uniósł się honorem, nie dostrzegłem na jego twarzy nawet najmniejszego grymasu sugerującego rozdrażnienie czy wzbierający gniew.

— Mamy takie powiedzenie: „Zanim zdecydujesz się na jakiś krok, sprawdź, czy posiadasz nogi” — odrzekł gospodarz po krótkiej chwili namysłu. — Niech pan to przemyśli, zanim podejmie pan jakiegokolwiek działania.

— Pan nic nie rozumie... — Zwiesiłem głowę i zamknąłem oczy. — Pan naprawdę akceptuje to, co robi Abi Rabi'a i jego ludzie? To bandyci, mordercy, rzeźnicy.

— Nikt nie jest idealny, ale Księga mówi jasno: „Zwalczajcie tych, którzy nie wierzą w Boga i w Dzień Ostatni, którzy nie zakazują tego, co zakazał Bóg i Jego Posłaniec, i nie poddają się religii prawdy — spośród tych, którym została dana Księga — dopóki oni nie zapłacą daniny własną ręką i nie zostaną upokorzeni”^[10]. To chyba dla pana jasny przekaz...

Al-Sahili najpierw zacytował Koran w ojczystym języku, dopiero później przełożył na angielski, dzięki czemu miałem chwilę, aby opanować nerwy. Arabski działał na mnie jak płachta na byka, przekaz rozjuszył mnie jeszcze bardziej, mimo to jakimś cudem zachowałem kontrolę. Wkroczyłem jednak na bardzo niebezpieczny grunt, zwłaszcza że to gospodarz miał w ręku wszystkie asy. Miałem już jednak pewne doświadczenie w dyskusjach na temat islamu, choćby z Hamzą czy jego ziomkami, jeszcze z okresu sielskiego życia na La Mandze, mogłem się zatem spodziewać konkretnych reakcji mojego rozmówcy. Nie mogłem być przesadnie nachalny, tym bardziej agresywny, kąśliwa, ale stosunkowa neutralna kontra była jednak w moim zasięgu.

— Skoro wierzy pan w to, co jest napisane w Świętej Księdze, to dlaczego przyjął pan pod dach „niewiernego”? — To było dość ryzykowne, ale wiedziałem, że Al-Sahili jest człowiekiem honoru i jedynie jakaś niewiarygodnie paskudna zniewaga mogłaby ściągnąć z niego brzemię długu, jaki nosił wobec mnie.

Nie musiałem długo czekać na odpowiedź.

— „A jeśli ktoś z bałwochwalców poszukuje u ciebie schronienia, to daj mu schronienie, tak by mógł usłyszeć słowo Boga, a następnie doprowadź go do miejsca bezpiecznego. Tak się stanie, ponieważ to są ludzie, którzy nie

wiedzą”[\[11\]](#).

Coś gnało mnie na krawędź urwiska, ale musiałem poznać odpowiedź na kolejne pytanie.

— Czy posłużyłby się pan tym wersetem, gdybym nie uratował pana syna?

Al-Sahili spojrział na mnie bez większych emocji, patrzył na mnie, jakby mnie oceniał, wzrokiem potencjalnego klienta media marktu, który nie wie, czy zdecydować się na telewizor Sony czy może Samsung. W końcu chwycił ze stołu filiżankę z herbatą i upił kolejny łyk. Odstawił ją niemal z namaszczeniem na drewniany blat, zupełnie bezgłośnie.

— Nie. Gdyby nie pana czyn, *dżazaka’llahu chajran*[\[12\]](#), na pewno nie zostałyby pan gościem w moim domu i wydałbym pana bez chwili wahania.

Powiedział to w tak normalny sposób, że aż poczułem się na swój sposób dotknięty. Zupełnie bez emocji, nie intonując żadnego fragmentu swojej wypowiedzi bardziej niż wymagał tego suchy przekaz. To było na swój sposób obrzydliwe i zarazem przerażające. Jakby nie miał serca albo, jeszcze gorzej, jakby nie miał duszy. Gdy tak na mnie patrzył, zrozumiałem, że ten facet jest kompletnie zindoktrynowany. Pomimo jakiegoś kręgosłupa moralnego, który niewątpliwie posiadał, był opętany tą chorą ideologią nie mniej niż Abi Rabi’a i większość tych wszystkich porąbanych radykałów. Może i kochał swoją rodzinę, pewnie byłby w stanie oddać za nich życie, może nawet na swój sposób był dobrym człowiekiem, ale gdyby w czasie konfliktu otrzymał rozkaz zabijania niewiernych, byłem niemal pewien, że ruszyłyby do boju w pierwszej linii i nie miałyby żadnych hamulców. Jak Hamza. I wielu, wielu innych.

Postanowiłem zakończyć ten wątek, dalsze ciągnięcie tematu nie miało sensu, a mógłbym jedynie pogorszyć swoją i tak już raczej kiepską sytuację. Dyskusja z radykalnym muzułmaninem mijała się z celem i to był problem, którego nie byli w stanie pojąć europejscy dygnitarze, podejmujący decyzje o wpuszczaniu do Europy milionów wyznawców Allaha, błąd, do którego do tej pory nie chcieli się przyznać. Nieudolne i tak naprawdę od początku skazane na porażkę próby ich integracji z rdzennymi mieszkańcami Europy musiały zakończyć się fiaskiem. Ich umysły były już zbyt zatrute szaloną ideologią, zbyt zdegenerowane, otepiałe, apatyczne, odporne na jakiegokolwiek argumenty, a co najgorsze — totalnie uległe wobec kazań obłąkanych imamów, którzy ubzdurali sobie, że islam zapanuje nad całym światem. Ci ludzie już nie myśleli, ich mózgi były wyprane nie mniej niż Koreańczyków z Północy, którzy byli przekonani, że ich drużyna piłkarska

regularnie zdobywa mistrzostwo świata. Samodzielność, suwerenność, wolność i niepodległość własnego „ja” zostały kompletnie zutylizowane. Totalna uległość. Kompletny brak własnej woli. Jak zombie...

— Myślę, że powinien pan przygotować się do podróży. — Głos Al-Sahiliego wyrwał mnie z chwilowej zadumy nad niewyobrażalną potęgą islamu.

Spojrzałem w jego hebanowe oczy, ukryte głęboko w czeluściach zacienionych oczodołów. Błyszczały jak dwa krwawe diamenty w ciemnej toni jakiegoś tajemniczego górskiego jeziora.

Wtedy doznałem olśnienia. Ta myśl runęła na mnie jak wodospad Salto Angel. Z całą mocą dotarła do mnie ta wielka tajemnica wiary... Islam to nie była religia, to nie był system polityczny, a nawet ideologia. Islam krył się pod tymi pojęciami, ale był też czymś o wiele, wiele potężniejszym... Wyobraźcie sobie nicość, a teraz jej przeciwieństwo. Tym właśnie dla tych ludzi był islam. Wszystkim.

Monika

Z PAMIĘTNIKA PORUCZNIK MONIKI FIGURSKIEJ, PSEUDONIM „GHULA”

26 września 2023 roku, Zielona Góra, Polska

Tego dnia rano Amir wyprowadził mnie z równowagi.

Starałam się zrozumieć fakt, że od najmłodszych lat był indoktrynowany przez ohydneho ojca, ale w tej jednej kwestii zaczęłam tracić cierpliwość.

Szynka.

Od kiedy pamiętam, uwielbiałam wieprzowinę pod różnymi postaciami, poczynając od schabowego, przez mielone, gołąbki, rolady, pasztety, pieczenie, kielbasy, boczek czy zwykłą szynkę, którą z lubością pochłaniałam na chrupiącym pieczywie. Starałam się urozmaicać mój jadłospis, ale „świnka” od zawsze była jego nieodłącznym składnikiem i nawet jeśli według specjalistów od żywienia ten rodzaj mięsa nie należał do najbardziej wykwinnych, a tym bardziej zdrowych, nie przywiązywałam do tego specjalnej wagi, gdyż mój organizm wchłaniał wszystko, co skonsumowałam, zanim jeszcze zdążyło „wejść mi w tyłek”. Taki miałam metabolizm i wcale z tego powodu nie narzekałam, ba, większość moich koleżanek bardzo mi tej rzadkiej u kobiet cechy zazdrościło. Niestety, od czasu, gdy w moim życiu na dobre zadomowił się Amir, który na widok kawałka schabu reagował jak diabeł na święconą wodę, moja „świnka” poszła w odstawkę. Postanowiłam to zmienić.

Tego wtorkowego poranka, gdy Amir po raz kolejny zrobił gigantyczną awanturę, widząc, jak spożywam kanapkę z szynką, po raz pierwszy solidnie go skarciłam i o mało nie dostał w dupę. Byłam wyjątkowo podenerwowana faktem, że Krzysztof po raz kolejny pojechał do Niemiec, dodatkowo w telewizji rozpętało się prawdziwe piekło, gdy wyszło na jaw, że Kuba, ofiara tego strasznego mordy, którego na rodzicach naszego przyjaciela dokonali jacyś bezimienni

islamscy zwyrodnialcy, został przez nową władzę w Niemczech uznany za terrorystę. Polskie media podchwyciły wątek i trąbiono o tym na każdym kanale, w związku z tym nie trzeba było długo czekać, aż tematem zajmą się również politycy. Wycierali sobie mordę wizerunkiem Kuby, dyskutowali, jakie to reakcje powinien podjąć rząd i prezydent i jakie cała ta sytuacja spowoduje konsekwencje. Nie mogłam tego słuchać, zwłaszcza że Michał śledził transmisję, jakby ktoś przyspawał go do fotela. Pomijając nasze relacje, które wciąż pozostawiały wiele do życzenia (tu przyznam się bez bicia, że głównie z mojej winy, gdyż wciąż nie mogłam przełamać się, aby nawiązać z moim mężczyzną bardziej intymną relację), jego stała obecność nie tylko stresowała mnie, ale przede wszystkim Amira, nie wspominając już o fakcie, że twarz jego odrażającego ojca raz za razem błyskała na ekranie, jako człowieka odpowiedzialnego za wyznaczenie nagrody za Kubę. Z oczywistych względów nie chciałam, aby młody go ujrzał, bo to mogło jedynie spowodować nasilenie zachowań, których za wszelką cenę chciałam uniknąć.

Dlatego, gdy Amir znów powiedział do mnie, dodam, że po polsku, „jesteś brudna i świnia w piekle”, nie wytrzymałam i nakrzyczałam na niego, a następnie rozkazałam iść do swojego pokoju. Michał oczywiście dorzucił swoje trzy grosze, komentując zaistniałą sytuację w sposób typowy dla faceta, stwierdzając: „Niepotrzebnie się z nim tak cackasz i w ogóle nie rozumiem, jak długo jeszcze...” — tego wątku nie będę rozwijać. Rozumiejąc, że nie pała do niego przesadną sympatią, starałam się nie być zbyt szorstka, ale oczywiście znów się posprzeczałyśmy. Na odchodne rzucił jednak tekst, który okazał się strzałem w dziesiątkę.

— Weź go zabierz do ciotki Marylki i wytarzaj w chlewie — powiedział. — Może jak go Allah piorunem nie strzeli, to gówniarz zrozumie, że to jedna wielka bzdura.

Z tym chlewem przesadził, ale pomysł nawet mi się spodobał. Zdecydowałam, że pojedziemy do pobliskiego Czerwieńska, aby Amir zobaczył świnie na żywo i w końcu przełamał swoją niechęć do tego całkiem sympatycznego zwierzaka. Co prawda ciotki Marylki nie trawiłam, bo była chytra i łasa na pieniądze, co objawiło się zwłaszcza po śmierci moich rodziców (nie wnikając w szczegóły, zaproponowała, że zajmie się naszym wychowaniem, co miało być związane z dysponowaniem spadkiem, ale z racji tego, że sama mieszkała w warunkach urągających wychowaniu dzieci, dodatkowo

z mężem alkoholikiem o ręce ciężkiej jak młot do wbijania nitów kolejowych, sąd wziął pod uwagę nasze zdanie i trafiliśmy do rodziny zastępczej, w której Krzysztof, jako kilkunastoletni już chłopak, trzymał nade mną pieczę aż do osiągnięcia pełnoletności), zdecydowałam się do niej zadzwonić. Pomyślałam, że wizyta na wsi pomoże nam oderwać się od ciągłych myśli o Krzysztofie i Kubie oraz całej tej medialnej otoczce, jaka się wokół tego wytworzyła, a przy okazji raz na zawsze załatwi temat chorobliwej nienawiści Amira do wieprzowiny.

Michał nie był pomysłem zachwycony, ale wziął to na klatę, wszak sam zaproponował takie, a nie inne rozwiązanie. Ciotka bardzo się ucieszyła, że wpadniemy z wizytą, nie widziała mnie od lat, a poza tym dziś była już samotną starszą kobietą, gdyż wujek Janusz przed kilkoma laty zmarł na raka mózgu, a starsze kuzynostwo wyprowadziło się z domu zaraz po osiągnięciu pełnoletności.

Na miejsce przyjechaliśmy około południa. Ciotka przywitała nas przygarbiona, na głowie miała chustę, jaka kojarzyła mi się ze wszystkimi starymi kobietami mieszkającymi na wsiach, jej twarz była poorana zmarszczkami i bardzo wychudzona, wystające kości i zapadnięte policzki sugerowały, że najwyraźniej jej się nie przelewa. Okropnie się postarzała, wyglądała na schorowaną i pomyślałam, że zapewne nie poznałabym jej na ulicy, gdybym przypadkiem trafiła na nią, na przykład przechodząc przez pasy. Ciężkie życie odcisnęło na niej swoje piętno, ale nie poczuwałam się do tego, aby jej żałować, zresztą w tamtym czasie jakakolwiek empatia wobec obcych mi ludzi (a ciotka była mi właściwie osobą zupełnie obcą) przychodziła mi dużo trudniej niż kiedyś. Gdzieś w moim wnętrzu wybrzmiała jakaś cienka nutka dopiero w momencie, gdy jej szare, anemiczne tęczołki rozbłyły szczerą radością, ale wrażenie zanikło równie szybko, jak się pojawiło, gdy ciotka szeroko się uśmiechnęła i pokazała szereg pożółkłych zębów z masą ubytków, które jak żywo przypominały mi paszcze moich oprawców.

Udając, że „nie musiałam”, przyjęła dwie siatki zakupów, jakie na szybko zrobiłam przed przyjazdem, gdyż prosząc przez telefon o kupienie koperku i marchewki, wyczułam, że ciotka cienko przędzie, więc dołożyłam ziemniaki, trochę makaronów, warzyw, serów i innych podstawowych artykułów spożywczych. Jaka by Marylka nie była, gotować potrafiła, więc ugościła nas po królewsku, rosółem, który zjedliśmy w kuchni, a raczej pomieszczeniu, które nazwałabym

kuchenną izbą. Stary dom powoli chylił się ku upadkowi, wszędzie odchodził tynk, przeciekał dach, ściany w wielu miejscach pokrywał grzyb, a we wnętrzu unosił się nieprzyjemny zaduch, który znów skojarzył mi się z piekłem piwnic, w których śniłam na jawie mój największy koszmar.

Gdy już wpałaszowaliśmy drugie danie, na które składała się micha ruskich pierogów ze skwarkami, poprosiłam ciotkę, aby pozwoliła mi oprowadzić Amira po obejściu. Już na początku nakłamałam, że chłopak to syn starszej kumpelki, która przed laty przesadnie zabalowała podczas wakacyjnej wycieczki do Egiptu, a dziś poprosiła mnie, abym zajęła się synkiem przez trzy dni, bo jedzie na jakieś sympozjum kosmetyczne, aby się doksztalcać. Ciotka łyknęła bajeczkę, nie omieszkując przygadać nieco o rozpasaniu wirtualnej przyjaciółki, ale w trakcie obiadu nawet przekonała się do Amira, który po drobnej korekcie fryzjerskiej wyglądał jak prawdziwy cherubinek, zwłaszcza dla starszych pań ze wsi, które wprost uwielbiają takich małych, czarujących chłopców. Gdy już wszystkie niepisane zasady wizytacji dawno niewidzianej rodziny zostały dochowane, ruszyliśmy przyjrzeć się obejściu.

Najpierw weszliśmy do kurnika, gdzie pokazałam Amirowi te dorodne ptaszyska, potem drogę zatarasowały nam trzy dumnie drepczące kaczki, następnie przedstawiłam mu wychudzoną krowę Olę i dwie kozy, wobec których nie miał żadnych oporów i nawet chwycił je za kosmate mordy i się do nich przytulił. Najwyraźniej żywy inwentarz nie był mu obcy i miałam cichą nadzieję, że jednak nie będzie tak źle. Płonną, jak wkrótce miało się okazać.

— Janusza się tylko nie przestraszcicie! — krzyknęła z ganku ciotka Marylka, a ja zdębiałam, wszak wujek nie żył już od dobrych kilku lat. — Jak się rozochoci, to bywa głośny. Od śmierci męża to on rządzi w tym chlewie. I to twardą racicą, ha, ha, ha — dodała i wybuchła śmiechem, trzymając się pod boki.

Dziwna była i chyba powoli mieszało jej się w głowie. Nazwać knura po mężu? Z zemsty za te wszystkie krzywdy? A może czuła się aż tak samotna?

Odrzuciłam te jałowe myśli i podeszłam do chlewu. Chwyciłam wiadro z paszą i jabłkami i weszłam do środka. Do tej pory pamiętałam to miejsce, gdy za dawnych czasów przyjeżdżaliśmy tu z rodzicami w odwiedziny. Dla kilkuletniego dziecka była to niezwykła frajda móc poogładać kurki, świnki czy krowki na żywo, móc ich

dotknąć czy pokarmić. I przyznam, że od lat nic się w tym chlewie nie zmieniło. Dalej tak samo paskudnie cuchnęło, a drewniana konstrukcja sprawiała wrażenie, że zaraz runie.

Wyciągnęłam rękę po Amira. Wszedł do środka, obserwując, jak podarowane przez ciotkę kalosze z pluskiem zagłębiają się w błocie. Był nimi zafascynowany do tego stopnia, że śledził prawie każdy swój krok, z lubością wyszukując jak najbardziej podmokłych fragmentów gruntu, aby zostawić w nich jak najwyraźniejszy odcisk wzorzystej podeszwy. Nie zarejestrował, że Michał zamknął i zaryglował drzwi do chlewu. Pomyślałam, że to, co robię, jest okrutne, ale tylko przez chwilę. To nie było okrutne, może trochę niesympatyczne i złośliwe, ale na pewno nie okrutne.

Wtedy z głębi wyskoczyły cztery warchlaki i maciora. Ruszyły w naszym kierunku, kwicząc i pomrukując radośnie, małe rozpychały się, starając się wywalczyć sobie jak najlepsze miejsce przy korycie. Mogłabym opowiadać w nieskończoność, że Amir doznał szoku i wpadł w dziki amok, przypominał mi kogoś drącego się wniebogłosy, próbującego unikać kontaktu z napastnikami, zaszczutego i przerażonego, w brudzie i smrodzie, w końcu skulonego i szlochającego, przegranego i uległego. Podobnie odgłosy trzody, które przywiodły koszmary, gdy ci zwyrodnialcy brali mnie raz za razem, bez ustanku, bez litości, każąc mi naśladować dźwięki maciory, sami przy tym kwicząc i chrumkając jak wieprze. Może to zabrzmia obłudnie, ale nie taki miałam zamiar. Nie jestem aż taką suką, nie było moim celem sponiewierać tego biednego i zagubionego dzieciaka, to nie była zemsta. Samo tak wyszło. Po prostu.

Amir doznał szoku, ale po kilku dniach wszystko mu wytłumaczyłam, a on zrozumiał. To był naprawdę mądry chłopak. Cała ta sytuacja sprawiła jednak, że znów coś we mnie drgnęło. Coś uśpionego. Zwłaszcza gdy w pewnym momencie coś zatrzeszczało, zazgrzytało i z głębi chlewu wybrzmiał niski, pełen niezadowolenia pomruk, a chwilę później zza winkła wytoczył się stary tłusty knur. Janusz. Ciotka naprawdę miała nie po kolei w głowie. Musiała nienawidzić swojego męża albo bardzo go kochać. Może jedno i drugie? Być może... Wiedziałam jedno — była stara, samotna i ledwo wiązała koniec z końcem, potrzebowała zatem odrobiny finansowego wsparcia, a ja wciąż miałam na koncie odłożonych parę euro. Pomyślałam, że to w końcu rodzina i nie wypada zostawić

kobieciny całkiem samej. W końcu zbliżała się zima, przydałoby się trochę kasy na opał i pomoc w obejściu, wszak samej z pewnością trudno było jej opanować cały inwentarz. Jako dobra siostrzenica pomyślałam, że trochę jej pomogę. W zamian za drobną przysługę. Jeśli los będzie łaskawy...

Kuba

26 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

Czułem się jak na planie filmu. Jechałem na tylnym siedzeniu starego volkswagena passata combi, odziany w czarną burkę, która pokrywała moje ciało od czubka głowy aż po same stopy. Próbowałem nie myśleć o swoim wyjątkowo kiepskim położeniu, aby bardziej się nie denerwować, ale wszystko dokoła aż krzychało: „Kuba, masz przechlapane i nie ma szans, abyś wyszedł z tego cało!”.

Cóż, prawdopodobieństwo, że zdołam opuścić miasto w jednym kawałku, szacowałem mniej więcej porównywalnie do zwycięstwa piłkarskiej drużyny San Marino z Niemcami. Trudno było odnieść inne wrażenie, skoro ulice Berlina wypełniały teraz tłumy mężczyzn, w większości brodatych, o śniadej bądź ciemnej cerze, odzianych głównie w tradycyjne białe galabije, a okolica nie różniła się wiele od planu filmowego dzieł Ridleya Scotta czy Clinta Eastwooda, traktujących o wojnie dzielnych amerykańskich marines ze złymi islamistami, w Somalii, Afganistanie czy Iraku.

Naprawdę nie mogłem uwierzyć w to, co widzę, choć słowo „widzę” też nie do końca oddawało charakter mojego postrzegania świata w tym czymś, co musiałem na siebie założyć. Znajdująca się na poziomie oczu wąska szczelina w materiale, dodatkowo pokryta siatką sznureczków, zdecydowanie ograniczała pole widzenia i zaburzała orientację przestrzenną. Uwierzcie, nie chcielibyście spędzić całego życia za takimi „kratami”, a ja dzięki temu doświadczeniu w mig zrozumiałem, że tylko człowiek niewiarygodnie głupi, ewentualnie obłąkany lub skażony jakąś skrajną ideologią, może głosić — co w moich czasach stało się w pewnych środowiskach, zwłaszcza feministycznych, akceptowalną normą — że burka jest symbolem świadomego wyboru czy wyzwolenia arabskich kobiet.

Posuwaliśmy się powoli w oparach spalin i pieczonej baraniny. Zachodzące słońce pokolorowało nieliczne chmury gamą ciepłych kolorów, od żółtego po krwistoczerwony, i skąpało w oślepiających promieniach szklane biurowce, te natomiast odbijały światło, sprawiając, że ulice nabrały barw kojarzących mi się ze starym, ceglany piecem, tak jakby sama natura

chciała upodobnić Berlin do Aleppo, Rakki, Kabulu czy Kandaharu, z premedytacją pomagając przeobrazić stolicę Niemiec na modłę nowej władzy. W oczy rzuciła mi się masa przenośnych straganów, których liczba w centrum miasta rozrosła się niewyobrażalnie, można było odnieść wrażenie, że całe muzułmańskie społeczeństwo tylko czekało, żeby wyciągnąć z czeluści swoich przepastnych piwnic składane stoiska i rozłożyć właśnie teraz, w tej długo wyczekiwanej chwili triumfu. Handlowano na potęgę wszystkim, od podstawowych artykułów spożywczych przez parasole po drony. Wiele witryn wciąż było zniszczonych, na ulicach wałała się masa śmieci, zwłaszcza wszelakiej maści kolorowych papierów i foliowych jednorazówek, na murach pojawiły się napisy w języku arabskim, tylko sporadycznie jakiś lokal zdawał się funkcjonować w miarę normalnie. Od czasu do czasu przemykali zamaskowani bojownicy z nieodłącznymi kałasznikowami w rękach, którzy na najbardziej zatłoczonych skrzyżowaniach prócz palenia papierosów i rzucania piorunujących spojrzeń zajmowali się również kierowaniem ruchem. Młodzi przemierzali się głównie na rowerach bądź skuterach, często w grupach. Za jedną z takich maszyn, potykając się, biegł jakiś mężczyzna w podartej i zakrwawionej koszuli. Dopiero gdy skupiłem wzrok, zdołałem dojrzeć, że jego dłonie są skrępowane, a sznur przyczepiony jest do pojazdu, na którym siedział jakiś przypakowany typek bez koszulki i od czasu do czasu podkręcał gaz, szarpiąc człapiącym zań nieszczęślikiem i wzbudzając tym samym aplauz swoich kompanów. To, co mnie uderzyło, to fakt, że nikt się tym specjalnie nie przejął, krzyknął na niego dopiero jakiś facet w turbanie, ale, jak zdążyłem wykoncypować, jego zamiarem nie było uratowanie tego biedaka, a raczej przepędzenie głośnej młodzieży sprzed swojego straganu.

Poruszaliśmy się bardzo powoli, głównie na jedyńce lub dwójce, raz za razem będąc zmuszonymi do omijania najróżniejszych przeszkód, od wywróconych śmietników po fatalnie zaparkowane samochody. W ogóle ruch na ulicach zmienił się diametralnie, a najlepszym określeniem tego, co działo się na głównych miejskich arteriach, było słowo „chaos”. Owszem, światła wciąż działały, ale co z tego, skoro kierowcy zdawali się ich nie zauważać, a jeśli nawet, w ogóle nie przywiązywali wagi do wyświetlanych kolorów. Podobnie piesi, którzy przechodzili przez ulicę gdzie i kiedy chcieli, trzeba było być bardzo czujnym, aby kogoś nie potrącić. Znaki nakazu czy zakazu każdy uczestnik ruchu drogowego miał natomiast w głębokim poważaniu, dlatego większość pretensji była argumentowana donośnym klaksonem, ewentualnie serią wrzasków i gwałtownych gestów

zaciśniętej pięści.

Prawie wszystkie kobiety poruszały się w burkach, a te, które zdecydowały się na bardziej odważną kreację, ograniczały się do spodni, długiego płaszcza i kolorowej chusty, z której czasem, niby przez przypadek, wyskakiwał niesforny pukiel włosów. Większość, nawet te — nazwijmy — wyzwolone, i tak zasłaniała twarze, choćby przytykając luźny fragment hidżabu w okolice nosa i ust. Na ulicach sporadycznie pojawiali się obywatele wyglądający na wyznawców innych religii niż obecnie miłościwie panująca, ale nie rzucali się w oczy, przemykali chyłkiem, ze wzrokiem wbitym w chodnik, przygarbieni, przestraszeni. Dopiero gdy opuściliśmy centrum Neukölln i dotarliśmy w okolice południowego Rudow, które przed rewolucją uchodziło za jedną z przyjemniejszych dzielnic do życia, przynajmniej w tej części Berlina, sytuacja nieco się zmieniła. Tłumy Turków i Arabów niemal wyparowały, ale trudno byłoby rzec, że ich miejsce zajęli rdzenni mieszkańcy, gdyż ulice po prostu opustoszały. Owszem, gdzieniegdzie można było dostrzec jakiegoś piechura, parę staruszków, kobietę z wózkiem czy grupkę młodych chłopaków, ale jak na tak piękny i ciepły wrześnieowy wieczór okolica wyglądała na niemal wymarłą. Pojawiło się za to więcej patroli milicji, której samochody krążyły pomiędzy domkami, w większości opuszczonymi albo pozamykanymi na cztery spusty.

Jechaliśmy w kompletnym milczeniu, nie chciałem w żaden sposób komentować tego, co widzę, aby nie wdawać się z Al-Sahilim w niepotrzebne dyskusje, zwłaszcza że już wkrótce miałem się z nim pożegnać raz na zawsze. Od czasu do czasu zerkałem tylko nerwowo na smartfon, licząc, że może właśnie teraz pojawi się na wyświetlaczu choćby jedna maleńka kreseczka, pozwalająca mi na kontakt ze światem. Gdy po raz enty spojrzałem na ekran, Al-Sahili przemówił:

— Przed nami punkt kontrolny. Proszę się nie odzywać — powiedział, a ja tylko przytaknąłem.

Rzeczywiście, za kolejnym zakrętem znajdowała się naprędce sklecona buda ze szlabanem, wspierana przed dwie tarasujące drogę terenówki. Wokół kręciło się czterech mężczyzn z bronią, palili papierosy i rozmawiali, niespecjalnie interesując się zbliżającym się dwudziestoletnim rzęchem. Dopiero w ostatniej chwili jeden z nich obrócił się i wystrzelił niedopałek na chodnik, po czym gestem ręki nakazał się zatrzymać. Podszedł do okna i powiedział coś w swoim języku do Al-Sahiliemu. Uspiony dość spokojną w sumie podróżą przez miasto, w tej jednej chwili poczułem, jak skręca mi wszystkie kichy. Nagły przyływ adrenaliny spowodował, że zacząłem

gwałtownie się pocić, a ciśnienieomal nie rozsadziło mi głowy i chyba tylko kilka warstw szczelnie owiniętego wokół mojej czaszki bandaża utrzymało pulsujący czerep na miejscu. Na szczęście facet tylko się przywitał i ujrawszy coś na wzór legitymacji służbowej, którą Al-Sahili pomachał mu przed nosem, uśmiechnął się i — jak się domyśliłem z przyjaznego tonu — życzył szerokiej drogi, powodzenia albo czegoś w ten deseń.

— Następny punkt kontrolny ma pan przy wjeździe na autostradę, ale tam już nie poszłoby nam tak łatwo — rzekł, gdy tylko odjechaliśmy kilkadziesiąt metrów od mundurowych. — Aby wyjechać z miasta, trzeba mieć przepustkę, dodatkowo każdy pojazd jest drobiazgowo sprawdzany, dlatego odradzam panu jakąkolwiek próbę wydostania się z Berlina głównymi arteriami. Sugeruję poczekać do zmierzchu i pod osłoną nocy udać się na wschód, w kierunku jezior. Tam wciąż mieszka jeszcze wielu *kafirów*, więc nie będzie się pan tak rzucał w oczy. Tyle mogę dla pana zrobić.

Nic nie odpowiedziałem, wciąż byłem zbyt zestresowany, a dodatkowo znów zaczęła mnie łupać głowa i miałem wrażenie, że wszystkie szwy zaraz szlag trafi. Odetchnąłem głęboko, aby opanować emocje i pokiwałem na znak, że zrozumiałem, co do mnie powiedział. Zanim się zorientowałem, zrównaliśmy się z głównym terminalem lotniska Schönefeld, które, o dziwo, wciąż funkcjonowało, czego dowodem był podchodzący właśnie do lądowania samolot linii Turkish Airlines. Pomyślałem, że w sumie to chyba nic wyjątkowego, wszak nowa władza nie była na tyle ograniczona umysłowo, aby pozbyć się wszystkich objawów nowoczesności, a na świecie istnieje kilkadziesiąt krajów, w których wiodącą religią jest islam i każdy z nich, lepiej bądź gorzej, ale jakoś sobie radzi. Podobne wrażenie miałem, gdy po raz pierwszy wysiedliśmy na stacji Barbès-Rochecouart, w osiemnastej dzielnicy Paryża, słynnej La Goutte d'Or, czyli Złotej Kropli. Tam też życie toczyło się całkiem zwyczajnie pomimo faktu, że ta część stolicy Francji znajdowała się już praktycznie oficjalnie pod prawem szariatu. „Ciekawe, jak wygląda teraz” — pomyślałem, ale otrzeźwiałem przy następnym ostrzejszym zakręcie, przecież zaraz, za kilka, może kilkanaście minut, miałem zostać sam na granicy miasta, w którym większość mieszkańców chciała mnie dopaść, bo nie liczyłem specjalnie na lojalność ludności niemuzułmańskiej. Pięćdziesiąt tysięcy euro sprawia, że nie rozróżnia się koloru skóry ani wyznania. Sto tysięcy tym bardziej.

Zanim dokończyłem myśl, Al-Sahili gwałtownie skrzył w okoloną drzewami uliczkę i zatrzymał samochód. Zmierzchało, a w okolicy nie było żywego ducha, ot mały parczek, bardziej dziki niż taki, co przyciąga głównie

starsze panie karmiące gołębie. Przypominał mi jeden z polskich leśnych parkingów czy lasków miejskich, w których co najwyżej można zrobić siku i napatoczyć się na wyczerpaną ciężkim dniem pracy tirówkę.

— Może pan ściągnąć burkę. Już się panu nie przyda — rzekł lekko podenerwowanym tonem.

Oczywiście miał rację, widok samotnej kobiety w burce, przechadzającej się w nocy bez swojego mężczyzny, nie tylko ocierałby się o obyczajowy skandal, ale w nowym systemie podpadałby pod szereg paragrafów, dlatego pierwszy lepszy napotkany muzułmanin z pewnością narobiłby nie lada rabanu. Burka szła zatem w odstawkę.

Pod spodem miałem swoje stare ciuchy, wyprane i wyprasowane przez Leilę, z którą nawet nie zdążyłem się pożegnać, gdyż godzinę przed moim wyjściem opuściła mieszkanie i już do niego nie wróciła. Rozumiałem jej zachowanie, wszak odrzuciłem jej zaloty w sposób wyjątkowo niesympatyczny, zwłaszcza biorąc pod uwagę wszystko, co dla mnie zrobiła, z uratowaniem życia włącznie. Analizując ten fakt, w sumie ucieszyłem się z takiego rozwoju sytuacji, bo żegnając się z moją opiekunką, na pewno musiałbym to robić także w obecności jej ojca, a Al-Sahili był człowiekiem o wyjątkowo przenikliwym umyśle i jeden niepotrzebny gest czy choćby nie takie drgnięcie powieki mogłyby nas zdradzić. Wolałem nie myśleć o ewentualnych konsekwencjach, które z całą pewnością okazałyby się dla mnie fatalne w skutkach.

Al-Sahili opuścił samochód, w ręce dzierżył zrolowaną *sadżadżę*. Oczyszczył fragment trawnika z opadłych liści i rozłożył dywanik. Spojrzałem w niebo, które na zachodzie powoli przechodziło w mroczną purpurę. Czerwona tarcza na dobre kryła się za horyzontem, ustępując miejsca dorodnemu rogalowi księżycy, nadszedł więc czas na *maghrib*, wieczorną modlitwę, którą każdy bogobojny muzułmanin odmawiał tuż po zachodzie słońca. Al-Sahili uklęknął i oddał się modłom, a ja, nieco zdezorientowany zaistniałą sytuacją, oparłem się o samochód i zacząłem szukać sygnału. Gdy na wyświetlaczu ujrzałem dwie kreski, poczułem, jak zalewa mnie fala gorąca. Od razu wykręciłem numer do Krzyśka, ale spotkał mnie srogi zawód, bo automatyczna sekretarka poinformowała mnie, że jedyne, co mogę zrobić, to zostawić wiadomość. Czyżby znajdował się poza zasięgiem? Zakląłem szpetnie, ale natychmiast zorientowałem się, że nie jestem sam. Postanowiłem więc, że poczekam chwilę, minuta czy dwie nie robiły mi już żadnej różnicy, zwłaszcza że i tak musiałem przemieszczać się pod osłoną nocy.

Skupiłem się więc na Al-Sahilim, obserwowałem jego poczynania,

słuchałem jego bełkotu i coraz bardziej niecierpliwie rozglądałem się po zalesionej okolicy. Miałem wrażenie, że ktoś może się na nas czaić. Tak jakbyśmy nie byli sami, a czyjeś czujne ślepie śledziły każdy nasz ruch. Intuicja mnie nie zawiodła, choć o tym miałem dowiedzieć się dopiero w momencie, gdy zostanę całkiem sam. Już za chwilę sytuacja miała kompletnie wymknąć się spod kontroli, aby krótko później sprowadzić na mnie gniew samego diabła.

Ale to jeszcze nie był ten czas. Stałem więc i patrzyłem, wyczekując końca modlitwy Al-Sahiliiego. W sumie mogłem sobie po prostu pójść, ale ta opcja jakoś mnie nie przekonywała, co by nie mówić, ten mężczyzna przez ostatnie tygodnie dbał o mnie jak o własnego syna, nawet biorąc pod uwagę to, czym sobie na to zasłużyłem. Wypadało więc jakoś się pożegnać, nieprzesadnie wylewnie, ot choćby ścisnąć sobie dłonie albo coś w tym stylu. Al-Sahili w końcu zamilkł, następnie podniósł się i z namaszczeniem zwinął *sadzadzę* w rulon, po czym odłożył ją na tylne siedzenie.

— Pomodliłem się za pana i poprosiłem Allaha, aby czuwał nad panem w drodze do domu. — Słowo „dom” było tu nie do końca na miejscu, ja w przeciwieństwie do niego domu już nie miałem. Nie skomentowałem jednak tego *faux pas* i uściśniłem naznaczoną ciężkim życiem dłoń Al-Sahiliiego. — Raz jeszcze dziękuję, że pan uratował mojego syna. Bez niego nie miałbym po co żyć — dodał z wyczuwalnym drżeniem w głosie.

— Dziękuję za to, że mnie pan nie wydał — odparłem.

Miałem mieszane uczucia wobec człowieka, który otwarcie przyznał, że zrobiłby dokładnie na odwrót, gdybym jednak się spóźnił i wóz bojowy rozmazałby Mahdiego po ulicy. Mimo to uznałem, że to czarodziejskie słowo w tym wypadku na pewno nie zaszkodzi.

— Słowo pobożnego muzułmanina jest droższe od pieniędzy.

— Nie wątpię.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, po raz ostatni spojrzeliśmy sobie w oczy, po czym Al-Sahili odwrócił się i z powrotem wszedł do samochodu.

— *Dżazaka'llahu chajran*^[13] — rzekł i przekręcił kluczyk.

Nie odpalił jednak silnika, tylko, nieco zdezorientowany, wbił wzrok w kokpit, a chwilę później otworzył drzwi i skierował się na tył pojazdu. Pochylił się, następnie rozejrzał po linii drzew, jakby spodziewał się dostrzec kogoś w gąszczu pobliskich krzaków. Gdy ostatecznie uznał, że jego podejrzenia są bezzasadne, domknął bagażnik i machnął ręką.

— Stary rupieć wciąż daje o sobie znać — zażartował, ponownie siadając za kółkiem.

Odpalił motor, włączył światła i ruszył.

— *Fi amani Allah*^[14] — rzucił na odchodne, a ja natychmiast skojarzyłem tę sentencję ze słowami mojego prywatnego „dżina”.

Chwilę później czerwone światła znikły za zakrętem, a ja zostałem sam w niemal głuchoj ciszy. Gdzieś w pobliżu zastukał dźwięcioł, w oddali zatrąbił klakson, w tle szum przemierzających mrok samochodów z pobliskiej autostrady sto trzynaście i świst lądującego samolotu. Coś zaszeleściło w kupie suchych liści. Wzdrygnąłem się, a wrażenie, że ktoś mnie obserwuje nagle wzmogło się kilkukrotnie. Zamknąłem oczy i zacisnąłem zęby, próbowałem sobie wmówić, że to tylko strach. Instykt podpowiadał jednak zupełnie co innego. Nie wiem, dlaczego pomyślałem o mamie i tacie...

Po chwili uniosłem powieki i aż mnie zmroziło. Ktoś czaił się za drzewem, w świetle księżycy dostrzegłem na korze fragment dłoni. Odebrało mi dech, a gdy postać nagle wysunęła się, serce podeszło do gardła. W srebrnym blasku zaśniły dwa zielone szmaragdy. Chwilę później Leila ruszyła w moim kierunku.

Zdębiałem. Spodziewałem się najgorszego, ale nie tego. Poczułem, jak każda komórka mojego ciała zaczyna panicznie wołać o pomoc, bo nie miałem pojęcia, jak się zachować.

Leila podeszła do mnie ze łzami w oczach.

— Proszę, nie odtrącaj mnie — błagała pełnym nadziei głosem i wyciągnęła dłonie w moim kierunku.

Patrzyłem na nią, ale miałem wrażenie, że znajduję się w jakimś innym wymiarze. Nagle runęły na mnie wszystkie jej dobre uczynki, wszystkie słowa, jakiegokolwiek do mnie wypowiedziała, zawadiackie spojrzenia, gdy po raz kolejny szyła moje rany, dotyk atlasowych dłoni, gdy po raz enty zmieniała mi zimny okład, zapach perfum, błysk zielonych oczu, delikatna barwa głosu...

— Leila... ja... — Chwyciłem się za głowę, szukając słów, odruchowo cofnąłem się o krok, kompletnie mnie zatkało.

— Chcę iść z tobą, Kuba, błagam cię.

Kiedy jej delikatne dłonie dotknęły moich policzków, chwyciłem jej ramiona, ale nie odepchnąłem jej.

— Ale zrozum, że nie możesz, to zbyt niebezpieczne i musisz wracać, zanim ojciec...

— Ojciec? On mnie zabije, jak się dowie. Już za późno.

— Leila... jasna cholera — zakląłem po polsku, dając sobie trochę więcej czasu na zastanowienie się.

Znów odruchowo przyłożyłem dłonie do oczu, próbowałem coś wykoncypować, ale w głowie pojawiały się jedynie same banały, które nijak

miały się do obecnej sytuacji.

— Jesteś wspaniała, ale nie mogę...

Nie zdążyłem dokończyć, gdy ta cudna kobieta o szmaragdowych oczach przylgnęła do mnie gorącymi ustami i namiętnie mnie pocałowała. Choćbym bardzo, ale to bardzo tego chciał, choćby w tej chwili oferowano mi sto milionów albo fortunę samego Rockefellera, nie byłem w stanie nie odwzajemnić tego pocałunku. Zatopiłem się więc na te kilka sekund w bezmiarze rozkoszy i trwałem w nim, nie bacząc na okoliczności. Co gorsza, wyobraziłem sobie coś, czego nie powinienem. Tak, w tej krótkiej chwili poczułem się jak kiedyś, pełen radości, miłości, szczęścia, jakbym u stóp miał cały świat, jak wtedy, gdy w moim życiu na dobre zawitała Nawal. Może to była ona...

— Kocham cię, Kuba — szepnęła, a mnie aż ugięły się nogi.

Chciałem odpowiedzieć, chyba naprawdę poniosła mnie fantazja i wyobraziłem sobie zbyt wiele, ale te trzy słowa zabrnęły pod granicę, przy której czekało otrzeźwienie. I mimo że serce biło mi jak bokserowi po dwunastorundowym pojedynku o mistrzostwo świata, jakoś się przemogłem i chwyciłem Leilę za nadgarstki. Dotarły też do mnie słowa, które wypowiedziała kilka sekund temu. „Już za późno” — powiedziała.

Przestawić się na trzeźwe myślenie w takim momencie zdawało się misją niewykonalną, ale zmusiłem się, aby opanować emocje. Zrozumiałem też, że postawiła mnie w sytuacji bez wyjścia, mało tego, moje licze szanse na ucieczkę z miasta zmalowały jeszcze bardziej i jeśli wcześniej prawdopodobieństwo, że mi się uda, można było porównać do zwycięstwa piłkarskiej drużyny San Marino z Niemcami, tak teraz oscylowało wokół szaleństwa zdobycia przez to niewielkie księstwo tytułu mistrza świata. Leila po prostu postawiła wszystko na jedną kartę, zdając sobie sprawę z tego, że jeśli jej się nie powiedzie, najpewniej skończy nie lepiej niż większość muzułmańskich kobiet, które zhańbiły swój ród. Pech chciał, że przy okazji zakochała się akurat we mnie, człowieku, który miał najbardziej przejebane w całych Niemczech. Miłość jest ślepa...

Ale czy mogłem ją odtrącić? Pomijając fakt, że wcale tego nie chciałem, logika podpowiadała, że taki ruch byłby bardzo ryzykowny. Przecież nawet jeśli zacisnąłbym zęby i kazał jej wynosić się gdzie pieprz rośnie, to jaką miałem pewność, że osiemnastoletnia zakochana dziewczyna, w dodatku ze złamanym sercem, nie wpadnie na jakiś kretyński pomysł i w ramach ślepej zemsty nie zadzwoni do ojca czy do kolegi albo zwyczajnie nie zacznie się drzeć, że ktoś ją gwałci? Zero gwarancji. Pozostawała jeszcze kwestia kary, na jaką by sobie zasłużyła, gdyby wszystko wyszło na jaw. Mogłem się

oszukiwać, że twardnieję, odrzucam emocje i pławię się jedynie w oparach nienawiści, ale wciąż byłem miękki. I choć robiłem wszystko, aby wyzbyć się tej pieprzonej empatii wobec wszystkiego, co się rusza, z pewnością miałbym olbrzymie trudności, aby przyswoić informację, że kobieta, która uratowała mi życie, może skończyć jak Nawal. Za każdym razem, gdy zamykałem oczy, widziałem jej płonąca twarz...

Gwałtownie otrząsnąłem się z tych rozważań. Jedno było pewne — musiałem zabrać Leilę ze sobą. Patrzyła na mnie, wyczekując jakiegokolwiek odpowiedzi, wyraz jej twarzy można było określić jako mieszankę szalonej nadziei, strachu i wizerunku kota ze *Shreka*.

— Musimy się ukryć — rozkazałem i chwyciłem ją za rękę.

Nic nie odparła, tylko uległa mi i mocno ściskając moją dłoń, ruszyła za mną w stronę ławeczki znajdującej się przy jakichś śmietnikach. Nie było to może najbardziej romantyczne miejsce, ale musiałem gdzieś w spokoju spróbować skontaktować się z Figurem. Sygnał wciąż był dość dobry. Wybrałem numer raz jeszcze. Tętno podskoczyło mi jeszcze bardziej. Usłyszałem sygnał.

Krzysiek

26 września 2023 roku, okolice Berlina, Niemcy

Ukrył jeeпа w tym samym miejscu, co wcześniej. Opuszczony hangar na sprzęt do wodnej rekreacji przy podberlińskim jeziorze Crossinsee zdawał się idealnym miejscem na przechowanie samochodu, który na ulicach stolicy zbyt mocno rzucałby się w oczy, jeśli w ogóle dałby radę jakoś ominąć kontrolę przy wjeździe do miasta. Podobnych miejsc namnożyło się ostatnio całkiem sporo, wszak w obecnych czasach nikt o zdroworozsądkowym podejściu nie zaprzętał sobie głowy korzystaniem z łódek czy kajaków w dziesiątkach okolicznych ośrodków wypoczynkowych, większość obywateli albo pilnowała domu, albo już dawno zabrała cały dobytek i wyjechała z kraju.

Co prawda w większości wsi, które mijał w drodze do Berlina, życie diametralnie się nie zmieniło, ale powietrze zdawało się jak naelektryzowane, wyczuwalne napięcie i niepokój aż człowieka przytłaczały. Ci, którzy zdecydowali się pozostać w domach, na widok obcych odwracali głowy, zamykali drzwi i okiennice, widać było, że ludzie są rozdrażnieni, poirytowani i pełni niechęci. Niepewność jutra zasiała w ich sercach strach, a podejrzenie graniczące z pewnością, że ich sytuacja pod każdym względem wyraźnie się pogorszy, spowodowało, że próżno było szukać u nich jakiegokolwiek pomocy. Doskonale znał ten efekt psychologiczny „nowej miotły”, zwłaszcza w tych wszystkich republikach bananowych, w których każda zmiana władzy prawie zawsze kończyła się mniejszym bądź większym rozlewem krwi, którą najmocniej upuszczano zazwyczaj bezbronnej ludności. To zawsze wyglądało tak samo. Najpierw rządzący rozbudowywali aparat władzy w stolicy i największych miastach, system się wzmacniał, cementował i konsolidował, aby zacząć wprowadzać nowe prawa na prowincji. We wsiach, ukrytych głęboko w górskich przełęczach czy przepastnych dżunglach, gdzie nie było zasięgu internetu ani wszędobylskich kamer, oficerowie wojskowych bojówek mogli sobie použíwać i dać upust swoim odrażającym żądzom. Kolejne masowe mordy, etniczne czystki i masakry, nie tylko młodych mężczyzn, ale także starców, kobiet i dzieci, w zdecydowanej większości nigdy nie docierały do

świadomości pozostałej części ziemskiej populacji, która spokojnie żyła w swojej strefie bezpieczeństwa, nie dopuszczając myśli, że takie okrucieństwa naprawdę się dzieją.

Dziś spokój został zaburzony, a strefa bezpieczeństwa poważnie zagrożona. I w umyśle większości obywateli zostało zasiane ziarno niepewności, kolejne plotki z sąsiednich wsi i miasteczek podjudzały lęk, a podświadomość zaczynała przypominać o sporadycznych krótkich newsach z wieczornych wiadomości: o tym, jak bojownicy ISIS dokonali masowej egzekucji w zdobytym syryjskim mieście, o rzezi chrześcijańskiej mniejszości w Nigerii czy masakrze w Sudanie bądź Libii. „Czy na pewno jestem jeszcze bezpieczny? Czy kiedyś po mnie przyjdą? Czy zdołam ochronić rodzinę?” — te myśli były jak krótkie flesze, niewielu przywiązywało do nich większą wagę, przynajmniej na razie. Krzysiek doskonale znał ten mechanizm, ludzie zwykle bagatelizowali zagrożenie, po prostu nie wierzyli, że te straszne rzeczy mogą spotkać właśnie ich. Owszem, gdzieś tam, w dalekim kraju Trzeciego Świata, innym mieście, czasem nawet w sąsiedniej wiosce — tak, ale tutaj? Niemożliwe. A jednak, zazwyczaj przychodzili. I gwałcili. I mordowali.

Ten mechanizm w jednym z najbogatszych i najlepiej rozwiniętych krajów świata, w centrum zurbanizowanej Europy, musiał mieć jeszcze silniejsze oddziaływanie. Ludzie nie przyjmowali do wiadomości, że ktoś może przyjść do ich domu i, ot tak, zastrzelić członka rodziny. To po prostu nie mieściło im się w głowie. Wygodne życie w bezpiecznej Europie sprawiło, że ostatnie trzy pokolenia nie zaznały prawdziwego lęku — nie strachu przed klaunem z powieści Stephena Kinga, Laleczką Chucky czy Freddyem Krügerem, ale totalnej zgrozy, permanentnej trwogi przed drugim człowiekiem, który, odziany w obcy mundur, może przyjść w każdej chwili i zrobić to, na co akurat ma ochotę. Zgwałcić żonę lub córkę, zarżnąć męża lub syna albo najpierw jedno, a potem drugie, następnie pójść do domu sąsiada i zabawić się w jeszcze bardziej wyrafinowany sposób. Ludzie nie mieli pojęcia...

Przeszedł kilometrowy fragment sosnowego lasu do miejsca, gdzie poprzednim razem zostawił łódkę. To wciąż była najłatwiejsza trasa, aby dostać się do miasta niezauważonym. Mocno eksploatowanej, nie tylko turystycznie, ale także przemysłowo, rzeki Dahme nikt nie patrolował, w tym sektorze wciąż panował jeszcze chaos i żadne służby nie traktowały nawodnych środków lokomocji poważnie. Zresztą niewielu chętnych wybierało się do Berlina nielegalnie, starzy obywatele raczej go opuszczali i nowa władza specjalnie im w tym nie przeszkadzała, ba, nie tylko

przymykała oko, ale nawet do tego zachęcała, gdyż do miasta ciągnęły z całego kraju tłumy muzułmanów, pragnących osiedlić się w stolicy, podstawy logistyki sugerowały więc, że należy zapewnić im dach nad głową. A każdy opuszczony lokal oznaczał miejsce dla brata w wierze. I choć rządzący zapewniali, że obywatele mogą liczyć w przyszłości na wysokie odszkodowania, nikt z porzucających swoje domy nie liczył, że nowa władza dotrzyma słowa.

W każdym razie droga przez rzekę gwarantowała spokojny dostęp w granice Berlina. Potem kilka kilometrów przedmieść, lotnisko Schönefeld, skąd można było już w razie czego złapać podmiejskie metro. Trasę miał opracowaną, wiedział, jak wtopić się w tłum, znał się na tej robocie i wśród muzułmanów czuł się jak ryba w wodzie. Ryzyko, że zostanie wykryty, było zatem niewielkie, zresztą w razie zagrożenia był w stanie szybko unieszkodliwić zbyt natrętnego osobnika, zanim ten zdąży powiadomić swoich kompanów.

Za trzecim szarpnięciem motor zaskoczył i chwilę później wirnik zaczął pruć wodę. Płynął i myślał nad dość oględnym planem, gdyż wobec braku kontaktu z Kubą nie był w stanie w żaden sposób go namierzyć. Ileż to razy przeklinał brak zdolności przewidywania. Przecież to jego decyzją Kuba oddał swój zegarek z GPS-em Rudemu. Gdyby postanowił inaczej... ech... Odrzucił te myśli. Musiał skupić się na terażniejszości. A ta nie prezentowała się zanadto klarownie. Tak naprawdę po raz pierwszy od lat był naprawdę zagubiony, nie miał żadnego wsparcia i działał prawie na oślep. Wiedział tylko, że musi zacząć od miejsca, gdzie widział Kubę po raz ostatni, a następnie liczyć na łut szczęścia, ten palec boży, jakiś drogowskaz, dzięki któremu zdoła namierzyć najbliższego i chyba jedyne w tej chwili przyjaciela. Wiedział też, że tym razem nie wróci do domu bez niego. Bo Kuba gdzieś tu był, ukrywał się i z pewnością czekał na pomoc. Jego pomoc.

Dopłynął do przeciwległego brzegu rzeki i zacumował przy opustoszałym, niewielkim molo, przy którym bujało się kilka żaglówek i łodzi motorowych. Zabezpieczył linę i rozejrzawszy się po okolicy, ruszył w stronę lądu. Słyszał skrzek ptaków i plusk wody uderzającej o filary pomostu. Słońce właśnie chowało się za dachami budynków, które ze smutkiem zdawały się mu przyglądać jak sieroty bez swoich opiekunów, w większości opuszczone, niektóre splądrowane, straszące roztrzaskanymi oknami i łopoczącymi firanami. W popękanych szybach odbijał się blask purpurowego nieba. Raził w oczy i wzbudzał niepokój.

W garażu jednego z opuszczonych domów schował rozklekotanego

golfa, którego ktoś porzucił na jednym z parkingów, a on „pożyczył” podczas ostatniej wizyty w Berlinie. Z zadowoleniem przyjął fakt, że wciąż stał na miejscu. Nie był to demon prędkości, zwykły stary rzęch, ale nie rzucał się w oczy i miał wyjątkowo wysokie zawieszenie, dzięki czemu w razie czego mógł powieźć go po polach czy bezdrożach. Wyprowadził go na zewnątrz i zamknął bramę, po czym spiął kable i odpalił na krótko. Silnik zawył, jakby miał zaraz wydać ostatnie tchnienie, ale po chwili się uspokoił i auto było gotowe do jazdy.

Okolica wyglądała na całkiem wymarłą. Mijał kolejne opuszczone domostwa, po ulicach błąkały się bezpańskie psy. Przy jednej z okazałych willi łysy mężczyzna z brzuszkiem w pocie czoła pakował swój dobytek do dostawczaka, a żona próbowała opanować dwójkę dokazujących malców, gdzie indziej starszy pan woskował swoje audi, jakby chciał zakomunikować wszem i wobec, że niestraszne mu nadchodzące zmiany i nie ma zamiaru nigdzie się ruszać. W innym domostwie jakaś kobieta podlewała kwiaty, gdzieś dzieciaki bujały się na huśtawce. Gdy przecinał skrzyżowanie, przy którym stał lokalny supermarket, dostrzegł, że przy wejściu leżą bez ruchu dwie osoby. Zignorował to, nie mógł im pomóc, zwłaszcza że za winklem stał mercedes sprinter, do którego grupa kilku młodych typków ładowała co popadnie. Większość sklepów i sklepików wyglądała na splądrowane, a te, które zdawały się nietknięte, właściciele pozamykali na cztery spusty. Ewidentnie było widać, że zamieszki dotarły także na przedmieścia i do tej pory nikt nie był w stanie doprowadzić terenu do porządku. Wiedział, że już wkrótce do tej spokojnej dzielnicy wróci życie, wszak centrum Berlina, do którego ciągnęły dziesiątki tysięcy nowych obywateli Niemieckiej Republiki Islamskiej, w końcu się przeludni i imigranci będą kierowani na obrzeża. Szybki dekret o wywłaszczeniu albo nakaz sprzedaży po zaniżonej cenie najpewniej załatwi sprawę i zanim ktokolwiek się obejrzy, opuszczone domostwa będą miały nowych właścicieli. Jak władza podejdzie do kwestii starych obywateli, którzy uparli się, aby zostać? Doświadczenie podpowiadało mu, że nie będzie naciskać, przynajmniej do czasu, aż system się nie skonsoliduje. Potem może zdarzyć się wszystko.

Opuścił dzielnicę domków i wjechał na asfaltówkę rozdzielającą pola wyschniętej kukurydzy. Minął dwa samochody, z jednego z nich jakiś szczył wyrzucił kiepa, który spadł mu wprost na przednią szybę. Zignorował to i po kilkuset metrach skręcił w okolice hali IKEI. Na parkingu stało kilkanaście tirów, wokół których uwijało się jak w ukropie kilkadziesiąt osób. Nie wyglądali na pracowników konkretnej firmy i tylko Bóg raczył wiedzieć, co tam robią. Skręcił w boczną uliczkę i dojechał do niewielkiego parkingu,

gdzie ostatnio złapał sygnał. Wiedział, że dziś też będzie, wokół lotnisk zawsze było najtrudniej go wyłączyć, a od Schönefeldu dzieliła go zaledwie autostrada i niewiele ponad kilometr w linii prostej. Zatrzymał się i sięgnął po telefon.

Nieodebrane połączenie. Niezapisany numer. Niemiecki.

Otarł pot z czoła.

Wtedy aparat zadrżał mu w dłoni. Spojrzał na wyświetlacz. Ten sam numer.

Odebrał.

Kuba

26 września 2023 roku, Berlin, Niemcy

— Krzysiek? — spytałem z duszą na ramieniu.

— Brachu, jasna cholera, pewnie, że ja. Gdzie jesteś?

— W Berlinie, a w zasadzie na obrzeżach. A ty?

— Jesteś bezpieczny?

— Tak, to znaczy...

— Mów gdzie... — Zawahał się, wątpliwe było, aby do tego czasu nowa władza zdążyła wykształcić jednostki będące w stanie zająć się przechwytywaniem rozmów obywateli, ale mógł ich nie docenić, wszak każdy totalitaryzm rodzi się przy pełnej inwigilacji. — Poczekaj, nie mów. Mogą nas podsłuchiwać.

— O cholera!

— Spokojnie. I pamiętaj, nie mów do mnie po imieniu. Wyłumacz mi to bez nazw własnych. Wątpię, aby mieli tłumacza na polski.

— Pamiętasz, gdzie mnie zawiozłeś, gdy poleciałem na pierwszą szkolną wymianę zagraniczną?

— Tam, gdzie latałeś później?

— Tak.

— OK, wiem. Opisz, co widzisz.

Rozejrzałem się, aby zorientować się, gdzie dokładnie zaszło słońce.

— Niewielki parking na południe od wiesz czego...

— Parking przy...

— Nie, taki leśny, koło jakiegoś bajora. Gołym okiem widzę pomiędzy drzewami światła na budynku terminalu.

— Na wschód czy zachód od autostrady?

— Hm... zachód. A gdzie ty jesteś, że tak...?

— Stary, Bóg jednak istnieje! — Ton Krzyśka był dziwny, nie pasował do człowieka, którym stał się w ostatnim czasie. — Będę u ciebie za kilka minut.

— Co?!

— Daj mi chwilę. Sprawdzę to bajoro na nawigacji i zaraz przyjadę. Mamy kurewski fart, bracie!

— Ale gdzie ty jesteś?

— Rzut beretem, stary, rzut beretem! Czekaj na mnie — polecił i wyłączył się.

Stałem z telefonem w dłoni, nie dowierzając w to, co przed chwilą usłyszałem. Tysiące myśli natarły na mnie jak tsunami po wybuchu Krakatau. Czy to było w ogóle możliwe? Może uległem jakiejś życzeniowej projekcji, a mój mózg był bardziej uszkodzony, niż mi się wydawało? Spojrzałem raz jeszcze na wyświetlacz. Jak byk widniał tam numer Krzyśka i ikonka odbytej rozmowy. Na zegarze dwudziesta szesnaście.

— Ja pierdolę — mruknąłem pod nosem i choć ta banalna wypowiedź maksymalnie skracała rozbudowany przekaz, w którym mieściło się co najmniej kilkanaście diametralnie zróżnicowanych stanów ducha, od zdziwienia po euforię, powtórzyłem to jeszcze chyba ze trzy razy.

— Co się stało, Kuba? — spytała nieco przestraszona Leila. — Dlaczego ciągle powtarzasz to jedno zdanie?

— Chyba mamy furę szczęścia — odparłem.

— Co to znaczy?

W tym momencie zdałem sobie sprawę z czegoś niezwykle ważnego. Leila spaliła za sobą wszystkie mosty, świadomie czy nieświadomie — w to na razie nie było sensu wnikać — wymusiła na mnie kolejne zobowiązanie, otworzyła kolejny front i, kurwa jego mać, rozpieprzyła mi wszystkie plany. Musiałem się nią zająć, co gorsza, moje pizdowate ego podpowiadało mi już teraz, że to wcale nie jest zły pomysł. Nienawidziłem się za to, jakbym po kolei zdradzał Nawal, matkę i ojca. Cholerny mięczak.

Chwyciłem ją za nadgarstki i spojrzałem w oczy.

— Ty naprawdę chcesz jechać ze mną do Polski? — spytałem ją w sposób, jakbym zwracał się do niesfornego trzylatka, który znów w przedszkolu zrobił kupę w majtki.

— Tak, tak, tak, Kuba. Chcę bardzo z tobą — odparła tonem tak naiwnym, jakby naprawdę miała zaledwie kilka lat.

— Czy wiesz, że twoje życie zupełnie się zmieni? Ja... — Nie dokończyłem, nie chciałem karcić jej już teraz.

— Tak, kocham cię, Kuba.

— Leila, do cholery, nie powtarzaj tego cały czas — warknąłem, zirytowany, to nie był czas i miejsce na te wszystkie wyznania. I znów te oczy kota ze *Shreka*. Jakbym widział Nawal...

— Dobrze. Zrobię, co zechcesz.

— Chcę wiedzieć, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz. Gdy wyruszymy, nie będzie już odwrotu.

— Zrobię to, co ty. Zawsze to, co ty.

Zamknąłem oczy i zakląłem w myślach. Dalsza dyskusja nie miała żadnego sensu. Spojrzałem na nią raz jeszcze. Wyglądała na przestraszoną, niepewną i kompletnie zagubioną. „W co ja się znowu wpakowałem?” — przyszło mi na myśl.

Rozsiadłem się na ławce i zebrałem wszystkie swoje siły, aby ogarnąć sytuację. Szło mi jak po grudzie, myśli zderzały się ze sobą jak wkurwione bojownicy w akwarium, nie mogąc scalić się w logiczny ciąg mający na celu wyłonić i skonsolidować jakąś sensowną koncepcję. Nie jestem pewien, ile trwało to moje zawieszenie, ale zanim się zorientowałem, zza śmietników wyłoniła się znajoma sylwetka. Nie wiem, jak on to robił, ale więcej hałasu narobiłby duch japońskiego mistrza ninja. Od razu podniosłem się i chwilę później — pal licha ból — ściskaliśmy się jak bracia.

— Wszystko w porządku? — spytał, zerkając na szczelnie owinięty bandaż.

— Tak, trochę boli, ale żyję.

— A jak głowa?

— Dobrze, w ogóle dobrze cię widzieć, Figur! — Byłem bardzo podekscytowany naszym spotkaniem i nie wyczułem nutki ironii w tonie przyjaciela.

Krzysiek spojrzął mi przez ramię, a potem odsunął o pół kroku.

— Powiesz mi, co ty znowu odwalasz? Kim ona jest?

— Długa historia. Ma na imię Leila i idzie z nami.

— Pojebało cię?

— To nie moja wina. Sama się tu zakradła.

— Kuba, gadasz bez sensu, a nie mamy czasu. Zostaw tu tę dziewczuchę i spadamy do domu.

— Musi jechać z nami. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, ale ta laska uratowała mi życie, wiele jej zawdzięczam, a do tego... — Ściszyłem głos, choć i tak nie rozumiała ani słowa. — ...ona się chyba we mnie zakochała.

— Dobra, jednak cię pojebało. Dość tych bzdur. Idziemy! — Figur szarpnął mnie za ramię, był wyraźnie poirytowany moim zachowaniem i wcale mu się nie dziwiłem, na jego miejscu nie miałbym chyba tyle cierpliwości.

Zabolało jak jasna cholera, ale wyrwałem się.

— Figur, ona musi iść z nami! — zaprotestowałem.

Legionista odwrócił się i spojrzął mi w oczy. Powiało chłodem.

— Masz minutę, żeby mi to wytłumaczyć.

Zacząłem wypluwać z siebie kolejne słowa, które na chybcika

próbowałem sklejać w sensowne zdania. Streściłem wszystko tak szybko, jak to tylko możliwe, od chwili, gdy obudziłem się w domu Al-Sahili, do momentu, gdy dojrzałem za drzewem ukrywającą się Leilę.

— Nie muszę ci mówić, w co się wpakowałeś — skomentował mój przyjaciel, a ja z nietęgim grymasem na twarzy tylko pokiwałem głową.

— Ile czasu minie, zanim jej ojciec zorientuje się, że uciekła z tobą?

— Nie wiem. Jechaliśmy tu około półtorej godziny, może trochę dłużej.

— Kiedy ten Al-Sahili się stąd zawinął?

— Ze dwadzieścia minut temu. Zobacz czas połączenia.

Od pierwszego nieodebranego połączenia minęło dokładnie dwadzieścia jeden minut. Mieliśmy zatem około godziny, zanim dotrze do domu.

— Mówi dobrze po angielsku?

Przytaknąłem, a Figur podszedł do Leili i chwycił ją za ramiona.

— Czy twój ojciec zorientuje się, że cię nie ma, od razu po przyjeździe?

— Nie wiem — odparła wystraszona.

— Skup się, dziewczyno. Sprawdza cię? Zagląda do pokoju, gdy wraca do domu? Co powiedziałaś matce?

— Że idę do przyjaciółki, na drugą stronę ulicy.

— Nie kłamiesz?

— Nie, nie...

— Na pewno?

Oczy Leili zaszklily się, w uścisku Figura wyglądała jak drewniana lalka, którą jednym ruchem można złamać na pół.

— Przysięgam na Najjaśniejszego Allaha. — Po policzkach pociekły jej łzy.

Mój przyjaciel puścił ją i zasępił się. Trwał tak przez kilka sekund.

— Dobra, chodźcie, nie mamy czasu — rozkazał i szybkim krokiem podreptaliśmy jego śladami.

Ruszyliśmy polną drogą i po niecałej minucie pod wiaduktem minęliśmy autostradę sto trzystaście. Nie dyskutowaliśmy zbyt wiele, znów czułem się jak gówniarz, który zawałił temat. Figur zapytał tylko, czy wiem, że jestem poszukiwany. Odparłem, że tak, gdyż poinformował mnie o tym sam Al-Sahili, a następnie na prośbę przyjaciela nieco przybliżyłem mu sylwetkę ojca Leili. Opisałem nasze dyskusje, podejście do wiary i to, jak mnie traktował. Chciał wiedzieć jak najwięcej, dlatego kilka kolejnych pytań zadał coraz bardziej przerażonej dziewczynie, do której jakby dopiero zaczęło docierać to, na co się zdecydowała.

Gdy wysiedliśmy przy niewielkiej przystani, było już całkiem ciemno. W okolicznych domach nie świeciło się ani jedno światło, a wokół panowała

niemal głucha cisza. Przerwało ją skrzypnięcie desek na pomoście, chwilę później jakiś ptak zerwał się do lotu i dało się słyszeć plusk uderzanej skrzydłami wody. Figur zaprosił nas do niewielkiej łódki i chwilę później już przemierzaliśmy rzekę. Nie rozmawialiśmy, wsłuchiwałem się w warkot silnika i myślałem. Leila siedziała ze spuszczoną głową, skulona, w milczeniu. W pewnym momencie kątem oka dostrzegłem, jak naciągnęła na dłonie rękawy bluzy, ale zignorowałem to. Po pierwsze, nie było aż tak zimno, a po drugie, nie chciałem dawać jej kolejnych znaków, które mogłaby źle zinterpretować. Tak naprawdę nie wiedziałem, co z nią pocznę, gdy dotrzemy do Zielonej Góry. W ogóle nie miałem zielonego pojęcia, jak dalej będzie wyglądało moje życie. Nienawiść, która we mnie płonęła, jakby osłabła, motywacja do zemsty na Abi Rabi'i też. Podobno czas leczy rany, ale jeśli robi to tak szybko, to jest zwykłym, zakłamanym skurwysynem. Chyba że to moja wina? Słabego, miękkiego i chwiejnego chłopaczka, któremu do mężczyzny dalej niż tajskim transwestytom sprzedającym się na ulicach Bangkoku. Na samą myśl, że jestem aż tak beznadziejny, czułem niemal fizyczny ból w klatce piersiowej. Przecież ten Arab zamordował moją ciężarną kobietę i zakatował moich rodziców! Kurwa! Czemu nachodzą mnie te wszystkie wątpliwości?

Musiałem spojrzeć prawdzie w oczy. Pomimo tych kilku momentów, w których poczułem się twardym sukinsynem, moje umiejętności sprowadzały się do patrzenia i naśladowania tego, co robił Figur. Bez niego mógłbym co najwyżej zadzwonić do Abi Rabi'i i powiedzieć mu, że jest głupi i już go nie lubię. Jak w podstawówce. Chociaż nie, w podstawówce mógłbym przynajmniej dać w mordę. Tu byłem kompletnie bezsilny, wszak nawet biorąc pod uwagę to wszystko, co ostatnio przeszedłem, moje możliwości w tym względzie nawet nie drgnęły, zresztą sytuacja zmieniła się tak drastycznie, że nawet z pomocą tabunu legionistów moje szanse na odwet spadły do poziomu akcji na nowojorskiej giełdzie w słynny czarny czwartek roku 1929. Groziło mi, że zostanę psychicznym bankrutem.

Dobiliśmy do brzegu i w milczeniu ruszyliśmy do miejsca, gdzie Figur ukrył naszego jeepa. Las był dość gęsty, a ścieżka wąska, dlatego nawet pomimo blasku księżyca, który nieco oświetlał nam drogę, latarka Figura bardzo się przydała. Po kilku minutach dotarliśmy do jakichś zabudowań. Krzysiek podszedł do jednego z nich i uniósł bramę. W środku stał potwór Matiego i przyznam, że w tańczącym świetle latarki prezentował się jeszcze bardziej imponująco. Wsiadliśmy do środka, a mój przyjaciel odpalił potężny, pięciolitrowy silnik, którego cichy pomruk sprawił, że poczułem się lepiej.

Do granicy mieliśmy około stu kilometrów, w zależności od obranej drogi może trochę więcej. Brzmiało jak jakiś żart, zwykle pokonywałem tę trasę w niecałą godzinę. Z Figurem za kierownicą poczułem się bezpiecznie, ale bardzo szybko miałem zostać wyprowadzony z tego błędu. Ponury los miał dla nas wszystkich zupełnie inne plany.

Gdy ruszyliśmy ciemną leśną drogą, wściekły Ahmed Husajn Al-Sahili przeklinał w domu dzień, w którym jego córka sprowadziła mnie pod jego dach. Niedługo później diabeł już o nas wiedział i mobilizował armię swoich najstraszliwszych demonów.

Pościg ruszył. Zaczęło się polowanie. A księżyc świecił wysoko i jasno.

Niewierny

30 listopada 2033 roku, wschodnia Francja

Siedzę przy kominku i grzeję dłonie.

Palce zimne, skostniałe, z trudem zaciskam je na rękojeści noża. W tym roku chłody przyszły szybciej, zima nas zaskoczyła. Nie mamy co jeść, gotujemy szary śnieg i pijemy brudną wodę. Niektórzy wymiotują, ich wychudzone twarze przypominają obleczone skórą czaszki. Jedynie oczy zdradzają, że w środku jeszcze tli się iskra życia.

Domostwo kiedyś musiało należeć do bogatego właściciela. Jest duże i przestronne. W rogu stoi stary fortepian, znad kominka surowym wzrokiem spogląda na mnie sam Napoleon Bonaparte. Portret jest zakurzony, ale nietknięty. Na podwórzu wnęka po basenie, w którym kiedyś szklila się błękitna woda, dziś otwór wypełniony jest breją niewiadomego pochodzenia, mieszanką radioaktywnego błota, zgniłych resztek i diabli wiedzą czego jeszcze. Obok wiatr kołysze trzema huśtawkami, zamocowanymi na grubej belce. Gwiżdże i uparcie wciska swój mroźny jęzor w każdą szparę w zabitym dechami wejściu, szarpiąc powciskanymi weń łachmanami. Kiedyś to był pewnie piękny dom, dziś w każdym z ciemnych zakamarków czają się złe duchy. Nie pozwalają spać, szeptają i próbują wpędzić w obłąd. Wielu z nas opętały. Boję się, że kiedyś dopadną i mnie.

Została nas tylko garstka. Jesteśmy wycieńczeni, nie mamy sił. Dziś porucznik Figurska zwołała naradę, w której brałem udział. „Co robimy?” — zapytała. Nikt tu nie musiał niczego udowodniać. Każdy z nas wskoczyłby za nią w ogień, ale dalsze brnięcie w JEGO plugawy świat dla każdego z nas skończyłoby się śmiercią. Dla mnie opcja do zaakceptowania. Niestety, nie dla wszystkich.

Rozmowa nie była długa. Wczesne mrozy nie dały nam wyboru. Bez zapasów, z resztkami amunicji i dużymi stratami nie możemy iść dalej. Było nas stu, zostało trzydziestu sześciu. Straciliśmy kontakt z pozostałymi kompaniami. Nie wiemy, co się z nimi stało. Może

zapuściliśmy się za daleko, a może zostały wyróżnione. Dlatego decyzja zapadła. „Wracamy” — powiedziała porucznik Figurska. „Jeśli będziemy mieli szczęście, natkniemy się na naszych przy drodze za martwym lasem” — dodała. To było jedyne wyjście, właśnie tam sięgają najbardziej wysunięte patrole i tylko szaleńcy przedzierają się przez bramę do JEGO gniazda. Jak my. Pręc do przodu przez las stękających kikutów, uwiecznionych trupami tych, którzy wpadli w łapska JEGO najwierniejszych wyznawców. Las trupów.

Za nim znajduje się nasz najbardziej wysunięty na zachód posterunek. Dwieście kilometrów od naszej aktualnej pozycji. To tam kierujemy wszystkich, których spotkamy na naszej drodze. Ponurych samotnych wędrowców, kroczących na wschód w nadziei, że odnajdą raj utracony. Nie odnajdą go. Tamtego świata już nie ma. Jedynie enklawy, w których można przetrwać. I w spokoju czekać na śmierć.

Iskry unoszą się w górę, gdy dorzucam do ognia kilka porąbanych fragmentów mebli. Syk palonego drewna roznosi się w ciszy, przerywanej od czasu do czasu odgłosami kaszlących i wymiotujących kompanów. Większość śpi otulona w stare koce i łachmany, które znaleźliśmy w okolicznych domostwach. I śni swoje koszmary.

Kątem oka widzę, że ktoś się do mnie zbliża. Młody chłopak, ma może osiem, dziesięć lat, sierota przygarnięty przez rodzinę dobrych ludzi, którzy jakimś cudem przetrwali w tym okrutnym świecie. Napotkaliśmy ich przedwczoraj, gdy przeszukiwaliśmy opuszczoną wioskę.

— Niesiemy ogień — rzekł, gdy podszedł do mnie po raz pierwszy.

Spojrzałem na niego bez emocji, ale coś we mnie drgnęło. „Niesie ogień” — pomyślałem.

— To dobrze — odparłem.

— Dobrze — odpowiedział.

Siada obok mnie. Jego opiekunowie śpią. Matki nie pamięta, ojciec zmarł poprzedniej zimy.

— Jesteście dobrymi ludźmi? — pyta.

— Chyba tak — odpowiadam, wciąż patrząc w ogień.

— To dobrze.

Jedna z belek przewala się w płomieniach i wzbudza rój iskieł.

— Też niesiecie ogień? — dopytuje.

— Tak.

— To dobrze.

— Chyba tak.

— Mój tata zawsze mówił, że dobrzy ludzie niosą ogień.

— Miałeś mądrego tatę.

— A ty masz tatę?

— Miałem... Mam... Nie wiem. — To pytanie od zawsze powodowało we mnie skrajnie ambiwalentne uczucia.

— Każdy ma albo miał kiedyś tatę.

— Tak, to prawda.

— To masz czy nie masz?

— Nie wiem, chyba tak. — Czuję, że oczy spowija cienka warstwa łez.

— Czy on też niesie ogień?

Patrzę w płomienie i czuję, że moje serce pęka na pół. Wstydzę się odpowiedzi. Boli mnie, że w moich żyłach płynie ta sama krew. Ogień dalej płonie, a ja czuję, jakby palił moje wnętrze. Czuję, jak w kącikach zbierają się łzy. Chłopak na mnie patrzy, wyczekuje odpowiedzi.

— Nie, mój tata nie niesie ognia — odpowiadam. Łzy urywają się i płyną po brudnych policzkach. Wycieram je, zawstydzony chwilą beznadziejnej słabości. — Idź już — mówię.

— Dobrze.

— I więcej nie przychodź.

— Dobrze.

Młody wstaje i odchodzi. Rzuca mi ostatnie spojrzenie, po czym układa się do snu pod starym kocem. Raz jeszcze wycieram łzy, błagam w myślach, aby nikt tego nie zauważył.

Zazdroszczę mu. „Mój ojciec nie niesie ognia” — powtarzam w myślach. Patrzę w żar, wracają wspomnienia. Wzbierają łzy, rośnie złość i gniew. Ogarnia mnie kompletna bezradność i beznadzieja. Wiem, że do końca życia muszę nosić to brzemię.

Wiem, że jestem przeklęty.

Patryk

26 września 2023 roku, Szczecin, Polska

Nigdy nie bał się tak bardzo. Podczas każdej z sześciu misji, na których dumnie reprezentował elitę Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, mógł zostać ranny, schwytany, zabity albo wzięty na tortury. Rzeźnicy z ISIS nie mieli litości, doskonale to wiedział. Widział ich ofiary lub to, co z nich zostało, słyszał opowieści cudem ocalałych, czuł na twarzy oddech umierających. Ich bestialstwo przechodziło wszelkie granice, ale nigdy nie spotkał takiego — a spotkał w życiu wielu — który nosiłby w sercu szczere wyrzuty sumienia. Ani jednego! Nigdy!

Nie mógł tego pojąć do czasu, gdy przypadkiem wpadł i unieszkodliwił jednego z nich podczas wspólnej akcji z amerykańskimi kolegami, w jednej z wiosek na północny zachód od irackiego Irbilu. Przesłuchiwali go. Na początku kłamał, błagał o litość, klął się na Allaha i wypierał jakichkolwiek kontaktów z bojownikami Państwa Islamskiego. Śmierdzący tchórz twierdził, że nie ma z nimi nic wspólnego i nienawidzi ich. Tu jednak nie było mowy o pomyłce, to nie był facet, który znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Należał do rzeźników z ISIS, jego telefon stał się niepodważalnym dowodem, podobnie zeznania trzech świadków, którzy rozpoznali w nim jednego z katów. Chłopak miał może dwadzieścia lat, ale z dwoma kompanami z lubością odciął głowy czterem jazydkom, wcześniej gwałcąc je i zdeptując ich niemowlęta. Gdy znalazł się już pod ścianą i zrozumiał, że jego łgarstwa nie pomogą, na pytanie, dlaczego to zrobił, wysyczał: „To nie wy ich zabijaliście, lecz Bóg ich zabijał. To nie ty rzuciłeś, kiedy rzuciłeś, lecz to Bóg rzucił; aby doświadczyć wiernych doświadczeniem pięknym, pochodzącym od Niego. Zaprawdę Bóg jest słyszącym, wszechwiedzącym!”^[15]

Wtedy Patryk rozumiał, że walka z tymi ludźmi nie skończy się nigdy. Oni nie mieli litości, a miłosierdzie, współczucie i empatia wobec drugiego człowieka były im zupełnie obce. Islam wyprał ich mózgi i zupełnie przeorganizował system wartości, co gorsza, sprawił, że nie czuli kompletnie żadnej odpowiedzialności za swoje okrutne czyny. Koran zawierał wiele wersetów nawołujących do nienawiści wobec niewiernych, prześladowania

ich, bicia, odcinania członków czy mordowania, ale ten jeden przerażał go ponad wszystkie inne. Sura ósma, werset siedemnasty. Te kilkanaście słów, które wypluł z siebie tamten bezimienny jeniec, otworzyło mu oczy, wszak według muzułmanów zapis ten automatycznie zdejmował z nich winę za najgorsze uczynki, każdy jeden tłumacząc wolą Allaha. Jeden koraniczny werset wyrywał wszystko, co ludzkie i cofał nasz gatunek do poziomu dzikich bestii. Bezlitosnych i bezdusznych. Tak, on odbierał ludziom duszę.

Dlatego ostatnie dni stały się dla niego najgorszym horrorem. Pragnął tylko, aby to już się skończyło.

Wtedy zadzwonił telefon.

„Boże, miej ich w swojej opiece — pomyślał. — Boże, miej ich w swojej opiece...”.

Kuba

26 września 2023 roku, lasy koło Briesen, na wschód od Berlina, Niemcy

Dwadzieścia pięć minut. Tyle czasu od odpalenia silnika jeepa minęło, zanim nad naszymi głowami nie przeleciał pierwszy szturmowy śmigłowiec Bundeswehry o koszmarnie kojarzącej się większości alianckich weteranów jednostek pancernych z II wojny światowej nazwie Tiger. Przefrunął tuż nad drzewami, a dźwięk jego wirników niemal wżarł się w ciało i poruszył serce.

— Myślisz, że nas szukają? — spytałem przyjaciela.

— Możliwe — odparł sucho, nie odrywając wzroku od przedniej szyby.

Jechaliśmy jedynie w świetle księżycy i kierowca musiał maksymalnie skupić się na drodze, aby nie uderzyć w drzewo bądź słabo widoczne przydrożne pniaki.

— Trzymamy się planu?

— Tak. Ile do ścieżki na południe?

Spojrzałem na nawigację, sygnał znów wyglądał na mocno rwany i moje zaufanie do punktu oznaczającego naszą lokalizację było mocno ograniczone. Figur pomyślał jednak o wszystkim i pod ręką miałem też zwykłą papierową mapę turystyczną, którą pamiętałem z czasów wczesnych podróży rodzinnych do Włoch i Chorwacji. Nigdy bym nie pomyślał, że w czasach internetu może się jeszcze przydać, ale najwyraźniej pewne rzeczy nigdy do końca nie wychodzą z mody.

Porównałem punkt na ekranie i naniósłem go na mapę.

— Pięć kilometrów, może sześć — rzekłem.

Krzysiek przyjął informację na chłodno, na jego twarzy nie zadrżał nawet jeden mięsień, wciąż skupiony wpatrywał się w mrok za szybą. Znów dostrzegłem tę różnicę między nami. Z naszej dwójki on był tym, który zawsze wiedział, co robić, a ja tylko zagubionym szczyłem, który nie dość, że do tej pory nawarzył już wystarczająco wiele piwa, to teraz postanowił wypić je jednym haustem, wcześniej doprawiając szklanką wódki. Co ja sobie myślałem?

Zamknąłem powieki, czując, jak ogarnia mnie wstyd. Odrzuciłem jednak te myśli, postanowiłem, że rozliczę się z samym sobą po powrocie. Teraz musiałem skoncentrować się na nawigowaniu, a w obecnej sytuacji, gdy

jechaliśmy, omijając główne drogi, skryci w leśnych ostępach, w dodatku nie korzystając ze światła reflektorów, zadanie nie należało do najłatwiejszych, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że papierową mapę trzymałem w rękach ostatni raz, kiedy miałem siedem lat. Świadomość, że naraziłem nas na pościg, również nie pomagała.

Raz jeszcze przeanalizowałem w świetle latarki naszą trasę. Czerwona linia, jaką Krzysiek wcześniej zaznaczył na mapie, przecinała autostradę numer dwanaście do Słubic, mniej więcej na wysokości Storkow. Plan przewidywał, że udamy się na południe, aby najbardziej zalesionymi fragmentami terenu, pozwalającymi niemal do samej granicy dotrzeć pod troskliwą ochroną natury, ominąć wszystkie główne drogi i miasteczka. Nie było to łatwe w mocno zurbanizowanych Niemczech, ale wciąż realne, przynajmniej we wschodnich landach. Decyzja o nieco okrężnej drodze do granicy także nie wzięła się znikąd — Krzysiek poinformował mnie, że po ostatnich ulewach rzeki wezbrały najsilniej od słynnej powodzi stulecia z końca ubiegłego wieku i dotarcie do Polski przez Odrę, choćby wpływ, było po prostu niewykonalne. Woda, która prawie trzy tygodnie temu przerwała wały, rozliczne pola zamieniła w niemożliwe do przeprawy bagniska, nawet dla tak świetnie przystosowanej terenówki, jaką dysponowaliśmy dzięki uprzejmości Matiego. Dlatego jedyną szansą na dostanie się z powrotem do domu było dotarcie do stosunkowo wąskiej i płytkiej Nysy Łużyckiej, która nie wyrządziła tyle szkód, co jej większa siostra z północy i stosunkowo szybko wróciła prawie do pierwotnego stanu, dzięki czemu w niektórych miejscach moglibyśmy pokonać ją nawet teraz. Czerwona linia kierowała się więc przez Storkow, Wendisch Rietz, pomiędzy Beeskow i Friedland i obok kilku wiosek do przejścia granicznego, o którym, szczerze mówiąc, nawet nie miałem pojęcia — stosunkowo nowego mostu na Nysie Łużyckiej, łączącego wsie Żytowań po polskiej stronie oraz Coschen po stronie niemieckiej, co ciekawe — pierwszego punktu granicznego od miejsca, w którym Nysa wpada do Odry. W razie gdyby i to przejście okazało się z jakichś powodów niemożliwe do przekroczenia, zawsze zostawała próba przedarcia się przez rzekę.

Z zadumy wyrwał mnie huk wirników i nad naszymi głowami przeleciały kolejne trzy śmigłowce, były jeszcze większe niż pierwszy i nawet stąd można było dostrzec ich błyskające czerwone światła na ogonie i na brzuchu maszyny.

— Szlag by to... — mruknął Krzysiek.

Tym razem dostrzegłem, jak jego palce mocniej zacisnęły się na skórzanym obiciu kierownicy.

— To śmigłowce transportowe, czyż nie? — spytałem.

Sylwetka maszyn wyraźnie różniła się od szturmowego i drapieżnego Tygrysa.

— Tak, to NH dziewięćdziesiąt, transportowe śmigłowce Bundeswehry. Przenoszą żołnierzy w stronę granicy.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Albo szykują się do wojny z Polską, albo chcą zabezpieczyć granicę. Pierwszą opcję na razie wykluczam...

Zakląłem pod nosem. Mój przyjaciel dał mi subtelnie do zrozumienia, że zawałem. Zerknąłem do tyłu, Leila siedziała z naciągniętymi rękawami, jak opuszczona sierota, jej policzki zdawały się blade w świetle wkradającego się od czasu do czasu blasku księżyca. Spojrzała na mnie, ale wtedy znów skierowałem wzrok na Krzyśka.

— Naprawdę myślisz, że tak szybko mogli wpaść na nasz trop?

— Sam mówiłeś, że ten cały Al-Sahili to radykał.

— No tak, ale...

— To, że cię nie wydał, utrzymał przy życiu, pomógł wyzdrowieć, a nawet uciec z miasta, wcale nie znaczy, że jest teraz twoim przyjacielem. Dla jasności, Kuba, jego dług wobec ciebie wygasł, mało tego, okryłeś go hańbą, podbierając mu córkę wprost sprzed nosa. Z jego domu, w którym cię ugościł, nakarmił i dał wszystko, co najlepsze. To...

— Wiem, nie kończ...

Uniosłem rękę w geście poddaństwa, bezsensu było teraz bronić się, twierdząc, że to nie moja wina, a Leila sama zakradła się do bagażnika samochodu i ukradkiem opuściła go, gdy jej ojciec oddał się wieczornym modłom w parku przy lotnisku. Gdybym nie dał jej wcześniej żadnych dwuznacznych sygnałów, aktualna sytuacja zapewne nigdy nie miałaby miejsca.

Przez chwilę milczeliśmy.

— Chcę tylko, żebyś zdał sobie sprawę, że to, co zrobiłeś, jest dla konserwatywnego muzułmanina najgorszą obrazą, hańbą praktycznie niedającą szans na odzyskanie honoru — kontynuował Krzysiek po krótkim czasie, który dał mi na opanowanie emocji. — Jej ojciec zrobi wszystko, aby ją odzyskać, a ciebie dopaść i zabić. Tamtą... — Figur delikatnym gestem głową wskazał na Leilę. — ...podobnie jak żonę, jeśli uzna, że maczała w tym palce, z pewnością surowo ukarze, a być może ukamieniuje.

— Myślisz, że mógł skontaktować się z Abi Rabi'ą?

— Prawie na pewno. Nawet jeśli miałby przez to zginąć.

— Wyjdzie na zdrajcę...

— Zgadza się, ale sposób rozumowania i patrzenia na świat radykalnych muzułmanów jest dla większości z nas trudny do ogarnięcia, a w zasadzie niepojęty. Na początku sam dawałem się oszukiwać, bo myślałem po... jak by to ująć, żebyś mnie dobrze zrozumiał... myślałem po europejsku. Ale oni są zupełnie inni, ich kultura różni się diametralnie, podobnie zasady, jakimi się kierują. Tak jak nam trudno jest wyobrazić sobie, jaki sens w obronie honoru miało popełniane przez samurajów seppuku, tak trudno jest zrozumieć reguły rządzące światem islamu. Dla nas seks z dziesięciolatką to pedofilia, a dla nich coś normalnego, wiara w Boga — w przeciwieństwie do większości zlaicyzowanych Europejczyków — to sens życia, a podporządkowanie kanonom Koranu — bezwzględny obowiązek. Zdrada? To najgorsza przewina, zawsze karana śmiercią. Niewierne kobiety się po prostu kamieniuje i nikogo to w krajach islamskich nie dziwi, a często pierwszy kamień rzuca ręką ojca, męża czy brata oskarżonej. Dla nas chore, a dla nich zupełnie normalne. Dlatego oni nie rozumieją naszych wartości i nie chcą im się podporządkować. Politycy na szczytach władzy przez długie lata nie mogli tego pojąć, nie byli w stanie spojrzeć na świat ich oczami, starając się rozumować w... hmm... bardziej cywilizowany sposób. To ich zgubiło, bo islam jest strasznie skostniały i z zasady nie podlega jakimkolwiek reformom czy choćby drobnym zmianom, a do tego jest wybitnie agresywny, wszelaką uległość traktując jako słabość.

Podrzuciło nas na jakimś konarze, droga zrobiła się jeszcze bardziej wyboista i dziurawa, na prawo pomiędzy drzewami dostrzegłem w oddali sylwetki dwóch kolejnych śmigłowców, lecących na wschód.

— Chcesz powiedzieć, że... — Zerknąłem w lusterko na Leilę. — ...jej ojciec jest gotów poświęcić życie, aby odzyskać córkę i dopaść mnie?

— Na pewno liczy się z tym, że staruch może go zabić. W kulturze islamu honor wciąż traktowany jest jednak bardzo poważnie, to świętość każdego mężczyzny. Podobnie prawo do zemsty, która staje się sensem życia każdego upokorzonego bądź skrzywdzonego faceta. Al-Sahili powie mu, powie mu wszystko, bo wie, że tylko dzięki jego pomocy będzie w stanie odzyskać skradziony skarb.

— Niczego ani nikogo nie ukradłem.

— Ja to wiem i ty to wiesz. Oni widzą to inaczej, choć fakt, że uciekła z własnej woli, i tak nie miałby dla nich żadnego znaczenia. Według mnie Abi Rabi'a zna już każdy szczegół na twój temat, a te śmigłowce mają na celu przetransportować ludzi, aby uszczelnić granicę i nie pozwolić nam na jej przekroczenie. Wtedy urządzi sobie polowanie. Na nas wszystkich.

Zapadła cisza, przerywana jedynie kolejnymi odgłosami silnika,

pracujących amortyzatorów i pękających pod kołami gałęzi. Wiedziałem, że zawaliłem, ale dopiero teraz uświadomiłem sobie skalę konsekwencji. Poczułem bolesne wiercenie w trzewiach. Opanowałem ból i spojrzałem na mapę.

— Gdzieś tu powinien być rozjazd — rzekłem bez emocji.

Szczęśliwie przynajmniej nawigowanie szło mi całkiem nieźle i po kilkuset metrach przed nami pojawiła się ściana lasu, wzdłuż której prowadziła poprzeczna droga. Figur bez słowa skręcił w prawo i ruszyliśmy w kierunku autostrady. Jechaliśmy leśną ścieżką może jeszcze dwie minuty, aby chwilę później dotrzeć do starej asfaltówki, za którą rozciągało się jakieś pole bądź ugór. Nie byłem tego w stanie jednoznacznie ocenić, bo nad gruntem unosiła się gęsta i zawieszista mgła, która w świetle księżyca sprawiała wrażenie baśniowego całunu okrywającego jakąś tajemniczą dolinę. Z jednej strony mogliśmy uznać to za dobry znak, wszak na otwartym polu bylibyśmy doskonale widoczni, z drugiej — mgła przypominała mleko i ograniczała widoczność do zaledwie kilku metrów. Na horyzoncie majaczyła kolejna ściana lasu, a po prawej z białej zawiesziny wyłaniał się wysoki wał, nad którym unosiła się świetlna łuna. Zakorkowana autostrada numer dwanaście do granicy z Polską. Przeszedł mnie nieprzyjemny dreszcz.

— Żadnego ruchu. Wygląda, jakby wstrzymali go całkowicie — skomentował Krzysiek, po czym, wcześniej rozglądając się, czy nic nie jedzie, przejechał przez ulicę i wdarł się na pole. Mleczny opar wchłonął nas, jakbyśmy nigdy nie istnieli.

Przez kolejnych kilka minut starałem się nawigować, bazując na ekranie i mapie, na wszelki wypadek obliczając potencjalne odległości do kolejnych zaznaczonych na elektronicznej wersji ciągów wodnych, które być może miały za zadanie nawadnianie terenu. Zagadką była ich głębokość, dlatego w okolicy pierwszego z nich wysiedliśmy z samochodu. Szczęśliwie woda nie sięgała wyżej niż do kolan, a całość przypominała raczej błotnistą breję. Dla naszego jeepa to była bułka z masłem, więc spokojnie przejechaliśmy pierwszą przeszkodę, drugą udało się ominąć łukiem, w końcu dotarliśmy do rozkopanego fragmentu przy wiadukcie pod autostradą, który wyglądał na jakiś techniczny parking dla maszyn budowlanych. Pierwszy z nasypów wyglądał dość stromo, ale grząskie podłoże nie sprawiło nam większego kłopotu — sześciolitrowy potwór wydał z siebie jedynie głośny jęk i po chwili wdrapał się na nieco bardziej utwardzony grunt. Znaleźliśmy się tuż przy wale, co gorsza wyjechaliśmy z maskującej nas mgły, dlatego Krzysiek czym prędzej ukrył się pod wiaduktem i choć teren był bardzo nierówny,

chwilę później znaleźliśmy się po drugiej stronie. Zanim ponownie zniknęliśmy we mgle, zdążyłem dostrzec ciąg samochodów, od tirów po osobówki, zupełnie nieruchomy, i kilka postaci, nerwowo palących papierosy przy barierkach. Ale nie to wzbudziło u mnie kolejny skręt kiszek. Tuż poniżej stalowych osłon, przy krawędziach jezdni, na murze wiaduktu, widniał koślawy napis: MUSLIM RAUS! HASSE! A obok prosta grafika szubienicy, na której zamiast wizerunku człowieka wisiał symbolizujący islam półksiężyc.

Nie to, żebym specjalnie wstawiał się za wyznawcami tej pieprzonej ideologii, ale ten prosty rysunek wzbudził we mnie obrzydzenie. Nie do kogoś konkretnego, nawet nie do wykonawców tegoż szpetnego graffiti, ale do całego rodzaju ludzkiego, dumnie nazywającego siebie samych „homo sapiens”, czyli człowiekiem rozumnym. Pomyślałem, że to niepojęte, bo choć nasz gatunek poleciał na Księżyc, wymyślił internet i eksploruje Marsa, wciąż jest na tyle głupi, żeby nienawidzić się i zabijać nawzajem bez powodu.

Dzisiejszego wieczoru miałem ujrzeć na własne oczy, do czego jeszcze jest zdolny „człowiek rozumny”.

Zanim raz na zawsze runęła moja wiara w człowieka, pokonaliśmy we mgle kilkaset metrów pola, aby znów wniknąć w leśne ostępy. Przez następne pół godziny poruszaliśmy się na południowy wschód. Od północy minęliśmy Storkow i skierowaliśmy się w stronę wsi Wendisch Rietz, która leżała przy kanale łączącym dwa popularne wśród turystów jeziora Grosser Storkower See oraz Scharmützelsee. To tutaj musieliśmy choć na chwilę skorzystać z uczęszczanych tras, gdyż jedyna droga prowadziła właśnie przez centrum miasteczka. Mieliśmy, bo tego nie zrobiliśmy. Zamiast tego staliśmy się świadkami pieprzonej czystki etnicznej.

Krzysiek

26 września 2023 roku, wieś Dahmsdorf przy Wendisch Rietz, Niemcy

Stał na skraju lasu, z lornetką w dłoniach. Czuł się bezsilny. Tak jak po wkroczeniu do sudańskiego Malakal. Nigdy nie zapomni tamtego widoku. Dziesiątki tysięcy trupów leżących w piachu, przybitych do słupów elektrycznych, wiszących na latarniach przy jezdni, gnijących w piekącym słońcu. Mężczyźni, kobiety, starcy, dzieci. Wszyscy potraktowani w równie bestialski sposób. I ten ziemisty kolor... Brunatny, surowy i odpychający w swej istocie, nasycony wyziewami cegieł, źle oczyszczoną benzyną, dymem, znaczący glebę wsiąklą krwią kolejnych ofiar tej biblijnej rzezi. Całe dzielnice umazane brązową breją, ściany budynków, drzwi, schody, baldachimy, chodniki... Chmury much ucztujących na truchłach nieszczęśników, sępy wydziobujące oczy, dzikie psy wyszarpujące wnętrzności. Potworny, duszący smród rozkładających się ciał.

Malakal wyrznęło w jego umyśle wyrwę głębokości Rowu Mariańskiego, ale w Sudanie przybył na miejsce masakry, gdy węgle rozpętanego przez islamistów piekła powoli dogasały. Nie widział gwałtów i mordów, obcinania rąk i nóg, języków i nosów, wybierania płodów ciężarnym kobietom i palenia dzieci w żywym ogniu. Nie słyszał krzyków rozpaczny, jęków niewyobrażalnego bólu i bezowocnych błagań o litość.

Dziś ujrzał to na własne oczy. I nic nie mógł zrobić.

— Musimy znaleźć inną drogę — powiedział do Kuby, gdy wrócił do ukrytego pomiędzy drzewami jepea cherokee.

— Co tam się dzieje?

— Są tam ludzie Abi Rabi'i.

— Ilu?

— Przynajmniej trzydziestu.

— Słyszę jakieś strzały. Oni...?

— Strzelają.

— Skąd ta łuna na horyzoncie?

— Płonie kilka domów. Pojedziemy inną drogą.

— Kurwa, Krzychu, powiedz mi, co się tam dzieje!

Znali się jak łyse konie, Kuba był chyba jedynym facetem, który potrafił

wyczuć, co mu w duszy gra. Nie było sensu kłamać ani kolorować rzeczywistości. I tak prędzej czy później o tym usłyszy, i tak prędzej czy później to zobaczy. Tak potężne zło nie odchodzi szybko, bestia najpierw musi się nasycić.

Legionista przekazał przyjacielowi lornetkę i porozumiewawczo spojrzął w oczy. Kuba chwycił ją i zakradł się na skraj lasu. Figur spojrzął do wnętrza samochodu, w którym siedziała dziewczyna. Dostrzegł, jak wzdryga się na dźwięk dochodzących z oddali strzałów. Wsiadł do pojazdu i chwycił mapę, wcześniej zerkając na ledwie widoczny zarys sylwetki przyjaciela. Opracował alternatywną trasę, przez lasy w okolicy Bad Saarow. Musieli nadłożyć sporo kilometrów, aby ominąć jezioro, ale nie mieli wyjścia. Musieli przeć na wschód i liczyć na łut szczęścia. Tylko to im teraz pozostało.

Pomyślał o czterech powieszonych mężczyznach o arabskich rysach twarzy, których minęli kilka kilometrów stąd. Nadzy dyndali na gałęziach przydrożnych drzew, a na ich torsach ktoś napisał: FUCK ALLAH. Czy zatem to była odpowiedź władzy? Czy Abi Rabi'i naprawdę puściły wszelkie hamulce, czy mógł stracić nerwy i pozwolić swoim ludziom na tak bestialskie potraktowanie niewinnych mieszkańców tej nic nieznaczącej wsi? Przecież nawet biorąc pod uwagę, że internet w większości miejsc w kraju był w tej chwili niedostępny, prawie zawsze znajdzie się jakiś świadek, ktoś nagra tę rzeź, a zdjęcia i filmy prędzej czy później trafią do sieci. To nie jakaś zapomniana przez Boga górską wioska w Nigerii czy otoczona piaskami Sahary osada w północnym Mali. To miasteczko w jednym z największych, najbogatszych i najbardziej rozwiniętych krajów świata, znajdujące się w samym centrum Europy, zaraz przy pieprzonym polu golfowym dla stołecznych krezusów lubujących się w przesadnie drogich garniturach i najnowszych prototypach tesli.

Spojrzął na przyjaciela, który wciąż stał z lornetką przyciśniętą do oczu. Poczul nieprzyjemny dreszcz zwątpienia, czy aby na pewno zrobił dobrze, pozwalając mu iść na skraj lasu. Kuba przeszedł już wystarczająco dużo, nie powinien tego oglądać.

Z zamyślenia wyrwał go trzask gałązki. Natychmiast wyciągnął broń i skierował ją w tamtą stronę. Odetchnął, gdy kilkanaście metrów dalej pomiędzy drzewami ujrzął zarys dwóch postaci, sugerujący, że nie stanowią większego zagrożenia. Mimo wszystko skarcił się w myślach, że stracił czujność i dał się podejść. Gdyby to byli ludzie Abi Rabi'i, już mógł być trupem.

— Kim jesteście? — spytał po niemiecku, wciąż na wszelki wypadek nie

spuszczając pary nieznanym z muszki. Nie chciał używać latarki, aby zminimalizować szansę wykrycia, dlatego podszedł bliżej.

— Proszę nie strzelać. Nie mamy broni — odparł drżącym głosem przygarbiony mężczyzna, który sprawiał wrażenie, jakby ledwo powłóczył nogami.

Gdy legionista zbliżył się do przybyszy, opuścił pistolet. W blasku księżyca dostrzegł chudego jak patyk starca w berecie, letniej kurtce i sfatygowanych spodniach, który kurczowo trzymał za rękę drobną dziewczynkę w czerwonym płaszczyku. Miała długie blond włosy z równo przyciętą grzywką, które na górze wyglądały na mocno zmierzwione.

Spytał, czy mówią po angielsku. Starzec twierdząco pokiwał głową.

— Jesteście sami?

— Tak, tak, tak — powtórzył kilka razy mężczyzna, jakby w obawie przed osądzeniem o kłamstwo. W jego głosie pobrzmiwały lęk i smutek.

— Jesteście z tamtej wioski?

— My tylko wybraliśmy się na grzyby. A gdy wróciliśmy... — Głos starca załamał się i wolną dłonią zakrył oczy, z których pociekły łzy.

— Błagam, zabierzcie moją wnuczkę. Proszę uratować Sophie...

Mężczyzna objął małą blondyneczkę, na której twarzy malowała się cała gama emocji — niezrozumienie, zdziwienie i lęk przed nieznanym. Uklęknął i przytulił ją mocno, odruchowo poprawiając czerwony kapturek płaszczyka. Miała może pięć, sześć lat.

— Dziadziu, dlaczego płaczesz? I co to za pan? — spytała piskliwym głosikiem.

Choćby nie wiem jak bardzo chciał teraz odwrócić się i odejść, Figur wiedział, że gdyby to zrobił, podpisałby na siebie wyrok śmierci. Prędeż czy później usiadłby przy lustrze, włożył lufę do ust i pociągnął za spust. Nie mógł ich tu zostawić, po prostu nie mógł. Przed oczami przemknęła mu twarz łakomie chwytającej ostatnie wdechy małej Shilli, którą przypadkowo zastrzelił pod Malakal. Była w podobnym wieku.

Starzec natarczywie wpatrywał się w niego.

— Chodźcie, nie mamy czasu — zaordynował legionista i wskazał na samochód. Poszukał wzrokiem Kuby. Przyjaciel klęczał na skraju lasu, trzymając się za obandażowaną głowę. — Szybko, szybko — ponaglił, chwytając dziewczynkę na ręce i dając oparcie jej dziadkowi.

Kuba wciąż patrzył w kierunku wsi, nad którą łuna rozblęła jeszcze silniej. Załadowawszy nowych pasażerów na tył pojazdu, Krzysiek pobiegł w stronę przyjaciela. W oddali płonął największy budynek w osadzie. To był kościół.

— Musimy iść — rozkazał.

Kuba milczał, ale po chwili podniósł wzrok na kompana. Zza warstwy łoż przebijało coś niewiarygodnie złego, w ciemnych i dużych źrenicach czaiła się bezdenna otchłań, niczym kosmiczna czarna dziura, która wchłoneła w swoje przepastne trzewia wszystko, co wpadło w zasięg jej oddziaływania.

Zrozumiał, że popełnił błąd. Skazał przyjaciela na wieczne potępienie.

Kuba

27 września, bory na zachód od Müllrose, Niemcy

Do granicy z Polską mieliśmy w linii prostej zaledwie kilkanaście kilometrów. Brzmiało to bardziej niż zachęcająco, ale rzeczywistość wyglądała znacznie gorzej. Od czasu, gdy ujrzałem, co ludzie Abi Rabi'i zrobili z mieszkańcami tej nieszczęsnej wsi, wszystko wróciło. Skala okrucieństwa tych zwyrodnialców, którzy znudzeni mordowaniem, w końcu zapędzili pozostałych przy życiu do kościoła i, wcześniej oblewając ściany benzyną, podłożyli ogień, sprawiła, że to coś we mnie, to, co nosiłem od czasu śmierci Nawal i co wezbrało po śmierci moich rodziców, znów rozwarło ślepią. Niemal fizycznie czułem, jak rośnie i przybiera na sile, wije swoje legowisko w moim ciele, niczym łakomy pasożyt o nieprzebranym apetycie. To było nieczyste, plugawe i nieskończenie złe, mimo to pozwalałem, aby rosło i wypełniało każdą komórkę, infekowało nie tylko ciało, ale i umysł. Przyjmowałem to coś z honorami, na swój chory sposób ciesząc się każdą sekundą jego obecności i faktem, że nie odeszło na zawsze.

Pilotowałem Krzyśka, postanawiając nie podejmować wiadomego tematu, skupiając się na tym, aby nie popełnić najmniejszego błędu, który mógłby sprawić, że droga do mojego celu — czytaj: dopadnięcia tego skurwysyna Abi Rabi'i — znów zostanie w jakiś sposób zagrożona. To, co ujrzałem, raz na zawsze przeorało moje wyobrażenie o naturze człowieka i zrozumiałem, że Europa już nie zdoła wybronić się przed wojną. Tak, wojną, taką, o której czytałem w książkach i którą z wypiekami na twarzy oglądałem w filmach, wojną totalną, z czołgami, bombardowaniami i rzeziami ludności cywilnej. Pojąłem, że ona jest nieuchronna, a ja muszę jak najszybciej wrócić do kraju, aby w możliwie maksymalny sposób zapewnić bezpieczeństwo mojej siostrze, a później zgłosić się do jednostki, w której dostanę mundur i broń. Liczyłem, że Krzysiek robi to samo, wszak w czasie wojny wszelkie przewiny tracą na ważności, liczą się umiejętności i baza informacji o przeciwniku. A my o tym pierdolonym staruchu wiedzieliśmy najwięcej.

Leila w jednej chwili przestała mnie obchodzić. Po prostu była, ale jej obecność, podobnie jak tego dziadka z małą dziewczynką, których nagłe

pojawienie się pominąłem milczeniem, stała się dla mnie całkowicie obojętna. W czasie nawigowania zupełnie o nich nie myślałem, kompletnie ignorując fakt, że siedzą na tylnym fotelu. A to do łatwych nie należało, bo ruchy prących na wschód wojsk stały się widoczne na każdym zakręcie. Pod Bad Saarow dostrzeżliśmy kolumnę wozów pancernych, nad głowami co rusz przelatywały śmigłowce, a efekt łuny pojawił się nad lasem w okolicach wsi Rietz-Neuendorf. Trudno było ocenić plany Abi Rabi'i i zaangażowanie podległych mu jednostek, ale na tym terenie działania zdawały się zakrojone na bardzo szeroką skalę. Mogłem się tylko domyślać, jaki udział w jego decyzjach miał fakt posiadania informacji, że gdzieś tutaj może przebywać „niebezpieczny terrorysta” Jakub Krystian Polak. I czy gniew, w jaki musiał wpaść, dowiedziawszy się o mojej ucieczce z miasta, miał wpływ na to, że całkiem puściły mu hamulce.

Wobec tak radykalnych działań wojska na terenie przygranicznym byliśmy zmuszeni do opracowania nowego planu. Zaszyliśmy się w borach należących do rezerwatu Schwarzerberge und Spreeniederung, gęstych i pełnych bagnisk, a tym samym pozwalających na w miarę spokojną chwilę oddechu. Dochodziła czwarta w nocy i szansa, że dotrzemy do granicy na Nysie Łużyckiej pod osłoną nocy, zaczynała niebezpiecznie zbliżać się do punktu, w którym ryzyko stawało się zbyt duże. Pozostanie w bezruchu również nie należało do najlepszych pomysłów, ale wobec braku innych opcji, wykluczających ewentualne spotkanie z oddziałami Abi Rabi'i, zdecydowaliśmy, że przeczekamy do kolejnej nocy. Tak blisko granicy byliśmy w stanie łapać sygnał telefonii komórkowych z masztów w Polsce, dzięki czemu mieliśmy w zasadzie nieograniczony dostęp do sieci. To zapisaliśmy sobie na mocny plus, warto było poznać ruchy wojsk Abi Rabi'i i poznać reakcję rządów innych krajów na to, co dzieje się w nowo proklamowanej Niemieckiej Republice Islamskiej. Pożałowałem trochę, że nie nagrałem tego, co wydarzyło się w tamtej wsi. Jeśli prawda jeszcze nie wypłynęła na jaw, z pewnością dolałbym oliwy do ognia i zapędy tego zwyrodnialca może zostałyby nieco przystopowane.

Mieliśmy drobne zapasy jedzenia i picia. Wkurzał mnie tylko fakt, że także dodatkowe trzy garby, które najchętniej zrzuciłbym z pleców i zostawił, choćby tu, przy jeziorze, przy którym zdecydowaliśmy zaparkować po zjeździe z leśnej ścieżki. Na szczęście Leila zasnęła, podobnie ta dziewczynka, więc nie czułem presji. Gdy zbierałem z Krzyśkiem gałęzie, aby dodatkowo zakamuflować terenówkę, ze środka wygramolił się natomiast ten dziwny starzec. Wyglądał, jakby zaraz miał umrzeć, dosłownie i w przenośni. Sylwetką przypominał stuletniego

maratończyka, który właśnie doczłapał do mety, aby zaraz za nią paść trupem. Musiał być bardzo stary, wychudzona i pomarszczona twarz mogłaby robić za wzorzec postaci przedstawionej w słynnym „Krzyku” Edvarda Muncha. Przyspawane do niej małe, okrągłe binokle o grubych denkach oraz niecodzienny beret, opadający na uszy, nieco odkształcając małżowiny, w swoistej niedorzeczności przywołały w mojej głowie widok niezapomnianego Dustina Hoffmana z filmu *Papillon*, jednego z niewielu, które uwielbiałem pomimo tego, że powstały grubo przed tym, zanim wydałem z siebie pierwszy krzyk.

Starzec kościstą dłonią poprawił zaparowane okulary. Miał nienaturalnie duże oczy, nawet biorąc pod uwagę powiększający efekt grubych szkieł, nad którymi górowały siwe i niespotykane krzaczaste brwi. Białka miały barwę moczu, jakby starca dopadła jakaś ciężka przypadłość, dodatkowo pokrywała je gęsta siatka czerwonych żyłek. Przetarł wymiętą chusteczką duży, haczykowaty nos, którego nie powstydziliby się sam Juliusz Cezar, jego drżąca dłoń zachowywała się, jakby nie reagowała na wszystkie polecenia układu nerwowego. Rozejrzał się niepewnie, przygarbiony i zagubiony. Chyba szukał Krzyśka, ale ten oddalił się, sprawdzając teren i ewentualne trasy ucieczki. Nie mogąc znaleźć swojego wybawcy, starzec spojrzał na mnie. Udałem, że tego nie dostrzegłem, ale starowina, kuśtykając, ruszył w moim kierunku, z wyraźnym postanowieniem nawiązania kontaktu. Nie chciałem z nim rozmawiać, nie chciałem rozmawiać z nikim.

— Jesteście Polakami, prawda? — spytał w moim ojczystym języku z nieco dziwnym akcentem.

Odwrociłem się, zaskoczony.

— Ja słyszał, jak mówili ze sobą. Znam polski trochę, nauczył jako dziecko trochę. W obozie.

— Jak masz na imię? — spytałem zaintrygowany.

— Gabriel Silberman. — Wyciągnął kościste palce w moją stronę, a gdy podałem mu dłoń, ucałował ją, zanim zdążyłem ją zabrać. — Dziękuję, że pomogli. Bardzo dziękuję. Polacy to dobry ludzie.

Oślupiałem. Zrobiło mi się głupio, przed chwilą pomyślałem przecież, aby ich tu zostawić na pastwę zwyrodniałców Abi Rabi’i.

— Nazywam się Kuba — rzekłem, nieco zmieszany.

— Kuba, ach, Kuba. Tak, pamiętam. Dobry piłkarz Kuba. — Starzec sprawiał wrażenie lekko odrealnionego.

Pomyślałem, że chodziło mu o niegdyś świetnego polskiego piłkarza, Kubę Błaszczykowskiego.

— Tak, tak jak on. Jak Kuba Błaszczkowski.

— Kuba, Kuba, Kuba... — Mężczyzna uniósł dłoń i palcami zaczął nerwowo poprawiać okulary. — Pomogę z chęcią drewno na ognisko? — zagadnął znowu.

— Nie trzeba.

— Ja pomogę bardzo.

— Niech pan wraca do samochodu i się trochę prześpi.

— Ja...

— Naprawdę poradzę sobie.

— Tak, dobrze, przepraszam, przepraszam bardzo.

Starzec odwrócił głowę i rzuciwszy ostatnie spojrzenie swoimi zaczerwienionymi ślepiami, pokuśtykał do samochodu. Spojrzałem na zegarek od Krzyśka. Do wschodu słońca zostało niewiele, a mnie powoli puszczała adrenalina. Rozboliła mnie głowa, poczułem się zmęczony i słaby. Wziąłem pod pachę ostatnie gałęzie i położyłem obok samochodu. Rozejrzałem się w poszukiwaniu Figura. Nie dostrzegłem go w gąszczu drzew, ale wtem poczułem czyjaś obecność za plecami. Przez moment serce podeszło mi do gardła, ale zanim zdążyłem spanikować, mój przyjaciel położył mi rękę na ramieniu. Jakimś cudem zaszedł mnie od drugiej strony, nie zdradzając wcześniej swojej pozycji, pomimo że dokoła leżały setki gałązek, szyszek i opadłych liści, które w kontakcie z butem zawsze wydają charakterystyczny dźwięk. Cóż... Figur potrafił być jak duch.

— Musimy się przespać, aby jutro być w pełni sił. — Przytaknąłem bez słowa i poczułem ulgę, że ta propozycja wyszła od niego. — Wezmę pierwszą wartę. Obudzę cię po wschodzie słońca.

Spojrzałem staremu przyjacielowi w oczy i poczułem, jak w kącikach moich zbierają się łzy. To była ta jedna z kilku krótkich chwil w życiu, w których słowa nie były oczekiwane, a tym bardziej konieczne. Wpadliśmy sobie w ramiona i nie zważając na ból, ściskaliśmy się przez kilkanaście sekund. Potem, gdy poluzowaliśmy uchwyt, wytarłem rękawem policzki, udałem się do samochodu, wziąłem końską dawkę środków przeciwbólowych i niemal natychmiast zasnąłem.

W krainie koszmarów już czekał na mnie Muhammad Abi Rabi'a.

Figur obudził mnie krótko po ósmej. Cztery godziny snu pozwoliły mi się nieco zregenerować, nawet biorąc pod uwagę fakt, że większość czasu spędziłem po tamtej stronie w towarzystwie starucha i wszelakich maszkar,

jakie za nim kroczyły.

Poszedłem wysikać się do jeziora, po czym, siadając na grubym pniaku, zjadłem kanapkę z serem i pomidorem. Nie byłem specjalnie głodny, ale wiedziałem, że muszę się posilić, zwłaszcza że mój organizm wciąż walczył z konsekwencjami starcia z trzydziestotonowym wozem bojowym i musiałem wcisnąć w siebie garść tabletek przeciwbólowych, przeciwzapalnych i poprawiających gojenie, a naszpikowanie się taką ilością chemii na czczo mogło skutkować nagłymi i przede wszystkim niechętnie oczekiwanymi następstwami. Należało też zmienić przepracowane opatrunki, sam jednak nie byłem w stanie zrobić tego profesjonalnie, w duszy podziękowałem więc, że Leila wciąż jest z nami. Gdy tylko o niej pomyślałem, moja opiekunka, jakby telepatycznie wyczytała nad czym dumam, wygramoliła się z samochodu z podręczną apteczką w rękach. Ziewnęła i naciągnęła rękawy bluzy na dłonie, po czym skierowała się w moją stronę.

Poczułem, jak zalewa mnie fala sprzecznych emocji. Z jednej strony chciałem, aby fachowo zmieniła mi bandaż, z drugiej nie miałem najmniejszej ochoty z nią rozmawiać w obawie, że znów uderzy w jakieś romantyczno-miłosne tony. Robiła duże kroki, omijając skupiska gałęzi i przegniłych liści. Miała naciągnięty na głowę kaptur, spod którego po obu stronach wylaniały się czarne kosmyki. Gdy zbliżyła się na odległość, która zmuszała mnie do nawiązania kontaktu, przykucnęła i na chusteczce rozłożyła apteczkę. Rzuciła mi to swoje zawadiackie spojrzenie, ale nic nie powiedziała, tylko spryskała dłonie środkiem odkażającym i oblała świeżą wodą z butelki. Oddałem się w jej ręce.

Najpierw zajęła się głową. Delikatnie odwinęła bandaż, następnie przyjrzała się ranie, obmyła ją i założyła świeży opatrunek. Następnie poprosiła, abym ściągnął bluzę i podwinął koszulkę. Ramię i bark wyglądały lepiej, bandaż w żadnym miejscu nie przeciekał, a rany niemal zupełnie się zasklepiły, pozostawiając tylko paskudne blizny, które okalały żółtozielone siniaki. Mimo wszystko zmieniła opatrunki, bez słowa, w pełni skupiona na tym, co robi. Jej zachowanie przyjąłem z ulgą, bo spodziewałem się ciężkiej przeprawy, tłumaczeń w stylu: „nie to miałem na myśli”, „źle odczytałaś moje zamiary”, w końcu „nie kocham cię” i „nigdy nie będziemy razem”. Nawet jeśli czułem, że podobne wyznania przyszłyby mi dość łatwo, to pragnąłem uniknąć podobnej rozmowy, aby jeszcze bardziej nie mącić sobie, a zwłaszcza jej, w głowie. Bo jakie to miało znaczenie w porównaniu z wydarzeniami ostatniej nocy?

Gdy skończyła, rzuciła mi spokojny uśmiech, który wobec braku mojej

reakcji niemal natychmiast zniknął z jej twarzy. Spakowała brudne bandażę do reklamówki i zamknęła apteczkę, po czym ruszyła z powrotem do samochodu. Odetchnąłem, ale wtem Leila zatrzymała się. Stała w bezruchu przez kilka sekund, ale po chwili odwróciła się i spojrzała mi prosto w oczy.

— Przepraszam, Kuba — rzekła. — Wiem, że zachowałam się jak gówniara i naraziłam was na niebezpieczeństwo. Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz...

To powiedziawszy, odwróciła się i odeszła, nie dając mi szans na jakąkolwiek odpowiedź. Odprowadziłem ją wzrokiem i wyciągnąłem smartfon Krzyśka (podarowanego przez Al-Sahiliego z oczywistych względów musiałem się pozbyć, podobnie jak Leila, oba wylądowały na dnie rzeki, podczas przeprawy przez Dahme). Sygnał był dość słaby, ale internet hulał co najmniej przyzwoicie, zagłębiłem się więc w lekturze najświeższych wiadomości.

Klawiatury i mikrofony grały się chyba do czerwoności, bo tytuły banerów typu „z ostatniej chwili” zmieniały się jak w kalejdoskopie. I wcale nie przynosiły dobrych wieści. Nastawiałem się na to, aby pozyskać konkretną wiedzę na temat sytuacji w Europie, zwłaszcza Niemczech, ale okazało się, że połowa artykułów na najpopularniejszych polskich portalach dotyczyła mojej skromnej osoby, mało tego, moja facjata we wszelkich konfiguracjach wyzierała dosłownie zewsząd i zastanawiałem się, czy w Polsce przypadkiem nie wyskakuję z lodówki bądź toalety. Kolejne tytuły aż raziły swoją banalnością, wszak wszystkie te dziennikarzyny z lubością wykorzystywały moje nazwisko, które jak ulał pasowało do ich krzykliwych nagłówek: „Polowanie na Polaka!”, „Polak na celowniku!”, „Terrorysta czy szpieg? Władza milczy”. To te, które można by uznać za akceptowalne, na większość wołałbym spuścić zasłonę milczenia, ale to i tak nic w porównaniu z tym, co można było wyczytać po kliknięciu linku. Lwia część tekstów należała do historii wyssanych z palca, kompletnych bzdur, które nijak miały się do rzeczywistości, jak choćby sugestie, że jestem świetnie zakamuflowanym szpiegiem. Podobne informacje w pewnym momencie nawet wywołały uśmiech na mojej twarzy, ale znikł on równie szybko, jak się pojawił, gdy otworzyłem kolejny artykuł, w którym na tapetę wzięto morderstwo rodziców. Zdjęcia rodzinnego domu oraz pokiereszowanych ciał matki i ojca (co prawda zamazanych, ale jednak) sprawiły, że omal nie wpadłem w furję. Jakoś zdołałem opanować emocje, ale obiecałem sobie, że po powrocie dopadnę gnoja, który zdecydował o publikacji tego materiału, i spuszczę mu srogi łomot.

Po tym nieprzyjemnym incydencie uznałem, że lepiej nie zagłębiać się

w czeluści internetu, wszak im dalej, im portale mniej popularne i bazujące na szokowaniu potencjalnego czytelnika, tym ich poziom coraz bardziej pikował i mogłem spodziewać się jeszcze bardziej hardkorowych przekazów. A tego za wszelką cenę chciałem uniknąć.

Skoncentrowałem uwagę na newsach mogących przybliżyć mi aktualną sytuację geopolityczną, zwłaszcza zaś dotyczących strefy pogranicza polsko-niemieckiego. Omiotłem więc tylko wzrokiem tytuły: „Dojdzie do inwazji Turcji na Grecję?”, „Francja traci panowanie nad rebelią” czy „Putin uderza pięścią w stół” i skupiłem się na informacjach dla mnie najbardziej istotnych. Z nieskrywaną radością przyjąłem do wiadomości, że Polska nie wpuściła do kraju dyplomatów reprezentujących nową władzę w Niemczech, argumentując to łamaniem praw człowieka w tym państwie, mało tego — parlament przyjął dekret mający na celu wzmocnić ochronę zachodniej granicy, w stan gotowości postawiono też wszystkie jednostki wojska, od Szczecina po Bogatynię. Do tej pory żaden wysokiej rangi polityk nie odniósł się natomiast do faktu, że zostałem uznany przez Abi Rabi’ę za „groźnego terrorystę”. Nie ubodło mnie to specjalnie, nie oczekiwałem, że prezydent czy premier będą rwać koszule albo walić butem w mównicę na kolejnych konferencjach prasowych. Rozumiałem, że sprawa jest świeża i najwyraźniej rząd musiał poznać więcej faktów, aby nie popełnić jakiejś koszarnej gafy.

Moją uwagę przykuły również artykuły przedstawiające szereg prominentnych członków nowej niemieckiej władzy (w tym oczywiście Abi Rabi’ę), osób, które w najbliższym czasie miały sięgnąć po najwyższe stanowiska w państwie i nadać kurs polityce, także zagranicznej. W przeciwieństwie do dwóch dziennikarzy, którzy snuli narrację na temat teoretycznych kierunków, którymi mogliby ci ludzie podążyć, ja miałem silne przekonanie, że ich optymizm (sugerowali nawet, że jest szansa, aby dogadać się z nowym rządem, a islamizacja Europy była epokową koniecznością, która po prostu nastąpiła szybciej, niż przewidywano) jest zdecydowanie na wyrost. Mówiąc oględnie, filozofia przyszłych rządzących, oparta na doktrynie państwa teologicznego, w którym rządzi prawo szariatu, oraz strategii bezwzględного atakowania wszystkich, którzy mają inne zdanie, nie wróżyła niczego dobrego. Biorąc pod uwagę poziom zindoktrynowania Abi Rabi’i, jego okrucieństwo, bezwzględność i brak jakiegokolwiek empatii, jednym słowem absolutne zezwierzęcenie, oczywiste było, że przemoc stanie się głównym instrumentem w walce z każdym, kto nie będzie się chciał podporządkować nowej władzy. Kwestią czasu było zaś — obecnie raczej godzin niż dni — wypłynięcie dowodów rzezi

mieszkańców tamtej wsi, w tym starców, kobiet i dzieci. Przyszłość Niemiec rysowała się zatem dość mrocznie, co gorsza, jej wpływ na pozostałe kraje był nieunikniony, kraje, dodajmy, znajdujące się w niewiele lepszej sytuacji, kraje, w których islamska rebelia trwała i nic nie wskazywało na to — zwłaszcza na fali udanego przewrotu w Niemczech — że szybko się skończy.

Przeczytałem jeszcze kilka podobnych artykułów, ale chyba niepotrzebnie skupiałem się na zbyt szerokim spektrum problemu, wszak swoich miałem pod dostatkiem. Odświeżyłem więc parę najważniejszych portali, ostatni raz omiotłem wzrokiem najświeższe newsy i dałem sobie na wstrzymanie. Należało skupić się na tym, co tu i teraz, wszak mogliśmy spodziewać się absolutnie najczarniejszych scenariuszy. I na każdy musieliśmy być przygotowani.

Dzień minął więc na planowaniu i odpoczynku. Wraz z zachodem słońca zrobiło się chłodniej, niebo spowiły szare chmury, z których siąpił deszcz. Leila praktycznie nie opuszczała samochodu, podobnie Gabriel Silberman z wnuczką. Mała kilkakrotnie pytała o rodziców — tyle byłem w stanie zrozumieć po niemiecku — dziadek uspokajał ją i zapewne łągał, że wkrótce ich zobaczy, ale teraz musi być silna i dzielna, karmił ją zapewne tego typu bajkami, w które może uwierzyć tylko tak młody i naiwny umysł. Widziałem, jak cały drżał i z trudem powstrzymywał łzy, gdy rozmawiali. Tkwiła w nim jednak jakaś siła, nie potrafiłem jej jednoznacznie określić, ale przypominał mi trochę Ayo Mosisiego. Wątki, pozornie słaby, ale w środku twardy jak hartowana stal. Ayo przeżył piekło, jaka była historia Gabriela?

Moja ciekawość została zaspokojona wkrótce po zachodzie słońca. Siedzieliśmy na pniakach przy jeziorze i po raz ostatni omawialiśmy plan ewakuacji. Wtedy podszedł do nas Silberman, w rękach trzymał puszkę z ananasem i dwa plastikowe widelce. Usiadł na konarze zaraz przy Krzyśku i poczęstował nas. Zamilkliśmy, ale niemożliwe było go zignorować, nie tylko dlatego, że wobec osoby w tym wieku byłoby to niegrzeczne, Gabriel emanował niemal namacalną energią, która sprawiała, że czułem się przy nim mały i nieistotny.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadza — zaczął, oparłszy łokcie na nie do końca stabilnych udach. — Przepraszam za mój polski, nie taki dobry jak kiedyś. Czas idzie.

Starzec wyciągnął chusteczkę i przetarł usta. Zakaszłał i przeprosił, jakby to była jego wina.

— Ja chcę jeszcze raz podziękować, bardzo, bardzo mocno. Sam Bóg panów zesłał. To, to... — Zawiesił głos, zacisnął chusteczkę w pięści,

bardzo przeżywał każde słowo. — Ja myślał, że to nigdy już nie będzie znów. To zło z piekła...

— Dlaczego to zrobili? — spytał Krzysiek dość oschle.

— Nie wiem, nie wiem... Ta nienawiść, rośnie szybko bardzo. Politycy, władza, młodzi ludzie nie rozumieli, co to znaczy. Nie wierzyli. Ale trudno uwierzyć. Tyle zła...

— Kim byli ci przy drodze? Kto ich powiesił?

Starzec podniósł zmęczone oczy, aby po chwili spuścić je w geście rezygnacji.

— Boże... Ostrzegał, ostrzegał, mieli ich w lesie zostawić.

— Powiesili ich ludzie z pana wioski?

— Nie wiem, chyba. Jürgen, Michael, Alan... *Idioten! Nazi idioten!*

Silberman zamilkł, ale nietrudno było domyślić się, o co mu chodzi. Ruch neonazistowski od kilku lat przeżywał, zwłaszcza we wschodnich Niemczech, niespotykany wcześniej rozkwit i choć przez każdą władzę był tępiony jak najgorsza zaraza, na bazie antyislamskiej retoryki zbudował potężne zaplecze wśród młodzieży. I nie tylko zresztą, że wspomnę wioskę, przez którą przejeżdżaliśmy ciężarówką Matiego. Mimo wszystko odpowiedź nowej władzy zdawała się kompletnie nieadekwatna. Pogrom całej wsi? Kobiet, starców, dzieci? I to w tak bestialski sposób? Brzmiało to kompletnie surrealistycznie. Abi Rabi'a strzelił sobie w kolano i albo był kompletnym idiotą, albo islam zupełnie wyżarł mu mózg, wszak taka masakra na bezbronnych cywilach musiała implikować trudne do oszacowania, choć z pewnością bardzo poważne konsekwencje. Akcja od zawsze rodzi reakcję, a ta, gdy rzeź wyjdzie na jaw — a kiedyś na pewno tak się stanie — może doprowadzić do brutalnej odpowiedzi z drugiej strony. Krwawa wojna domowa wisiała na włosku. Chyba że...

— Myślisz, że Abi Rabi'a celowo dąży do eskalacji? — spytałem Krzyśka.

— Prawie na pewno. Możemy myśleć, że jest szaleńcem opętanym wizją dżihadu, psychopatą i socjopatą, mordercą, sadystą i zwyrodnialcem, a nawet że wpadł w szal z twojego powodu. I pewnie to wszystko prawda, ale nawet największy debil nie prowokuje takich sytuacji, jeśli nie ma w tym ukrytego zamiaru.

— Czyli co? Zacznie teraz hurtowo wyrzynać niewiernych?

— Nie, nie ma do tego ani wystarczającej liczby ludzi, ani sprzętu. Ale dopnie swego, w zasadzie już dopiął...

— Wojna...

— Wojna, brachu. Abi Rabi'a i jemu podobni zawsze tego pragnęli.

Przenieść dżihad do serca Europy. I udało im się. Przez dekady cierpliwie zatruli umysły młodych muzułmanów, radykalni imamowie kształtowali ich sposób myślenia na swoją modłę, podsycali w Europie strach, wrogość, nienawiść. Czekali na błąd, który osiem lat temu popełniła szalona kanclerz. I nie mówię o samym geście, który był chwalebny, wiesz przecież, że ja też jeździłem na misje, by pomagać tym biednym ludziom. Ale ona zachowała się jak gówniara, zupełnie nieodpowiedzialnie, nie konsultując decyzji z innymi państwami, ignorując wszystkie zagrożenia z tym związane. Nie przygotowała żadnych mechanizmów kontroli tej szalonej migracji, która nigdy nie ustąpiła i do dziś nie ustępuje. Jedną lekkomyślną decyzją zaprosiła do Europy cały Trzeci Świat, ludzi biednych, prostych, często nawet niepiśmiennych, niemających absolutnie nic do stracenia. Obiecała im domy, samochody, lekkie życie, a znający poziom naiwności tych ludzi przemytnicy tylko podsycali te brednie. I oni w to uwierzyli. I przyszli. Za późno zorientowała się, że bagatelizując zagrożenie, wpuściła bez żadnej kontroli dziesiątki tysięcy w pełni zindoktrynowanych fundamentalistów, co tylko przyspieszyło antyislamską psychozę, która z czasem uwolniła w rdzennych Europejczykach, często najzwyczajniejszych szarych obywatelach, wszystkie uśpione demony, których jak na ironię Niemcy tak się wstydzili i od których tak starali się odżegnywać. Jeden głupi błąd i... — Figur strzelił palcami. — Islamiści dopięli swego, brachu. Wygrali...

— Nienawiść mas...

Figur pokiwał głową na znak pełnej zgody.

— Politycy uwierzyli w fundamentalną dobroć człowieka — mruknął pod nosem. — I bardzo się pomylili...

Nastąpiła chwila ciszy.

— Zapomnieli... chyba wszyscy zapomnieliśmy. — Silberman podniósł głowę i wytarł chusteczką usta.

— Pan pamięta, prawda? — Figur sugestywnie spojrział na jego przedramię, starzec podwinął rękaw.

— Numer dwa, dwa, jeden, dwa, dwa, dziewięć^[16]. Przekłete cyfry...

Przypomniałem sobie coś, co wcześniej puściłem mimo uszu, gdy Silberman pierwszy raz mnie zagadnął. Powiedział coś o obozie.

— Był pan więźniem? — spytałem.

Starzec z trudem zaciągnął drżącą ręką rękaw kurtki i twierdząco pokiwał głową.

— Auschwitz. Od drugi maj tysiąc dziewięćset czterdzieści cztery do dwudziesty siódmy styczeń czterdzieści pięć. Dla Żydów to zły czas był.

— Jak pan tam trafił?

— Z Węgry. Tam się urodził. Gdy Niemcy przyszli, ja miał dwanaście lat. Najpierw my się z rodzicami ukrywali, ale nas znaleźli. Ojca zastrzelili, a matkę, mnie i moje trzy siostry wysłali do obóz. Tylko ja przeżył to piekło.

W półmroku ledwo widziałem oczy Silbermana, ale nawet w takich warunkach można było dostrzec, że wyziera z nich nieopisany ból i bezdenne żal. Pomyślałem, że ten człowiek drugi raz stracił wszystko.

— Piekło wróciło — kontynuował. — To moja wina, moja wina... — Tym razem nie wytrzymał i ze starych oczu pociekły łzy.

— To nie pana wina — odparł Krzysiek dość oschle. — Pan nie ma z tym nic wspólnego. To...

— To moja wina, moja wina — uporczywie powtarzał starzec. — Wybaczyłem, ale nie powinien zapomnieć. A ja zapomniał, zapomniał i zignorował znaki.

— Jakie znaki? — wtrąciłem.

Silberman spojrzał na mnie, jego oczy błyszczały dziwnie, jakby we wnętrzu tego biednego człowieka powoli dogasał ostatni płomień.

— Kiedy miliony ludzi na całym świat, cały system polityczna, a dziś nawet religia, którą wyznają, od lat powtarzają, że cię zabijają, to powinienes im wierzyć.

Chwilę zajęło mi przetworzenie sensu wypowiedzi Silbermana i gdy w końcu go pojąłem, poczułem, jakbym dostał obuchem w łeb. Przecież to było bardziej niż oczywiste. Od kiedy pamiętam, islam zawsze był wrogo nastawiony do świata zachodniego. Duchowi przywódcy, nawet ci najbardziej prominentni z krajów teoretycznie prozachodnich, jak Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Kuwejt, Katar czy wiele innych, wielokrotnie zachwalali dżihad, petrodolary wspierające terroryzm płynęły do Europy nieprzerwanym strumieniem, często niemal oficjalnie, owszem, niby pod przykrywką wpierania budowy nowych meczetów czy rozwijania społeczności muzułmańskich, ale i tak każdy wiedział, na co są wydawane. I nawet pomimo statystyk wskazujących, że radykalne idee Państwa Islamskiego stają się coraz bardziej popularne wśród zwykłych ludzi, nikt z europejskich decydentów nie podjął się zatrzymania tego niepokojącego zjawiska. Mało tego, islam pod płaszczykiem wolności wyznania rozwijał się w postępie niemal geometrycznym, mając poparcie władz, wszelakie przywileje i niemal nieograniczony dostęp do pieniędzy socjalnych, na które rdzenni Europejczycy, zwłaszcza klasa średnia, musieli ciężko pracować, często ledwo wiążąc koniec z końcem. Dzieci rodzone w muzułmańskich gettach od najmłodszych lat były indoktrynowane, często naturalnie separowane od innych obywateli, wychowywały się w rodzinnych klanach,

dorastały w pogardzie i nienawiści do świata i obywateli Zachodu. Dlaczego nikt nie walnął pięścią w stół i nie krzyknął „dość”? Przecież to było takie oczywiste! Stary Kontynent utknął jednak w niezrozumiałym obłędzie poprawności politycznej, nie potrafiąc dostrzec jasnych sygnałów, zwłaszcza w dobie nieograniczonego dostępu do informacji. Przez lata internet sycił się tysiącami filmów, w których islamscy radykałowie wzywali do mordowania niewiernych, straszył brutalnymi egzekucjami i zapowiedziami zniszczenia Europy. Nikt nie brał tego na poważnie, politycy zaklinali rzeczywistość, udając, że problem nie istnieje, wierząc, że potencjał gospodarczy, kulturowy i oczywiście militarny jest wystarczającym zabezpieczeniem przed agresją ze strony muzułmańskich fundamentalistów. Nawet gdy prezydenci takich krajów jak Iran mówili o starciu z mapy całych państw, czego Izrael jest najlepszym przykładem, nikt nie reagował. Setki krwawych zamachów pochłonęły dziesiątki tysięcy istnień, ale przez te lata nikt nie zastanowił się, czemu to wszystko miało służyć.

Garstka osób pokroju Gabriela Silbermana wiedziała, że nie można lekceważyć podobnych sygnałów. Ale ich głos rozpaczy był tłamszony przez polityczną poprawność, a oni sami woleli w końcu odpuścić, w obawie przed posądzeniem o sympatyzowanie z rasistowskimi czy faszystowskimi ideałami, którymi to oskarżeniami tak wściekle atakowali zaślepieni swoją utopią moralistów u władzy. Część, wiedzona bezsilnością, zaprzestawała dalszej walki, inni — jak Silberman — być może uwierzyli w nachalną propagandę i stracili czujność, nieliczni zostali zakrzyczani. Ludzkość znów zawierzyła we wrodzone dobro człowieka, licząc, że tak okrutne czasy już nigdy nie powrócą. Nigdy nie potrafiliśmy uczyć się na błędach i wyciągać wniosków z własnej historii...

Przez jakiś czas obaj kontemplowaliśmy słowa tego starego człowieka. Nie miałem odwagi przerwać tej ciszy, tak jakbym nie był tego godzien. Zrobiła to za mnie sama matka natura, która machnięciem niewidzialnej dłoni potrząsnęła koronami drzew, zrzucając z nich ostatnie kolorowe liście. Konary zatrzeszczały, a gdzieś w oddali złowieszczo zahukała sowa. Wiatr ustał, ale podmuch z zachodu przywiódł coś, co spowodowało, że moje jelita związały się w supeł. Ohydny bukiet, z którego najmocniej przebijała woń palonego mięsa.

Kilka minut później Krzysiek przekręcił kluczyk w stacyjce. Do przejścia granicznego na Nysie Łużyckiej mieliśmy czterdzieści trzy kilometry.

Krzysiek

27 września 2023 roku, okolice granicy niemiecko-polskiej, Niemcy

Widoczność była fatalna, ale Figur przyjął ten fakt z nieskrywaną radością. Arktyczny front znad Rosji, który od wczorajszego wieczoru zaczął wypierać ciepłe powietrze znad Hiszpanii, sprawił, że przy gruncie zaczęły tworzyć się gęste i zawiesiste mgły, zwłaszcza na polach, w okolicach jezior, rzek i najróżniejszych cieków wodnych. Matka natura od akcji w Berlinie zdawała się sugerować przy każdej okazji, że stoi po ich stronie, co — jeśli byłby człowiekiem przesadnym — mógłby uznać za dobry omen. On po prostu się cieszył, zapisując ten fakt na duży plus.

Przez cały poprzedni dzień analizował wszystkie potencjalne warianty, aby wybrać ten obciążony najmniejszym ryzykiem, którego całkowite wyeliminowanie było niemożliwe. Teren przygraniczny znał, rekonesans zrobił wcześniej, jeszcze podczas poprzedniej wizyty w Berlinie, ale aby szanse na dostanie się do Polski osiągnęły choćby magiczną barierę pięćdziesięciu procent, potrzebował wsparcia. Zakładał, że granica jest chroniona praktycznie na całym odcinku, optymistyczny wariant zakładał, że Abi Rabi'a większość sił skumulował w okolicy Berlina, wszak Al-Sahili nie miał pojęcia o jego obecności, a co za tym idzie — o niemal natychmiastowym przetransportowaniu Kuby i Leili poza miasto. Opcja pesymistyczna przewidywała skumulowanie najlepszych jednostek przy samej granicy, przecież staruch musiałby być kompletnym idiotą, aby po raz trzeci nie docenić przeciwnika, który wcześniej dwukrotnie ośmieszył go na oczach jego ludzi, odbijając mu więźniów spod samego nosa.

Tak czy inaczej, wsparcie było jednak nieodzowne, podjął więc niezwykle trudną i ryzykowną dla siebie decyzję. Poprosił o wsparcie polski rząd. Nie bezpośrednio oczywiście, zadanie to zlecił swojemu szwagrowi. Zadzwoił do Michała krótko przed wschodem słońca, gdy na swojej pierwszej warcie doszedł do wniosku, że tylko w ten sposób może wywieźć stąd wszystkich, których świadomie, choć niekoniecznie chętnie, wziął pod opiekę. Przypominający mumię Kuba, młoda muzułmanka, dziewięćdziesięcioletni Żyd i jego kilkuletnia wnuczka — taka „ekipa” nie wieszczyła łatwej przeprawy, nawet gdyby chciał ich zabrać w letnie

popołudnie na górską wycieczkę na Śnieżkę. Przedostanie się przez hordy rzeźników Abi Rabi'i, niektórych z pewnością wyszkolonych i mających doświadczenie bojowe, w mgłę, błocie, być może pod ogniem — niewykluczona przeprawa wpływ przez rzekę też wchodziła w grę — sprawiało, że musiał podjąć jedyną możliwą decyzję. Poprosił więc Michała, aby zgłosił się do Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Zielonej Górze i przekazał, że po północy będzie chciał przekroczyć granicę na wysokości zwykle nieuczęszczanego przejścia granicznego na Nysie Łużyckiej, w dodatku ze „słynnym terrorystą”, Jakubem Krystianem Polakiem, na pokładzie. Postanowił wykorzystać fakt, że sprawa jego przyjaciela stała się w Polsce bardzo medialna, a oskarżenie go przez nowe władze Niemiec o terroryzm i wysłanie za nim listu gończego z wysoką nagrodą za jego pochwylenie rząd Rzeczypospolitej uznał za policzek i wyzwanie rzucone polskim obywatelom. Temat nie schodził z czołówek gazet i wieczornych wiadomości, a „mądre głowy” snuły kolejne idiotyczne teorie, próbując jakoś powiązać historię okrutnego mordu na jego rodzicach z faktem jego poszukiwania przez byłego terrorystę, a dziś już prawie ministra spraw wewnętrznych Niemieckiej Republiki Islamskiej, którego nazwisko przewijało się także w kontekście wydarzeń na hiszpańskiej La Mandze. I właśnie tu kilku dziennikarzy popisało się całkiem solidnym podejściem do swoich obowiązków, w związku z czym dokopali się do zabójstwa Nawal, śmierci murciańskiego oficera, Juana Mondragona, i nagłego pojawienia się przy Kubie włoskiego żołnierza Legii Cudzoziemskiej. Próby powiązania tych luźnych faktów i rozwikłania całej historii prezentowały się już natomiast raczej kiepsko, mimo wszystko zbudowały wokół przyjaciela niespotykaną dotąd w historii kraju atmosferę. Biorąc to wszystko pod uwagę, szansa na pomoc ze strony państwa wydawała się całkiem prawdopodobna, zwłaszcza że europejska rebelia zaczynała odbijać się także na Polsce. Coraz częstsze braki na półkach sklepowych towarów importowanych z Europy Zachodniej, gwałtowne podwyżki cen podstawowych produktów spożywczych czy skokowa wręcz zmiana cen benzyny zaczęły napędzać społeczeństwo frustracją, a każdy u władzy doskonale zdawał sobie sprawę, że najlepszym sposobem na uspokojenie nastrojów jest odwrócenie uwagi od najpoważniejszych problemów i zogniskowanie niechęci obywateli wokół jakiegoś zewnętrznego wroga. Uratowanie „swojego” człowieka cieszącego się w kraju niesłabnącą popularnością, którego media, zwłaszcza prawicowe, zaczęły kreować na bohatera, a nawet kogoś w rodzaju samotnego mściciela i pogromcy islamu, zdawało się idealną pożywką dla mas i mogło jedynie wzmocnić

legitymizację władzy w tym trudnym czasie.

Nie pomylił się. Stary oficer, który przyjął Michała, co prawda najpierw go wyśmiał, ale gdy Afgan pokazał mu najświeższe selfie Kuby i pokrótce zdradził kilka faktów dotyczących Abi Rabi'i, a wojskowy przesłał dane do Warszawy, po pół godzinie szwagier był już przyjmowany z honorami. Szybko przetransportowano go do bazy NATO w Żaganiu, gdzie przekazał wszystkie informacje generałowi Stasiakowi, oddelegowanemu przez Ministerstwo Obrony Narodowej do opanowania sytuacji przy granicy z niestabilnymi i pogrążonymi w — coraz częściej takie sformułowania trafiały także do opinii publicznej — wojnie domowej Niemcami.

Jako że życie nauczyło go, aby nigdy w pełni nie ufać najwyższym władzom, musiał się zabezpieczyć i nawiązał również kontakt z jedyną osiągalną w tej chwili osobą, której poziom wykształcenia gwarantował konkretne działanie na polu walki. Dodatkowo Patryk nie tylko należał do najbardziej zabójczej jednostki specjalnej w Polsce, a może i na świecie, ale był także jednym z najbliższych przyjaciół, człowiekiem honoru, dla którego dane słowo jest warte więcej niż wszystkie skarby świata. Jemu ufał w stu procentach i biorąc pod uwagę fakt, że polski rząd raczej nie odważy się wysłać swoich jednostek poza granicę państwa, aby nie wywołać kolejnego spięcia w niezwykle zaognionych stosunkach pomiędzy oboma krajami, obecność snajpera GROM-u, który mógłby razić przeciwników na przestrzeni ostatnich dwóch kilometrów do granicy, wywołać w ich szeregach chaos i zamęt i odwrócić uwagę od nadjeżdżającego pojazdu, była wartością absolutnie nieocenioną. Co istotne, w przeciwieństwie do ewentualnej pomocy ze strony polskiego wojska z Patrykiem mógł być w stałym kontakcie, bo stary kompan z Falubazów wciąż posiadał zegarek od Franco. Aspekt niezwykle istotny, wszak łączność od zawsze była jednym z najważniejszych elementów przy planowaniu, często decydującym o powodzeniu lub fiasku misji. Fakt, że Patryk już wcześniej wyraził chęć pomocy, a dziś nad ranem dodatkowo próbował się z nim skontaktować, jeszcze bardziej skłoniła Krzyśka do skorzystania z jego wyciągniętej dłoni. Wiedział, że będzie miał u niego dług, ale wśród zawodowych żołnierzy jednostek specjalnych nie ma ludzi z czystym kontem. Zawsze znajdzie się osoba, której coś zawdzięczasz, i zawsze znajdzie się taka, której to ty uratowałeś życie.

Jak wyglądał plan? Tym razem był prosty jak budowa cepa. W skrócie „wejść z drzwiami”, nie oglądając się na nikogo. Niestety, ukształtowanie terenu tym razem nie działało na ich korzyść, gdyż wzdłuż Nysy Łużyckiej nie było po stronie niemieckiej ani jednego zalesionego fragmentu terenu,

który mógłby osłaniać ich przed wścibskimi oczami ludzi Abi Rabi'i, a pewnie nawet jeśli taki by się znalazł, w obecnej sytuacji byłby porządnie obstawiony. Ostatnie dwa tysiące metrów musieli więc pokonać niemal zupełnie odśnieżeni, albo polami, albo drogą, co najwyżej okryci przez płaszcz nisko zawieszanej mgły. Obie opcje narażały ich na ostrzał, ale dużą nadzieję pokładał w Patryku, który w ciągu kilku sekund mógł wprowadzić w szeregi przeciwników kompletny chaos, nawet jeśli zostałby zmuszony przez aurę do prowadzenia działań w ruchu.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ. Do granicy mieli jeszcze pięć kilometrów. Zatrzymał się, ale pozostawił silnik na chodzie. Włączył GPS w zegarku i z zadowoleniem odnotował, że Patryk był już po niemieckiej stronie. Znajdował się gdzieś w wiosce Coschen, co sugerowało, że albo mgła nie jest aż tak gęsta, albo wisi bardzo nisko, dzięki czemu może wyszukiwać i razić cele, jeśli tylko zajmie pozycję na wystarczającej wysokości.

— Klamka? — zapytał.

— Na miejscu. Zwarty i gotowy.

— Dobrze znów cię słyszeć, bracie.

— Ciebie też.

— Jak sytuacja?

— Przy granicy spokojnie. Na moście tylko czterech bandytów i jeden wóz. Zwykła toyota, ale z ruskim PKP na pace. Na moje oko amatorzy.

— Żadnego ciężkiego sprzętu? Krążących śmigłowców?

— Nic. Jeśli się rozpędzicie, to zmieciecie ich jak husaria Sobieskiego ich pradziadków pod Wiedniem.

— Jakiś ruch wzdłuż wału?

— Widziałem kilku i dwie motorówki.

— Co byś wybrał?

— Sobieskiego pod Wiedniem.

— Możesz ich ściągnąć dla pewności?

— Tak, ale to ryzykowne, bo musiałbym zejść z dachu i nie będę miał dobrego punktu do obserwacji, w razie gdyby sytuacja uległa zmianie. Stąd ich, niestety, nie widzę, mgła przy rzece jest bardzo gęsta.

— A na polach?

— Gęsta, ale nierówna i niska. Cherokee jest wysoki i może być widoczny.

— A więc Sobieski?

— Ja bym tak zrobił.

— Poradzisz sobie?

- Pytasz dzika, czy sra w lesie?
- A więc do roboty.
- Pozdrów Kubę. Podziwiam tego studenciaka.
- Na pewno. Bez odbioru.

Krzysiek nakrył dłońmi twarz i wziął głęboki, oczyszczający oddech. Odwrócił się w stronę przyjaciela i spojrzął mu w oczy.

- Jesteś gotowy?
- Zróbmy to.
- Masz pozdrowienia od Patryka.
- Dzięki.

Odchylił się w kierunku Silbermana.

- Proszę dopilnować, aby wszyscy zapięli pasy i pochylili głowy.
- Oczywiście, tak, tak, ja dopilnuje.

Legionista chwycił za dźwignię zmiany biegów, wrzucił jedynekę i delikatnie wcisnął pedał gazu. Podrasowany pięciolitrowy silnik mruknął zadowolony, jakby doskonale wiedział, że wkrótce będzie mógł pohasać niczym spuszczonej ze smyczy wściekły pitbull. Poczuł ten jedyny w swoim rodzaju dreszcz, który zawsze przychodził tuż przed misją i poprzedzał przejście organizmu w tryb ekstremalnej koncentracji, stan, w którym całe ciało przeistaczało się w zaprogramowaną maszynę do zabijania.

Tak, tej nocy miało zginąć wielu ludzi. Na innych czekało piekło. Na niego sam diabeł.

Kuba

28 września 2023 roku, Coschen przy granicy z Polską, Niemcy

Zatrzymaliśmy się na skraju lasu. Krzysiek wyłączył silnik i zaległa niemal martwa cisza. W oddali, za polami, majaczyły linie zabudowań, wyłaniały się na wzgórzu z mlecznego oceanu, niczym posępne chałupy ze słynnych *Baśni braci Grimm*. Z jednej strony otoczone ponurym lasem, skąpane w żółtawym, rozproszonym przez mgłę blasku latarni, zdawały się kołysać i falować, jakby pragnęły zahipnotyzować potencjalnych wędrowców, aby zwabić ich w swoje progi. Wprost w pułapkę?

To była głupia myśl. Niepotrzebna. Ale atmosfera stała się gęsta i lepka jak miód. Powietrze niemal stało, bezlistne konary okolicznych dębów zawisły w bezruchu, jakby zaciąły się na nieświadome niebezpieczeństwa ofiary, aby w błyskawicznym ataku pochwycić je w swoje szponiaste gałęzie i wchłonąć w swoje trzewia. Nie grały świerszcze, nie szumiały trawy. Czarne niebo. Paraliżująca umysł cisza.

— Tu jest za spokojnie... — mruknął mój przyjaciel, nie odrywając wzroku od przedniej szyby.

— Do granicy mamy tysiąc osiemset metrów — odparłem.

Figur zasępił się. Czułem to samo. Ta wieś, te pola, ta gęsta mgła zapraszały nas, żebyśmy w końcu wyłonili się z lasu. Jakby miały wobec nas swoje własne plany, ukryte zamiary. Nieprzychylne, złe.

Poczułem na plecach zimny dreszcz. Wzdrygnąłem się.

— Klamka? — rzucił w eter.

— Na pozycji.

— Wciąż bez zmian?

— Droga wolna.

— Zatem pilnuj nas, brachu. Bez odbioru.

Krzysiek wpatrywał się w zabudowania. Kusily i uwodziły.

— Co o tym myślisz? — spytał, wciąż taksując okolicę, a mnie to wyjątkowo schlebiło.

— To tylko niecałe dwa kilometry. A Patryk będzie miał nas na oku.

— Bardzo chciałem znaleźć się już po drugiej stronie granicy.

— W porównaniu z akcją w Berlinie to wygląda jak bułka z masłem.

— I to mnie właśnie niepokoi...

— Może przeceniasz tego starucha?

— Może... — Figur przekręcił kluczyk w stacyjce. — Po prostu mam złe przeczucie.

— To co robimy?

Legionista ostatni raz omiół wzrokiem zabudowania i zatopione w białej zupie pola. Świat jakby się zatrzymał. Kompletny bezruch.

— Lepszego miejsca nie znajdziemy. Jeśli mamy przekroczyć granicę, to tylko tu — rzucił po krótkiej chwili mój przyjaciel, po czym wrzucił jedynekę i powoli ruszył z miejsca.

Odbezpieczyłem berettę, którą odziedziczyłem po Franco. Poczułem, jak w moich żyłach krew przyspieszyła, a jej temperatura wzrosła. Adrenalina wdarła się do mojego organizmu żywym strumieniem.

Otuleni mlecznym oparem zjechaliśmy na asfaltówkę do Coschen. Poruszaliśmy się powoli, w ciszy, której towarzyszył jedynie ciężki warkot pracującego silnika. Czuję się jak na planie jakiegoś filmu grozy, z duszą na ramieniu wypatrywałem we mgle jakiegokolwiek ruchu. Mój umysł pragnął odrobiny normalności, a nie tej upiornej ciszy, stojącej w bezruchu mgły i niepokojącego blasku przydrożnych latarni.

Wjechaliśmy pomiędzy zabudowania. Minęliśmy jedno domostwo, drugie, trzecie... Gdzieś zaszczekał pies, w chałupie na lewo zgasło światło. Wciąż toczyliśmy się bardzo powoli. Gdy dotarliśmy na szczyt wzniesienia, mgła przerzedziła się, a ja kątem oka dostrzegłem na ganku mężczyznę, który palił papierosa. Stał nieruchomo, powiódł za nami wzrokiem, ale nie zareagował. Odezwał się kolejny pies i następny. Po kilkunastu sekundach ujadła cała wieś, a gdy księżyc na chwilę przebił się przez chmury i rzucił blask na skąpane we mgle pola, gdzieś w oddali jeden z kundli zawył jak wilk. Jakby nawoływał resztę stada, jakby zwęszył ofiarę, jakby ruszał na łowy.

Poczułem mrowienie w palcach u nóg. Nie miałem czasu myśleć o swoich słabościach, ale po prostu się bałem. Nie mgły, ujadających psów czy czających się cieni. Podskórnie czułem, że powinniśmy zawrócić. Może zasugerowałem się tym, co powiedział Krzysiek, a może instynkt przemówił do mnie jak nigdy wcześniej... Ale białe pola kusily, skąpana we mgle rzeka przyciągała. Jeszcze tylko kilkaset metrów.

Spojrzałem przed siebie. W oddali majaczyły przesła mostu, które w najwyższym punkcie nieśmiało wychylały stalową konstrukcję z niemal nieruchomej zawiesiny. Zerknąłem na Figura. Był spięty jak nigdy, coś go trapiło. Jego oczy błyszczały niepokojącym blaskiem. Stoczyliśmy się

kolejne sto metrów. Widoczność znów spadła do kilku. I kolejne sto. Zostało dwieście metrów. Kilkanaście sekund. Mgła. Gęsta. Mleko...

Ujrzałem kroplę potu na skroni przyjaciela. Sekundę później skręcił kierownicę i wcisnął pedał gazu, a silnik cherokee zawył okrutnie. Gruchnęło jak z armaty, a ja poczułem swąd palonej gumy. Nagle zrobiło się bardzo jasno.

Patryk

28 września, granica niemiecko-polska przy wsi Coschen, Niemcy

Usadowił się pod sklepieniem starej szopy. Pole widzenia obejmowało drogę do samej granicy na długości niemal tysiąca metrów i szeroki pas zatopionych we mgle pól, w tym niewielki zalesiony fragment tuż przy wale po lewej stronie mostu. Omiótł lunetą najbardziej newralgiczne punkty na trasie przejazdu swojego przyjaciela. Gęsta zawiesina otulała wszystko szczelnym całunem i z trudem przyjął do wiadomości, że miałyby poważne problemy, aby ściągnąć potencjalne cele. Wystarczyło, że średniego wzrostu mężczyzna przykucnąłby i natychmiast zniknął z pola widzenia. Dawno nie widział tak skondensowanego oparu.

Usłyszał szelest i kątem oka dostrzegł ruch po swojej prawej ręce. Machnięciem dłoni odgonił niewielką mysz, która instynktownie skryła się w zalegającym sianie. Wytarł pot z czoła i rozciągnął mięśnie szyi. Przyłożył oko do okularu. Raz jeszcze poprawił pozycję. Pomyślał o nich. Ten horror zbliżał się do końca. Robił to, co zrobiłby na jego miejscu każdy prawdziwy mężczyzna. Nie miał innego wyjścia.

Gdy księżyc przebił się przez chmury i rozświetlił okolicę srebrnym blaskiem, dostrzegł we mgle jakiś ruch. Coś na polu poruszyło się, ale chwilę później znów zatonoło w gęstej zawieszynie. Poczuł, jak serce głośniejszym rytmem wybija swój rytm. Posępna cisza sprawiła, że słyszał każde jego uderzenie. Ręce zaczęły mu drętwieć. Tak jakby organizm z pełną premedytacją odmawiał posłuszeństwa kolejnym impulsom, które do komórek wysyłał pracujący na pełnych obrotach mózg.

Na wzgórzu zamigotała sylwetka potężnego jeepa cherokee. Podkreślił zoom i za szybą dostrzegł zarys twarzy swojego przyjaciela. „Boże, miej ich w swojej opiece” — pomyślał. Terenówka powoli zaczęła staczać się ze wzniesienia i po chwili zanurzyła się w mlecznym oparze, tylko momentami wyłaniając się w miejscach, gdzie mgła była mniej skondensowana. Cherokee pojawiał się i zniknął, niczym duch podążał w kierunku swego ponurego przeznaczenia. Śledził go, nie spuszczał wzroku, czarna podziałka w okularze niespokojnie krążyła po ubłoconej karoserii. Dostrzegł, że w tle, na polu, biały opar znów nienaturalnie zawirował. Pojawił się ciemny punkt,

chwilę potem drugi.

Serce zaczęło mu walić jak młot pneumatyczny. Obrął cel, naprężył mięśnie i wstrzymał oddech. „Boże, miej ich w swojej opiece” — pomyślał i nacisnął spust, a we mgle w jednej sekundzie rozbłysnęły dziesiątki potężnych reflektorów.

Krzysiek

28 września 2023 roku, granica niemiecko-polska przy wsi Coschen, Niemcy

Gdy zrozumiał swój błąd, było już za późno. Świat znów zwolnił, jakby ktoś z premedytacją włączył tryb *slow motion*. Opona cherokee została rozerwana na strzępy, a huk, jaki temu towarzyszył, omal nie rozerwał mu bębenków. I pomimo tego, że wszystko trwało ułamki sekund, widział sunące w powietrzu fragmenty rozprutej gumy i słyszał wzbierające echo wystrzału. Gdy oślepiły go potężne reflektory, jego ciało zareagowało instynktownie, zanim jeszcze synapsy zdołały wysłać kolejne dyspozycje. Właśnie do takich sytuacji był szkolony.

Gwałtownie skręcił w ostatnią prostopadłą ścieżkę i wcisnął gaz do dechy. Pięciolitrowy benzyniak zawył jak raniony tur, a lewa felga wbiła się w zwirowy grunt. Skontrował i ciskając spod tylnych kół kilogramy grysu, w końcu złapał przyczepność i wyrwał do przodu. Pędził przed siebie niemal na oślep, tonąc we mgle. Wiedział, że za sto metrów znajdują się zabudowania gospodarcze, które może wykorzystać. Tak jak zapamiętał, cherokee gruchnął w starą bramę, która po tym niecodziennym spotkaniu pofrunęła w białą otchłań, a gdy mijał pierwszy silos na zboże, poczuł, że znów traci panowanie nad kierownicą. Kolejny huk rozdarł okolicę i druga opona eksplodowała niczym niewielki ładunek wybuchowy. Skontrował, ale kierownica całkiem się zablokowała. Dwa koła lewych osi były praktycznie bezużyteczne, mimo to zredukował i podjął kolejną próbę. Cherokee, opierając się wszelkimi możliwymi sposobami, w końcu musiał ulec. Wdarł się w grząskie pole i siłą rozpędu przejechał jeszcze około stu metrów, aż zagrzebał się w bagnistym podłożu.

— Kuba! Bierz ich i idźcie do rzeki! — krzyknął.

W tle rozbrzmiewały pokrzykiwania i tupot dziesiątek żołnierskich butów.

— Ale...

— Bierz ich i wypierdalaj! — warknął, rzucając przyjacielowi groźne spojrzenie, w którym zawarł wszystkie swoje emocje: gniew, irytację, żal, smutek, wściekłość. — Zatrzymam ich tak długo, jak będę w stanie.

— Krzychu, do granicy zostało sto metrów!

— Nie damy rady, nie z nimi.

— Kurwa!

— Odwróć ich uwagę, ale ty zabierz naszych na drugą stronę. I natychmiast wyłącz GPS! — Legionista upewnił się, że przyjaciel wykonał polecenie. — I błagam, idź już, bo zaraz dopadną nas wszystkich!

To mówiąc, wcisnął mu w ramiona szokowaną kilkulatkę, którą przed chwilą wyciągnął z tylnego fotela. Pełen wątpliwości spojrzął na starca, który wychodząc z pojazdu, nie utrzymał równowagi i osunął się w błoto, ale z satysfakcją przyjął fakt, że ta młoda muzułmanka chwyciła go pod ramię i pomogła wstać. Rzucił ostatnie spojrzenie swojemu najbliższemu przyjacielowi, którego kochał nie mniej niż jedyną siostrę. Choć trwało to nie dłużej niż sekundę, miał wrażenie, że tą chwilą mógłby wypełnić kilka życiorysów i zapisać kilka książek. Wtedy mglisty jęzor wsunął się pomiędzy obu mężczyzn i rozdzielił ich, a on pomyślał, że na zawsze.

Zamknął oczy, a gdy znów je otworzył, Kuby już nie było. Został sam w gęstej jak mleko mgle, z beretą, glockiem, czterema nożami i — na samą myśl, że tego najmniej się spodziewają, podświadomie poczuł przypływ perfidnej satysfakcji — ośmioma niewielkimi ładunkami wybuchowymi, które w czasie pobytu w Zielonej Górze zorganizował od jednego z ukraińskich weteranów wojny w Donbasie. Przyklęknął i wsłuchał się w rytm kroków nieprzyjaciół. Nie strzelali, chcieli wziąć ich żywcem. Weszli w pole, bieg zastąpił powolny chód, tupotanie i chrzęst żwiru, plusk wody i bulgot tonących w błocie ciężkich żołnierskich butów. W tle warkot silników zbliżających się terenówek, szcęk odbezpieczanych mechanizmów kałasznikowa, cedzone przez megafon słowa człowieka, który rozpętał to piekło: „Jesteście otoczeni, poddajcie się. Nie macie szans, darujemy wam życie”. Znał ten zachrypły głos. Nienawidził go.

Muhammad Chalil Abi Rabi'a znajdował się nie dalej niż sto, może dwieście metrów od niego. Pokusa, aby przemknąć niezauważonym pomiędzy jego ludźmi, odnaleźć go, dopaść i zagłębić ostrze w czarnym sercu, zdawała się niemal nie do poskromienia. Niczego nie pragnął tak mocno. Ujrzeć, jak charczy krwią, szokowany wydaje z siebie ostatnie tchnienie, a w oczach legionisty, w których widzi własne odbicie, dogasa ten wyjątkowy płomień...

Nie tym razem. Musiał odwrócić uwagę wroga. Bez zastanowienia wyjął pierwszy ładunek, ustawił czas zapalnika na dziewięćdziesiąt sekund i umieścił go pod nadkolem jeepa. Ruszył na północ. Kolejny wcisnął w górkę błota i rozciągnął żyłkę mającą na celu odbezpieczyć zapalnik do kolejnego ładunku, który ukrył trzy metry dalej. Powtórzył ten manewr

jeszcze dwukrotnie w odstępach kilkunastu kroków i spojrzął na zegarek. Sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... Potężna eksplozja rozświetliła okolicę, a trzech przeszukujących wnętrze pojazdu mężczyzn zostało w ułamku sekundy rozerwanych na strzępy. Fragmenty karoserii i tysiące odprysków szyby powaliło kolejnych pięciu, którzy znaleźli się najbliżej strefy rażenia. Padli w błoto, trzymając się za oczy, ślepi, porażeni huraganowym bólem, wili się, wzywając własne matki i Boga jedyne. Wrzaski rannych przemieszały się z kolejnymi rozkazami przełożonych i sykiem płomieni trawiących samochód Matiego. I ujadaniem psów. Tego obawiał się najbardziej. Szkolenie pozwalało mu w tych warunkach być niewidzialnym dla ludzi. Psów nie był w stanie oszukać. Pomyślał o Kubie, Leili, Gabrielu i Sophie. Czy zdołali dotrzeć do wału?

Oddał w powietrze cztery strzały. W eter poszły kolejne rozkazy, a wściekłe szczekanie nagle stało się głośniejsze niż wcześniej. Spuścili bestie ze smyczy. Zdjął letnią kurtkę i błyskawicznie owinął wokół lewego przedramienia, drugą ręką wyjął z kabury nieodłączny nóż i mocno zacisnął palce na rękojeści.

Musi zatrzymać pościg jeszcze przez kilkadziesiąt sekund. Kuba wkrótce dotrze do rzeki.

Kuba

28 września 2023 roku, granica niemiecko-polska przy wsi Coschen, Niemcy

Brodziłem przez rozmokły grunt, czując na karku oddech ludzi Abi Rabi'i. I walcząc z cholernym poczuciem winy.

Dotarliśmy do wału w momencie, gdy za plecami samochód Matiego pożegnał się z tym światem w sposób niezwykle efektowny, przy okazji zabierając na wieczny spoczynek kilku podwładnych Abi Rabi'i. Zapewne nie wyglądałem lepiej od Leili, jej twarz prezentowała się jak oblicze jednej z tych kobiet, które mają na celu za wszelką cenę oszukać czas poprzez nakładanie na siebie ton wszelakich mazideł o zapachu kloaki i konsystencji na pół wyschniętego gówna. Zaimponowała mi jednak i musiałem docenić jej wkład w pomoc Gabrielowi Silbermanowi, który bez asysty nie uszedłby o własnych siłach dziesięciu kroków. Poślizgnęła się i wylądowała w błocie przynajmniej trzy razy, ale za każdym razem wstawiała i parła naprzód. Ujrzałem w niej silną kobietę, pod tym zwodniczym płaszczykiem rozemocjonowanej smarkuli kryła się twarda dziewczucha, która wiedziała, jak zadbać o siebie i innych. Udowodniła to po raz kolejny, dlatego gdy wdrapaliśmy się na niewielki wał, a ja w blasku ognia dostrzegłem za plecami dwa zbliżające się we mgle cienie, pomyślałem, że najwyższy czas udowodnić coś sobie.

Oddałem Leili będącą w skrajnym szoku Sophie, po czym wyjąłem zza paska berettę i odbezpieczyłem mechanizm. Dogoniliby nas, to było niemal pewne, bo za wałem czekała nas jeszcze pięćdziesięciometrowa przeprawa przez wysokie trawy i wszelkiej maści rzeczne chaszczce, a miałem przekonanie graniczące z pewnością, że grunt jest jeszcze bardziej grząski i tym razem nie będziemy brodzić w bagnie po kolana, ale po pas.

Spojrzała na mnie z przerażeniem w oczach. Gdzieś we mgle ktoś oddał cztery strzały, jakby chciał zmobilizować mnie do tego, co chciałem uczynić.

— Dogonię was — rzuciłem i nie wiem czemu puściłem jej oko.

Posłusznie ruszyli w dół skarpy, a ja położyłem się zaraz za szczytem i wycelowałem w zbliżające się cienie. Nie trwało to dłużej niż kilkanaście sekund, ale miałem wrażenie, że przed oczami przeleciało mi całe życie,

a mógłbym jeszcze zdążyć zaparzyć kawę i przeczytać najnowsze wydanie „Przeglądu Sportowego”. W oddali słyszałem krzyki, rozkazy, ujadanie psów i syk płomieni. Cienie stawały się coraz wyraźniejsze, nabierały kształtów. W końcu pierwszy zmaterializował się u podnóża wału, wbił palce w ubitą ziemię i wołając o wsparcie, zaczął wdrapywać się na górę. Odczekałem jeszcze sekundę, ale gdy uniósł głowę i ujrzałem wyszczerzone zęby, oddałem pierwszy strzał. Jego twarz zniknęła. Tak po prostu. Wycelowałem w drugi cień, który właśnie wyłaniał się z mgły, i dwukrotnie nacisnąłem spust. Kule trafiły go w korpus i odrzuciły ciało z powrotem w biały opar, który tylko lekko zawirował i wchłonął ofiarę niczym żywy organizm na jakiejś zapomnianej planecie. Wtedy usłyszałem kolejne dwie eksplozje i mgłę rozświetliły kule ognia. Efekt z tej perspektywy był piorunujący, powietrze przy gruncie zadrżało niczym fala uderzeniowa po detonacji nuklearnej. Usłyszałem przeraźliwe kwilenie, które po chwili zagłuszyło rozchodzące się echo wybuchu.

Kolejne wściekłe rozkazy, ponure cienie, taniec reflektorów samochodów terenowych. Wrzaski cierpienia. Czerwone, błyskające światła nad lasem i warkot wirników zbliżających się śmigłowców. Co ja miałem teraz zrobić?!

Krzysiek

28 września 2023 roku, granica niemiecko-polska przy wsi Coschen, Niemcy

Przedarł się tylko jeden. Nagle z mgły wyłonił się podłużny pysk, a Krzysiek instynktownie uniósł lewe przedramię i powstrzymał atak na gardło. Kły potężnego dobermana zacisnęły się z siłą, której się nie spodziewał. Stracił równowagę i przez ułamek sekundy pomyślał, że przebiły się przez materiał, skórę, mięśnie i skruszyły kość. Ciało zareagowało jednak błyskawicznie i zanim przetworzył wszystkie informacje, jego nóż już penetrował wnętrze bestii, która po chwili poluzowała uścisk, a gdy ostrze w końcu przebiło kręgosłup, szczęka zupełnie zwiotczała. Podniósł się, ubłocony, ręka krwawiła i diabelnie bolała. Nastawił uszu i z zadowoleniem odnotował, że nie słyszy wściekłego ujadania, a głównie kwilenie. Jeśli większość psów znalazła się w promieniu dziesięciu metrów od epicentrum wybuchów, mogły popękać im błony bębenkowe, a to by oznaczało, że bestie stały się zupełnie bezużyteczne.

Jeden problem zastąpił drugi. Na skraju lasu dostrzegł dwie sylwetki szturmowych tigerów. Nadciągały znad lasu niczym drapieżne owady nad prehistoryczną, skapaną we mgle doliną. Kuba powinien być już na wale, jakieś dwieście metrów w linii prostej. „Jeszcze nie teraz” — pomyślał i oddał kolejne strzały.

— Chodźcie do mnie, skurwysyny — mruknął, znikając pomiędzy drzewami, które tworzyły na pograniczu pól niewielki zagajnik.

Odwinął kurtkę z przedramienia i zawiesił na krzaku, zostawiając w fałdach materiału niewielką niespodziankę, po czym ukrył się w gęstwinie kilka metrów dalej.

— Nie wyjdziecie stąd żywi. Nie macie szans!

Abi Rabi'a grzmiał przez megafon, ale legionista zupełnie ignorował nawoływania starucha. Nasłuchiwał czego innego. Teren wciąż był grząski, rejestrował charakterystyczny chlupot stawianych kroków, trzask pękających pod butami gałązek i szepty przestraszonych nieprzyjaciół, w większości półamatorów niewątpliwie zmuszonych, aby pojmać go żywcem. Obserwował śmiałków, którzy już weszli pomiędzy drzewa. Cierpliwie poczekał, aż pierwszy z nich go ominie, następnie owinął się wokół pnia

i jedną dłonią zatkawszy usta następnemu, drugą szybkim cięciem otworzył mu tchawicę. Błyskawiczny atak był bezszelestny, dlatego w zamglonym zagajniku jego kompan nawet się nie zorientował, gdy chwilę później sam broczył krwią z rozdartego gardła. Legionista przemknął pomiędzy drzewami, posyłając na tamten świat kolejnych trzech, zanim zdolali zarejestrować błysk ostrza przy swojej szyi.

— Monika kwiczała jak świnia, gdy seryjnie dymali ją w dupę!

Abi Rabi'a postanowił zmienić taktykę, ale legionista nie reagował. Świadomość znajdowała się w niezrozumiałym dla starucha trybie, a on czuł się w mrocznym, zamglonym i błotnistym gąszczu jak ryba w wodzie. Zaciągnął wrogów w gęstwinę, samemu robiąc nieznaczną luk i zbliżając się do wału od strony północnej. Gdy kolejna eksplozja wstrząsnęła zagajnikiem, pomyślał, że będzie mu brakować ulubionej kurtki i że ten, który się na nią połakomił, osobiście „ozdobił” najbliższe choinki nie gorzej niż twórcy horrorów klasy B plany swoich produkcji. Spojrzał w niebo, gdzieś w oddali błyskały czerwone światła szturmowych śmigłowców Bundeswehry, które dzięki kamerom termowizyjnym bez najmniejszego problemu mogły namierzyć go w najgęściejszej nawet mgłę. Uznał, że jak najszybciej musi dostać się na wał. Parł do przodu, brnąc w coraz bardziej grząskim gruncie, który zaczynał przypominać zwykłe bagno. Za plecami słyszał coraz wścieklesze wrzaski Abi Rabi'i, który posuwał się do najbardziej obrzydliwych sztuczek, aby wywabić go z ukrycia. Staruch tracił czas. Był głupcem.

Przed wejściem na wał usłyszał w pobliżu nienaturalny chłupot i kątem oka dostrzegł przyczajony cień. Odruchowo posłał w tamtym kierunku wyjęte zza paska niewielkie ostrze. Cichy świst rozciął mlecznobiały opar, a następujący po nim gulgot towarzyszący każdemu, kto zaczyna topić się we własnej krwi, upewnił go, że wróg nie stanowi już zagrożenia. Zrobił kilka kroków i znów poczuł czyjąś obecność. Przykucnął i wyteżył wzrok — na tle podświetlonej przez płomienie mgły dostrzegł kolejne dwie postaci, z trudem brodzące w grzęzawisku. Twarze mieli zamaskowane, a rękach dzierżyli stare AK-47. Odczekał w przyczajeniu, aż zbliżą się jeszcze kilka metrów i dwukrotnie posłał ostrza w okolice szyi. Obaj chwycili się za gardła, bezskutecznie próbując zatrzymać obfite krwawienie i rżąc jak dzikie bestie, aby po chwili bezsensownej walki przyklęknąć, w końcu upaść i umrzeć.

Dotarł do nasypu i na czworakach wdarł się na górę. Obrócił się i jego oczom ukazał się widok, który przyprawił go o ciarki na plecach. Mgła nad polami znacznie się przerzedziła i dostrzegł dziesiątki cieni brnących

w błocie w kierunku wału. Powłócząc nogami w grząskim bagnie, nadciągali na całej długości pola, niczym armia posłusznych zombie gnanych do przodu pierwotnym instynktem wiecznie nienasyconego głodu. W oddali dostrzegł też sylwetkę mężczyzny, który stał z lornetką przy twarzy i taksując okolicę, raz za razem rzucał kolejne rozkazy. W pewnym momencie znieruchomiał, a legionista zrozumiał, że patrzy na samego Muhammada Chalila Abi Rabi'ę. Postać zaczęła gestykulować i wydawać kolejne dyspozycje, z niepokojem odnotował też, że jeden ze śmigłowców leci teraz wprost na niego.

Mgła rozbłysła serią charakterystycznych, rwanych serii z kałasznikowa, a gleba pod jego nogami eksplodowała. Przekaz był jasny. Przedostając się na wał, przekroczył Rubikon i staruch wydał nowe rozkazy. Od teraz uciekinierzy mieli zostać dostarczeni żywi lub martwi.

Kuba

28 września 2023 roku, granica niemiecko-polska przy wsi Coschen, Niemcy

Chaos. Krzyki, jęki, wybuchy, huk wirników nadlatujących śmigłowców. I masa cieni, które w rozrzedzającej się mgłę parły w stronę wału, ich sylwetki — charakterystyczne, głowy owinięte szmatami, w rękach karabiny. A ja? To, że zabiłem dwie pierwsze osoby w życiu i wciąż trzymałem w dłoni parującą beretę, jak szybko się przekonałem, nie zrobiło ze mnie kozaka. Zgłupiałem. Nie miałem pojęcia, co robić. Targały mną wyrzuty sumienia, że zostawiłem Krzyśka samego, podświadomie zdawałem sobie jednak sprawę, że moja obecność w tym piekle co najwyżej utrudniłaby mu zadanie, jakiego się podjął, aby nas ratować. Leżałem więc na brzuchu, upačkany błotem, z masą pytań bez odpowiedzi, świadomością, że właśnie zastrzeliłem dwóch facetów, i niejasną perspektywą najbliższej przyszłości, w której mogłem zostać zastrzelony, zadźgany, a w najgorszym przypadku pochwycony żywcem i oddany w łapska Abi Rabi’i. Cóż, nie musiałem specjalnie długo przekonywać samego siebie, że najrozsądniejszym wyjściem będzie natychmiastowa ewakuacja. Zacząłem więc wycofywać się ze szczerą nadzieją, że mój przyjaciel zdoła wyrwać się z tego piekła, zwłaszcza że sunące nisko nad ziemią śmigłowce niemal całkiem rozwiały mgłę, a ja ujrzałem obraz, który tylko utwierdził mnie w przeświadczeniu, że ucieczka jest jedynym słusznym wyjściem, aby uratować skórę.

Niestety, znów się nie popisałem. Obróciłem się i zbiegając z drugiej strony wału, poślizgnąłem się na tyle niefortunnie, że zatrzymałem się dopiero na martwym konarze, którego zaostrzony fragment przebił mi udo. Zanim tsunami porażającego bólu uderzyło mnie z piekielną siłą, zdążyłem pomyśleć, że raczej lichi byłby ze mnie komandos. Potem zawyłem wściekle i wyrzuciłem z siebie wiązanek najbardziej szpetnych przekleństw, czym jedynie ułatwiłem ludziom Abi Rabi’i robotę. Słyszając nadlatujące śmigłowce i przebijające się przez huk wirników krzyki zbliżających się nieprzyjaciół, jakimś cudem opanowałem się i oceniłem skalę zniszczeń. Rana wyglądała wyjątkowo paskudnie, konar przebił się mniej więcej w połowie mięśnia dwugłowego i choć raczej nie uszkodził kości, to

prawdopodobnie naruszył tętnicę, bo noga krwawiła wyjątkowo obficie. Kumulując w sobie wszystkie siły, jakie mi pozostały, spróbowałem uwolnić się z potrzasku, ale nie dałem rady i opadłem na ubłoconą trawę. Pomyślałem, że to chyba koniec.

Czas zwolnił, dźwięk wirników jakby nieco ucichł, a ja usłyszałem rechot żaby, która jak gdyby nigdy nic siedziała sobie na wprost moich oczu i wpatrywała się we mnie z zaciekawieniem, od czasu do czasu kumkając radośnie. Pomyślałem, że nawet ta żalosna istota nabija się ze mnie, z faceta, który chciał stać się mężczyzną, a zdechnie kilkadziesiąt metrów od bezpiecznej przystani, gdyż się poślizgnął. Odpuściłem. Zamknąłem oczy. Poczuję się słabo. Gdy powoli traciłem przytomność, na twarzy poczułem silne uderzenia wiatru, a gdzieś z oddali, jakby z bezdennej otchłani, wybrzmiał silny i stanowczy głos:

— Naruszacie strefę przygraniczną. Zawróćcie śmigłowce. Wycofajcie się. W przeciwnym przypadku uznamy to za akt agresji skierowany wobec suwerennego państwa polskiego i odpowiemy ogniem. Zawróćcie śmigłowce. Wycofajcie się.

Głos wydobywający się z megafonu uparcie powtarzał po angielsku kolejne sentencje, a ja starałem się nie umrzeć. Otworzyłem oczy i patrzyłem na podbrzusze potężnej maszyny, która wisiała tuż nade mną, niczym wielka wałka czająca się na bezbronną ofiarę. Czerwone światelko migotało uporczywie, a ja zastanawiałem się, czy drapieżnik w końcu rozewrze swój otwór gębowy i mnie pożre.

Nic takiego się nie stało. Zamiast tego jakaś siła zacisnęła się na górnej części mojego uda, a później ujrzałem twarz anioła.

Leila

28 września 2023 roku, granica niemiecko-polska przy wsi Coschen, Niemcy

— Pomóż mi, Kuba! — darła się, próbując przekrzyczeć warkot wirników wiszącego nad nimi śmigłowca. — Błagam, pomóż mi, do jasnej cholery!

Czuła w sobie siłę. Nie potrafiła wytłumaczyć, skąd pochodziła, z których czeluści jej jestestwa wypęzła, aby objawić się akurat w tym momencie, ale wiedziała, że nie ruszy się stąd bez tego, wobec którego zapalała tak silnym i obezwładniającym uczuciem. Nie po to wracała, aby go teraz zostawić, a tym bardziej umrzeć w tym zapomnianym przez Boga miejscu.

Gdy w końcu przedarła się z Gabrielem Silbermanem i Sophie nad brzeg rzeki, z przerażeniem odkryła, że ktoś już na nich czeka. Zjawy zmaterializowały się nagle i zupełnie ich zaskoczyły, wynurzając się z wody i mgły, ale gdy przyjrzała się odzieniu i maskom, jakie nosili, odetchnęła z ulgą. Pamiętała je z dzieciństwa, widywała podobne w Mosulu. Ci mężczyźni — choć uzbrojeni po zęby — nie stanowili zagrożenia, a gdy czasem pojawiali się w jej dzielnicy, częstowali dzieciaki cukierkami. Jeden z nich odebrał jej Sophie, drugi zajął się będącym na skraju wyczerpania starcem, a trzeci próbował chwycić ją, aby przetransportować wszystkich na drugą stronę rzeki. Nie pozwoliła na to i robiąc gwałtowny unik, z powrotem skryła się we mgle. Biegła przez chaszczę, wysokie trawy, raz za razem zapadając się w najbardziej grząskich fragmentach rozlewiska. Brudna, ubłocona, zmęczona i obolała, parła w stronę piekła, gdzie diabły pragnęły odebrać jej mężczyznę, którego tak szczerze i bez pamięci pokochała. Miłość dała jej niezbędne paliwo, aby ostatni raz zmusić mięśnie do wysiłku, wykrzesać z nich resztki energii i odnaleźć ukochanego, który leżał teraz u podnóża wału, błydy jak trup, a z jego uda z każdym kolejnym uderzeniem serca wyciekało życie.

Wyjęła pasek z dzinsów i owinęła go powyżej rany, po czym z całej siły zacisnęła i zabezpieczyła. Potem zaczęła krzyczeć i przeć.

— Kuba, błagam, pomóż mi! — prosiła.

Sprawiał wrażenie nieświadomego, co się wokół niego dzieje, uderzyła

go więc w twarz raz i drugi, aż wyrwał się z otępienia. Zmusiła się do gigantycznego wysiłku. Instynkt podpowiedział jej, że da radę, wszak nieraz widziała cuda. Wiara i adrenalina wspólnie są w stanie przewycięzać prawa fizyki, jak wtedy, gdy była świadkiem zaważenia się ściany po ataku bombowym i patrzyła na kobietę, która siłą mięśni unosi fragment zbrojonego betonu, aby uratować przygniecione pod gruzami dziecko. Dlatego wierzyła mocno. I mocno parła.

W końcu donośny i przeszywający ciało krzyk rozdarł okolicę, a ona poczuła, że potrafi przenosić góry. Uwolniła swojego mężczyznę z potrzasku i pomogła mu stanąć na nogi. Spojrzała w górę, jej włosy targał wiatr wzniesany przez wirnik wiszącego nad ich głowami śmigłowca, a w tle wybrzmiewał ostrzegawczy głos z megafonu. Zebrała w sobie resztki sił i chwyciła Kubę pod ramię, wtedy ich spojrzenia się spotkały. Nie musiał nic mówić. Ona to czuła. Nie była mu obojętna i to jej wystarczyło.

Ruszyli w kierunku rzeki, niczym dwoje przeklętych kochanków, a ona pomyślała, że kiedyś może jednak będzie szczęśliwa. Wtedy spomiędzy wysokich traw wyłonił się nieznajomy mężczyzna, a jej marzenia w jednej chwili runęły jak domek z kart.

Kuba

28 września 2023 roku, granica niemiecko-polska przy wsi Coschen, Niemcy

Wpadliśmy do wodnistej brei. Przekręciłem się, aby nie zachłysnąć się wodą i wiedziony instynktem przetrwania spróbowałem się podnieść, ale nie miałem sił. Błoto zapaćkało mi oczy, nic nie widziałem, słyszałem tylko oddalający się warkot śmigłowca i jakieś głosy. Mówili po angielsku.

— Bierz ją! — Ten głos był znajomy.

Z trudem przetarłem twarz wierzchem ubłoconej dłoni, ale wciąż nie mogłem złapać ostrości. Obraz wirował, kręciło mi się w głowie, miałem wrażenie, że zaraz zwiomuję.

Nagle coś chlupnęło tuż przy mojej głowie. Żołnierski but.

— On jest mój! — usłyszałem. — Bierzcie ją!

Dostrzegłem dłoń, która chwyta za mokre i posklejane włosy oszołomioną Leilę i unosi ją w górę. Szarpnęła się, krzyknęła. Kolejny głos, szorstki, ciernisty. I ten język...

Uderzenie, plaśnięcie. Zniknęła mi z oczu. Tylko kontury. Ciało zwiotczało, a cień zabrał ją i znikł we mgle. Wtedy ktoś pochylił się nade mną. Chwycił mocno i wytargał z błota, a ja ujrzałem kolejne cienie. Trzy, cztery. Owinięte twarze, w rękach kałasznikowy. Jeden z nich chwycił mnie za szczękę, a ja ujrzałem znajomą twarz. Pamiętałem ją bardzo, bardzo dobrze. Perkaty nos, odstające uszy i ziejący zgnilizną oddech. Muhammad Abi Rabi'a. Pierworodny potwora.

— Dopadliśmy cię, świnio — syknął i ścisnął moją szczękę, jakby chciał pogruchotać wszystkie zęby.

Chciałem coś odpowiedzieć, cokolwiek, wiedziałem, że to już koniec. Nie miałem jednak siły i zamiast wiązanki szkaradnych przekleństw wyrwał się trudny do zakwalifikowania charczący dźwięk, coś jak połączenie śmiechu gruźlika w zaawansowanym stopniu choroby z odgłosem człowieka wydającego z siebie ostatnie tchnienie. W ustach poczułem metaliczny smak krwi.

— Za to, co zrobiłeś mojej rodzinie, będziesz umierał bardzo długo — wysyczał raz jeszcze najstarszy syn Abi Rabi'i i wydał swoim ludziom kolejne rozkazy.

Gdy tylko skończył mówić, jego czaszkę przeszła kula, uwalniając przy wylocie większość zawartości przezartego nienawiścią mózgu. Chwilę później dostrzegłem, jak trzy pozostałe cienie padają bez władzy w nogach, a przy skroni poczułem zimną lufę.

Leili już z nami nie było.

Krzysiek

28 września 2023 roku, granica niemiecko-polska przy wsi Coschen, Niemcy

— Dlaczego? — warknął, wynurzając się z mgły z berettą sztywno wycelowaną w głowę starego kompana.

Milczenie.

— Dlaczego, do kurwy jasnej, to zrobiłeś?

— Zrobiłbyś to samo na moim miejscu — odparł Patryk, wciąż trzymając lufę przy skroni Kuby.

— Ile ci dali?

— Nic.

— Zabiłeś Franco, skurwysynu.

— Nie bierz tego do siebie. Wiesz jak jest...

Legionista wyszczerzył zęby, z oddali wyraźnie dało się słyszeć nacierającą armię Abi Rabi'i.

— Puść go.

— Nie mogę.

— Nie mamy czasu. Zaraz tu będą, ale jeszcze możesz to naprawić. Puść go, to cię nie zabiję.

— Nic nie rozumiesz, Krzychu. Oni mają moją rodzinę.

Legionista poczuł, jak wzbiera w nim bezsilność. Zrozumiał swój błąd w momencie, gdy dojeżdżając do mostu, ujrzał przy drodze przewrócone słupki i świeże ślady terenowych opon. To było jak zderzenie z pociągiem, ale w jednej chwili wszystkie fakty poskładały się w jeden logiczny ciąg. Patryk sam zgłosił się do pomocy, co już na starcie powinno mu dać do myślenia, ale zaufanie do żołnierza GROM-u, człowieka honoru, a przy tym jednego z najbliższych przyjaciół z dzieciństwa, sprawiło, że zignorował ten aspekt. Fakt, że Klamka musiał się pilnować i nie mógł skorzystać z podsłuchu bądź własnego GPS-u, którego sygnał natychmiast wykryłyby zegarki Franco, zmusił go do czekania na właściwy moment, ale nawet w samym Berlinie nie miał ułatwionego zadania, wszak fatalna aura znacznie utrudniłaby działanie każdemu snajperowi, zwłaszcza że w tłumie mężczyzn okrytych foliowymi płaszczami i wyglądających niemal tak samo, nie był w stanie ze stuprocentową pewnością namierzyć ich wcześniej.

Nieplanowany start rządowego śmigłowca, który zestrzelili — wykorzystując sytuację — żądni chwały gówniarze, zupełnie pokrzyżował plany szykującemu zasadzkę Abi Rabi’i, choć finalnie zdecydowanie przyspieszył przejście władzy w kraju. Patryk musiał więc zrobić coś, aby staruch się nie wściekł i nie skrzywdził jego żony bądź córki, uznał zatem, że skoro nie ma szans przysłużyć się na Pariser Platz, zdradzieckim strzałem zabił Franco, gdy ten tylko wynurzył się spomiędzy kamiennych bloków. Chaos spowodowany wydarzeniami przy Bramie Brandenburskiej i brak kontaktu z „szefem” zmusił go do wycofania się, licząc, że śmierć Włocha będzie dowodem na jego wierność i przydatność, wszak zlikwidowanie tak silnego ognia miało swoją wartość. Podobnie zaoferowanie swojej pomocy krótko po tym, jak Krzysiek wymknął się z Kubą i Leilą z Berlina, gdy Abi Rabi’a już musiał zostać poinformowany przez Al-Sahilię o fakcie ucieczki swojej córki z poszukiwanym przez władze „terrorystą”. Abi Rabi’a miał dużo czasu, aby przygotować tę zasadzkę.

Figur nie spuszczał wzroku z oczu żołnierza GROM-u. Kuba był bardzo blady, musiał stracić sporo krwi i gdyby nie opaska uciskowa, zapewne już by nie żył.

— Daję ci ostatnią szansę — wysyczał legionista. — Inaczej będę musiał się zabić.

Odgłosy nacierających ludzi Abi Rabi’i stawały się coraz głośniejsze. Zapewne pierwsi z największej grupy byli już po drugiej stronie wału.

— Wiesz, że nie mogę — odparł Patryk, a w jego głosie dało się wyczuć nutkę frustracji i bezsilności.

— Ostatni raz. — Krzysiek znajdował się już niecały metr od Kuby, za którym krył się zdrajca.

— I tak muszę mieć was dwóch! — warknął Patryk i wcześniej wycelowawszy w legionistę, odepchnął zakładnika, który zrobiwszy kilka kroków, padł twarzą do pobliskiej kałuży.

— Idź do rzeki, Kuba! Idź i się nie zatrzymuj! — krzyknął Figur do przyjaciela i wolną ręką wyciągnął długie ząbkowane ostrze. — Chcesz nas obu? Będziesz musiał wziąć mnie żywcem — warknął, zaciskając palce na rękojeści.

Błyszcząca stal załśniła również w dłoni żołnierza GROM-u. Na umówiony znak obaj upuścili pistolety, które z pluskiem wpadły do ciemnej wody.

— Robię to dla żony i córki. Też byś to zrobił na moim miejscu.

— Nie jestem na twoim miejscu. A ty jesteś głupcem, że ufasz temu Arabowi.

— Nie wiesz, co znaczy być ojcem! — ryknął Patryk, zrozpaczonym i pełnym desperacji tonem, po czym zaatakował jako pierwszy.

Ostrza błysnęły i starły się w bezlitosnym uścisku. Obaj żołnierze nie mieli pojęcia, że czeka ich gehenna niepojęta i nienazwana. W miejscu, gdzie ludzie zamieniają się w demony, a demony w ludzi.

Kuba

28 września 2023 roku, granica niemiecko-polska przy wsi Coschen, Niemcy

Leżałem w błotnistej brei. Czułem się zupełnie bezsilny, skazany na łaskę i niełaskę ponurego przeznaczenia, bez wiary i nadziei, że jeszcze uda się wyjść z tego piekła w jednym kawałku. Znałem swoje położenie, ale nie byłem w stanie ogarnąć wszystkiego, co się właśnie wydarzyło. Zdrada Patryka, paniczny wrzask zabieranej Leili, wybuchająca głowa pierwородnego Abi Rabi’i, nacierająca armia starucha, huk śmigłowców, porażający ból, kakofonia dźwięków i myśli, które bombardowały mój umysł niczym bomby podczas alianckich nalotów dywanowych na niemieckie miasta.

Umierałem. Nawet wtedy, gdy Amir przyłożył mi nóż do gardła i zaczął haratać kolejne tkanki, nie czułem się tak bliski śmierci. A jednak, gdy nadludzkim wysiłkiem wynurzyłem głowę z wody i ujrzałem zwartych w kolejnym uścisku Krzyśka i Patryka, mój organizm wezwał mnie do walki po raz ostatni, wykrzesał z umordowanych mięśni ostatnie zapasy energii i pozwolił przeczołgać się o kilkanaście centymetrów. Następnie kolejnych kilkadziesiąt, później metr, dwa, trzy...

Instykt przetrwania jest jednym z najsilniejszych pierwotnych popędów i w tej godzinie zawładnął mną totalnie. Pełzłem przez błocko jak robak, nie bacząc na nic innego, bezmyślnie gnany naturalnym strachem przed śmiercią, zostawiając za sobą wszystkie targające mną uczucia. Brnąłem przez wodę, przedzierałem się przez wyrastającą ponad powierzchnię roślinność, wpijałem pazury w rozmokły grunt i przesuwałem się z każdym ruchem kolejnych kilkadziesiąt centymetrów dalej.

Za plecami rozlegały się krzyki, strzały, gdzieś w oddali słyszałem huk wycofujących się śmigłowców, szcęk stali, chlupot tarzających się w błocie ciała. Nie dbałem o to, nie dbałem o nic. Pragnąłem jedynie za wszelką cenę wydostać się z tego piekła i uratować własną skórę. To było żalosne, zdawałem sobie z tego sprawę, mimo to pełzłem dalej, nie przejmując się wszystkim tym, co kiedyś sobie obiecałem. Nie interesowała mnie zemsta, Abi Rabi’a ani żaden z jego popapranych synów. Co gorsza, świadomie odepchnąłem od siebie myśli o dwóch osobach, które nie tylko mnie

kochały, ale były w stanie narazić się na największe niebezpieczeństwo, abym mógł żyć. Krzysiek i Leila. Ich imiona już do końca życia miały nękać moją duszę, przypominając mi o własnej słabości.

A ja uciekałem. Parłem przez grzęzawisko, wiedziony nadzieją, że uratuję swoje marne i nic nieznaczące życie. Byłem gotów zaprzedać duszę samemu diabłu, aby w końcu znaleźć się na drugim brzegu rzeki, bezpieczny i szczęśliwy, że przetrwałem. Nie myślałem o tym, co wydarzy się później, gdy w końcu ocean wstydu i hańby zaleje mnie niczym fale biblijnego potopu. Pragnąłem jedynie żyć. Adrenalina kipiała w moich żyłach, napędzała szaloną siłę woli, płuca paliły przy każdym oddechu, a ja parłem dalej, nie zważając na przeciwności losu. Gdy przeczołgałem się kilkanaście metrów, w niezrozumiały dla mnie sposób, w ostatnim panicznym zrywie zdołałem się podnieść i kuśtykając, dotarłem do rzeki. Nie odwróciłem się ani razu.

Każdy ma jednak swoje granice. Moje zostały przekroczone, gdy wszedłem po pas, a następnie po szyję do wody. Siły mnie opuściły, poczułem, jak nurt powoli porywa moje bezwładne ciało. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałem, że zabiera mnie w najczarniejszą otchłań, z której już nigdy się nie wyrwę, i to będzie koniec wszystkiego. Moje ciało, moja dusza, moja jaźń — wszystko przemienie, jakby nigdy nie zaistniało, jakby nie istniał świat.

Wtedy wydarzył się cud, który przeklinam po dziś dzień. Czyjaś dłoń chwyciła mnie za ramię i pociągnęła na drugi brzeg. Gdy tak dryfowałem na plecach, ciągnięty przez tajemniczego wybawiciela, po raz ostatni spojrzałem w mgłę.

Krzysiek i Leila... Zostali tam.

Poczułem się obrzydliwie i pomyślałem, że nie zasługuję, aby żyć. Zanim nastąpiła ciemność, na brzegu we mgle dostrzegłem kilka mrocznych cieni, jako żywo przypominających potwory z moich koszmarów. Potem straciłem przytomność.

Krzysiek

28 września 2023 roku, granica niemiecko-polska przy wsi Coschen, Niemcy

Sztuka walki na noże zawsze należała do jego ulubionych zajęć. Major Gutiérrez, wybitny specjalista w tej sztuce, nie musiał go zachęcać do ćwiczeń, które po częstokroć powtarzał nawet w wolnym czasie. Tysiące godzin spędzonych na miotaniu kolejnymi ostrzami sprawiły, że był w stanie trafić w kapsel z dwudziestu metrów, technikę posługiwania się w zwarciu doprowadził do perfekcji, a postępy, jakie poczynił, zdumiały nawet jego nauczyciela. „Masz talent, chłopcze — powtarzał Krzyśkowi major Gutiérrez, doświadczony fechtmistrz wyszkolony w słynnej hiszpańskiej jednostce specjalnej Unidad de Operaciones Especiales, później najemnik i weteran wielu wojen i wojenek w Afryce i na Bliskim Wschodzie, nie tylko w barwach francuskiej Legii Cudzoziemskiej. — Jeśli wszyscy Polacy są takimi harpaganami, to nie dziwię się, że nawet Hitler do spółki ze Stalinem nie dali wam rady”.

Patryk tylko te słowa potwierdził. Gdy zaatakował po raz pierwszy, Figur zdołał sparować uderzenie i zdecydował się na natychmiastową kontrę, której jednak szybko pożałował. Żołnierz GROM-u zastosował błyskawiczny unik i wyprowadził kolejny cios, tym razem dosięgając dolnej części tułowia rywala. Krzysiek poczuł, jak ostrze poharatało jedno z żeber, ale tylko dzięki temu, że zatrzymało się na kości, nie wślizgnęło się głębiej i nie uszkodziło narządów wewnętrznych. Jęknął z bólu, ale utrzymał koncentrację. Spróbował obejść przeciwnika, aby wciągnąć go w gęstsza mgłę, na skraju rzeki, ale Patryk umiejętnie blokował drogę, uniemożliwiając przeprowadzenie tego manewru. Za jego plecami dostrzegł czołgającego się przyjaciela, którego z każdym pokonanym metrem pochłaniał mlecznobiały opar. Wyszczrzył zęby w grymasie dzikiego zadowolenia.

— Opuść — warknął, wymownie poruszając głową w kierunku Kuby.
— Nie uda ci się dostać nas obu.

Chciał odwrócić uwagę przeciwnika, aby choć na chwilę stracił z nim kontakt wzrokowy. To była jedyna szansa na szybki i skuteczny atak, w przeciwnym razie Patryk mógł szachować go przez długi czas. Był dobry,

cholernie dobry, i niezwykle szybki. Ryzyko frontalnego ataku było zbyt duże.

Odgłosy nacierających ludzi Abi Rabi'i nagle drastycznie się wzmożyły. To oznaczało jedno — przynajmniej kilku musiało już wspiąć się na wał. Pozostało mu niewiele więcej niż dwadzieścia, może trzydzieści sekund.

— Nie uda ci się zatrzymać nas obu i jeśli nie odpuścisz, twoja żona i córka umrą — wysyczał legionista raz jeszcze i zrobił gwałtowny ruch mający na celu obejście Patryka z prawej strony.

Klamka zatarasował przejście i zamarkował atak. Ostrze przecięło powietrze, ale zaraz wróciło w okolice tułowia właściciela. Wtedy Figur dostrzegł to, na co czekał. Patryk na ułamek sekundy zawahał się i skierował wzrok w miejsce, gdzie powinien znajdować się Kuba. Legionista natarł, ale żołnierz GROM-u zareagował błyskawicznie, przyjął uderzenie i uwięził ostrze przeciwnika w ząbkowanej głowni, jednocześnie wykorzystując siłę napastnika i przepuszczając cios. W ułamku sekundy owinał ramię wokół jego szyi i założył morderczą dźwignię.

Krzysiek poczuł, że jego krtań zbliża się do momentu, w którym zaraz trzaśnie, mimo to w ostatniej chwili skierował ostrze w okolice uda starego kompana. Nóż wbił się w mięsień, ale nie na tyle, aby dokonać spodziewanego zniszczenia. Poczuł, jak biceps Patryka zaciska się na jego krtani jeszcze mocniej i odbiera dech. Chwilę potem obaj z pluskiem runęli do wody. Żołnierz GROM-u przygniótł go swoim ciężarem i zakładając kolejną dźwignię, nogami, pozbawił możliwości jakiegokolwiek ruchu. Był na straconej pozycji. Przegrał i zaczynał się dusić, a fakt, że Patryk trzymał jego głowę w płytkiej brei, dodatkowo uniemożliwiał mu zaczerpnięcie choćby minimalnej ilości powietrza. Słyszał chlupot wody i krzyki zbliżających się ludzi Abi Rabi'i. Ręka mu zdrętwiała, palce rozluźniły się, a nóż wypadł z dłoni. Ciało zwiotczało, a on pomyślał o Kubie z nadzieją, że stary przyjaciel wykorzystał ten czas i dotarł do rzeki.

Skrajnie wyczerpane mięśnie potrzebowały tlenu i instynktownie otworzył usta, aby nabrać choć odrobinę powietrza. Brudna woda wdarła się do gardła, a on zrozumiał, że to koniec. Wtem znów znalazł się nad powierzchnią i krztusząc się niemiłosiernie, zaczął zachłannie czerpać życiodajny tlen. Gwałtowne skurcze targały tchawicą, która nagle, uwolniona z morderczego uścisku, drapieźnie zaczęła domagać się powietrza. Przez kilka sekund kaszłał niczym odratowany w ostatniej chwili topielec, a gdy w końcu spojrzał w górę, ujrzał kilka luf skierowanych wprost w jego głowę.

— Gdzie ten drugi? — warknął jeden z mężczyzn.

Patryk z trudem podniósł się, trzymając się za prawe udo.

— Ucieka — wydusił, rżąc i podpierając się drugą ręką, wymownie wskazał palcem w stronę rzeki.

Jeden z mężczyzn natychmiast wydał rozkazy i kilku innych ruszyło w tamtym kierunku. Legionista widział, jak starają się biec, ale kolejne kroki grzęzły w bagnistym terenie, wyraźnie ich spowalniając. Pomyślał o Bogu w nadziei, że pozwoli przyjacielowi dotrzeć na drugi brzeg, zanim pogoń go dopadnie.

Rozejrzał się. Przynajmniej siedmiu mężczyzn trzymało go na muszce, a kolejni doskakiwali jeden po drugim, wszyscy w ubłoconych mundurach, z zasłoniętymi twarzami i piekielnymi spojrzeniami. Jeden z nich zbliżył się i wyszczerzył zęby w szyderczym grymasie. Nigdy wcześniej go nie spotkał, ale znał te rysy i charakterystyczną przepaskę na lewym oku. Jusuf Abi Rabi'a nie przywitał się, a przynajmniej nie w sposób, który można by uznać za tradycyjny, nawet w takich, a nie innych okolicznościach, zamiast tego wymierzył legioniście potężne kopnięcie prosto w szczękę. Figur runął do wody, czując, jak kilka zębów wbija się w język i rani podniebienie. Chwilę później ktoś chwycił go pod ramiona i sprowadził do pozycji kłęczącej. Wypluł zęby z krwawą plwociną.

— Pieprzony legionista... — warknął terrorysta. — Od teraz jesteś mój, niewierny psie! — dodał wściekle i poprawił pięścią.

Ten cios nie miał tyle mocy, co wcześniejszy, mimo wszystko Krzysiek poczuł, że kolejne trzonowce straciły naturalną stabilność.

— Pierdol się! — odburknął i spodziewając się kolejnego trafienia, zacisnął zęby.

Tym razem uderzenie jednak nie nadeszło. Zamiast tego „Jednooki”, usłyszawszy za plecami zachrypnięty głos, cofnął się i zrobił miejsce dla zbliżającego się starca. Figur poznał go od razu. Muhammad Chalil Abi Rabi'a we własnej osobie wyłonił się z mgły i, zmierzyszy go wyniosłym i pełnym skrajnej pogardy spojrzeniem, splunął mu pod nogi.

— Gdzie twój pies? — spytał, po czym skierował wzrok na swojego syna, a następnie Patryka. — Gdzie, na Allaha, jest ten gówniarz?! — wrzasnął wściekle.

Figur dostrzegł zwątpienie w oczach starego kompana, przy którym nagle pojawiło się dwóch słusznej postury żołnierzy. Trzeci z nienacka dzielił go kolbą karabinu w zgięcia pod kolanami i Klamka padł tuż obok legionisty.

— Co robisz? — fuknął w kierunku starucha, ale nawet najgorzej rokujący kandydat do pracy w wywiadzie wyczułby w jego tonie

nadciągające tsunami przerażenia.

Abi Rabi'a z pewnością tego nie przeoczył.

— Dałeś mi legionistę, a umowa przewidywała legionistę i jego psa. Psa tu nie widzę. — Słowa Abi Rabi'i przypominały robactwo wyzierające z trupa.

— Twój ludzie na pewno zaraz go przyprowadzą. Jest ranny, w takim stanie nie uszedłby dwudziestu metrów, nie wspominając o przeprawie przez rzekę. Jestem pewny, że...

Krzysiek wymownie splunął krwawą plwociną pod nogi zdrajcy.

— Jesteś idiotą, Patryk — rzekł po polsku, zdruzgotany naiwnością starego kompana.

— Milczeć, niewierne psy! — wydarł się natychmiast Abi Rabi'a, rozjuszony faktem, że nie zrozumiał wypowiedzianych słów.

Po chwili zbliżył się do Figura na odległość, z której legionista mógł poczuć jego zgniły oddech.

— Mówiłem ci, że cię dopadnę, legionisto — wysyczał z satysfakcją. — Razem z tym gówniarzem odpowiecie za swoje grzechy wobec Miłościwego, *jalla jalalah*¹⁷! Zadbam o to osobiście — dodał i wsunął pomarszczoną dłoń pod zakrwawioną koszulkę jeńca.

¹⁷ arab. wzniosła jest jego chwała.

Krzysiek szarpnął się, ale w jednej chwili kilka łuf nieznacznie zbliżyło się do jego głowy. Zrezygnował z walki i pozwolił, aby staruch wyciągnął pokryty szkarłatem nieśmiertelnik.

— Nie będzie ci już potrzebny, legionisto — rzekł i niespodziewanie szybkim jak na swój wiek szarpnięciem zerwał tak cenny dla niego kawałek blachy.

Figur splunął mu w twarz, czym wzbudził jedynie szydery chichot rozmówcy. Staruch podniósł się i wytarł oczy. Nie przestawał rechotać, dopóki nie wrócił pierwszy z wysłanych w stronę rzeki ludzi. Najwyraźniej nie przyniósł dobrych wieści, bo stary Arab nagle przestał się śmiać i żywiołowo gestykułując, zaczął rzucać gromy na wszystkie strony. W końcu zabrał kałasznikowa jednemu ze stojących najbliżej ludzi i w bezmyślnym szale rozstrzelał pechowego posłańca. Nietrudno było się domyślić, o co chodzi. Figur podziękował w myślach Bogu, którego przez lata tak nienawidził. Kuba zdołał przekroczyć rzekę i był bezpieczny.

Abi Rabi'a ciężko dyszał i mamrotał pod nosem w swoim języku. Wyglądał jak obłąkany, który właśnie uciekł z zakładu o zaostrowym rygorze, w oczach płonęły nienawiść i gniew.

— Zawołajcie Muhammada! — Tyle był w stanie zrozumieć nawet

Krzysiek.

Legionista rzucił Patrykowi porozumiewawcze spojrzenie, przez chwilę miał nadzieję, że zrozumie swoje położenie i fakt, że został przez Araba oszukany. Nie odzyska żony ani córki, które do końca swoich dni pozostaną w niewoli, na łasce i niełasce Abi Rabi'i i jego zwyrodnialców. Chyba że...

W końcu złapał spojrzenie żołnierza GROM-u, ale nawet jeśli dostrzegł w nim coś, co mógłby określić jako mieszanekę żalu i skruchy, przez niebieskie źrenice wciąż przebijała nadzieja. Strach przed krzywdą dziecka często powoduje wyjątkowo nieracjonalne wybory. Nigdy nie był ojcem, może dlatego nie mógł tego zrozumieć. W każdym razie nie mógł liczyć na Patryka. Sam, skrajnie wyczerpany i pozbawiony broni, nie miał najmniejszych szans.

— Gdzie jest Muhammad? — powtórzył zniecierpliwiony Arab.

Lepiej umrzeć szybko...

— Tam, zastrzeliłem go — rzucił Krzysiek obojętnym tonem, wymownie wskazując głową miejsce, gdzie w brei leżały cztery ciała.

Abi Rabi'a odwrócił się w jego kierunku, jak rażony piorunem, i otworzył szeroko oczy. Chciał coś powiedzieć, ale zapowietrzył się, a białka przybrały kolor wściekłej czerwieni. Nie rzucił się jednak na niego, nie zaatakował, poczłapał natomiast we wskazanym kierunku i podniósł pierwsze ciało, następnie drugie, w końcu obrócił tkwiące twarzą w brei truchło swojego pierworodnego. Zapadła kompletna, wręcz nienaturalna cisza. Krzysiek usłyszał delikatny szum traw i rechot żab, gdzieś za plecami w spokojnym nurcie rzuciła się ryba. Żaden z ludzi starucha nawet nie drgnął, zdając sobie sprawę, że nawet najmniejszym ruchem może zogniskować wzbierający gniew przywódcy na sobie.

Tymczasem stary klęczał w błocie, nad zwłokami najstarszego syna, mamrocząc pod nosem i bujając się jak dziecko z chorobą sierocą. Trwało to dłuższą chwilę, a potem uniósł ręce i zaczął lamentować. Robił to w sposób, w jaki tylko ojciec może opłakiwać śmierć swojego pierworodnego, w innej sytuacji można by pomyśleć, że nawet potwory mają jakieś uczucia. W końcu umilkł, a napięcie towarzyszące przedłużającej się ciszy osiągnęło moment krytyczny. Abi Rabi'a eksplodował. Ryknął niczym niedźwiedź i ruszył w kierunku legionisty. Wyciągnął długie, błyszczące ostrze i parł przez błoto niczym rozsierzony byk, którego jedynym celem jest zniszczenie wszystkiego, co stanie mu na drodze. Czerwone oczy upodabniały go do biblijnego demona, z ubłoconej brody zwisały resztki flegmy. Dyszał, charczał, rzęził, bardziej przypominał dzikie zwierzę niż człowieka.

Krzysiek zamknął oczy i poczuł, jak zalewa go fala błęgiego spokoju. Spodziewał się tego, tego oczekiwał, takiego dokonał wyboru. Znów oszukał starucha, nie da mu satysfakcji, umrze szybko i bezboleśnie. Ktoś pociągnął go do tyłu, głowa powędrowała w górę, eksponując ubłocone gardło. Ostatnie oddechy, ostatnie uderzenia serca. Pomyślał, że odkupił swoje przewiny i poprosił Boga, aby przyjął go do swojej rodziny. Ujrzał Monikę, Kubę, Michała, Franco, rodziców...

Kat był już na wyciągnięcie ręki, usłyszał bulgot zapadających się w brei żołnierskich butów i gardłowe dyszenie, poczuł na policzku zimną stal. Niecierpliwie czekał na koniec. Nie takie było jednak jego przeznaczenie.

— Nie myśl, że zdechniesz tu, zanim nie wyrwę z ciebie każdego pierdolonego narządu gołymi rękami — wysyczał staruch, a kropelki jego cuchnącej śliny zrosiły twarz legionisty.

Krzysiek otworzył oczy i spojrzał w czarną otchłań źrenic starego Araba. Jeśli gdziekolwiek istniało piekło, to właśnie tam. Chciał odpowiedzieć, ale Abi Rabi'a zaskakująco szybkim ruchem wbił po samą rękkojeść ostrze w gardło zdezorientowanego Patryka, w jednej sekundzie uwalniając fontannę jasnoczerwonej krwi.

— Nie bój się — syknął w stronę kompletnie zszokowanego żołnierza GROM-u. — Zadbam, aby twoja żona i córka były dobrymi i uległymi niewolnicami.

Oczy Patryka niemal wyszły z orbit, ale już było za późno. Ząbkowana klinga rozplątała gardło niczym dobrze ściętą galaretę, a ciepła krew zbryzgała wszystko dookoła, barwiąc intensywną czerwienią nawet kropelki mgły. Mięśniami twarzy jeszcze przez moment targały gwałtowne spazmy, ale chwilę później ciało zwiotczało, a Krzysiek usłyszał paskudy chrobot, gdy ostrze dotarło do górnych kręgów. Potem chrupnięcie i plusk bezgłowego ciała wpadającego do wody.

Zdążył pomyśleć, że się nie wywinie i pokuta za stare grzechy będzie sroga. Ostatnim obrazem, jaki zarejestrował, była zbliżająca się do jego policzka kolba AK-47. Potem trzask pękającej kości jarzmowej.

Nastała ciemność.

Kuba

30 września 2023 roku, Zielona Góra, Polska

Otworzyłem oczy. Znow byłem podłączony do rurek, jak cyborg albo jakiś dziwoląg, którego już wkrótce miał odwiedzić cały zespół smutnych panów w czarnych garniturach i białych kitlach, aby drobiazgowo analizując kolejne wskaźniki na monitorach, zastanawiać się, jakież to jeszcze eksperymenty można na mnie przeprowadzić.

Nie pomyliłem się przesadnie mocno, zresztą spodziewałem się mniej więcej takich właśnie wizytacji. Pewnie nawet gdyby żyli moi rodzice, pierwszeństwo i tak należałoby do wszelakich służb, od Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego po agencje wywiadu. I już zaraz po przebudzeniu pierwsi panowie w nieskazitelnych mundurach pojawili się przy moim łóżku. Na początku chciałem im powiedzieć, żeby się odpierdolili, ale uznałem, że to jednak nie najlepszy pomysł. Zważywszy na wszystkie za i przeciw, zdecydowałem, że nie będę niczego ukrywał. Tak naprawdę nie miałem innego wyjścia. Kontaktując się z polskim rządem, Figur otworzył drzwi, których już nie dało się z powrotem zatrzaskać. Państwo polskie pomogło mi uratować, ale oczywiście było, że nie zrobiło tego za darmo. Dlatego już przy pierwszej okazji zgodziłem się na pełną współpracę. Postawiłem jednak dwa warunki: pierwszym było oddelegowanie mojej skromnej osoby pod skrzydła najlepszego z polskich szkoleniowców jednostek specjalnych (zanim znow spłynęło na mnie morze hańby i wstydu, postanowiłem raz na zawsze skończyć ze smarkatym żywotem), drugim — zapewnienie całodobowej ochrony babci Heli i mojej siostrze Ani, a także nowe lokum dla Moniki i Michała. I Amira.

Temat tego małego skurwysynka przemilczałem podczas pierwszej wizyty. Władze wciąż wiedziały niewiele i mogłem sobie pozwolić na pewne niedomówienie, zwłaszcza że Amir stał się naszą jedyną kartą przetargową w przypadku, gdybyśmy chcieli odbić Krzyśka. Słowo „odbić” obecnie żeglowało gdzieś na poziomie abstrakcji porównywalnej z eksploracją księżyców Jowisza, ale wolałem nie pozbywać się jedynej nadziei na utrzymanie przy życiu mojego najdroższego przyjaciela — człowieka, który poświęcił się, abym to ja mógł żyć.

— Pan Krzysztof Figurski nie przedostał się przez granicę i według naszych informacji został schwytany przez służby podległe Muhammadowi Chalilowi Abi Rabi’i — odpowiedział mi odpowiedzialny za akcję przy rzece pułkownik Artur Matysz.

Był postawny i nosił elegancko przystrzyżony wąs, a jego przenikliwe spojrzenie przeciętnego człowieka natychmiast musiało stawiać do pionu. Mnie jego aparycja ruszyła średnio, bardziej wypowiedziane słowa, które utwierdziły mnie w przekonaniu, że mój przyjaciel jednak nie dał rady.

— Jest pan tego absolutnie pewien? — spytałem.

Znałem ponadprzeciętne umiejętności Krzyśka, a poza tym na przyjacielu ciążył przecież wyrok długoletniego więzienia, więc nie był skłonny afiszować się w kraju, gdzie groziło mu natychmiastowe aresztowanie. W związku z tym mógł przekroczyć granicę, a następnie ulotnić się i w odpowiednim momencie, gdy wszystko przycichnie, spróbować ze mną skontaktować.

— Nasze źródła są wiarygodne — odparł, jakby urażony, że powątpiewam, a wręcz podważam jego profesjonalizm, zwłaszcza że w pokoju zielonogórskiego szpitala siedziało jeszcze dwóch niższych rangą podwładnych, lekarz i dwie pielęgniarki.

— A Leila?

— Chodzi panu o tę młodą dziewczynę?

— Tak, Irakijka, osiemnaście lat, filigranowa, ładna. Była ubrana w dżinsy i dreso...

— Dwóch z moich ludzi widziało ją przy brzegu, ale wymknęła się i zniknęła we mgle. Nie wróciła.

Zamilkłem na chwilę. Choć zdołałem w jakiś sposób postawić mur — kruchy, bo kruchy, który na razie jednak powstrzymywał natrętnie pukające uczucia hańby i wstydu — zrozumiałem, że jak na ironię Leila wróciła, tylko nie tam, gdzie powinna. Zamiast ratować swoje życie (w każdym tego słowa znaczeniu) wolała cofnąć się, aby ocalić moje. To jednak nie był czas na samobiczowanie, on miał przyjść później. Najwyraźniej coraz lepiej radziłem sobie z blokowaniem wszelakich uczuć i trzymałem nerwy na wodzy.

— Czy wiecie, co się z nią stało?

— Według naszych źródeł pani Leila Al-Sahili jest obecnie pod jurysdykcją państwa niemieckiego.

Zaskoczył mnie fakt, że pułkownik Matysz znał już nazwisko mojej wybawczyni, odstręczała natomiast ta cholerna wojskowa nowomowa, która — z zasady pozbawiona wszelkiej empatii — działała mi na nerwy.

Przepytywał mnie jeszcze przez kilkanaście minut. Odpowiadałem krótko i treściwie, niekoniecznie rozwijając wątki, a w zasadzie przemilczając kwestie, które uznawałem za ryzykowne bądź po prostu niepotrzebne. Co by nie mówić o moim durnym charakterze, kilku rzeczy od Krzyśka i Franco zdołałem się nauczyć, a jedną z nich było umiejętne szafowanie posiadanymi informacjami. W końcu poczułem się zmęczony i poprosiłem o chwilę przerwy, na co pułkownik Matysz przystał z kiepsko skrywaną irytacją. Poprosiłem również lekarza o środki przeciwbólowe, bo czułem, że powoli przestają działać. Na odchodne zażądałem też widzenia z Michałem. Na osobności. Postulat ten wyraziłem dość stanowczo, choć chyba nie było takiej potrzeby, bo pułkownik Matysz nie oponował, skinął jedynie głową i po uprzednim umówieniu się na kolejną wizytę wraz ze swoimi ludźmi opuścił pomieszczenie.

Doktor Ryszard Szacher upewnił się jeszcze, czy wszystko ze mną w porządku, sprawdził wyniki, reakcje na bodźce i przepytał o podstawowe kwestie związane z samopoczuciem. Opisał też moją aktualną kondycję zdrowotną, która, biorąc pod uwagę wszystko, co przeszedłem, wyglądała nie najgorzej. Pokrótce — miałem wstrząśnienie i lekki obrzęk mózgu, z którym — jak to ujął doktor — mój silny organizm wstępnie sobie poradził, dwa pęknięte żebra, złamaną i krzywo zrosniętą (do operacji) kość lewego ramienia, naderwane mięśnie tegoż barku i liczne stłuczenia oraz przerwana tętnicę udową, która zaraz po moim odratowaniu została zoperowana i zespolona. Podobno zostałem przewieziony do szpitala helikopterem, ale nic z tego nie pamiętałem. Ogólnie pocieszył mnie, że najgorsze już za mną i po krótkiej rehabilitacji powinienem wrócić do pełnej sprawności. Nieoczekiwanie jednak sympatyczny doktor, najwyraźniej nie znając szczegółów akcji na granicy, wbił mi ostrze prosto w serce.

— Proszę podziękować osobie, która założyła panu tę opaskę uciskową. Uratowała panu życie — powiedział i poklepał mnie po przedramieniu.

Serce zakłuło, poczułem się obrzydliwie, ale jakimś cudem udało mi się oddalić myśli o Leili i jej ponurym losie, na jaki zapewne została przeze mnie skazana. Postanowiłem więc nie roztrząsać tego problemu, a przynajmniej odwlec w czasie moment, gdy pozwolę sobie na chwilę słabości i w końcu przyjmę na zbolały łeb beczkę, a raczej całe morze piwa, którego sam nawarzyłem. Przewróciłem tylko oczami i wziąłem głęboki oddech, aby przypadkiem się nie rozkleić, po czym poprosiłem doktora, aby zawołał Michała, który czekał na korytarzu.

W pierwszej chwili nie poznałem go, tym bardziej kobiety, która weszła razem z nim. On — cień człowieka, wychudzony i sterany życiem,

przypominał mi trochę bezdomnego weterana, który właśnie wyszedł na prostą i zamierza rozliczyć się z ponurą przeszłością. Ona — zaprzeczenie starej Moniki, ze spiętymi włosami, bez makijażu, szpilek i pomalowanych paznokci, ze spojrzeniem, które zjeżyłoby włosy na głowie większości nakoksowanych karków z żuźlowej trybuny K, chłopaczków w rurkach kładąc trupem przy pierwszym kontakcie wzrokowym.

— Kuba! Brachu! — Afgan niemal podbiegł, ukląkł i chwycił mnie za zdrową rękę. — Nawet nie wiesz, co tu przeżywaliśmy. Wszystko w porządku? Czeka, wiem, głupie pytanie i...

— Żyję, ale Krzysiek...

— Co z nim, Kuba? — wtrąciła Monika.

Mur zaczął kruszeć. Jak na ironię ostatni raz czułem się równie podle (nie licząc okresu żałoby po śmierci rodziców, ale to był zupełnie inny rodzaj emocji), gdy Krzyśkowi musiałem przekazać informację o gwałcie i porwaniu Moniki — dziś jej musiałem opowiedzieć, jak uciekłem, pozostawiając brata na polu walki.

— Nie wiem — westchnąłem. — Po prostu nie wiem... — Trudno mi było wydusić z siebie coś więcej.

— Będzie dobrze, stary. Ja przetrwałem w łapach tego skurwysyna, ciebie też już niektórzy spisywali na straty, sam w pewnym momencie zwątpiłem. Ale jesteś tu, jesteś, kurwa, tu! — Michał wymownie wskazał palcem na podłogę. — Dla Krzycha to będzie bułka z masłem.

Pomyślałem, że jego tok rozumowania ma jakiś sens, ale szybko przyszło otrzeźwienie, wszak Afgan zapomniał o pewnej dość istotnej kwestii. To Krzysiek był przeszkolonym komandosem potrafiącym zaplanować i przeprowadzić, nawet w pojedynkę, akcję ratunkową, która już na starcie nie byłaby skazana na porażkę. A my? Co sami mogliśmy? Gównu! Niestety, ale ta prosta i jakże treściwa odpowiedź najlepiej odzwierciedlała nasze możliwości w tym względzie. I jeśli Krzysiek żył (w to akurat wciąż bardzo mocno wierzyłem), to musiał się liczyć z tym, że pomoc nie nadejdzie szybko. Jeśli w ogóle... Ponura perspektywa.

Nie skomentowałem tego. Pokiwałem tylko znacząco głową, jakbym w pełni przytaknął słowom przyjaciela, ale chyba wszyscy obecni wyczuli drugie dno.

— A ty jak się czujesz?

— Tak jak wyglądam. — Zmusiłem się do marnego uśmiechu. — Ale lekarz mówi, że szybko się pozbieram. Podobno straciłem dużo krwi, dlatego jestem taki trochę przymulony.

— Nawet nie wyobrażasz sobie, jak wyglądało twoje spotkanie z tym

wozem pancernym. Rąbnął cię tak, że... Zresztą co ci w ogóle odważyło, że tak wyskoczyłeś?

— Ech... sam nie wiem, ale nie mam teraz siły o tym gadać.

— Pewnie, stary, nie przejmuj się. Na wszystko przyjdzie czas.

Monika przyglądała się nam z niepokojem, jakby czekała, kiedy w końcu skończymy pieprzyć farmazony i skupimy się na temacie niecierpiącym zwłoki.

— Co z Krzyśkiem? — powtórzyła jak na zawołanie, a w ciepłej sali nagle powiało chłodem.

Nie miałem dla niej żadnej odpowiedzi. Było mi strasznie wstyd.

— Nie wiem, Monika. Przykro mi. Ale możesz być pewna, że zrobię wszystko, aby coś wymyślić. Będziemy naciskać nasze władze, to w końcu polski obywatel, a każdy z nas wie o Abi Rabi'i i jego otoczeniu więcej niż najlepszy polski szpieg. Myślę, że mamy kartę przetargową.

Chyba sam nie do końca wierzyłem w to, co mówię, ale najwyraźniej Monika przyjęła moje słowa z umiarkowanym zadowoleniem, bo wymownie pokiwała głową, jakby zrozumiała, że w tej chwili na pewno nie wymyślimy jakiegoś cudownego planu, a do tematu trzeba będzie wrócić później i podejść do niego w sposób bardziej metodyczny.

— Ostatnie pytanie... — zacząłem, gdy moi przyjaciele zbierali się do wyjścia.

— Co jest, brachu?

— Mówiliście im o Amirze?

Monika w wymownym geście tylko przyłożyła palec do ust.

— Uważacie, że powinniśmy to ukryw...

— Nie mówmy o tym — przerwała mi kategoriycznym tonem.

Przekaz nie mógł być jaśniejszy. Odetchnąłem głęboko i wygodnie ułożyłem głowę na poduszce. Michał i Monika machnęli mi na pożegnanie i opuścili salkę. Zostałem sam. Poczułem się bardzo zmęczony. Ostatni raz spojrzałem na masę rurek i przewodów podpiętych do mojego ciała i zamknąłem oczy. Sen przyszedł natychmiast. Niespokojny i pełen potworów. Jak zawsze.

Kolejne dni były bardzo podobne. Wizytacja panów w mundurach, odwiedziny kuzyna i przyjaciół, drugiej doby pojawili się również babcia Hela z panem Kazimierzem i małą Anią. Wypłakała morze łez, błagając, abym nigdy więcej nie angażował się w podobne historie (znała je jedynie

z przekazów medialnych, a ja nie miałem najmniejszej ochoty wtajemniczać jej w szczegóły), które — jak ją zapewniałem — były rozdmuchane do niebotycznych rozmiarów i w większości zupełnie nieprawdziwe, a fakt, że w Niemczech zostałem uznany za groźnego terrorystę, to zwykła pomyłka. Nie wiem, czy mi uwierzyła, ale chyba trochę ją uspokoiłem, a na tym zależało mi najbardziej, wszak pomimo rewelacyjnej formy fizycznej serce poczciwej staruszki w tym wieku mogło zaprotestować w najmniej spodziewanym momencie. Oczywiście zaszklily mi się tylko raz... Gdy Ania podeszła do mnie i nad wyraz dojrzałe powiedziała: „Kocham cię, braciszku. Proszę, nie umieraj, jak mamusia i tatuś”. Objęła mnie, a ja mimo rwącego bólu w barku odwzajemniłem uścisk i na fali emocji obiecałem, że nigdy jej nie opuszczę.

Sytuacja trochę mnie przytłoczyła, nie byłem przyzwyczajony do takich tkliwych momentów, ba, postanowiłem unikać ich jak ognia, aby dalej nie taplać się w bagnie wyższych uczuć, dlatego po kilkunastu minutach skłamałem, że jestem zmęczony i potrzebuję odpoczynku. Zasugerowałem też, aby nie odwiedzali mnie i poczekali, aż wyjdę, co według doktora Szachera miało nastąpić za kilka dni. Babcia przez jakiś czas się wzbraniała, ale wobec mojego nieprzejednanego tonu w końcu uległa, zwłaszcza że za wszelką cenę chciała unikać dziennikarzy, którzy całymi tabunami kotłowali się przed wejściem na teren szpitala, aby zrobić mi zdjęcie, przeprowadzić wywiad, zdobyć jakieś nowe informacje na temat mojej ponurej historii.

Tak, w kraju stałem się pieprzonym celebrytą. Co prawda nie do końca takim, jakim chciałaby zostać większość szarych obywateli, ale jednak celebrytą. Informacje na mój temat nie schodziły z głównych stron największych portali internetowych, gazety nieprzerwanie snuły kolejne teorie, a w programach telewizyjnych mądre głowy (znani dziennikarze, politycy, eksperci, do których zaliczali się byli oficerowie wywiadu, lekarze, politolodzy, psychologowie, kulturoznawcy, a nawet pieprzeni księża czy wiecznie narzekający na swoje bezpieczeństwo przedstawiciele kurczącej się islamskiej diaspory w Polsce) debatowały nad moim przypadkiem, próbując poskładać do kupy wszystkie informacje, jakie do tej pory udało im się zdobyć i odnieść do tego, co dzieje się za naszą zachodnią granicą. Doszło nawet do tego, że jeden z tych zakutyh łbów zasugerował, że naprawdę jestem superszpiegiem, który miał za zadanie spenetrować siatkę terrorystyczną Muhammada Abi Rabi'i, ale wobec tak niespodziewanych wydarzeń, do jakich doszło w Paryżu, a następnie w Berlinie, misja została odwołana, a ja zdekonspirowany i uznany za groźnego terrorystę. Czasem to było śmieszne, czasem straszne, a czasem podobne sugestie poprawiały mi

humor, wszak większość młodych chłopaków na pewno nie pogniewałaby się, gdyby została przez główne media okrzyknięta polskim odpowiednikiem Jamesa Bonda. Wkurwiało mnie tylko jedno — wszyscy, co do jednego, nie potrafili uszanować faktu, że moją rodzinę dotknęła straszna tragedia i debatowanie o śmierci moich rodziców, a nawet szczegółowe opisy makabrycznego morderstwa, nie tylko nie były wyjątkiem, ale wręcz nieodzownym elementem. Najbardziej było mi żal babci i siostry, które musiały mierzyć się z tym każdego dnia, ale nawet moja odezwa do telewizji (poprzez szpitalnego rzeczownika) nie zatrzymała tych wszystkich dziennikarskich sępów, które wciąż krążyły nad truchłami moich rodziców, gotowe, aby każdej godziny wyszarpywać kolejne kawałki krwistego medialnego mięcha.

W Polsce trwało pieprzone show, a ja — chciałem tego czy nie — znalazłem się w samym jego centrum i nie bardzo wiedziałem, jak to wszystko dalej się potoczy. Czekałem tylko na kolejną eksplozję, gdy któryś z dziennikarzy dokopie się do informacji, że Monika opiekuje się synem Abi Rabi'i, który w kraju został uznany przez media za wroga publicznego numer jeden i choć władza operowała językiem bardziej stonowanym — co by nie mówić obecnie piastował stanowisko szefa milicji i za dwa tygodnie, zaraz po wyborach, miał według wszelkich informacji zostać mianowany ministrem spraw wewnętrznych Niemieckiej Republiki Islamskiej — to relacje z naszymi zachodnimi sąsiadami pogorszyły się na tyle, że w zasadzie nawet najwyżsi rangą politycy wypowiadali się na jego temat w sposób wyraźnie odbiegający od standardów dyplomatycznych, jeśliby nie powiedzieć po prostu wrogami.

Pomiędzy kolejnymi wizytami przyjaciół, pielęgniarek i wojskowych, którzy przy każdej okazji próbowali wyciągnąć ze mnie porcję nowych informacji, w dochodzącym z dworu jazgocie ludzkiej masy, która z transparentami nad głowami wspierała mnie — przynajmniej w swoim mniemaniu — w dochodzeniu do zdrowia, i redukującą się z każdym dniem liczbą rurek przytwierdzonych do mojego ciała, nie mogłem opędzić się od jednej myśli... Krzysiek. Czy w ogóle żył? A jeśli tak, to co teraz przeżywa? Jak bumerang wracała do mnie nasza dyskusja na temat tortur, do których mógłby posunąć się Abi Rabi'a, gdyby jeden z nas wpadł w jego łapska. „Abi Rabi'a nie będzie chciał od nas wyciągnąć żadnych informacji, nie będzie chciał nas nastraszyć czy złamać. On będzie chciał się zemścić — mówił Krzysiek. — Marzy dokładnie o tym samym co ty, pragnie sprawić jak największy ból, zniszczyć cię, skatować i sponiewierać. W końcu zabić. To jest jego jedyny cel. Ale żeby to było jasne jak słońce — ja do tego nie

dopuszczę. Wyciągniemy Michała i zajebimy tego starucha oraz wszystkich jego popieprzonych synów. Czy to jest dla ciebie zrozumiałe?”.

Chyba było zrozumiałe, przynajmniej ostatnie zdania. Rzeczywistość zweryfikowała jednak nasze plany i teraz w rękach Abi Rabi’i znajdował się Krzysiek, do którego — jako legionisty, który wybił mu przynajmniej kilkunastu ludzi — pałał nienawiścią znacznie potężniejszą niż wobec w sumie obojętnego mu Michała. Afgan też mi nie pomógł. Gdy mówił, jego oczy natychmiast pokryła siatka splekanych żyłek.

— Straszili mnie codziennie. Przychodzili, najczęściej ten pieprzony sadysta ze sztucznym okiem, z nożycami ogrodowymi, palnikiem acetylenowym, piłą mechaniczną, które włączali kilka centymetrów od mojej twarzy. Ze strachu srałem, szczałem i wymiotowałem na przemian. Gdy w końcu podłączyli mi do jaj przewody i włączyli prąd, to... Stary, kurwa... no nie wiem nawet, jak to opisać. — Widziałem, jak zaciska pięści, a źrenicę toczy rak nienawiści.

— O coś cię pytali?

— O wszystko. O ciebie, Monikę, Krzyśka, wasze rodziny, adresy, przyjaciół. I nie będę kłamał... Powiedziałem wszystko, co wiedziałem.

Wtedy mnie olśniło.

— Znałeś wcześniej Patryka?

— Widziałem go kilka razy, ale w sumie nigdy nie rozmawialiśmy. Wiedziałem natomiast, kim jest, przecież nieraz gadaliśmy o Krzychu i jego kumplach.

— Znałeś jego nazwisko?

— Koperski.

— I powiedziałaś staruchowi?

— Już mówiłem, brachu. Powiedziałem wszystko.

Kolejna zagadka znalazła rozwiązanie. Zdrada żołnierza GROM-u jakoś nie zrobiła na mnie większego wrażenia, zwłaszcza że zrozumiałem, do czego się posunął, dopiero w momencie, gdy przyłożył mi pistolet do skroni. Jak przez mgłę pamiętałem jego rozmowę z Krzyśkiem, zanim obaj skoczyli sobie do gardeł, ale byłem pewny, że próbował się tłumaczyć. Że Abi Rabi’a go do tego zmusił, że porwał mu żonę i córkę. Nie kojarzyłem detali, w każdym razie coś w ten deseń. Wszystko zatem składało się w jedną całość. Abi Rabi’a wykorzystał zebraną od Michała wiedzę, znając imię i nazwisko Patryka, mógł namierzyć jego adres i porwać jego najbliższych, tym samym zapewniając sobie absolutne posłuszeństwo wyszkolonego komandosa, którego zadaniem było zadbanie o to, aby wszyscy, zwłaszcza ja i Krzysiek, zostali doprowadzeni przed jego oblicze w nietkniętym stanie.

Rzeczywistość zweryfikowała i jego plany, ale ostatecznie odniósł połowiczny sukces. Schwycił Krzyśka, tylko dzięki niesłychanej odwadze Leili, która jakimś cudem zdołała wyrwać mnie ze śmiertelnego letargu, nie dopadając mnie. To wszystko zdawało się takie irracjonalne... I potwornie przytłaczające.

Krzysiek i Leila. Myślałem o nich niemal bez przerwy. Oboje mnie kochali i udowodnili to, poświęcając absolutnie wszystko, aby mnie uratować. I choć powtarzałem sobie, że gdybym mógł, to już teraz ruszyłbym im na ratunek, podświadomie wiedziałem, że tego nie zrobię. Bo nie umiem, bo nie wiem jak, bo wciąż jestem pizdą.

Gdy tak o tym myślałem, nie miałem pojęcia, że jedno z nich już nie żyje. Że umarło śmiercią okrutną i bolesną. Ofiarowało siebie, abym to ja mógł dalej żyć.

Krzysiek

1 października 2023 roku, Berlin, Niemcy

Kłęczał. Ręce i nogi owinięte wokół latarni, spętane, plastikowe paski głęboko werżnięte w ciało. Kolana zdarte do kości, zbolące, broczące zaropiałą krwią. Doskwierający chłód. Kolejny podmuch zimnego wschodniego wiatru poderwał z chodnika kolorowe liście, które uniosły się jakby w nadziei, że z góry nie przegapią ani sekundy zbliżającego się spektaklu. Zadrzał z zimna. Miał na sobie tylko podarte bokserki, które jakimś cudem wciąż jeszcze trzymały się na jego posiniaczonych biodrach. Wschodni front natarł na centralną Europę bez pardonu i w ciągu doby temperatury spadły w okolice zera.

Dwóch zamaskowanych mężczyzn stało obok, przerzucone przez ramię kałasznikowy, przy nogach karne dobermany. Pilnowali go. Spojrzał w niebo i zmrużył oczy. Słońce znajdowało się w zenicie, częściowo przesłonięte przez cienką warstwę chmur, rzucało tylko blady blask na słynną Kolumnę Zwycięstwa, na szczycie której dumna bogini Wiktoria stała niewzruszona i mimowolnie przyglądała się przygotowaniom do barbarzyńskiego rytuału, który już wkrótce miał po raz kolejny zbrukać niemiecką stolicę.

Czy Abi Rabi'a wybrał to miejsce z pełną premedytacją? Czy plac, dotąd kojarzony z odbywającą się tu przed laty słynną Love Parade, która od zawsze była symbolem miłości, tolerancji i seksualnej wolności — wszystkiego, czym staruch wespół z innymi wyznawcami swojej opresyjnej ideologii tak gardzili, co było dla nich synonimem „zgniłego Zachodu” i co sprawiało, że przez lata mogli budować obraz brudnych, zepsutych i grzesznych niewiernych — dziś miał zostać sprofanowany po raz kolejny?

„Perfidny sukinsyn” — pomyślał Krzysiek i splunął krwawą plwociną na płytę chodnikową.

Tłum gęstniał z każdą minutą. Tysiące mężczyzn, w większości odzianych w tradycyjne arabskie szaty, powoli zajmowało swoje miejsca, burzliwie dyskutowało i żywiołowo gestykulowało. Nie rozumiał, o czym rozmawiali, ale w sumie gównem go to obchodziło, mimo to nie dało się nie wyczuć narastającego napięcia i wzmagającego się podniecenia. Atmosfera

aż kipiała od emocji, na tyle, że jego obecność zdawała się nikogo nie obchodzić, jakby co najmniej był przezroczysty. Owszem, czasem któryś z przechodzących obok mężczyzn rzucił mu pogardliwe spojrzenie i z wyraźnym obrzydzeniem splunął bądź burknął coś pod nosem, ale zdecydowana większość go ignorowała. Ten brak empatii czy choćby zainteresowania był niezwykle uderzający, w zasadzie nieodbiegający od tego w wiecznie targanych kolejnymi konfliktami krajach Trzeciego Świata, gdzie widok umierającego na ulicy człowieka nikogo specjalnie nie dziwił, a mężczyzna przywiązany do latarni czy przykuty do płotu z założenia uchodził za kogoś, kto najwyraźniej zasługuje na taką karę. Tak jakby większość z tu obecnych już wcześniej przywykła do podobnej scenerii. „Pewnie przywykła” — pomyślał i wzdrygnął się przy kolejnym mroźnym podmuchu. Temperatura oscylowała wokół trzech, może pięciu stopni Celsjusza. W słońcu.

Poczuł na ramieniu ukłucie, chwilę później rozległ się piskliwy chichot. Z trudem odwrócił się w tamtym kierunku i dostrzegł, jak troje malców — mieli nie więcej niż siedem, osiem lat — dźga go gałązkami, najwyraźniej mając przy tym dziki ubaw. Jeden z psów warknął groźnie, więc cofnęli się. Kolczatka wbiła się w gardło, zwierz zakwilił i zamilkł, skarcony przez swojego pana. Wtedy najwyższy z nich, chudy chłopaczek z bujnymi czarnymi lokami, zakradł się i nic nie robiąc sobie z faktu, że legionista doskonale zdawał sobie sprawę z jego obecności, dziobnął go patykiem jeszcze raz. Wszyscy wybuchli śmiechem, ale nie dostrzegając żadnej reakcji ze strony swojej „ofiary”, ich nieformalny lider doskoczył do Krzyśka i wymownym ruchem przeciągnął palcem po szyi, następnie wyszczerzył zęby i splunął mu w twarz. Legionista spojrzał jedynie głęboko w oczy chłopaka. Nie dostrzegł w nich nienawiści, co najwyżej ciekawość i młodzieńczą krnąbrność. Chwilę później dołączyli do niego koledzy i jakby rywalizując o palmę najodważniejszego, zbliżali się do Krzyśka, na przemian śmiejąc się i „podrzynając” palcem własne gardła. Szydzili jeszcze przez chwilę, dopóki na głowach dwójki z nich nie wylądowała sroga ręka ojca, który następnie chwycił ich za uszy i odciągnął w kierunku linii drzew. Trzeci pobiegł za nimi i przez chwilę poszukując swojego opiekuna, w końcu też zniknął w tłumie.

Pomyślał o swoich przyjaciółach. Ciekawe, gdzie teraz byli, co teraz robili. Dobrze, że Kuba zdążył. Bardzo dobrze. Opowie, co widział. Musi. Może wtedy ktoś zatrzyma tego szaleńca. Wojny wybuchały z powodów dużo mniej poważnych. Wystarczyło udowodnić, że w tej spacyfikowanej wsi zginęli Polacy. W dzisiejszych czasach wystarczający motyw, aby

wkroczyć na terytorium obcego państwa. Dopóki system jeszcze się nie scementował, a armia nie osiągnęła pełnej kontroli nad swoimi zasobami. A podobno ostatnie NATO-wskie jednostki opuściły kraj już kilka dni temu i nie ostał się żaden wysoki rangą oficer mogący powstrzymać zapędy świeżej władzy. I nawet jeśli nowo powołani generałowie nie mieli pojęcia, jak obsługiwać najnowocześniejsze systemy, ba, pewnie byłby problem, aby zebrać wystarczającą liczbę oficerów potrafiących postawić w stan gotowości choćby kilka batalionów pancernych czy eskadr lotniczych, w których obeznanie ze sprzętem było absolutnie kluczowe w przypadku potencjalnego zagrożenia, to koła zębate systemu pracowały nieprzerwanie i już wkrótce Ahmed Güneş, a co za tym idzie — także Muhammad Abi Rabi'a, mogli mieć do dyspozycji pełną siłę ognia zmodernizowanej przez ostatnie lata armii niemieckiej. Dzięki Bogu, Niemcy nigdy nie otrzymały dostępu do broni jądrowej...

Nagle przez tłum przemknął przeciągły szmer, ludzie ożywili się, widząc zbliżających się uzbrojonych mężczyzn. Gwar rósł z każdą kolejną sekundą, a milicjanci zabrali się za opanowanie zbiegowiska. Pokrzykując i gestykułując, ustawiali gapiów, rozpychając ich w obie strony, aby zrobić przejście w kierunku pomnika Nike.

Wiedział, co się wydarzy. Już wcześniej dostrzegł tę kupę kamieni u podnóża monumentu. Uniósł głowę. Bogini Wiktoria, wciąż niewzruszona, spoglądała na niego i wszystkich przybyłych. Pomyślał, że świat jest do dupy, a ludzie to banda tępych skurwysynów. I jeśli tak ma wyglądać przyszłość, to niech wszystko szlag trafi.

Leila

1 października 2023 roku, Berlin, Niemcy

Szła ze spuszczoną głową, próbując unikać kolejnych śmieci, które raz za razem lądowały na jej głowie i korpusie. Papiery, zgniłe liście, resztki jedzenia. Słuchała wszelakich obelg i inwektyw miotanych z każdej strony przez nieznaną jej ludzi, którzy w niezrozumiały sposób pałali do niej wściekłą nienawiścią. Pluli i szydzili, wyzywając ją od szmat i kurw, choć nigdy nie widzieli jej na oczy, nie mieli pojęcia, co nosi w sercu i jak bardzo kocha życie. Czowała się grzesznicą, ale jej przewina nie należała do najcięższych. Znała wiele rówieśniczek, które robiły dużo gorsze rzeczy, mimo to do tej pory nie poniosły żadnej kary. Dlaczego ona? Czy Bóg rzeczywiście jest aż tak niesprawiedliwy?

Całą poprzednią noc modliła się żarliwie, błagając go o wybaczenie. Gdy ujrzała ojca, jej serce wypełniła radość i nadzieja, które wyparowały jednak w ułamku sekundy, gdy ciężka ręka Ahmeda Husajna Al-Sahiliego wylądowała na jej twarzy.

— Zhańbiłaś mnie i cały mój ród — rzekł, starając się opanować kipiące emocje.

Widziała w jego oczach ogromny zawód i rozgoryczenie, ale zza ciemnych, pokrytych szklistym całunem źrenic wciąż przebijała miłość. Przepraszała i błagała na przemian, wzywała Allaha na świadka i obiecywała poprawę, ale ojciec był nieprzejednany.

— Nie dałaś mi wyboru. Oni nie dali mi wyboru. Nie jesteś już moją córką — powiedział drżącym głosem i wyszedł, a ona runęła w otchłań.

Nie spała ani minuty, modląc się do Allaha o miłosierdzie i ulitowanie się nad jej grzeszną duszą, ale gdy nad ranem przyszedł do niej sam Muhammad Chalil Abi Rabi'a, zrozumiała, że to koniec. Znała go z telewizji i opowiadań ojca, wiedziała, że jest fanatykiem i ślepym piewcą prawa szariat, hołdującym najbardziej radykalnej wersji islamu równie mocno, co najgorsi rzeźnicy z czasów jej młodości, gdy rodzinny Mosul cierpiał pod panowaniem bojowników Państwa Islamskiego. Wysłuchiwała więc w milczeniu litanii oskarżeń i po raz ostatni pomodliła się do Boga o przebaczenie.

Teraz szła spętana sznurem, jak bezwstydną ulicznicą, z rozczochranymi włosami i odsłoniętą twarzą, aby każdy mężczyzna mógł ujrzeć jej grzeszne oblicze. Gdy jakiś ogryzek trafił ją w oko, przyklęła i przedramieniem wytarła zbrukaną twarz. Czuła się brudna i splugawiona. Jej długie czarne loki wiły się teraz jak oślizgłe węże, a nagie ramiona drżały od hulającego wiatru. Poczowała szarpnięcie, sznur jeszcze głębiej wbił się w przetarte przeguby, prowadzący ją mężczyzna ze sztucznym okiem nie okazał jednak litości, nie pozwolił na choćby chwilę odpoczynku. Powstała z kolan i ruszyła dalej.

Słońce nieśmiało przebijało się przez cienką warstwę chmur, ale bała się podnosić wzrok. Była przytłoczona jak nigdy wcześniej, masa mężczyzn — syczących, wrzeszczących jak stado głodnych hien, wypatrujących jej kary niczym długo wyczekiwanego posiłku — sprawiała, że nie chciała otworzyć oczu. Zrobiła to, gdy poczuła na skórze chłodny cień majestatycznej Kolumny Zwycięstwa. Wieńczący ją posąg kobiety ze skrzydłami, dzielnej bogini Wiktorii, zawsze wzbudzał jej szacunek. Nigdy nie myślała, że umrze u jej stóp.

Tumult wzbierał, a gdy w końcu dotarła do podstawy kolumny, mężczyzna z jednym okiem podszedł do niej i rozciął więzy.

— Stój tu i nie próbuj uciekać, bo wychłostamy cię na śmierć — rozkazał, a jego sztuczne oko nienaturalnie zakołysało się w oczodole.

Poczowała, jak ogarnia ją coś niewiarygodnie złego. Przeraziło ją to. Jakby nagle wokół wypełzły wszystkie pustynne duchy i demony, rozpoczynając ponury taniec śmierci, aby w odpowiednim momencie pochwycić ją w swe szpony i zabrać w piekielne czeluści. Łzy znów popłynęły po policzkach, wtedy z przytwierdzonych do latarni głośników wybrzmiało pierwsze nawoływanie do modlitwy. Wszyscy zamilkli, a muezzin kontynuował *adhan*. Nastąpiło spore poruszenie, każdy uczestnik zbiegowiska wyciągnął *sadzadżę* i z pietyzmem ułożył ją na podłożu. Wybiła dwunasta, nadszedł czas południowej *zuhr*. Tysiące mężczyzn zaczęło żarliwie się modlić, a ona stała i drżała. Kolejne podmuchy mroźnego wiatru smagały jej nagie ramiona, wciąż miała na sobie ubrania, które założyła, uciekając z domu, wyłączając bluzę, którą jej odebrano. Aby nie mogła ukryć włosów, twarzy? Aby ją jeszcze bardziej poniżyć?

Zmrużyła oczy, gdy dostrzegła kogoś, kto zupełnie nie pasował do pozostałych wiernych. Nienaturalnie klęczał przy latarni, jakby ktoś spętał mu ręce i nogi u jej podstawy. Poznała go. To ten żołnierz, przyjaciel Kuby. Pomyślała o mężczyźnie, którego pokochała, zamknęła powieki i zwizualizowała sobie jego oblicze. Coś znów ścisnęło jej gardło i serce.

Modlitwa dobiegła końca.

Otworzyła oczy. Kolorowy park wyglądał pięknie. Dostrzegła chmurę ptaków, które nagle gwałtownie skręciły i obsiadły kilka okolicznych drzew. Słyszała ich skrzek, gdzieś w oddali ktoś przeciągle wciskał klakson.

Mężczyzna ze sztucznym okiem podszedł do niej i chwycił za włosy.

— Oto nierządnicza, która uciekła z niewiernym! Oto zdrajczynie, która splugawiła honor rodziny! Oto grzesznica, która znieważyla Miłościwego Allaha! — Jego głos z każdym wypowiedzianym zdaniem tężał, naznaczony coraz większym podnieceniem.

Przez tłum przeszedł groźny pomruk i rozległy się pierwsze okrzyki: „Śmierć dziwce!”, „Ukamienować kurwę!”, „Do piekła z nią!”. Leila czuła, jak łzy spływają jej po policzkach. Słyszała kolejne oskarżenia, ale nie słuchała. Patrzyła, ale nie widziała, jak twarze bezimiennych mężczyzn wykrzywiają się w nienawistnych grymasach. Gdy oprawca w końcu sprowadził ją na ziemię, nie oponowała, uklękła i zamknęła oczy. Poczowała, jak powoli osuwa się w bezkresną czeluść.

— Czy masz coś na swoją obronę, kobieto? — wykrzyczał mężczyzna.

Chciała coś odpowiedzieć, ale ciało odmówiło posłuszeństwa, uczucie strachu, które nagle runęło na nią niczym lawina błotna, sprawiło, że nie była w stanie wydać z siebie jakiegokolwiek dźwięku. Wtedy go dostrzegła. Wyszedł z tłumy, miał na sobie najgustowniejszą galabiję i odświętną kefiję. Poruszał się wolno, dostojnie, ale niósł w sobie coś piekielnie ciężkiego i mrocznego, a jego oczy tonęły w morzu niewysłowionego żalu. Gdy stanął przy kopcu kamieni, zapadła głucha cisza, a tło zniknęło, jakby sam Allah jednym machnięciem ręki na całym świecie wyłączył dźwięk i obraz. Została z nim sama na sam. Wszystko inne wyparowało. Zahipnotyzowana, patrzyła, jak sięga do kupki kamieni i wybiera jeden z nich, podnosi go, miarkuje i zaciska w dłoni, czeka, instynktownie oddala nieuchronne.

Zamknęła powieki. Znalazła się na urokliwej polanie otoczonej zielonym lasem i majestatycznymi górami o ośnieżonych szczytach. Nie była sama. Obok matka przyglądała się pięknemu czerwonemu kielichowi. Spojrzała na córkę, uśmiechnęła się i z powrotem skupiła się na podziwianiu kwiatu. Mały Mahdi dokazywał kilka metrów obok, ganiał w podskokach rajskiego motyla, który kolejnymi machnięciami barwnych skrzydeł unikał pochwylenia. Braciszek przerwał na chwilę zabawę i także się uśmiechnął. Nieco dalej dostrzegła braci, którzy odeszli przez laty. Ali i Younis byli w świetnych humorach, prowadzili ożywioną dyskusję. I oni ją pozdrowili. Wtedy poczuła na karku ciepły oddech, a gdy się odwróciła, ujrzała mężczyznę, którego pokochała. Kuba pocałował ją namiętnie, ale gdy tylko

otworzyła oczy, już go nie było.

Wrócił chłód. Obróciła się, zaskoczona, ale mama i bracia również zniknęli, podobnie polana, góry, kwiaty i motyle. Był tylko on. Stał jak posąg. Z kamieniem w dłoni.

— Tato... — szepnęła.

Chwilę później pochłonęła ją czarna nicość.

Kuba

6 października 2023 roku, Zielona Góra, Polska

Po tygodniu pobytu w szpitalu, w końcu opuściłem jego ponure mury i po wizycie u babci udałem się do moich przyjaciół. Musiałem ustalić pewne kwestie, zanim zniknę, aby raz na zawsze pozbyć się piętna cipy, która pozwala na zabijanie swoich kobiet, wszak nie myślcie, że nie dotarły do mnie newsy dotyczące publicznego ukamienowania Leili.

Obejrzałem ten amatorski film, był odrażający i wzbudził we mnie masę skrajnych emocji. Po raz drugi byłem świadkiem (tym razem szczęśliwie nie na żywo), jak ojciec morduje własną córkę, z tą różnicą, że tym razem dołączyli do niego „Jednooki”, Jusuf Abi Rabi’a, i masa prawdopodobnie zupełnie przypadkowych mężczyzn, którzy nie omieszkali skorzystać z szansy, aby legalnie popuścić wodze swoich perwersyjnych żądy. Egzekucja nie trwała długo, zapewne jeden z pierwszych kamieni rozłupał jej czaszkę i pozbawił życia, a przynajmniej przytomności (tego nie dało się jednoznacznie określić, bo film był kręcony ze znacznej odległości, a jakość obrazu pozostawiała wiele do życzenia), ale miała w sobie coś tak pierwotnego, tak złego, niehumanitarnego i podłego, że aż przeszły mnie dreszcze. Po raz kolejny utwierdziłem się w przekonaniu, że islamistyczna ideologia jest chora w całej swej rozciągłości i należy ją tępić na każdym kroku. Bo o ile z trudem, ale jakoś starałem się zrozumieć czyn Abi Rabi’i, który nie dość, że był kompletnie zindoktrynowanym szaleńcem, to do tego pospolitym bandytą, sadystą i zwyrodnialcem czerpiącym przyjemność z krzywdzenia innych, o tyle Al-Sahili zdawał się zwyczajnym facetem, oczywiście o poglądach mocno różniących się od przeciętnego obywatela Zachodu, mimo to sprawiającym wrażenie uczciwego człowieka i kochającego ojca. Dlaczego więc posunął się do ukamienowania swojej córki? Nawet jeśli zakładał, że się ze mną przespała (do czego oczywiście nie doszło), to czy normalny mężczyzna byłby w stanie zamordować z tego powodu własne dziecko? Niepojęte, niezrozumiałe, popieprzone...

Prześladowało mnie poczucie winy, choć oczywiście ukamienowanie Leili przyjąłem zdecydowanie chłodniej niż śmierć mojej Nawal czy rodziców. Nie darzyłem jej tak silnym uczuciem, może nawet żadnym,

mimo wszystko ta dzielna dziewczyna uratowała mi życie i chyba naprawdę mnie kochała. Nie wiem, czym sobie na to zasłużyłem, wszak przez większą część „naszej znajomości” tylko jęczałem, bredziłem i wypróżniałem się pod siebie, aby w czasie, gdy osiągnąłem w miarę pełną sprawność ciała i umysłu, odrzucić jej zaloty i złamać serce. Ona jednak porzuciła dla mnie rodzinę, aby w ostatecznym rozrachunku poświęcić własne życie, ratując moje. Musiałem więc — chcąc nie chcąc — znaleźć dla niej w sercu godne miejsce, choćby dlatego, aby jej heroizm nie został zapomniany, a mnie dał paliwo na kolejne lata, które miałem przepracować pod okiem najlepszych szkoleniowców sił specjalnych. To była jedyna droga, abym w końcu zrobił coś ze swoim marnym życiem, zwłaszcza jeśli miałem kiedykolwiek marzyć o tym, że ujrzę twarz mojego najbliższego przyjaciela. Który też poświęcił dla mnie wszystko...

Ze szpitala odebrał mnie Michał i razem pojechaliśmy do odziedziczonego przez Tesa domu, w którym wciąż mieszkivali, gdyż sprawy urzędowe mające na celu przekazanie im lokalu pod nowym, bezpiecznym adresem, przedłużały się, co zaczynało mnie powoli irytować, wszak nowe lokum było jednym z warunków mojej współpracy z rządem. Ta, nie owijając w bawełnę, okazała się mniej owocna, niż się spodziewałem. Owszem, władza wykorzystała moje uwolnienie do celów propagandowych, wyciągnęła ode mnie komplet potrzebnych informacji, aby stworzyć profil psychologiczny Abi Rabi'i, nie omieszkałem też opowiedzieć o masakrze, jakiej byłem świadkiem w tej małej niemieckiej wsi (o dziwo, rzeź ta nie została w żaden sposób udokumentowana i w mediach wciąż krążyły tylko pogłoski o kolejnych egzekucjach, a jedynie najbardziej ekspresyjni dziennikarze pozwalali sobie wspomnieć o „masowych mordach”, na które wciąż nie było dowodów, gdyż propaganda nowej niemieckiej władzy działała już na najwyższych obrotach, absolutnie negując wszelkie oskarżenia, mało tego, spychając winę za „sporadyczne incydenty” na „niemieckich faszystów i neonazistów”), w związku z tym miałem nadzieję, że sami zaoferują, nazwijmy to, bardziej konkretną współpracę, nie wspominając o tym, że pospieszą Krzyśkowi z pomocą. Niestety, nic z tych rzeczy nie nastąpiło, a moje sugestie czy nawet żądania dotyczące akcji odbicia mojego przyjaciela zostały odrzucone, tłumaczone przesadnie „barwnym” życiorysem Figura, który w razie zaistnienia w mediach mógłby stać się zbyt dużym ciężarem dla polityki wewnętrznej i zagranicznej państwa.

Musiałem przyjąć to za fakt i z ciężkim sercem przyjąłem. Dyskusja z panami w mundurach, a zwłaszcza w czarnych garniturach, była z góry

skazana na porażkę, nie znałem technik negocjacyjnych, nie miałem tak silnej karty przetargowej, a tym bardziej aż tylu asów w rękawie, aby móc stawiać warunki. Musiałem zadowolić się przyznaniem mojej rodzinie całodobowej ochrony, moim przyjaciołom mieszkania, a mnie wstępnej rezerwacji miejsca w Lublińcu, gdzie urzędują słynni na cały świat Cisi i Skuteczni, czyli Jednostka Wojskowa Komandosów. Co prawda wcześniej musiałem odbębnić jeszcze podstawowe szkolenie wojskowe (nigdy nie poczuwałem się specjalnie do wypełnienia obowiązku służby wojskowej, czego bardzo żałowałem), ale już podczas niego mogłem przygotowywać się do zaliczenia selekcji do JWK.

Zatrzymaliśmy się na osiedlowym parkingu. Pogoda nie rozpieszczała. Było zimno, szaro i ponuro, siąpił nieprzyjemny deszcz. Mieszkanie Tesa wciąż zdawało się dość bezpiecznym lokum, to stary adres na Pomorskim należał do spalonych, dlatego kontrolnie rozejrzeliśmy się po okolicy, ale nie dostrzegając żadnego zagrożenia, pokuśtykałem o kulach do drzwi. Monika otworzyła nam z parującym kubkiem herbaty w dłoni, a ja poczułem silny aromat ulubionego earl greya. Miała na sobie bluzę z wizerunkiem rozjuszonego pitbulla, które to zawsze kojarzyłem z łysymi mięśniakami, bądź to starymi koleżkami Krzyśka z Falubazu, bądź wytatuowanymi pseudokozakami, którzy po kilku godzinach na macie już myśleli, że są nie do zatrzymania. Włosy spięte w kitkę, brak makijażu i luźne dresowe spodnie dopełniały jej jakże odmienny image i chyba tylko duże puchate kaptcie z oczami i uszami zdawały się przypominać, że ta dziewczyna to wciąż nasza Monika. Na zaciśniętej na uchu kubka dłoni dostrzegłem obdarte kłykcie, miała też podpuchnięte usta. Nie zaskoczyło mnie to jednak, Michał uprzedził mnie, że większość czasu spędza na treningach albo sparingach krav magi.

— Cześć, Kuba. Cieszę się, że wróciłeś — rzekła i delikatnie mnie objęła. — Zrobię wam gorącej herbaty, kolacja już czeka na stole.

Rzuciła nam nieco sztuczny uśmiech i poszła do kuchni. Zamieniłem kilka kurtuazyjnych zdań z Michałem i udałem się do salonu. Zbliżając się do kanapy, dostrzegłem wystającą czuprynę okupującego ją Amira, który chwilę później wstał i powiedział mi „dobry wieczór”. Zatkąło mnie i omal nie wyróciłem się, gdy jedna z kul mi się z wrażenia omsknęła. Spojrzałem wymownie na Afgana, który wzruszył ramionami i wydał usta w treściwym grymasie, którego znaczenie rozszyfrowałem mniej więcej tak: „Nie pytaj, sam tego nie ogarniam, ale nie jestem w stanie nic zrobić”.

Chłopak stał, jakby czekał na jakąś odpowiedź, ale zignorowałem go i zająłem miejsce przy stole, znajdującym się obok wejścia na niewielki

taras. Odłożyłem kule i zmierzyłem chłopaka surowym wzrokiem. Nie miałem pojęcia, jak się zachować, jego obecność była irracjonalnym doświadczeniem. Wyglądał jednak inaczej, bardziej przypominał zwykłego chłopaka niż zahukane zwierzątko, na ławie przy kanapie, na której siedział, dostrzegłem też masę pisemek, od starych komiksów ze Spidermanem po najnowsze wydania „Focusa” czy „National Geographic”. Jego głęboko osadzone oczy błyszczały żywym blaskiem.

— Jakim cudem udało się wam go ukryć przed władzami? — spytałem, odwracając się w stronę Michała.

— Przez kilka dni siedział z Moniką u ciotki Marylki. Cała jej chata to jeden wielki chlew, ostatnie miejsce, gdzie ktoś mógłby szukać zaginionego synalka zagorzałego islamisty i groźnego terrorysty.

— Co racja, to racja. — Uśmiechnąłem się pod nosem, wszak pomysł był przedni.

Kojarzyłem tę ciotkę Marylkę z czasów, gdy chciała przygarnąć Krzyśka i Monikę, po śmierci rodziców, ale z tego, co zapamiętałem, to była jakaś patologia. Najwyraźniej dziś to nie miało już znaczenia, albo inaczej — miało, ale w aktualnej sytuacji działało na korzyść.

Michał skinął na Amira, że może spocząć. Od razu usiadł na kanapie i zajął się czytaniem. Był posłuszny i karny. Jak dobrze wytresowany pies.

— A więc kiedy wyjeżdżasz? — zapytał.

— Według doktora Szachera potrzebuję jeszcze kilku dni, aby dojść do siebie. Później idę do WKU.

— Idę z tobą.

Spojrzałem na Afgana, nieco zaskoczony. W przeciwieństwie do mnie on miał dla kogo żyć. I kogo chronić.

— No co? Nie patrz tak. Idę z tobą. To już klepnięte.

— A Monika?

— Szczerze? — Ściszył głos. — Nie da się z nią żyć. Tylko Amir albo treningi, treningi albo Amir. Ogarniasz, że od czasu, gdy wróciła, my jeszcze nic... no, wiesz?

— Chcesz ją opuścić?

Nie wiedziałem, co myśleć, zaskoczył mnie. Monika była jego kobietą, do tego potwornie skrzywdzoną kobietą, która z pewnością potrzebowała czasu, po drugie siostrą Krzyśka, który wyciągnął go z piekła. To, że od czasu porwania jeszcze nie uprawiali seksu, nie było powodem, aby ją porzucić.

— Nie, to nie tak. Nie zrozum mnie źle. Wciąż ją bardzo kocham, ale chyba oboje potrzebujemy czasu. Poza tym tam został Krzysiek. Jak mam

żyć z Moniką, skoro jej brat jest w łapach Abi Rabi'i, a ja nie jestem w stanie z tym nic zrobić? No, powiedz mi, kurwa, jak!

Rzeczywiście sytuacja nie należała, oględnie mówiąc, do najbardziej komfortowych. Wspólna egzystencja w takich warunkach dla normalnego faceta była nie do zniesienia.

— Jaki więc masz plan?

— Chcę iść z tobą. Przemyślałem to i wiem, że to jedyna dobra decyzja. Poradzę sobie. Przeżyłem starucha, więc przetrwam wszystko. Chcę się nauczyć tego, co Krzysiek. I chcę po niego wrócić. Jestem mu to dłużny. A przy okazji, jak Bóg da, zabić Abi Rabi'ę.

Brzmiało dobrze, wszak mój plan prezentował się dokładnie tak samo. Pomyślałem, że to byłby znakomity pomysł. Chociaż byłem pewny, że jestem w stanie stanąć na wysokości zadania nawet bez wsparcia, to obecność starego przyjaciela na siłowni, macie, strzelnicy czy w terenie była nieoceniona. Konkurencja zawsze działała na człowieka maksymalnie mobilizująco, a biorąc pod uwagę fakt, że obaj obraliśmy ten sam cel, mogłem założyć, że nasze współzawodnictwo obojgu wyjdzie tylko na dobre.

— Monika o tym wie? — spytałem.

— Jeszcze nie, ale chyba się domyśla.

— Kiedy chcesz jej powiedzieć?

— Dziś, właściwie zaraz.

Kiwnąłem głową z pełnym zrozumieniem i akceptacją. Ucieszyłem się, że mój przyjaciel również zdecydował się na radykalne kroki. To był najwyższy czas, aby w końcu nauczyć się, jak żyć, jak przetrwać i jak walczyć.

Do salonu wkroczyła Monika. Postawiła na stole dzbanek z gorącą herbatą i zawołała Amira, który natychmiast stawił się przy stole. Był skromnie zastawiony, ale niesamowicie rozbudził mój apetyt. Świeży chleb, masło, ser, szynka, pokrojone pomidory, rzodkiewki oraz sól, pieprz i oliwa z oliwek nie należały może do nazbyt wyszukanych potraw, ale po szpitalnym żarciu taki zestaw prezentował się równie dobrze, co świeżo wysmażony stek z japońskiej wołowiny Kobe w sosie z czerwonego wina od samego Gordona Ramsaya. Zaczęliśmy jeść, podejmując tematy błahe i nieistotne, co w obliczu naszej aktualnej sytuacji sprawiało, że atmosfera robiła się trochę sztuczna. Kątem oka obserwowałem Amira, który zmienił się nie do poznania, z każdą minutą dostrzegałem to coraz mocniej. Jego oczy zdradzały wigor, entuzjazm i pasję, nawet jeśli starał się to ukryć, a przynajmniej powściągnąć buzującą wewnątrz energię. Słuchał nas, jakby

rozumiał każde słowo, nie odezwał się jednak ani razu, unikał też mojego wzroku. Dopiero po chwili zorientowałem się, że sięgnął po szynkę, którą pałaszował, jakby wieprzowina nigdy nie stanowiła dla niego najmniejszego problemu. Nie skomentowałem tego, chciałem go ignorować, ale nie potrafiłem być zupełnie obojętny. Tak naprawdę moja złość na tego dzieciaka powoli się ulatniała, a ja nie potrafiłem tego zatrzymać, co zaczynało mnie irytować. Przecież ten smarkacz jeszcze kilka tygodni temu omal nie zarznął mnie jak świni, a ja — zabrzmiał to jak jakiś absurd — chyba zaczynałem go nawet lubić. Czułem, że jestem więźniem własnych słabości. Musiałem wyjechać. Musiałem odciąć się od tego wszystkiego i postawić mur.

Gdy skończyliśmy jeść, Monika skinęła na Amira, a on jak posłuszny robocik podziękował i poszedł do swojego pokoju. Nadszedł czas poważnej rozmowy.

— Jadę z Kubą — wyrwał się Michał, jakby chciał wykrztusić cierń zalegający w gardle.

— Domyśliłam się — odparła Monika, zupełnie spokojnie, nienaturalnie spokojnie. — Jedź, poradzę sobie — dodała po chwili i wzięła solidny łyk herbaty.

Spojrzeliliśmy po sobie, zdziwieni jej reakcją. Naprawdę się zmieniła. Diametralnie. I nic nie wskazywało, że ta nieprawdopodobna metamorfoza przeminie.

— No, co tak patrzycie? Głupia nie jestem.

— Ale... — Michał zwątpił.

— Idź i zrób co trzeba.

Zupełnie zbiła nas z tropu i wytrąciła wszelkie argumenty. Spojrzałem jej w oczy i dostrzegłem dokładnie to samo, co widywałem w lustrzanym odbiciu. Coś pierwotnego i bardzo złego zagnieździło się również w sercu Moniki. I pragnęło tego samego — odwetu i krwawej wendety.

— Zagrajmy w otwarte karty — zasugerowałem.

— W co tu grać? — spytała oschle.

— Chcę wiedzieć, czy sobie poradzisz.

— Żartujesz chyba, Kuba. Po tym, co przeszłam? Zgwałcili mnie dziesiątki razy, bili i torturowali, a teraz mają mojego brata. I ty mnie pytasz, czy sobie poradzę? Myślisz, że pozwolę, aby tak już zostało?

— Nie chciałem...

— To chcę cię uświadomić, że nie pozwolę, aby uszło im to na sucho. Nie jestem głupią blondynką i wiem, że w tej chwili nie jestem w stanie nic zrobić, ale popatrz, co się dzieje na ulicach, co dzieje się w Europie i na

świecie. Idzie wojna i chcę być na nią przygotowana. A dopóki Amir jest ze mną, wiem, czuję to o tu... — Monika wykrzywiła usta w nerwowym grymasie i wskazała palcem na serce. — ...że ten pojeb nie zabije Krzysztofa. A mój brat jest twardy i wytrzyma. Wiem to, znam go. On nigdy się nie podda.

— Krzysiek żyje — wciął się Afgan. — Na pewno...

— Ale co miałas na myśli, mówiąc, że chcesz być przygotowana na wojnę?

— A wy po co wybieracie się do Lublińca?

Jej metamorfoza była niesamowita, każde kolejne słowo utwierdzało mnie w przekonaniu, że nie rzuca słów na wiatr. Pomyślałem, że w jej żyłach płynie przecież ta sama krew, co u Krzyśka, a obojgu życie dało popalić już od najmłodszych lat. Co do Lublińca, to miała rację — jechaliśmy tam w konkretnym celu. I choć wcześniej nie patrzyłem na to z tak szerokiej perspektywy (chyba po prostu nie miałem na to czasu, ale trudno było się z nią nie zgodzić, bo świat nieuchronnie dążył do wojny) i bardziej skupiałem się na osobistych porachunkach, to w podświadomości wciąż krążyła wizja Europy rozdartej wojną. A na wojnie trzeba umieć walczyć. Albo przygotować się na nędną śmierć.

Przed oczami znów przemknęły mi obrazy z tamtej niemieckiej wsi...

— Wiem, co masz na myśli i powiem wprost. Do tej pory byłem pizdą i już pizdą być nie chcę — rzekłem dość emocjonalnie.

Afgan tylko pokiwał głową.

— Dlatego nie oponuję. Jeźdźcie i zróbcie, co musicie.

Westchnąłem ciężko, z radością przyjąłem, że te słowa przeszły mi przez usta tak łatwo. Wiedział o tym każdy z nas, choć moja i Michała postawa do tej pory były swoistym tabu. W końcu tabu zostało przełamane.

— A ty jakie masz plany?

— Podobne do waszych.

— Też chcesz iść do wojska? — spytał zaskoczony Afgan.

— Myślę o tym, ale jeszcze nie zdecydowałam.

— A co z Amirem? — spytałem, wszak jego obecność znacznie ograniczała możliwości w tym kierunku.

— O niego się nie martwcie. Wszystko przemyślałam.

W kilku słowach opowiedziała, jak widzi jego najbliższą przyszłość i znów mnie zaskoczyła. Jakbym słuchał Krzyśka, wszystko miała dopracowane w najdrobniejszych szczegółach. I co najważniejsze, kleiło się i miało sens. Rozmawialiśmy jeszcze długo, planując, kalkulując, ustalając strategię i — chyba przede wszystkim — karmiąc to, co rosło w każdym

z nas.

Nie mieliśmy pojęcia, że w tym samym czasie w pięknej willi nad brzegiem morza w Soczi dwóch mężczyzn w samotności rozprawiało i debatowało nad własnym scenariuszem, który już wkrótce miał zmienić układ sił w Europie i raz na zawsze rozedrzeć ją na strzępy. Rosyjsko-turecki sojusz nad ranem stał się faktem, a pół roku później obie armie były już gotowe do wymarszu. Ta wojna miała sprowadzić na ludzkość cierpienie, przy którym Holocaust w czasie II wojny światowej dziś jawił się nam jako dziecinna igraszka. Ta wojna miała zniszczyć w człowieku wszystko, co ludzkie. I skąpać świat w morzu krwi.

Epilog. Niewierny

30 grudnia 2033 roku, przedmieścia Paryża, Francja

Większość twierdzi, że żyjemy, ponieważ kieruje nami instynkt przetrwania. Mam odmienne zdanie. Żyjemy po to, aby nawzajem się powybijać. Kieruje nami instynkt samozniszczenia. Od zawsze dążyliśmy do samozagłady.

Na przestrzeni wieków ludzie wynajdowali tysiące sposobów, aby unicestwić się wzajemnie. Zadanie nie było jednak łatwe. Ani stal, ani proch, ogień czy nawet mordercze zarazy nie były w stanie sprawić, aby jedni mogli zgładzić drugich. Człowiek, jako istota uparta i nieustępliwa w swoich dążeniach, w końcu wymyślił oręż, który pozwalał mordować hurtowo. Z pomocą przyszła mu najnowsza technologia, a dokładnie zaawansowana chemia. Niemcy, jako liderzy cywilizowanego świata, postanowili dać przykład i w specjalnie do tego zbudowanych obozach zagłady zagazowali prawie sześć milionów bezbronnych ludzi, głównie kobiet, starców i dzieci. Zabrakło im czasu, wojnę przegrali, ale większość katów dożyła sędziwego wieku, unikając kary za swoje okrutne uczynki. Przez kolejne lata mniejsze i większe hekatombi wybuchały na całym świecie, ale żadna nie dorównała niemieckiej pomysłowości, organizacji i precyzji.

Mylił się jednak ten, kto żył nadzieją, że nie znajdą się lepsi. Znaleźli się. ON znów zatruł umysły milionów. I rozpętał piekło nienawiści. Ludzie odbudowali obozy, postawili mury, ustawili zasieki. I zaczęli mordować z jeszcze większą pasją. Po raz kolejny niemożliwe stało się możliwe. Historia znów zakpiła z naszej naiwności.

W końcu nad miastami wyrosły atomowe grzyby, spadły czarne deszcze, a radioaktywny pył zamknął planetę w trującym kokonie, wskutek czego ludzkość na ponad rok musiała zejść pod ziemię. Powrót na powierzchnię okazał się bardzo rozczarowujący. Nienawiść nie wygasła, świat spowił mrok, a z potępionych serc wypełzły bestie tak straszne, że większość z niedobitków wolało poderżnąć sobie gardła niż żyć w nowym, po stokroć bardziej

plugawym świecie.

Bez prądu, bez bieżącej wody, bez sklepów i ciepłych wieczorów w towarzystwie ulubionego serialu ludzkość kompletnie się pogubiła. Człowiek stał się człowiekowi wilkiem, a gdy zapasy pożywienia wyczerpały się, odrzucił ostatnie krępujące go pęta. Klęska niewyobrażalnego głodu w wielu rozrzuconych społecznościach usankcjonowała kanibalizm, a wraz z nim wszelkie, nawet najbardziej barbarzyńskie rytuały. Miłość, przyjaźń i tolerancję zastąpiły nienawiść, bezduszność i zdziczenie. Ludzkość runęła w bezdenną otchłań, z której już nigdy miała się nie podnieść.

Gdy kilka tygodni temu spotkałem tamtego chłopaka, pomyślałem, że w morzu tego całego okrucieństwa tli się jeszcze nadzieja. Od lat nie poczułem się tak dziwnie, nie targały mną tak silne emocje. Niósł w sobie coś tak intensywnego i czystego w swej istocie, jakby nie pochodził z tego świata. Nieskażony. Niezbrukany. „Dobrzy ludzie niosą ogień” — mówił, w jego ustach brzmiało to niezwykle szlachetnie. On wciąż miał duszę. Należało ją uchronić. Za wszelką cenę. Ktoś kiedyś uratował moją. I choć dziś cuchnęła już zgnilizną tego świata, uchroniła mnie przed wkroczeniem na JEGO drogę.

Mimo to podążam nią, ścieżką wybrukowaną cierpieniem i śmiercią, ale jako sędzia i kat, bezlitosny upiór ścigający tych, którzy zamienili ten świat w piekło.

Piekło... Tak, ono istnieje, właśnie na nie patrzę. To tu hodują ludzi. Jak bydło. Na skóry, mięso i nawóz.

Właśnie taki jest mój świat.

Świat, w który kiedyś nikt nie chciał uwierzyć...

KONIEC TOMU DRUGIEGO

Posłowie

Radykalni: Rebelia to tylko moja własna wizja, mroczna, ale wciąż tylko wizja Europy i tego, co może wydarzyć się w ciągu kilku czy kilkunastu najbliższych lat. I tak tę książkę należy traktować.

Pisząc *Radykalnych*, zależało mi na realizmie, dlatego prawie wszystkie miejsca, które opisałem w pierwszym i drugim tomie, są prawdziwe i kiedyś miałem okazję je odwiedzić. Oczywiście wiele z nich, zwłaszcza poszczególne dzielnice czy ulice Paryża czy Berlina, na potrzeby powieści zobrazowałem inaczej, mimo wszystko każda z lokalizacji ma swój pierwowzór w rzeczywistości.

Sam temat szeroko pojętego islamu poznałem stosunkowo dobrze, a przynajmniej bliżej niż przeciętny Kowalski. Miałem okazję mieszkać i pracować z wieloma muzułmanami w Anglii, Hiszpanii czy Francji. W życiu miałem styczność z tymi o zdroworozsądkowym podejściu do otaczającej nas rzeczywistości, ale także z bardzo religijnymi, a nawet o poglądach zdecydowanie radykalnych. Z wieloma z nich toczyłem długie dysputy na temat religii, polityki czy kultury. Czasem, choć rzadko, kończyły się one konkretnymi konkluzjami, bywało, że kłótniami, a nawet groźbami śmierci, gdy według nich pozwalałem sobie na zbyt wiele, komentując treści zawarte w Koranie czy Sunnie. Mieszkanie pod jednym dachem z radykalnymi wyznawcami islamu pozwoliło mi też poznać ich zachowania, nawyki, przyzwyczajenia, sposób myślenia, odprawiania modłów czy patrzenia na świat z perspektywy człowieka wychowanego w wierze absolutnej. To niezwykle doświadczenie nie tylko ubogaciło mnie jako człowieka, ale dzięki niemu mogłem lepiej zrozumieć problem szeroko pojętego islamu i mechanizmy rządzące jego niezwykle różnorodnością i złożonością.

Drogi Czytelniku, na koniec chciałbym Ci serdecznie podziękować, że zdecydowałaś się kontynuować przygodę z *Radykalnymi* i mam nadzieję, że zamykając ostatnią stronę drugiego tomu, jesteś usatysfakcjonowany lekturą, a mnie udało się zasiać w Tobie ziarno niepewności i swoistego niepokoju. Historia od lat uczy nas, że niczego nie można wykluczyć i nawet najbardziej nieprawdopodobne scenariusze z czasem stają się realnym koszmarem. Oby nie tym razem...

Trzeci tom już wkrótce!
Pozdrawiam serdecznie.

PRZEMEK PIOTROWSKI

Podziękowanie

Ta książka nigdy by nie powstała, gdyby nie moja ukochana rodzina i szereg przyjaciół, którzy byli nie tylko inspiracją, ale także pomagali i wspierali mnie w chwilach zwątpienia.

W pierwszej kolejności chciałbym podziękować ukochanej żonie Kasi oraz rodzicom, za wspieranie mnie w procesie tworzenia. Zwłaszcza żonie, która rozumie proces twórczy, gdy staję się nieosiągalny pomimo tego, że jestem w pokoju obok, ale także za to, że w tym czasie potrafi być moim sterem na wzburzonym oceanie. Dziękuję Ci, Kasiu.

Bardzo pragnę podziękować moim przyjaciołom, którzy stali się inspiracją do stworzenia bohaterów powieści. Dziękuję zatem: Michałowi Dorniakowi, Krzysztofowi Figurze, Mateuszowi Nykielowi, Piotrowi Kawiakowi, Łukaszowi Bartkowiakowi i Franco Antonio Zennie za to, że są tak wyjątkowi, że zawsze można na nich liczyć i mogłem „podkraść” nieco ich charakteru, aby główni bohaterowie stali się ludźmi z krwi i kości. Szczególnie mocno chciałbym podziękować pierwszemu z nich, który namówił mnie na wyjazd na studia do Hiszpanii, gdzie spędziłem kilka genialnych lat. Bez niego cykl *Radykalni* nigdy by nie powstał.

Dziękuję też przepięknej Marokance Asali, która stała się bazą do stworzenia postaci Nawal i Leili, a która otworzyła przede mną swoją duszę i przybliżyła masę problemów, z jakimi musi się mierzyć młoda muzułmanka starająca się znaleźć własną ścieżkę w Europie, często żyjąca między młotem a kowadłem, obwarowana kulturowymi i religijnymi zakazami, pomimo że mieszka w świeckim państwie, narażona na szydercze, czasem podszyte groźbą spojrzenia swoich krajanów i braci w wierze. Wiem, że Twoje łzy były szczere...

Dziękuję również Hamzie, Amirowi, Mustafie, Jusufowi, Muhammadowi i innym chłopakom, z którymi miałem okazję pracować i żyć pod jednym dachem, dzielić troski życia codziennego, pić ich niesamowitą herbatę i prowadzić długie dysputy na tematy religii, polityki czy różnic międzykulturowych. Wielu z nich to wspaniali, przemili ludzie i na pewno tak ich zapamiętam. Dziękuję także i tym, którzy udowodnili, że ich radykalne poglądy są w totalnej sprzeczności z kulturą Zachodu i otworzyli mi oczy na niewątpliwe zagrożenia z tym związane.

Dziękuję Patrycji i Abdallahowi za długie dyskusje oraz niezwykle cenne uwagi merytoryczne. Dziękuję Prezesowi Wydawnictw Videograf Franciszkowi Lekiemu, a także jego pracownikom. Specjalne podziękowania składam również pisarzom Marcinowi Ciszewskiemu oraz Włodzimierzowi Sokołowskiemu (aka Vincentowi V. Serverskiemu), których pochlebne recenzje na temat *Radykalni. Rebelia* utwierdziły mnie w przekonaniu, że jednak warto jest ciężko pracować i się nie poddawać. Zwłaszcza opinia tego drugiego, wielkiego autorytetu i najwyższej klasy profesjonalisty, to dla mnie ogromny zaszczyt.

Dziękuję też wszystkim, których nie wymieniłem z imienia i nazwiska, a którzy przyczynili się do powstania powieści *Radykalni. Rebelia* w jej ostatecznej wersji.

Jeszcze raz wszystkim Wam dziękuję.

Przypisy

[1] arab. Niech Allah ma cię w swojej opiece.

[2] arab. Chwała Bogu!

[3] arab. Niech Bóg będzie z tobą.

[4] arab. Chwała Bogu.

[5] arab. Jak Bóg da.

[6] arab. Błagam Allaha, Wielkiego, Pana Tronu wspaniałego, by przywrócił ci zdrowie.

[7] arab. Bogu niech będą dzięki.

[8] arab. Jak Bóg da.

[9] arab. Niech Allah będzie z niego zadowolony.

[10] Sura 9, werset 29, Skrucha (Al-Tauba), Koran.

[11] Sura 9, werset 6, Skrucha (Al-Tauba), Koran.

[12] arab. Oby Allah wynagrodził cię dobrem.

[13] arab. Oby Allah wynagrodził cię dobrem.

[14] arab. Niech Allah ma cię w swojej opiece.

[15] Sura 8, werset 17, Łupy (Al-Anfal), Koran.

[16] Tak wysoki numer nigdy nie istniał. Najwyższym, wydanym pod koniec stycznia 1945 roku, był numer 202 499, ale z racji tego, że nie chciałem nikogo urazić i przyznać Gabrielowi Silbermanowi numeru konkretnej osoby, postanowiłem nieco nagiąć fakty.